

ZESZYT STO TRZYDZIESTY DRUGI

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
2000

ZESZYT STO TRZYDZIESTY DRUGI

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
2000

BIBLIOTEKA «KULTURY»
TOM 511

ISSN 0406-0393
ISBN 83-86907-26-6

Dziękujemy Radzie Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa za pomoc finansową przy wydaniu 132 numeru *Zeszytów Historycznych*

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Wydanie krajowe:
Towarzystwo Opieki nad Archiwum
Instytutu Literackiego w Paryżu
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 1, pok. 0103
tel./fax 824 35 88, tel. 824 38 00

Druk: Drukarnia «Efekt», ul. Lubelska 30/32, Warszawa.

Anna STROŃSKA

LITWO, OJCZYZNO WASZA

Nam się Polska od morza do morza nie udała, natomiast ten dziwny kraj, który wynurzył się z ciemności prehistorii dopiero w trzynastym wieku, i w krótkim czasie zagarnął prawie milion kilometrów kwadratowych, w tamtych czasach mógł nas do kieszeni schować. Łaska historii na pstrym koniu jeździ, ale to właśnie ich państwo, powtarzam za naszym autorem „strzegło Europy nie tylko przed podbojami tatarsko-mongolskimi, lecz i wyciszało agresję krzyżowców i krzyżaków”.

Jeszcze pod koniec czternastego stulecia syn Gedymina, Algirdas, oświadcza: *Omnia Russia ad Litvinos deberet simpliciter pertinere* (cała Ruś powinna podlegać Litwinom). I to nie była mrzonka. Perejaśław, Czernihów – przed sześciuset laty należały do Litwy. Z paktu z Krzyżakami we wrześniu 1379 wynika, że nawet Suraż i Wołkowysk były litewskie, a nie tylko Brześć i Grodno.

Letwinorum et multorum ruthenorum rex (król Litwinów i licznych Rusinów) to znów *Dei gratia letphinorum ruthenorumque rex, principes et dux Semigallie* (z Bożej łaski król Litwinów i Rusinów, władca i książę Semigalii). Podpisywali się ich władcy. Wiek czternasty, wiek piętnasty: na mapach malutka Polska przy ogromnej Litwie. Potem to się dokładnie odwróciło, a jeszcze potem...

Przemija postać świata, i grubą nieostrożnością jest błoga wiara w nieodwracalność zwłaszcza tych wygodnych dla nas sytuacji, o czym nie lubią pamiętać rodzimi historycy, nie mówiąc o politykach.

Oto jak się z cudzego brzegu patrzy na historię. Profesor Vytautas Kubilius opowiada, jak to Witoldas i jego książęta, przeciwni unii z Polską, zebrali się w Łucku...

– Na Ukrainie – wtrącam. A profesor – Nie, na Litwie. Oczywiście ma rację. Wołyń był litewski.

Osiemdziesięciu lat Witold dożył w Trokach. Do ostatka jeździł konno. Któregoś dnia nie utrzymał się już w siodle. Zmarł po upadku, dosłownym, nie przenośnym. Chociaż?

Mógł zostać królem Litwy, orszak z koroną już był w drodze z Pragi. – Wasi nie przepuścili – leciutko uśmiecha się profesor. – No i od tego zaczął się zmierzch Litwy. Rozpłynęła się, ścichła w Polsce.

To są wytrwałe żale. Tu niewiele załagodzi pytanie: – A lepiej wyszlibyście na uciszeniu w Rosji? Gdy je zadam, usłyszę, że przy silnej Litwie Moskwa nie urosłaby w późniejszą Rosję.

Odległości litewskie: ze wschodu na zachód trzysta siedemdziesiąt trzy kilometry, z północy na południe dwieście siedemdziesiąt sześć. Sowiecki folder z lat siedemdziesiątych uściślał „Litwa zajmuje jedną siódmą powierzchni, którą ma Turkmenia”. Z dzisiejszych beadeckerów można się dowiedzieć, że obszarem (65 tys. km kw.) Litwa dorównuje Irlandii, przerasta Danię i Szwajcarię, a Belgię – nawet dwukrotnie.

Z Irlandią lekko przesadzili, ale ja ich rozumiem. Po takich doświadczeniach przyjemniej ustępować niechby najmniejszym krajom europejskim, niż być jedną piętnastą innej sowieckiej republiki.

Pierwsi uznaliśmy niepodległość Ukrainy, i słusznie. Takie gesty nie przechodzą niezauważone w dyplomacji. Zostają w historii. A do Litwinów jużemy się nie pospieszyli. Dlaczego? Pewnie ktoś w MSZ-cie miał za dużo zajęć. A zdawałoby się, że to właśnie byłoby oczywiste i wymowne posunięcie, że i w polskim, i w litewskim odczuciu tym razem jako pierwsi – byłibyśmy na miejscu bardziej niż Islandia.

To są zaszczości przemilczane, ale w jakimś stopniu też nakładające się na sytuację wileńskich Polaków. Litwini (już o tym pisałam w *Kulturze*) pamiętają obłąkane projekty odseparowania od nich i od Białorusi, a także Ukrainy, byłych polskich województw i utworzenia z nich odrębnej sowieckiej republiki. Nie za szybko nam zapomną, że w 87-mym skłonni byliśmy widzieć Litwę jako „odrębny kraj w granicach państwa polskiego”. Która to „odrębność” mocno jednak przypominałaby pozycję Księstwa Warszawskiego czy Królestwa Polskiego. Takie pomysły rodziły się po obydwu stronach granicy, odzyskanie Wileńszczyzny miało przecież stronników, choćby w KPN-ie. Co się tyczy Litwinów – rdzennych Litwinów – wiara w radykalną zmianę sytuacji też nie była tak spontaniczna i powszechna, jak sugerowałby skądinąd wielki, radosny aplauz dla „Sajudis”. Uderza powściągliwość w traktowaniu elementarnej przecież sprawy niepodległości. Jeszcze w 1989 tylko trzydzieści osiem procent Litwinów było przeciw przynależności kraju do Związku Sowieckiego! Wprawdzie w rok później – już sześćdziesiąt osiem procent, ale i tak są to wskaźniki, dla nas, zadziwiające. A w byłym sowieckim lityfundium za sukces mogło uchodzić, że stosunkowo szybko o jedną trzecią zmalała ilość zwolenników wejścia do Wspólnoty Niezależnych Państw, trzykrotnie też ubyło amatorów „dotychczasowego stanu rzeczy” czyli pozostania częścią Rosji.

W przeszłości inaczej dopiekliliśmy Litwinom, całkiem inaczej – Ukraińcom. Faktem pozostaje, że jedni i drudzy mieli nas dosyć, co dało się zauważyć, w wypadku Ukrainy, już przed kilkuset laty, na Litwie – grubo później i w formie bez porównania łagodniejszej. Tu dłużej może dominować (ale z polskiej strony) pierwiastek sentymentalny, choć Litwinom gardłem lezie polski paternalizm. Nie zachwycili się filmowym „Panem Tadeuszem”. Kompleksy długo żyją, nawet jeśli wywodzą się z już nieaktualnych faktów.

W recenzji z dziewiętnastowiecznej, a po raz pierwszy – jako edycja dwujęzyczna – wydanej dopiero w 1994 w Wilnie pracy Jana Czeczota „Śpiewki o dawnych Litwinach do roku 1434” pisze Alina Kowalczykowa: „To opowieść o dawnej Litwie, ale łatwo dostrzec co Czeczotowi wtedy, w okresie

przyłączania naszych, polskich i litewskich ziem do Rosji, najbardziej leżało na sercu. Troska o to, by przetrwała świadomość, że niezależnie od wszelkich różnic jesteśmy wspólnotą, zjednoczoną potrzebą walki o państwowy byt (...). Był Polakiem-Litwinem, przypomnijmy, że nie było wtedy dylematu: Polakiem czy Litwinem, miało się – jak Mickiewicz – ojczyznę szeroką...”

Za Czeczota dylematu mogło jeszcze nie być, dzisiaj po „ojczyźnie szerokiej” pozostał mit kulturowany wyłącznie w Polsce – i wśród litewskich Polaków. „Tak się żyło, kochanienkie” zatytułowano piękną wystawę zdjęć Stanisława Filiberta Fleury w Wilnie.

Przeszłość. Przeszłość. Przeszłość. Tak się żyło, wiemy, ale to nie wróci.

Polonus swoje wie. Litwa... Jaka tam Litwa, Polska. A jeśli jednak – Litwa to dla nas, przy nas, do służby i do anegdoty. Ilość wydawnictw na ich temat, zdawałoby się, ogromna, tyle że te książki – niby to – o Litwie, są książkami o nas. O naszej Litwie. Tu Małopolska, Mazury, tam Wileńszczyzna, Żmudź.

Sentymenty postlitewskie (nie myliłabym z prolitewskimi) to specjalność starszych roczników. Młodsze cechuje obojętność, wynikała – niestety – nie z racjonalnego myślenia, tylko z szokującego niedouctwa. Dyrektor Instytutu Polskiego w Wilnie, mieszkaniec Legnicy, opowiada o uczniach tamtejszego liceum, z których żaden nie wiedział, jakim językiem porozumiewają się Litwini. Chyba rosyjskim? Nie? No to jakim? A czy oni w ogóle mają własny język?

Licealiści nie za bardzo orientowali się, gdzie może leżeć miasto Vilnius. U nas na pewno nie. Może gdzieś w Rosji?

Chyba aż takim wygaszeniem naszych sentymentów nawet Litwini nie są zainteresowani.

W Wilnie ciekawa rozmowa o Piłsudskim. „Nie mógł zrozumieć, że rację bytu ma tylko państwo narodowe” – konstatuje Litwin. Dorzuca „Zresztą i u nas, i u was, nadal myśli się kategoriami państw narodowych... zamkniętych... nadrabiamy spóźnienia, a to już jest czas euroregionów”.

Mój rozmówca zdaje się przeoczył, że Wileńszczyzna Wileńszczyzną, ale o pierwszy dobrowolny euroregion zabiegał

nie kto inny, jak Piłsudski. Polska, Ukraina, Litwa, Łotwa, Estonia...

Nie udało się. Za dużo przeszkód. Za forsowny był ten pierwszy bieg do niepodległości. Konfederację, czy niechby tylko koalicję, uniemożliwiła pamięć historyczna, strach przed dalszą polską dominacją. I jednak – siła Rosji, której Piłsudski – mając rację generalną – nie docenił w latach 1919-20.

Litwini, dzisiaj, obawiają się przyjaźni, która wzięłaby ich na długą, elastyczną, ale jednak – smycz. Już wiedzą, czym się kończy opiekuńczość polska. Nie chcą być drudzy w szyku. Czy zresztą chcieli, kiedykolwiek?

To co nie udało się po I wojnie światowej, tym bardziej nierealne jest obecnie. Dla Litwinów nie do przyjęcia byłby jakikolwiek układ, w którym pierwsze skrzypce miałyby odgrywać Polska. Wchodząc do NATO, nie przybliżyliśmy sobie Litwy, która w razie czego nie szukałaby oparcia w Warszawie, tylko w Berlinie. Oraz w Waszyngtonie.

Nie sterują w naszą stronę. Już nie. Z badań prowadzonych w roku 1993, powtórzonych w 1996, wynika, że Estończycy poczuwają się do wspólnoty kulturowej przede wszystkim z krajami nordyckimi. Następnie – z Niemcami (ten pogląd wyraźnie się umocnił) i w pewnym stopniu – z Rosją. Ciekawe, że nieznacznie, ale jednak wzrosło przekonanie o wpływach rosyjskiej kultury. Z kolei Rosjanie, stanowiący w Estonii nieomal równorzędną grupę narodowościową, uznali kraje północne za najbliższe kulturowo Estonii. Nie przeceniają wpływów rosyjskich, choć wygląda na to, że już śmieiej o nich mówią. Nieco wzrosła też liczba przekonanych o znaczeniu wpływów niemieckich. Tak czy siak – śladu propolskiej orientacji.

Jeśli idzie o orientację z Unią Europejską, to wśród państw z d o l n y c h pomoc, Litwini widzieliby poparcie również ze strony Estonii oraz Łotwy. O Polsce – ani słowa. Znowu żeśmy się spóźnili?

W pierwszym półroczu 1998 przeszło jedna trzecia całego eksportu Litwy szła do krajów Unii Europejskiej, niespełna połowa – do państw Wspólnoty. Odwrotnie natomiast układały się proporcje importu. Litwa w tym okresie umacniała się na rynkach ukraińskim i łotewskim, jakby osłabiając

wymianę z Rosją oraz Białorusią. Natomiast wzrastał import z Niemiec i Polski, co nie przeszkadza, że wyprzedziła nas Estonia. Znacznie.

Spóźniliśmy się. Okazja na priorytetowe gospodarcze partnerstwo Polski z Litwą była, ale przeszła koło nosa. Już się nie da naprawić kardynalnych zaniedbań, popełnionych w dziewięćdziesiątych latach przez pierwsze ekipy postsolidarnościowe. Litwini, dzisiaj, wiążą uzasadnione nadzieje z niemieckim kapitałem. Polityczna Litwa posterowała w kierunku Skandynawii i nie sądzę, żeby to był proces odwracalny.

W wileńskim *Przeglądzie Bałtyckim (Revue Baltique)* wydawanym przez socjologów litewskich, łotewskich i estońskich, interesujące studium „Państwa bałtyckie pomiędzy Wschodem a Zachodem”. Jest ten tytuł hasłem wywoławczym, ilustruje ogólne tendencje – ale i nastroje społeczne, określa polityczną – a jeśli ktoś woli – geopolityczną nie tylko sytuację, ale i okazję. Niestety nie widać, aby nasi politycy zaprzęтали sobie tym głowę. Nie wydaje mi się, aby w Polsce z dostateczną uwagą konstatowano, iż Litwa – po raz pierwszy w swoich dziejach – wyraźnie zwraca się ku Skandynawii. Dlaczego my tak wypuszczamy szanse z rąk, tak zdumiewająco nie radzimy sobie z partnerstwem politycznym (i ekonomicznym!) tam, gdzie skończyła się nasza narodowa i państwowa dominacja? Ukrainę mogą nam „podebrać” Niemcy (już są na najlepszej drodze), Litwa znajdzie solidne, wolne od emocjonalnych obciążeń wsparcie na północy. Białoruś, traktowana przez nas tak niezręcznie, tak prowokująco, niestety może przestać wchodzić w grę jako niezależny partner polityczny.

Wiadomo, Wschód – to nie ten kierunek, który nas interesuje. A za fatalnymi skutkami długo nie trzeba się rozglądać.

Nie wydaje mi się, aby w Polsce z dostateczną uwagą konstatowano, iż Litwa – po raz pierwszy od bardzo odmiennie, i u nich i u nas, interpretowanego sojuszu Radziwiłła ze Szwedami – wyraźnie zwraca się ku Skandynawii. I jest pożądanym partnerem. Nie sprawdzałam, czy jeszcze w 1938 roku Litwa istotnie wyprzedziła Estonię w rozwoju gospodarczym. Jako eksporterzy masła i bekonu i dzisiaj Litwini mają bezspornie lepsze notowania od nas.

Nie bez cichutkiej satysfakcji poinformowano mnie, że w ich kraju liczba mleczarni uprawnionych do eksportu produktów na Zachód aż trzykrotnie przewyższa polską. „A przecież terytorialnie jesteśmy od was pięciokrotnie mniejsi i mamy dziesięciokrotnie mniej ludności...”.

Litewska dziennikarka, Elwira Degutiene, przeprowadzając wywiad z naszym premierem, zadała szereg pytań, na które odpowiedział swobodnie, i jedno, po którym się zajął: „Panie premierze, oceniając kontakty polsko-litewskie, mówiliśmy o korzyściach dla Litwy... a czy mógłby pan wskazać coś, czego wy moglibyście się nauczyć od nas?”.

Odpowiedzi nie było.

Przy parlamencie litewskim powstał zespół do spraw kontaktów z Polską, ale równolegle – z wyraźniejszą tendencją do pierwszeństwa – funkcjonuje drugi, skoncentrowany na współpracy krajów bałtyckich. Warto też pamiętać, że Litwini widzą rozwiązanie dylematu Królewca w wersji – i skali – ekonomicznego regionu euro-skandynawskiego.

Pospieszyliśmy się z optymizmem. Zapamiętałam prasowy komentarz: Estonia już ma partnerów skandynawskich, Litwa polega na Polsce... No, niezupełnie. Według litewskiej gazety *Verslo Zinios* dziesięciu głównych inwestorów na Litwie to – w kolejności zaangażowania – Szwecja, Finlandia, USA, Niemcy, Dania, Wielka Brytania, Luksemburg, Irlandia, Norwegia i Estonia. Polski w tej dziesiątce nie zauważamy, a szkoda, bo towarzystwo doborowe.

Dużo do myślenia daje opinia p. Anny Delick (*Kultura* nr 3/618), że Litwa bynajmniej nie należy do krajów wymarzonych przez obcych inwestorów, bo kraj jest... katolicki (do tego jeszcze wróć), na domiar złego z ryzykiem elektrowni jądrowej w Ignalinie, i bez emigracyjnego zaplecza na Północy.

Trzy bardzo przecież małe republiki nadbałtyckie wiedzą, że brane z osobna – tracą zainteresowanie potencjalnych inwestorów, dlatego zaniechały przepychanek (a był okres napięcia między Litwą i Łotwą związany ze sporem o granicę). Estończycy, którzy po odzyskaniu niepodległości odcinali się od Bałtów, chcąc wprowadzić dla nich wizy – szybciotko przyznali się do wspólnoty losu i kultury. Rozpoczęła się

gospodarcza integracja *ex-Pribaltiki* ze Skandynawią. Na Litwie można już nawet mówić o rywalizacji kapitałów. Zakupem Lithuanian Shipping Company zainteresowało się sześciu skandynawskich armatorów.

Zachód interesuje się litewskim rynkiem paliw płynnych, co niepokoi Rosjan. Wschód zredukował dostawy ropy do tutejszych rafinerii, gdy Amerykanie wykupili 33 proc. przedsiębiorstwa. Olbrzymie pieniądze – prawie miliard dolarów – zainwestowała Skandynawia.

Litewską drogę na Zachód przyspieszy *Via Baltica*, autostrada z Rygi, w efekcie łącząca nawet Helsinki z Tallinem, jeden z transeuropejskich korytarzy, wygodnych w gospodarczych kontaktach. Budowa natrafia na trudności, poza brakiem gotówki Litwinów blokuje Białoruś. Na razie prowadzą od Kalwarii i Mariampola do polskiej granicy drogę pozwalającą na jazdę z szybkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Prędzej czy później Litwę czeka inna kosztowna inwestycja, przebudowa torów kolejowych. Pół biedy tutaj, ale jak sobie poradzi z tym Ukraina... a Rosja? No, ale po mojemu prędzej dojdzie do lądowania ziemian na Plutonie, niż do europeizacji szyn między Tobolskiem i Symferopolem, albo Smoleńskiem i Władywostokiem.

Na Litwie obok rozsądnych przedsięwzięć – karygodne głupstwa. Jatka drzew. W swoich bardzo interesujących szkicach „Litwa i Litwini”, wydanych z inicjatywy Ogólnopolskiego Klubu Miłośników Litwy, Henryk Wisner odwołuje się do Wyspiańskiego „Czarty przejdą, a będzie las litewski szumiął”.

Otóż nie jest to już pewne. Las litewski niknie. Rozhulała się rabunkowa gospodarka. Tartaków przybywa jak grzybów po deszczu. W gminie trockiej do niedawna były trzy, teraz jest dwadzieścia. Litwini wyzbywają się swojego bogactwa. A zdawałoby się, że to praktyczny naród. Są tak dobrze z Finami, a jeszcze nie podpatrzyli tamtejszej ostrożności. Alarmy w prasie nie skutkują. Tylko w baedekerach liryka o „pradawnych puszcach, nie zniszczonych jeszcze ręką człowieka”. Żle wróży słówko *jeszcze*.

Z „zielonymi płucami” kiepsko w całej wschodniej Europie. O wydzielenie i ochronę ocalałych jeszcze kompleksów

leśnych wystąpiło w 1992 siedem państw, w których środowisko naturalne ulegało drastycznej niwelacji. I nadal ulega. Na Białorusi, Ukrainie, w Rosji, trwa rabowanie przyrody. A u nas? Ani jedno polskie uzdrowisko nie odpowiada znormalizowanym standardom czystości powietrza i wód. Mimo to nadal ogałaca się je z drzew, które przeszkadzają willom. Na Litwie, tak jak w Polsce, można się spotkać z opinią, że szkód, przesądzonych masakrą amazońskiej dżungli, nie zrekompensują te nasze biedne europejskie zagajniki.

Litwa miała trochę szczęścia, poddano ją rusefikacji kulturowej, lecz nie biologicznej. Wprawdzie 14 czerwca 1940 (litewski Dzień Żałoby, dzisiaj) ruszyły deportacje. Do roku 1949 wywieziono ćwierć miliona Litwinów. W rezultacie zsyłek, egzekucji, ale i ucieczek za granicę, jeszcze możliwych z początkiem okupacji, kraj stracił czterysta tysięcy ludzi. Wprawdzie do roku 1966 we władzach uniwersytetu wileńskiego nie było ani jednego Litwina, a inteligentów, którzy uniknęli wywózki usuwano z życia publicznego, to i tak dokonano się tu zło mniejsze, niż na Łotwie, obranej z połowy ludności. Tak jest, w latach czterdziestych wywieziono czterdzieści osiem procent Łotyszy. Znaczną część pozostałych też rozesłano później po łągach. O tym też warto pamiętać, kiedy się ocenia dzisiejsze rzeczywiście nieprzyjazne Rosjanom decyzje bałtyckich administracji, o jedną czwartą – tak jest, o dwadzieścia pięć procent! – zmniejszyła się łotewska populacja. Doszło do tego, że we własnym kraju za jakiś, i to nieodległy czas – zważywszy nieomal zerowy przyrost naturalny – Łotysze mogą stać się mniejszością narodową. Nie panikuję, stwierdzam fakty. Już dzisiaj w siedmiu miastach łotewskich przeważają Rosjanie. Tylko pięćdziesiąt cztery procent mieszkańców Łotwy stanowią Łotysze. Jak to się ma do niepodważalnego, niestety, socjologicznego pewnika, że wszędzie, gdzie mniejszość narodowa przekracza dziesięć procent, dochodzi do kłopotów, mniejszych, większych, ale nieuniknionych?

W latach 1939-1989 również rdzenna ludność Estonii zmalała o trzydzieści procent i Estończycy dzisiaj stanowią niespełna sześćdziesiąt dwa procent mieszkańców swego kraju. Łotysze – tylko pięćdziesiąt dwa procent. Na tym

przerazającym tle Litwini (prawie osiemdziesiąt procent obywateli republiki) mogli się uważać za uprzywilejowanych. To dawało nadzieję na przetrwanie. Widocznie Litwini ze swoją chłopską wytrwałością i uporem nie kwapią się do ustępstw przed złym losem? Niewątpliwie dopomogła specyficzna litewska wytrwałość i cierpliwość, zakodowany chłopski upór. Ten naród podejrzliwych i sceptycznych milczków nie lubi rezygnować. Tak czy inaczej – w latach, gdy małżeństwa na Łotwie i w Estonii pozostawały bezdzietne, gdy zanośliło się na wygaśnięcie dwu narodów, to na Litwie przyrost naturalny był jednym z najsilniejszych w Europie.

Jakim sposobem Litwa, choć sowiecka, pozostała litewska? Oni sami przypisują zasługę „komunistom-narodowcom” z Antonasem Snieczkusem na czele. – Jako gubernator przez czterdzieści trzy lata ukrywał się na tym stanowisku – żartuje rozmówca. Czy na pewno żartuje? Bo jednak, jednak, Snieczkus nie był najgorszym gubernatorem, sądząc po tym, co się działo w sąsiedztwie.

Tendencja nazywana narodowym komunizmem za uważalna była już w latach 50-tych, najmniej zdawałoby się sprzyjających takim „schizmom”, wbrew rozpowszechnionym u nas sądom.

Łotysze w „swojej” partii komunistycznej stanowili mniejszość narodową, tak było w zasadzie przez cały okres sowiecki. Ten stan rzeczy potwierdził się jeszcze nawet w 1990. Podczas gdy wśród partyjnych Łotysze w 1967 stanowili jakieś 45 procent, niespełna połowę, to Litwini – 66 procent (według sondażu z 1993).

W przeciwieństwie do Estonii czy Łotwy – i to się tutaj podkreśla – stan ten jednak przyniósł trwałe korzyści. A mianowicie tak istotne dla Litwinów przyłączenie Wilna i Kłajpedy. Ta pierwsza sprawa miała znaczenie emocjonalne, ta druga – ekonomiczne. Łatwiej było – przynajmniej do czasu łatwiej – przeboleć Królewiec.

W odczuciu obywateli innych sowieckich republik Pribałtika była wybranym adresem, miejscem szczególnym, była wysepką europejskości na głuchym sowieckim oceanie. Tu się jeździło po kosmetyki i po biustonosze, tu się zazywało kawiarni i uprzejmości w restauracjach. „Pribałtika”

była ich Europą. Tak wyobrażali sobie zagranicę. „Trzy i pół miliona Litwinów karmiło jedenaście milionów Rosjan” – usłyszę w Wilnie. Ich produkty rozchwytywano w Leningradzie, Moskwie, Kiszyniowie. Z lat siedemdziesiątych, czyli z okresu ponownego pogorszenia sytuacji ekonomicznej, z życia w supermocarstwie, pochodził ironiczny termin „spadochroniarze”, nadawany tabunom przyjezdnych – z Rygi do Szawli, z Kaliningradu do Kowna, z Mińska do Wilna – po cokolwiek, po wszystko co do kupienia w lepszych, bo litewskich sklepach. Nawet w niewoli była okazja na tę czy inną sąsiedzką *schadenfreude*. „Kiedyś chłopci litewscy jeździli uczyć się gospodarstwa rolnictwa od Łotyszów, a teraz my wysyłamy żywność do Rygi...”.

Sytuacja w powojennej Litwie w jakimś sensie przypominała polską: Sowieci zastali w zagarniętym kraju kadre lojalnych miejscowych komunistów, nowy system wprowadzali ludzie mówiący po litewsku, dla których litewski był językiem własnym i którzy – na swój sposób, w dopuszczalnych granicach – dbali o rozwój republiki. Nastąpiło skomponowanie niewyobrażalnego u nas terroru politycznego z pewnym ożywieniem gospodarczym, z inwestycjami tak bezspornie korzystnymi jak budowa dróg. Może i dlatego po odzyskaniu niepodległości były pierwszy sekretarz partii w byłej sowieckiej republice mógł zostać prezydentem, zanim spokojnie odszedł na emeryturę. A już w Estonii nie do pomyslenia była jakakolwiek kontynuacja władzy, „jedynie słuszna” partia rozpadła się błyskawicznie, zbrojna aktami prawnymi antyrosyjskość zwróciła nieprzychylną uwagę Zachodu.

Mniejsze zło przed większym, tegośmy nigdy nie lubili. Bohaterami naszych romansów z zasady nie są Wielopolscy (ani Jaruzelscy), jednak wbrew sądom historyków, również u nas skorym do podporządkowywania faktów wybranej koncepcji politycznej, socjologowie litewscy rozumieją powody, dla których nadniemeńska lewica w 1992 w wyborach parlamentarnych odniosła zdecydowane zwycięstwo. W roku 1990, w poprzednich wyborach, blisko 70 procent posłów nazwalibyśmy postkomunistami, jeszcze w następnych wyborach, w 1992, nieco ponad połowę.

Zauważona już została – zwłaszcza wśród estońskich

Rosjan – percepcja pewnej „identyczności terytorialnej”, nawrót do tradycyjnego poglądu, że państwa bałtyckie stanowią kulturowy pomost pomiędzy Rosją i Europą. Co piąty Rosjanin (według badań z 1996) uważa się za „bałtyckiego Rosjanina”. Wśród młodzieży przedstawia się tak niemal co trzeci. Nie oceniam szczerości deklaracji, odnotowuję ich polityczną skuteczność. My – przeciwnie, trzymamy się z osobna, akcentujemy swoją niepodatność na integrację, która (może nie tylko z własnej winy) myli się nam z asymilacją.

Wbrew utartemu przekonaniu, Polaków jest tu mniej niż Rosjan, ale to współobywateli Polaków, a nie Rosjan, bardziej obawiają się Litwini. Republika jest bardzo mała, obecność mniejszości narodowych – zauważalne (prawie dwadzieścia procent), ale obecne „istnienia” z nimi podobno występują tylko w jednej piątej terytorium. W byłych polskich województwach.

Nie łagodzi sytuacji Wspólnota Polska. Angażujemy się w przedsięwzięcia o bardzo wątpliwej – jak w przypadku *quasi* uniwersytetu polskiego w Wilnie – przydatności, tracimy pieniądze na inwestycje – jak osławiona już budowa Domu – krytycznie oceniane przez tamtejszych Polaków, nie związanych z podopiecznymi Wspólnoty. Fajerwerkowe akcje nie zmieniają faktu, że Polacy litewscy (o czym już pisałam w *Kulturze*) są na ostatnich statystycznych miejscach wśród inżynierów, prawników i lekarzy. Z badań przeprowadzonych jeszcze w 1988 wynikało, że na tysiąc osób z wyższym wykształceniem przypada 168 Rosjan, 109 Białorusinów, 101 Litwinów i 45 Polaków. Byliśmy na szarym końcu w statystyce pracowników naukowych, ale w czołówce – wśród robotników bez kwalifikacji. Sondaż wykazał, że językiem litewskim włada tylko piętnaście i pół procenta Polaków! W tym samym czasie do biegłej znajomości litewskiego poczuwało się ponad czterdzieści procent Rosjan. I to też musi być brane pod uwagę w ocenie sytuacji naszych rodaków, którzy czują się obywatelami drugiej kategorii.

To nie my, tylko litewscy Rosjanie zdobyli sobie reputację dobrze zaaklimatyzowanych. To ich się traktuje bez podejrzliwości. Wysokie notowania zyskują również Ukraińcy, w przewadze inżynierowie i technicy, którzy osiedlili się w

budowanych przez siebie ośrodkach i już tu zostali.

Zadziwiająca, ale prawdziwa: pod sowiecką okupacją Litwa polepszyła swój etniczny układ – spis z 1923 mówi o ludności w sześćdziesięciu dziewięciu procentach litewskiej, w spisie z 1984 ta ilość powiększa się o prawie dziesięć procent. Bezpośrednio po wojnie rodziło się na Litwie sporo dzieci, ten proces uległ zahamowaniu u progu lat sześćdziesiątych, poprawił się w połowie osiemdziesiątych, potem znowu osłabł... Poprawa etnicznej równowagi jest pod znakiem zapytania. Ubywa Litwinów. W 1992 ich liczba spadła o dziesięć tysięcy, w następnym roku – już o dwanaście i pół. Zwiększa się śmiertelność Bałtów (na Łotwie sprawy mają się podobnie) oraz Estończyków.

Dzisiejsi Bałtowie częściej umierają na choroby serca, w czym nie ma nic zaskakującego, przeraża dopiero wiadomość, że dwukrotnie wzrosła ilość zgonów spowodowanych gruźlicą, katastrofalnie wysoki jest również udział różnych zakażeń w śmiertelności Litwinów. Informacje, które zaczerpnęłam z siódmego numeru *Przeglądu Bałtyckiego* jednak kolidują z naszymi wyobrażeniami o „Pribaltice” jako oazie cywilizacji na pustyni sowieckiej.

W roku 1995 skonstatowano, że Litwa ze swoją liczbą samobójstw wysunęła się na pierwsze miejsce w świecie, w porównaniu z rokiem 1992 – zwiększyła się nieomal dwukrotnie. Tysiąc siedemset samobójstw rocznie w kraju, który liczy niespełna cztery miliony mieszkańców? Sytuacją zainteresowali się socjologowie, m.in. brytyjczy. W porównaniu z okresem międzywojennym liczba samobójstw w całym kraju jest pięciokrotnie większa, na wsi – jedenastokrotnie większa! Przy uderzającej przewadze mężczyzn. Również psychicznie kobiety okazują się silniejsze.

Inny swoisty rekord Litwy: mężczyźni umierają tu średnio o dwanaście lat wcześniej niż kobiety. Jeśli idzie o panów w średnim wieku – jeszcze wyraźniej niż na Litwie ubywa ich na Łotwie i w Estonii.

Na Litwie więcej starych pańien, starych pańienek, jak ładnie je nazywa Wileńszczyzna – i więcej starych kawalerów niż na Łotwie, a już zwłaszcza w Estonii. Tu ślub brało się na chłodno. Według ostatnich danych przedwojennych (z 1937)

mężczyzna decydował się dopiero po przekroczeniu trzydziestki, panna młoda liczyła sobie co najmniej dwadzieścia sześć. A już w 1965 Litwin żenił się dochodząc do dwudziestu siedmiu, w 1989 – nie przekroczywszy dwudziestu czterech. Mniej wyraziście – z tych dwudziestu sześciu przed wojną do niespełna dwudziestu trzech – obniżał się wiek partnerek. I już nie były to żelazne związki. Za sowieckich czasów drastycznie wzrosła liczba rozwodów na wsi, przedtem prawie niespotykanych poza miastem: podczas gdy na tysiąc mieszkańców przypadało w 1960 r. 83 rozwody, w 1970 – już 231, a w 1990 – aż 464.

Blisko połowa małżeństw litewskich rozpada się, a jednocześnie Litwini – i to w pierwszym rządzie mężczyźni – wśród najistotniejszych dla siebie wartości wymieniają rodzinność. Z sondaży, przeprowadzonych w połowie lat dziewięćdziesiątych, wynikałoby, że niegdysiejszy model rodziny nadal w cenie. Dwie trzecie badanych uważa, że „sprawą mężczyzny jest zarabianie pieniędzy, żona ma się zajmować domem i rodziną”. Tego zdania (w minimalnej przewadze, ale jednak – w przewadze) są kobiety.

Deklaracja deklaracją, tylko czy rzeczywiście Litwini traktują rodzinę „po dawnemu”? Pozory. Weźmy niebagatelny, wręcz przesądający o wczorajszym rozumieniu rodzinności warunek – opiekę nad starymi ludźmi. Większość mężczyzn i niemal połowa kobiet opowiada się za scedowaniem tego obowiązku na państwo. Niezależnie od kłopotów finansowych, a przede wszystkim mieszkaniowych – chyba zrobiła swoje szkoła parasola socjalnego na sowieckiej Litwie. Sondaż przeprowadzono wkrótce po odzyskaniu niepodległości, od tamtej pory nadzieje na kontynuowany państwowy mecenat już zdążyły się rozwiać, ale model solennej, wywiązującej się ze zobowiązań rodzinności, nie powrócił.

To już nie jest ta dawna, chłopska, od zaścianka po wieś chłopska Litwa.

Dwie trzecie ludności – zatem i produkcja – w miastach. Piętnaście szkół wyższych. Kobiety nie tylko podejmują studia, ale na nich przeważają.

Chęć restaurowania rodziny tradycyjnej, w emocjonalnym rozumieniu – dosyć żywa na Litwie, rozmija się z litew-

skimi realiami. Z pauperyzacją jednych – i dobrobytem drugich. Litwini martwią się, że przyrost naturalny spada, ale jak dotąd (odpukać) nie wchodzi w grę egzekwowanie macierzyństwa jako obowiązku, szczęśliwie nie zanoszą się na zakaz aborcji. Katolicka Litwa tym różni się od katolickiej Polski, że zabezpieczeń etycznych nie identyfikuje z prokuratorскими. Tu religijności nie podpira się kodeksem karnym.

Wolniej niż w Polsce jednak przybywa zwolenników kary śmierci.

Jeden z sondaży dotyczył wyobrażeń o przyszłości. Czego boją się Litwini? Przede wszystkim – masowego bezrobocia (53 proc.), dalszego obniżania się poziomu życia (52 proc.), kryminalizacji społeczeństwa (46 proc.), korupcji administracji (44 proc.), manipulowania prawem (40 proc.). I Polacy znają te obawy. Na czele litewskich znalazł się – to już specyfika domu – strach przed AIDS (prawie 54 proc. respondentów) spowodowany licznymi – mówi się wręcz o epidemii – zachorowaniami w rejonie Kaliningradu.

Niepokoje Litwinów są bardzo racjonalne, końcem świata czy inwazją z kosmosu przejmuje się pięć do dziewięciu procent.

W latach 1990-93 za prawem do usuwania ciąży opowiadało się czterdzieści, potem pięćdziesiąt procent Litwinów, podczas gdy liczba przeciwników – osiemnaście procent – ani nie rosła, ani nie malała.

Litwini, społeczeństwo już w latach międzywojennych ciągnące ku prawicy. Tradycje pielęgnowane (co podkreślają rozmówcy) przez konserwatystów, nie wydają się społecznie uciążliwe, sądząc po niekwestionowanej – odpukać – legalności aborcji. Po programie szkół podstawowych, obejmującym wychowanie seksualne.

W przeciwieństwie do protestanckiej Estonii i na pół protestanckiej Łotwy, Litwa jest krajem katolickim, ale nie wyczuwa się tu zbyt publicznej dominacji Kościoła. I można mówić – przy całej, pewnie tym chłopskim rodowodem uwarunkowanej zachowawczości Litwinów – o ich trzeźwym, tolerancyjnym podejściu do zmian obyczajowych. Przeszło czterdzieści procent Litwinów popiera rozwody bez zastrzeżeń, ponad trzydzieści procent – w uzasadnionych przypadkach

kach, tylko trzynastcie procent wyraziło generalny sprzeciw.

Bardziej usystematyzowane, regularniejsze badania opinii publicznej na Litwie prowadzi się dopiero od 1989, a i tak podniosły się głosy, że można by z tym poczekać, ludzie na razie na umieją odpowiadać na pytania, krępują się – lub pozują jak do pochlebionej fotografii, po co komu te okreźne i kosztowne dochodzenia, skoro już można swobodnie zabierać głos w parlamencie...

Socjologowie nie poddali się i opracowują jeśli nie portret, to przynajmniej szkic społeczeństwa. Co podług Litwinów jest ważne, by się utrzymać na powierzchni w nowych czasach? Młodość, obycie z komputerem, znajomość przynajmniej jednego języka (oczywiście angielskiego, uściśla p. Vladas Gaidys). W sumie – całkiem rozsądne postawienie sprawy, raczej optymistyczne w porównaniu z opiniami sprzed czterech lat, gdy sądzono, że wystarczy być młodym, mieć pustą ale ogoloną głowę oraz krzepę fizyczną. Której (to już mój komentarz) na razie nie przybywa. Prasa podała, że zastraszająca ilość Litwinów rezygnuje z kolacji, bo ich na nią nie stać. W porównaniu z rokiem 1989 – pięciokrotnie więcej rodzin żyje poniżej, a przynajmniej na granicy ubóstwa. Mimo to nędza jako masowe zjawisko – według oficjalnych źródeł – nie istnieje.

W przekonaniu ogółu, lata 1993-94 były „dnem ekonomicznym”. We wrześniu 1993 zaledwie czternaście procent Litwinów wyraziło usatysfakcjonowanie sytuacją gospodarczą. W 1997 – przyłącza się do nich dalszych siedem procent. A przecież to społeczeństwo nie jest przyzwyczajone do kaprysów, w tym samym czasie ludzie uznawali 70 dolarów w miesiącu za nie najgorszy dochód.

W przeliczeniu na dolary – Litwin w 1998 zarabiał średnio dwieście czterdzieści sześć, Białorusin sześćdziesiąt dziewięć. Jednocześnie różnice w bezrobociu kształtują się na korzyść Białorusi: tylko trzy procent niepracujących, podczas gdy na Litwie około siedmiu. Wyrażną różnicę między sąsiadującymi krajami określała obecność sektora prywatnego w gospodarce (Litwa: już siedemdziesiąt procent, Białoruś: około dwunastu) a przede wszystkim – inwestycje zagraniczne w przeliczeniu na mieszkańca. Tu dysproporcja jaskrawa (Litwa:

dwieście pięćdziesiąt trzy dolary, Białoruś: w granicach dwudziestu).

O różnicach między uznawanym a faktycznym, realnym minimum socjalnym mówi się od 1993, kiedy to realne – wynosiło sześćdziesiąt siedem litów (o dwadzieścia trzy więcej, niż przyjęte). W rok później – uznawane minimum podniesiono do pięćdziesięciu litów, podczas gdy rzeczywiste potrzeby sięgnęły stu dwóch litów.

Dysonans się nie zmniejsza, przeciwnie. W roku 1995 dystans między oficjalnie uznanym a rzeczywistym kosztem najskromniejszej egzystencji oblicza się na siedemdziesiąt litów. W 1996 – na osiemdziesiąt sześć. W następnym – na osiemdziesiąt dwa. Te dysproporcje dotyczą jednej piątej Litwinów.

Niewypłacane pensje – owszem, przez to też przeszli i to się skończyło w 1996. Bezrobocie mają bardzo niskie, sześć procent, choć w odczuciu społecznym sięga jedenastu. Aż jedna piąta Litwinów żyje poniżej progu ubóstwa.

Pensje skromne, niemniej wypłacane w zasadzie już bez opóźnień. Oficjalne bezrobocie nie przekracza dziesięciu procent, lecz słyhać o ukrytym.

Fatalna sytuacja mieszkaniowa. Z „trzech sióstr” najciężniej ma Litwa.

Z badań wynikałoby, że relatywnie najmniej odczuli pogorszenie warunków bytowych w republice Litwini i Polacy, najbardziej – Rosjanie i Białorusini, Ukraińcy. Oczywiście do spraw pieniężnych dołożyło się poczucie degradacji, nawet zagrożenia. Jednak na Litwie nie doszło do niepokojących decyzji władz – i zachowań społecznych wobec wczorajszych okupantów. Można to chyba łatwo wytłumaczyć. Podczas gdy wśród mieszkańców Łotwy znalazło się dwadzieścia dziewięć procent Rosjan, zaś w Estonii – jeszcze więcej, bo ponad trzydzieści, to na Litwie nieporównanie mniej. Osiem procent. Jak mnie przekonywano, problemy narodowościowe zauważalne tylko na Wileńszczyźnie. Inne regiony pozostają monoetniczne, na wsi przynajmniej. Nawet w dawnym Kraju Kłajpedzkim nie widać Niemców, poza przyjezdnymi.

Cicha Litwa, ziemia niespodzianek. W kwartalniku

socjologicznym wyczytuję wiadomość, że na Mierzei Kurońskiej uchowali się Prusowie. Żyją jeszcze ludzie, w kręgu rodzinnym porozumiewający się językiem, jak sądzono, dobitym w siedemnastym wieku. Właśnie wiekowość tego kraju jest uderzająca. Jak to się udało – nie wiem, ale zachowali bardzo stare pieśni. Obrzędy. Ciekawi ich pogańskość. Ostatecznie w żadnym europejskim kraju kult dawnych bogów nie trwał tak długo, tak uparcie, jak na Litwie. Jeszcze w siedemnastym stuleciu proboszczowie wypatrywali, czy aby ich owieczek nie przyciąga jakiś odwieczny dąb na uroczysku. Nawrócenia na pogaństwo zdarzają się współczesnym Litwinom. Ruch jest nikły, ale zorganizowany, zdominowany przez inteligencję.

Litwini traktują zamierzchłą przeszłość z uwagą i czułością, właściwą narodom nauczonym zagrożenia. Na poboczu takich sytuacji zawsze łatwiej rozwija się szowinizm, który ma tradycje nad Niemnem. Nie z przypadku właśnie tu – po uzyskaniu litewskiego obywatelstwa – w latach trzydziestych lokowali się i kontynuowali antypolską dywersję działacze ukraińskiego podziemia. Ostatnie incydenty (prowokacyjny kalendarz kwestionujący granice naszych państw, szykowanie byłych akowców) potwierdzają, że taktyka w stylu „nic się nie stało, gramy dalej” niekiedy musi być korygowana na „owszem, stało się, ale gramy dalej”. Wśród szowinistów organizacyjnie skupionych przede wszystkim w Szawłach, dominuje młodzież, więc nie stawiałabym na wygaśnięcie sprawy po odejściu starszego pokolenia. Bez grzechu nie jesteśmy, ale grubą naiwnością bywa nawoływanie do rachunku sumienia tylko po naszej stronie granicy.

Mała bo mała, Litwa leży na trasie w dalszym ciągu znaczącej politycznie, a teraz i gospodarczo. Przez jej pobrzeże będą szły na Zachód rosyjskie surowce energetyczne, z Zachodu – transporty do Rosji. Unowocześniony port kłajpedski będzie miejscem przeładunku osiemnastu milionów ton towarów rocznie. Już dzisiaj jest ruchliwy, intensywnie wykorzystywany. W Kłajpedzie jedna trzecia firm należy do Niemców. Umowy partnerskie aż z osiemnastoma miastami niemieckimi, w planie – wspólne vademecum historii, przeszłość uzgodniona przynajmniej w podręcznikach szkolnych.

Jak by się zdawało, w tej materii bardziej wskazany byłby tandem litewsko-polski, chyba ich i nasi historycy mają sobie nieporównanie więcej do powiedzenia, ale Niemcy wyprzedzili nas nawet w tej dziedzinie.

Jeśli *ex-Pribaltika* może liczyć na ochronę ze strony Zachodu, to głównie jako karta przetargowa w grze o dysproporcje sił między Stanami i Rosją. Dopóki Waszyngton pamięta, że bardziej niebezpieczna byłaby Rosja nadbałtycka, Bałtowie i Estończycy mogą spać spokojniej. Jeżeli potrafią. Te kraje mają obsesję Rosji, o jakiej nie śniło się Polakom. Są skażone lękiem.

Decyzja na Białoruś, pod taką czy inną postacią wtopioną w Rosję, też doskwiera Litwinom. Fuzja Mińska z Moskwą oznacza wydłużenie granicy z Rosją, po uzyskaniu niepodległości sprowadzonej do obwodu kaliningradzkiego, o siedemset dwadzieścia cztery kilometry.

Oswobodzona Pribaltika chce się wtopić w Zachód. Trzy republiki wejdą do NATO, gdy ten obecny wielki brat uzna, że zabezpieczenie już omalże całego Bałtyku (bo Bałtyjsk, jednak...) jest wystarczającą rekompensatą nie tyle za dolary władowane w miniarmię, w makropunkcie strategicznym, ile za ryzyko konfliktu z Rosją, która przecież nie ukrywa, że rozstania z Litwą, Łotwą i Estonią nie uważa za nieodwracalne.

Przekształcanie stosunków z kolonialnych w handlowe, łatwo to się pisze. W dziedzinie energetyki Litwa jest nieomal całkowicie uzależniona do Rosji. To przesądza i o politycznych zachowaniach obu stron. Sytuację Litwy ułatwi dopiero jakieś równorzędne źródło dostaw ropy naftowej.

Litwa, podobnie jak ziemie Estończyków i Łotyszy, to punkt strategiczny, bardzo ważny dla Rosji. Ten wątpliwy przywilej zdeterminował surowe losy Pribaltiki. Dostęp do morza jest cenny dla każdego państwa, ale może też oznaczać wyrok na państwo, a przynajmniej trwałe zagrożenie.

Daleko od Rosji, pomiędzy Litwą i Polską enklawa rosyjska. Prusy Wschodnie z odrzuceniem pozorów zagarnięte przez Moskwę. Jeden z większych absurdów geopolitycznych naszych czasów. Rosyjskość Królewca byłaby zabawna, gdyby nie była groźna. Nie tylko dla Litwy.

Mocarstwa nie muszą się liczyć ani z historią, ani z geografą. Zawłaszczenie tych terenów przez Rosję, więcej, uznanie ich za część Rosji, jest bezkonkurencyjnym w dzisiejszej Europie nieostatnim dowodem, do jakiego stopnia można rezygnować z pozorów, gdy się trzyma świat w potrzasku.

Kaliningrad pewnie nigdy nie będzie już Królewcem, natomiast co do Koenigsbergu... Chociaż? Rosja może iść na koncesje gospodarcze, lecz nie wyobrażam sobie by zrezygnowała z ostatniej na tym swoim brzegu enklawy nad niezamarzającym morzem.

Niemieccy turyści po pierwszym szoku po przybyciu do Kaliningradu mówią, że nie chcieliby go dostać nawet „w prezencie” – upewnia berliński *Tagespiegel*. Dla nas nie byłoby to najgorsze, złe, ale o tej sprawie nie zadecydują turyści. Czy „strach przed zagarnięciem obwodu” zauważalny u miejscowych Rosjan jest bezpodstawny? „Surrealizm i paranoja” – ucina wątpliwości Andrzej Stach w *Kulturze* (11/98). Nie byłabym pewna.

Germanizacji regionu boją się przede wszystkim jego rusyfikatory. Operująca określoną kwotą (zawrotną!) pogłoska o gotowości zakupienia Królewca przez Niemców może być przedwczesna, ale coś się dzieje, skoro już się pisze o możliwości transakcji, a przynajmniej niemieckiej chęci na nią.

Przekształcanie stosunków litewsko-rosyjskich z zależności kolonialnych w handlowe urealniło się choćby i dlatego, że wojska w Kaliningradzie i Bałtijsku nie utrzymałyby się bez spiżarni litewskiej oraz białoruskiej. Dzisiaj obwód kaliningradzki jest ruiną gospodarczą, ale to nie przekreśla jego kapitalnej roli militarnej, a w przyszłości zapewne i ekonomicznej. Tyle, że faktyczne i niezależne od koniunktury gospodarczej bogactwo obwodu – to niezamarzający port, Bałtijsk. Cenna własność dla osłabionej Rosji. Śmieszą próby prezentowania okolicy jako atrakcyjnych – już wkrótce atrakcyjnych i tłumnie odwiedzanych – terenów wypoczynkowych. Zawracanie głowy. Tutejsza baza okrętów wojennych z pewnością nie zmaleje na granicy z NATO. Opinia kaliningradzka, że „Polska powinna wyzbyć się lęków przed regermanizacją tych terenów” to zapewnienie „ma pan raka, ale powodów do obaw nie znajduję”.

W porównaniu z estońskim przewrotem gospodarczym nasz Balcerowicz, podobno, może uchodzić za anestezjologa. Działa bezboleśnie. A przecież z odnotowanych w wileńskim *Przeglądzie Bałtyckim* porównań wynika, że właśnie Estonia szybciej od Łotwy i Litwy a jednocześnie spokojniej, z mniejszym poczuciem zagrożenia, z większą stabilnością, aklimatyzuje się w kapitalizmie lub – jeśli kto woli – wraca do kapitalizmu. Przecież już w latach trzydziestych był to kraj dobrze rozwinięty. Kupiecki.

Alternatywę, że ekonomika wymaga radykalnych, inwazyjnych zmian, nawet za cenę przykrą i kosztowną dla społeczeństwa, poparło tylko 23 procent Litwinów i aż 55 procent Estończyków. Spośród trzech poddanych bardzo zbliżonym, jeśli nie identycznym presjom społeczeństw – najszybciej zmęczyło się litewskie.

Wspomniana już praca Vladasa Gaidysa, socjologa, oceniającego „Ekonomiczną sytuację na Litwie w oparciu o badania opinii publicznej” zaczyna się od słów „Z nostalgią wspominam lata 1988-1990, entuzjazm milionów ludzi zgromadzonych na ‘Bałtyckiej drodze’, zafascynowanie i optymizm, porywający optymizm w związku ze spodziewanymi, i to już za kilka lat, rezultatami wolnorynkowej gospodarki oraz demokracji”. Skąd my to znamy?

Niewiele później – w październiku 1993 – stwierdzono, że wiarę w pomyślne skutki zmian, zaufanie do nowej gospodarki, zachowało dwadzieścia procent Litwinów. Około sześćdziesiąt procent negatywnie oceniło ewolucję.

Łotysze, a przede wszystkim Estończycy, są powściągliwsi w negacji. Czym tłumaczyć wyróżniający się litewski pesymizm w konfrontacji z postkomunistycznym kapitalizmem? Taka sława socjologiczna jak Max Weber w swoim studium „Etyka protestancka i kapitalizm” przytacza świadectwa nieporównanie lepszej gotowości mentalnej protestantów na zmianę systemu. Litwini są katolikami.

Uderzającą różnicę poglądów Gaidys również próbuje tłumaczyć tym, że Estonia to kraj protestancki, a etyka protestancka jest lepiej skorespondowana z liberalnym kapitalizmem. A może po prostu Estonia, w okresie międzywojennym lepiej rozwinięta niż Litwa, łatwiej wraca w niegdysiejszą

koleinę, szybciej podnosi się z gospodarczej katastrofy?

Jak wynika z obserwacji nastrojów – i z faktów gospodarczych – Estończyków w procesie transformacji ustrojowej cechuje znacznie mniejsze poczucie zagrożenia czy przynajmniej dyskomfortu, niż Litwinów. Podobno da się to przypisać właśnie ich protestantyzmowi. Inna szkoła myślenia, inne poczucie wartości oraz obowiązku. W tym i społecznego obowiązku.

Litwini – poza liczną zresztą grupą eurosceptyków – spieszą się do Unii Europejskiej, z którą wiążą nadzieje na poprawę bytu, zwiększenie przyrostu naturalnego, integrację mniejszości. A Estończycy, najmniej zainteresowani jednoczesnym wejściem do Unii „trzech siostr”, woleliby się w niej znaleźć z czystym kontem po uporaniu się z głównymi problemami.

Największe nadzieje z NATO wiąże Litwa. Zdaniem estońskich i łotewskich ekspertów przynależność do Paktu Północnoatlantyckiego daje kruche gwarancje bezpieczeństwa, a korzyści należy się spodziewać raczej po ekonomicznej konsolidacji z Zachodem.

Na podstawie tych różnic można zaryzykować stwierdzenie, że katolicyzm sprzyja emocjom, protestantyzm – racjonalizmowi.

Anna STROŃSKA

Grzegorz MAZUR

KONTAKTY POLSKO-JUGOSŁOWIAŃSKIE W CZASIE II WOJNY ŚWIATOWEJ¹

Od dłuższego już czasu w mass-mediach w Polsce dominuje tendencyjny, antyserbski obraz zarówno niedawnych wydarzeń na Bałkanach, jak i historii wzajemnych stosunków polsko-serbskich. Nie chce się pamiętać, że były one bliższe, niż stosunki z wieloma innymi państwami, formalnie czy faktycznie zaprzyjaźnionymi w czasie II wojny światowej. W „szumie informacyjnym” dominują stereotypy, prezentowane w ślad za wieloma wielkimi światowymi centrami informacyjnymi, które – jak jestem o tym przekonany – realizują konkretne zamówienia, zamiast przekazywać obiektywne informacje. Także w Polsce brak bardziej obiektywnego spojrzenia, jak i przypomnienia faktu, że właśnie z Serbami Polacy nigdy nie mieli poważniejszego konfliktu. Dodatkowo „chichot historii” spowodował, że o współpracy Polaków z oddziałami serbskimi, podporządkowanymi w czasie II wojny światowej rządowi jugosłowiańskiemu na emigracji przed laty

1. Niezbędnej dla napisania tego artykułu kwerendy w archiwach londyńskich autor mógł dokonać jedynie dzięki stypendium otrzymanemu od Fundacji Bankowej im. Leopolda Kronenberga, Funduszu Pomocy Niezależnej Nauce i Literaturze Polskiej oraz Fundacji Armii Krajowej im. Franciszka Miszczaka, za co władzom tych instytucji składa wyrazy głębokiej wdzięczności.

nie można było pisać, należało akcentować jedynie udział Polaków w partyzantce komunistycznej Josipa Broz-Tity.² Obecnie sytuacja jest dokładnie taka sama, aczkolwiek z innych przyczyn – nie pisze się o wydarzeniach z okresu II wojny światowej, bo w ogóle nie pisze się pozytywnie o Serbach, obowiązuje bowiem w stosunku do nich negatywny stereotyp. Jak wszystkie stereotypy, często zresztą nieprawdziwy. Tymczasem trzeba pamiętać, że było wręcz przeciwnie – w XIX wieku i Niemcy, i Austro-Węgry były wrogiem niepodległości zarówno Polski, jak i Serbii. Jeszcze w okresie romantyzmu pojawił się tzw. ruch iliryski (zwany potem jugosłowiańskim), głoszący ideę zjednoczenia Słowian południowych w ramach jednego państwa. Już w połowie XIX w. powstał program zagranicznej i narodowej polityki serbskiej, tzw. „Nacertanije” Ilje Garaszana, w czym duży udział miał ks. Adam Czartoryski. W 1867 r., podczas rozmów serbsko-chorwackich, Garaszanin bardzo mocno podkreślił ideę wspólnego państwa, mówiąc: „Narodowość chorwacka i serbska jest jedna, jugosłowiańska. Religii nie można mieszać do spraw narodowych. Jediną podstawą państwa jest narodowość. Religia dzieli nas na trzy części i rozbija, dlatego nie może być zasadą zjednoczenia w jedno państwo, a może nią być tylko narodowość, ponieważ jest jedna.”³ Trudno się z tym stwierdzeniem nie zgodzić, bowiem zarówno Serbowie, jak i Chorwaci posługują się tym samym językiem, zasadnicza zaś różnica polega na tym, że Serbowie są prawosławni, a Chorwaci katolikami. Skierowana w kierunku zjednoczenia Słowian działalność Serbów wywoływała niepokój i zrozu-

2. Szczegółowo został ten problem omówiony w książce: W. Biegański, M. Juchniewicz, S. Okęcki, „Polacy w ruchu oporu narodów Europy 1939-1945”, W-wa 1977, s. 192-215. Pomijam go, ponieważ nie dotyczy kontaktów z ośrodkami związanymi z jugosłowiańskim rządem królewskim na emigracji. Oczywiście od 1948 do 1956 r. stosunki pozostałych państw komunistycznych z Jugosławią – w tym i Polski – były tak złe, że wspomnianie w jakimkolwiek pozytywnym kontekście nazwiska J. Broz-Tity, Komunistycznej Partii Jugosławii czy też tego kraju, było wykluczone. Pisanie pozytywne lub negatywne o Jugosławii, nawet gdy rzecz dotyczy historii, jest tak mocno uzależnione od politycznych meandrów, jak w żadnym innym przypadku w naszym kraju.

3. B.A. Satalecki, „Jugosławia 41-45”, W-wa 1998, s. 5.

miałą wrogość Wiednia, podminowywała bowiem monarchię austro-węgierską, co – nawiasem mówiąc – leżało też w polskim interesie narodowym. Toteż w 1914 r. strzały bośniackiego Serba Gawriło Principa w Sarajewie, w wyniku których zginął austriacki następca tronu arcyks. Franciszek Ferdynand, doprowadziły do wybuchu wojny między zaborcami Polski, wojny, o którą modliły się pokolenia Polaków. Realizacja idei jugosłowiańskiej była więc jak najbardziej korzystna dla Polski.⁴

Polska i Polacy w okresie międzywojennym cieszyli się w Jugosławii niekłamaną sympatią ludności. Władze i społeczeństwo tego kraju w sierpniu i wrześniu 1939 r. odnosiły się do Polski z niekłamaną życzliwością. Jeszcze przed wybuchem wojny polski *attaché* wojskowy w Belgradzie, ppłk dypl. Tadeusz Wasilewski, odnotował zgłaszanie się setek i tysięcy Jugosłowian na ochotnika do Wojska Polskiego. W dniu 15 VIII 1939 r. zjawiła się u niego delegacja czetników, proszących o przyjęcie w charakterze ochotników do Wojska Polskiego i organizujących całą legię ochotniczą, której liczebność ppłk Wasilewski obliczał łącznie na około 20 tys. ludzi, „(...) i to nie tylko spośród Serbów, lecz również Bułgarów, Greków, Albańczyków, Rumunów i Turków. Legia będzie się składać z ludzi zdecydowanych na śmierć. Najchętniej pracowałyby w boju w charakterze partyzantów i wywiadowców”.⁵ W swoim dzienniku pod datą 25 VIII 1939 r. odnotował przybycie studentów uniwersytetu belgradzkiego, którzy zadeklarowali gotowość wstąpienia do Wojska Polskiego mieszkańców innych serbskich miast, m.in. Prisztiny,⁶ zaś 28 VIII 1939 r. ppłk Wasilewski zapisał: „Adm. Duśan Drmitrijewić z Belgradu bawił w początku b.m. w Warszawie, (...) pan D. Drm[itrijewić] jest b. czetnikiem i szefem wydziału organizacyjnego wym[ienionej] organizacji, która ma na celu stworzyć słowiański obóz do walki czynnej z zalewem niemieckim. Organizacja ta proponuje, by

4. Tamże, s. 5.

5. Instytut Polski i Muzeum im. gen. W. Sikorskiego (dalej cyt.: IPMS): A.XII.56/4.

6. IPMS: A.XII.56/5.

na czele ruchu stanęła Polska. W czasie kryzysu czeskiego we wrześniu ub. r. organizacja miała zarejestrowanych 40.000 ochotników. Obecnie również gotowa jest stworzyć legion ochotniczy dla pomocy Polsce.”⁷ Według załączonych obliczeń ppłk. Wasilewskiego, zadeklarowało swój udział w sumie ponad 60 tys. Jugosłowian. Według oceny Wasilewskiego, legion ten byłby oparty na ideologii pańsłowania. Dalsze zgłoszenia ochotników nastąpiły po wybuchu wojny, a 11 IX 1939 r. w Belgradzie powstał komitet pomocy dla Polskiego Czerwonego Krzyża.⁸

Po zakończeniu kampanii wrześniowej przez Jugosławię przedostawali się z Węgier i Rumunii do powstającej na Bliskim Wschodzie Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich, a także do oddziałów polskich we Francji, żołnierze polscy internowani w tych dwóch krajach. Ewakuacją kierował wyznaczony 18 XII 1939 r. na stanowisko najpierw zastępcy *attaché* wojskowego w Belgradzie, a potem samego *attaché*, mjr/ppłk dypl. Janusz Czerwenka. Ze Splitu odpływały wtedy statki pełne Polaków. W depeście do Naczelnego Wodza gen. W. Sikorskiego z 15 XII 1940 r. Czerwenka pisał: „(...) melduję Panu Generałowi, że w ciągu mojej rocznej pracy ewakuacyjnej – wszystkie trudności leżały w płaszczyźnie politycznej, zwłóce w uzyskiwaniu obcych wiz przejazdowych i docelowych. W tym czasie przez moje punkty przerzutowe przeszło 30.000 żołnierzy”.⁹ Nie ulega wątpliwości, że tak masowy przerzut żołnierzy do oddziałów walczących z III Rzeszą był możliwy tylko dzięki przychylnemu stanowisku władz jugosłowiańskich, niemiecka dyplomacja energicznie bowiem interweniowała przeciwko przemykaniu przez nie oczu na przejazd Polaków do krajów sojuszniczych, na przykład w lipcu 1940 r. w ich wyniku został zamknięty punkt ewakuacyjny w Belgradzie. Niemniej jednak ewakuacja trwała nadal, a wśród ewakuowanych znaleźli się między innymi: były szef Oddziału II Sztabu Głównego płk Jerzy Englisch, gen. bryg. Stanisław Kwaśniewski, pilot płk Stefan

7. Tamże.

8. Tamże.

9. IPMS: A.XII.22/39, A.XII.56/4.

Pawlikowski, płk dypl./gen. bryg. Bronisław Prugar-Ketling.¹⁰

Władze Jugosławii zwróciły się do rządu polskiego z prośbą o zatrzymanie grupy około 40 pracowników Państwowych Zakładów Telefonicznych w Warszawie w Czaczaku, gdzie zorganizowali i prowadzili wytwórnię radioaparatów i telefonów, której do tej pory Jugosławia nie posiadała, w tym też dla potrzeb wojskowych. Odnotować też należy pomoc dla cywilnych i wojskowych uchodźców z Polski ze strony zamieszkałych tam Polaków, zarówno w Belgradzie, jak i w Zagrzebiu.¹¹

Rozwój sytuacji w Europie w latach 1939-1940, a zwłaszcza konieczność zbudowania sieci łączności z krajem, idącej przez Bałkany, doprowadził do tego, że Jugosławia zaczęła odgrywać w polskich planach coraz istotniejszą rolę. Pierwsze plany zorganizowania na terytorium Jugosławii baz łączności pojawiły się już w marcu i kwietniu 1940 r., na wypadek konieczności opuszczenia Węgier. W dniach 29 maja – 2 czerwca 1940 r. odbyła się w Belgradzie konferencja, zwołana przez komendanta głównego ZWZ, gen. Kazimierza Sosnkowskiego. Uczestniczyli w niej: zastępca komendanta głównego ZWZ, gen. bryg. Gustaw Paszkiewicz, ze Sztabu Głównego Naczelnego Wodza płk dypl. Franciszek Demel i płk dypl. Tadeusz Wasilewski, z komendy ZWZ na okupację niemiecką Janina Karaś, z komendy obszaru nr 3 ZWZ (Lwów) por. Roman Tatarski, komendanci baz łączności: w Bukareszcie – płk dypl. Stanisław Rostworowski, Budapeszcie – płk dypl. Alfred Krajewski, z ramienia rządu RP na obczyźnie – płk Jan Skorobohaty-Jakubowski. Odbycie konferencji właśnie w Belgradzie dobitnie świadczy o dogodnych warunkach prowadzenia tam działalności wymierzonej w III Rzeszę.¹²

Przez Węgry od początku wojny biegły szlaki kurierskie do kraju. W związku z pogorszeniem się tam sytuacji już 7 VII 1940 r. zastępca komendanta bazy łączności w Budapeszcie (kryptonim „Romek”, potem „Liszt”) ppłk Zygmunt

10. IPMS: A.XII.56/9a, 9b, A.XII.63/1A.

11. IPMS: A.9.VI.13/1.

12. „Armia Krajowa w dokumentach 1939-1945”, Londyn 1970-1989, t. I, s. 243.

Bezeg zameldował Centrali, że do Belgradu przerzucono szereg zagrożonych aresztowaniem na Węgrzech osób. W kolejnej depeszy z 27 VII 1940 r. podał on, że w Belgradzie znaleźli się: kpt. Władysław Guttry, podchor. T. Redo, kpt. Tadeusz Werner, chor. Zygmunt Burghardt i radiotelegrafista. Wreszcie 9 VIII 1940 r. Centrala została poinformowana przez poselstwo RP w Belgradzie o zainstalowaniu 29 czerwca radiostacji i uruchomieniu jej 4 lipca 1940 r. W dniu 31 lipca z Węgier wyjechał do Belgradu mjr dypl. Witold Zahorski ps. „Tramp”, dla objęcia kierownictwa belgradzkiej placówki „Sława”. Co prawda bardzo szybko, bo 20 sierpnia został on aresztowany, ale szybko go wypuszczono i 7 września 1940 r. Centralę poinformowano, że „Sława” nawiązała łączność radiową z Warszawą.¹³ Zasadniczym zadaniem placówki łączności w Belgradzie było utrzymywanie łączności z placówką „Romek” w Budapeszcie, przez którą z kolei dostarczana była poczta do ZWZ w Warszawie i z powrotem. Z drugiej strony placówka „Sława” miała utrzymywać łączność z placówką w Grecji (kryptonim „Grzegorz”). Przewidywano bowiem, że na wypadek powstania frontu greckiego i tureckiego przeciwko Niemcom należy zawczasu zorganizować łączność lotniczą z Węgrami i Jugosławią, rozważenia możliwości zrzućenia tam spadochroniarzy i ewentualnego lądowania samolotów w miejscach wybranych za zgodą miejscowych władz. Do tego należało zorganizować sieć melin dla przybywających skoczków. W dniu 8 III 1941 r. gen. K. Sosnkowski w depeszy do komendantów baz nakazał w przypadku rozpoczęcia dalszych działań wojennych na Bałkanach przejście na całkowitą konspirację z zadaniem utrzymywania łączności z bazą w Budapeszcie i zmontowania szlaków kurierskich przez „zieloną granicę” do Grecji.¹⁴ Placówka „Sława” utrzymywała łączność radiową z Centralą, KG ZWZ w Warszawie, bazami w Stambule i Kairze, a także pośredniczyła w łączności kurierskiej między Budapesztem a

13. L. Kliszewicz, „Placówka Łączności w Jugosławii w czasie ostatniej wojny (kryptonimy ‘Sława’, ‘Drawa’)”, *Zeszyty Historyczne*, (Paryż), 1983, z. 63, ss. 87-88.

14. „Armia Krajowa w dokumentach 1939-1945”, t. I, ss. 474-476; L. Kliszewicz, ss. 87-89.

bazami w Atenach i Kairze. Po rozpoczęciu agresji niemieckiej w początkach kwietnia 1941 r. wszelka łączność ze „Sławą” została przerwana. Plany polskich sztabowców starały się wyprzedzić bieg wydarzeń, na wypadek rozpętania się wojny między Jugosławią a III Rzeszą, ale i tak nikt nie był w stanie przewidzieć tego błyskawicznego rozwoju wypadków.¹⁵

Pisząc o wydarzeniach na Półwyspie Bałkańskim trzeba wziąć pod uwagę, że Grecja już od 27 X 1940 r. odpierała włoską agresję ze strony opanowanej w kwietniu 1939 r. przez reżim Mussoliniego Albanii. Wojska greckie, mimo że były słabsze, przeszły do kontrofensywy i wkroczyły do Albanii. Podjęta przez Włochów próba kontruderzenia w marcu 1941 r. zakończyła się ich kompromitacją. Grecja w tym czasie uzyskała poparcie Wielkiej Brytanii, której pierwsze jednostki znalazły się na Półwyspie Bałkańskim. Dla Hitlera celem strategicznym stało się więc „uporządkowanie” sytuacji na Bałkanach, likwidacja tam wszelkich wpływów i sił alianckich, tym bardziej że za parę miesięcy miała rozpocząć się agresja na ZSSR. Nie można było w tej sytuacji dopuścić, aby na Półwyspie Bałkańskim istniały jakieś państwa związane z aliantami bądź ZSSR. Stąd też Hitler podpisał plan „Marita” – agresji przeciw Grecji, w wyniku którego w Bułgarii znalazły się jednostki niemieckie, a 1 III 1941 r. ogłosiła ona przystąpienie do „Paktu Trzech”.¹⁶

Agresja III Rzeszy na Jugosławię 6 IV 1941 r. poprzedzona była polityką nacisków na ten kraj, w celu wciągnięcia go do państw „Osi”. Regent Jugosławii ks. Paweł usiłował przeciwstawić się im, a w marcu 1941 r. miały miejsce rozmowy z przedstawicielami sztabów brytyjskiego i greckiego w sprawie stworzenia wspólnego frontu antyniemieckiego. Sytuacja Jugosławii była na tyle krytyczna, że choć Wielka Brytania zapewniała, iż uczyni wszystko, aby pomóc Jugosławii, to faktycznie nie była w stanie nic uczynić. W tej sytuacji, w wyniku coraz silniejszych nacisków, 25 III 1941 r.

15. „Armia Krajowa w dokumentach 1939-1945”, t. I, s. 524.

16. K. Grünberg, „Czas wojny 1939-1945”. Wykłady z historii, Toruń 1991, ss. 112-113.

rząd jugosłowiański podpisał w Wiedniu protokół o przystąpieniu do „Paktu Trzech”, ale wobec protestów społeczeństwa przeciw temu 27 marca powstał nowy rząd, na czele którego stanął dowódca lotnictwa, gen. Dušan Simović. 5 kwietnia 1941 r. rząd ten podpisał układ o przyjaźni i nieagresji z ZSSR, chcąc w ten desperacki sposób ratować kraj, ale stało się to dodatkową przyczyną niemieckiej agresji, zaś Jugosławii w żaden sposób nie pomogło. Trzeba bowiem pamiętać, że z natury rzeczy rządzące koła Jugosławii, będącej wtedy królestwem, nie mogły żywić sympatii do ZSSR, gdzie z ideologicznych przyczyn monarchie traktowano jako przeciwnika, a zresztą była ona jednym z kapitalistycznych – a więc z założenia wrogich – państw. Niemiecka agresja została ułatwiona przez wsparcie jej przez Włochy, których wojska uderzyły z Istrii oraz opanowanej wcześniej Albanii, a także udział Węgier, Bułgarii i Chorwatów. Hitler zdołał wcześniej stworzyć szeroką, antyjugosłowiańską koalicję, zyskać wsparcie sąsiadów tego państwa, a na odprawie 27 III 1941 r. wręcz oświadczył, iż w czasie najazdu na Jugosławię można liczyć na Chorwatów, którym trzeba zagwarantować odpowiedni „porządek polityczny”, a potem autonomię. Podkreślić trzeba, że dyrektywa Hitlera nakazywała rozbić Jugosławię wojskowo i jako państwo, zaś aparat propagandowy J. Goebbelsa przedstawiał tę wojnę jako rozprawę z Serbią. Zwalniano do domów jeńców innych narodowości, zostawiając w niewoli tylko Serbów. Belgrad został zaatakowany przez 800 samolotów niemieckich, a bombardowania ograniczono wkrótce do terytorium samej Serbii.¹⁷ Chorwaci masowo przechodzili na stronę Wehrmachtu, dzięki czemu przedstawiały istnieć całe dywizje i armie. W podobny sposób czynili Słoweńcy, aczkolwiek na mniejszą skalę. T. Rawski napisał o tych wydarzeniach: „Nastąpił ostateczny rozkład jednostek złożonych w większości z Chorwatów. Rozpłynęła się 2 armia (...), lewe skrzydło 4 armii (...). Podobna sytuacja

17. T. Rawski, „Wojna na Bałkanach 1941. Agresja hitlerowska na Jugosławię i Grecję”, W-wa 1981, ss. 60-70, 151-158 i nast.; K. Grünberg, ss. 112-113; C. Madajczyk, „Faszyzm i okupacje 1938-1945. Wykonywanie okupacji przez państwa Osi w Europie”, t. I: „Ukształtowanie się rządów okupacyjnych”, Poznań 1983, ss. 427-431.

wytworzyła się częściowo w Wojskach Okręgu Nadmorskiego, marynarce wojennej oraz jednostkach odwodu Naczelnego Dowództwa. Tylko poszczególne grupy (głównie Serbów) usiłowały z bronią w ręku przebić się do Bośni, by tam kontynuować walkę. Akcja elementów faszystowskich i kapitulanczkich doprowadziła więc do tego, że całe lewe skrzydło armii jugosłowiańskiej (ponad jedna czwarta sił) bez znacniejszego nacisku nieprzyjaciela przestało istnieć.”¹⁸ Warto w tym miejscu pokusić się o analogię z wydarzeniami w Polsce w 1939 r., kiedy to jeden z czołowych polityków ukraińskich, wicemarszałek sejmu Wasyl Mudryj zadeklarował udział społeczeństwa ukraińskiego w odpieraniu hitlerowskiej agresji, a żołnierze narodowości ukraińskiej walczyli ofiarnie w szeregach Wojska Polskiego. Natomiast uderzenie niemieckie na Jugosławię i Grecję błyskawicznie rozstrzygnęło sytuację na Bałkanach na korzyść III Rzeszy. Z kolei ppłk dypl. Walerian Mercik, od września 1941 r. do 15 VIII 1944 r. kierujący bazą łączności Oddziału Specjalnego Sztabu Naczelnego Wodza w Kairze w swej spisanej po wojnie relacji stwierdził:

„W czasie między dwoma wojnami 1918-41 Jugosłowianie nie zespolili się w jeden naród. Różnice kulturalne – religia, język, pismo – były zbyt duże by mogły wyrównać się w tak krótkim czasie. Do tego dochodził silny element zadrażnienia ambicji Chorwatów, Słoweńców, Bośniaków a nawet Czarnogórców – wywołany wyraźną ‘hegemonią’ Serbów. Toteż Niemcom nie trudno przyszło natychmiast prawie po zwycięskiej kampanii (IV 1941) utworzyć dwa rządy ‘quislingowskie’: gen. Nedića w Starej Serbii, a Pavelića w pozostałych prowincjach. Zorganizowali też wnet jugosłowiańskie¹⁹ oddziały wojskowe i policję na swój użytek. Szczególnie lojalne we współpracy z Niemcami były oddziały ‘ustaszi’ na obszarach rządzonych przez Pavelića. Niemcy nie przeprowadzili ‘pacyfikacji’ terenu, jak to czynili w Polsce.

18. T. Rawski, ss. 259-260.

19. Płk Mercik użył tutaj niezbyt precyzyjnego określenia, bowiem Niemcy bazowali na wszelkiego typu coraz bardziej rozbuchanych nacjonalizmach, a nie idei jakiegokolwiek wspólnego państwa Słowian Południowych – Jugosławii.

Ograniczyli się do obsadzenia głównych miast i do pilnowania linii komunikacyjnych. Toteż niedobitki królewskiej armii jugosłowiańskiej, schroniwszy się w mało dostępne komunikacyjnie części kraju – mogły tam trwać. (...) Na czele tych oddziałów ('czetnicy') – na obszarze całej Jugosławii – stanął pułkownik, a później generał i minister wojny rządu emigracyjnego – Draža Michailovic. Stany liczebne 'czetników' są trudne do ujęcia. Nie wszyscy stali pod bronią, przeprowadzano często wymianę – jednych powoływano, innych czasowo zwalniano. Stan 200.000 ludzi podawany władzom brytyjskim przez gen. Mihailovića – obejmuje ilość ludzi, jaka na wypadek ponownej mobilizacji, mogła być powołana pod broń."²⁰

Na terenie Jugosławii przy wsparciu niemieckim powstało marionetkowe Niezależne Państwo Chorwackie, na czele którego stanął Ante Pavelić. Ułatwiało ono III Rzeszy eksploatację podbitego kraju oraz zwalczanie wszelkich patriotycznych, antyniemieckich sił w Jugosławii. Rządzący w nim ustasze rozpoczęli politykę niespotykanych wcześniej czystek etnicznych. W dniu 10 IV 1941 r. wydali dekret o ochronie krwi aryjskiej i „honoru narodu chorwackiego”. Zorganizowali 14 obozów koncentracyjnych, z których utworzony już latem 1941 r. obóz w Jasenovacu okrył się najbardziej ponurą sławą. Ofiarą rzezi padło około 350 tys. bestialsko pomordowanych Serbów, Żydów i Cyganów, około 240 tys. Serbów zmuszono do przyjęcia katolicyzmu, zaś do końca września 1941 r. wobec masakr dokonywanych przez Chorwatów i Muzułmanów zbiegło z Chorwacji 300 tys. Serbów i 15 tys. Słoweńców. Natomiast ci Chorwaci, którzy opowiedzieli się przeciwko III Rzeszy byli przeważnie organizatorami i członkami oddziałów partyzantki komunistycznej – w pierwszym rządzie wymienić trzeba nazwiska J. Broz-Tito i młodego wówczas oficera Franjo Tudžmana. O sile chorwackiego wsparcia dla III Rzeszy świadczy fakt tworzenia jednostek chorwackich SS: 29 V 1944 r. powstał IX Korpus Górski SS (chorwacki).²¹ O rozbiórce

20. IPMS: Kol. 218/III/5.

21. C. Madajczyk, t. I, s. 430; L. Podhorodecki, „Jugosławia. Dzieje narodów, państw i federacji”, W-wa 2000, s. 168.

Jugosławii następująco pisze C. Madajczyk: „W rezultacie podjętych decyzji utworzono Niezależne Państwo Chorwackie (Nezavisna Država Hrvatska – NDH), obejmujące poza Chorwacją, Bośnię, Hercegowinę i część Wojwodiny (Śrem); wydzielono ‘szczątkową’ Serbię i postanowiono usamodzielnic Czarnogórę. Pozostałe terytoria okupowane Jugosławii częściowo włączono do Rzeszy, częściowo do Włoch oraz przynależnej do nich Albanii lub poddano kontroli tych państw, resztę oddano krajom sąsiadującym. Trzecia Rzesza otrzymała większość Słowenii, Włochy zagarnęły strategicznie ważną Dalmację oraz okręg Lublany, stanowiący uboższą część Słowenii, do Fiume włączyły port Susak i wyspy chorwackie, a do Albanii zachodnie regiony Macedonii, część Kosowa i Metohiji oraz część Czarnogóry; Węgrom przyznano Baćkę i Baranję, a Bułgarii część Macedonii. (...) Rozczłonkowanie terytorium Jugosławii zostało podyktowane nie tylko przyczynami politycznymi; kierowano się również interesami gospodarczymi oraz względem na posiadanie kontroli ważnych szlaków komunikacyjnych. W konsekwencji tylko Chorwaci znaleźli się bez reszty w granicach NDH; najbardziej rozbici zostali Serbowie.”²² Zresztą uczestnicy tego rozbioru byli niezadowoleni, ponieważ nie otrzymali dodatkowych ziem, na które liczyli, zaś Rumunia dlatego, że w ogóle nie została wzięta pod uwagę.²³

Chwilowo więc najwięcej zyskali Chorwaci, którzy okazali się najwierniejszymi sojusznikami III Rzeszy, aczkolwiek i tak byli oni niezadowoleni z nieprzyznania im Dalmacji i części Słowenii, które otrzymały Włochy. Zresztą w otrzymanej przez nich części Wojwodiny (Śrem) 2/3 mieszkańców stanowili Serbowie, a ponieważ granica między Chorwacją, a okrojoną Serbią biegła wzdłuż rzeki Sawy, tuż na zachód od Belgradu, lotnisko belgradzkie znalazło się w Chorwacji.

Także Albańczycy opowiedzieli się najpierw po stronie Włoch, a po ich kapitulacji po stronie III Rzeszy; spośród nich Niemcy sformowali 21 Dywizję Górską SS „Skanden-

22. C. Madajczyk, t. I, s. 430.

23. Tamże, t. I, ss. 430-431.

berg”. Jej formowanie zakończyło się w czerwcu 1944 r., ale w wyniku poniesionych wkrótce potem strat w październiku 1944 r. jej resztki włączono do 7 Ochotniczej Dywizji Górskiej SS „Prinz Eugen”, sformowanej jeszcze w 1941 r. z członków niemieckiej mniejszości narodowej zamieszkałych w Jugosławii oraz Austriaków z Bośni i Hercegowiny. Z drugiej strony, Albańczycy zasilali oddziały partyzantki komunistycznej albo u siebie, albo w Jugosławii, czy też wreszcie tworzyli podziemie zorientowane na przebywającego na emigracji króla Ahmeda Zogu i państwa zachodnie.²⁴ W praktyce jednak, w Jugosławii w owym czasie wszyscy walczyli ze wszystkimi, a sprzeczności narodowościowe i religijne spowodowały nieprawdopodobną eksplozję wzajemnej nienawiści i walk. Okupanci wykorzystywali tę sytuację dla swoich celów, tym bardziej, że liczne grupy społeczne dzięki temu stanowiły podporę ich władzy w Jugosławii – także Słoweńcy, muzułmanie i inni. W tej sytuacji nic dziwnego, że w końcu 1941 r. czetników było niewiele – 8 tys. ludzi, ale w 1943 r. już 80 tys., zaś w 1945 r. liczebność ich zmalała do 30 tys. Związane to było z faktem rosnącego znaczenia i siły partyzantki komunistycznej, która uzyskawszy poparcie Anglosasów rosła ciągle w siłę. Najlepiej świadczy o tym fakt obecności w listopadzie 1941 r. na terenie Jugosławii 450 tys. żołnierzy wojsk okupacyjnych i formacji kolaboracyjnych.²⁵ Te kwestie pomijamy, stanowią bowiem odrębne zagadnienie, stanowiące tylko tło do wzajemnych relacji polsko-jugosłowiańskich w czasie II wojny światowej.

Przy nakreśleniu obrazu rozbioru Jugosławii, dokonanego w ten sposób przez nazistów i ich sojuszników, trzeba też wspomnieć o mało znanym fakcie, jakim było wypędzenie ludności serbskiej ze wszystkich innych terenów okupacyjnych: prawie w całości z ziem zagarniętych przez Węgrów, częściowo z okupacji bułgarskiej, z granic Bośni i Chorwacji, wreszcie Słoweńców z obszarów wcielonych do Niemiec. W rezultacie tego w Serbii znalazło się około miliona uchodźców.

24. R. Majewski, „Waffen SS – mity i rzeczywistość”, Wrocław 1977, ss. 285-287; C. Madajczyk, t. I, ss. 430-431.

25. L. Podhorodecki, s. 170.

W tej sytuacji gen. Michajłowicz, kierujący prokrólewskim podziemiem, pod względem narodowościowym grupującym głównie Serbów, posiadał olbrzymi autorytet w kraju.²⁶

Gen. Michajłowicz dowodził podziemiem już od przełomu kwietnia i maja 1941 r., kiedy to pierwsze zorganizowane przez niego oddziały podjęły walkę z okupantami. Organizacja czetników rozrosła się do poważnych rozmiarów i przekształciła się niebawem w Jugosłowiańską Armię Krajową. Jej program głosił powstanie „Wielkiej Serbii”, jako przeciwwagi dla ustaszowskiej „Wielkiej Chorwacji”, ale także: walka o wolność całego narodu pod przewodnictwem króla Piotra II, stworzenie Wielkiej Jugosławii, przyłączenie do niej Triestu, Istrii, Goricy, północnej Albanii oraz części Macedonii bułgarskiej.²⁷

Już w chwili agresji niemieckiej pojawił się „polski” problem. Osiedla od dawna, głównie na terenie północnej Bośni, polska emigracja liczyła ponad 20 tys. ludzi, ponadto znajdowało się w Jugosławii ponad 400 uchodźców (pozostałych zdołano już ewakuować). Ich sytuacja – zwłaszcza tych, którzy znaleźli się na terenie Chorwacji – bardzo szybko stała się rozpaczliwa. Pomocą dla nich zajmowali się hr. Artur Potocki (zmarły 12 XII 1941 r. w Rzymie) i jego żona Maria. Skromną pomoc uzyskali oni od arcybiskupa Zagrzebia kardynała Stepinaca, starali się też o nią później – wiosną 1942 r. Maria Potocka była na audiencji u papieża oraz ministra spraw zagranicznych Włoch hr. Galeazzo Ciano, prosząc o dalszą pomoc, ale bez rezultatu. Z drugiej strony miały miejsce nadzwyczaj ostre represje ustaszów – chorwackich nacjonalistów sprzymierzonych z Niemcami – wobec Polaków, a zwłaszcza obywateli polskich żydowskiego pochodzenia. Także sytuacja Polaków w Serbii na przełomie 1941 i 1942 r. była nie do pozazdroszczenia – uchodźcy polscy cierpieli tam po prostu głód.²⁸ W opracowanym przez lekarza, dra Wilhelma Pykę, sprawozdaniu z pobytu Polaków w Chorwacji oraz na terenach Jugosławii anektowanych przez

26. IPMS: A.XII.57/I.

27. L. Podhorodecki, s. 169.

28. IPMS: A.9.VI.13/I, A.XII.57/I.

Włochy, znajdujemy następujący opis: „Zaraz po katastrofie wojennej Jugosławii zaczęły się na terenie byłej „Chorwackiej Banoviny”²⁹ najstraszniejsze prześladowania względem Polaków, przeprowadzane przez Gestapo, związek Niemców w Chorwacji „Kulturbund” oraz powstańców chorwackich „Ustaszę”. Wszystkie inne natomiast ugrupowania tamtejszej ludności, zarówno polityczne, jak i etniczne (Jugosłowianie,³⁰ Serbowie, Słoweńcy, ogół społeczeństwa chorwackiego, Żydzi itp.) okazali Polakom prawdziwą braterską przyjaźń; niestety ich los nie był lepszy od losu Polaków. Gestapo, Kulturbund i ustasze mieli, każdy z oddzielną, całkowitą i urzędową władzę ustawodawczą i wykonawczą i działali bądź w porozumieniu ze sobą, bądź też niezależnie; wspólnym jednak motywem i celem ich działania było mordowanie. W wyniku tych prześladowań po krótkim czasie kilka jednostek z uchodźstwa polskiego znalazło się w więzieniach lub obozach, skąd wszelki ślad po nich zaginął, zaś większa część zbiegła do strefy okupowanej przez armię włoską nad Adriatykiem, gdzie uchodźstwo polskie skupiło się w trzech grupach, tj. w Crikvenicy i Selcy oraz w Splicie. Wymienione wyżej ugrupowania uchodźców polskich korzystają z politycznego prawa azylu włoskich władz okupacyjnych, w zamian za co zobowiązani są do bezwzględnej wobec nich lojalności.”³¹ Zarówno w tym, jak i w innych zachowanych sprawozdaniach, szczegółowo omówione zostały kwestie niesienia pomocy znajdującym się tam Polakom. Wojskowe władze włoskie w Dalmacji i Chorwacji zajęły w stosunku do nich życzliwe stanowisko i nawet przydziałały im racje żywnościowe z zapasów wojskowych. Sytuacja skomplikowała się po kapitulacji Włoch i zajęciu terenów znajdujących się pod dotychczasową okupacją włoską przez Niemców i ustaszów. Oznaczało to bowiem pogorszenie sytuacji uchodźców i zagrożenie ich przez Niemców oraz ustaszów.³²

29. Chorwacka część przedwojennej Jugosławii.

30. Na oryginale dokumentu postawiony w tym miejscu odręcznie znak zapytania; całkowicie zasadnie, bowiem okres II wojny światowej bardzo poważnie nadwerżył ideę wspólnego państwa Słowian Południowych.

31. IPMS: A.9.VI.13/I.

32. IPMS: A.XII.3/42.

Wkrótce, jak pisze L. Kliszewicz, „Szef Wojskowego Gabinetu w rządzie jugosłowiańskim zawiadamia rząd RP w Londynie, że gen. Michajłowicz zawiadomił, że na terenie Homolja w garnizonach niemieckich znajduje się duży procent Polaków. Michajłowicz wydał rozkazy przychodzenia z pomocą Polakom pragnącym przyłączyć się do jego oddziałów”.³³ Ponieważ gen. Draża Michajłowicz odgrywał bardzo istotną rolę, dowodząc serbskim podziemiem związanym z królem i rządem na emigracji, stąd też waga kontaktów Polaków z nim była niebagatelna.

W dniu 20 XI 1941 r. jugosłowiański dowódca prowadzący walkę z okupantami w swojej ojczyźnie przesłał do dowódcy Tobruku następującą depezę, odnoszącą się też i do Polaków oraz przesłaną na ręce dowodzącego Samodzielną Brygadą Strzelców Karpackich gen. bryg. Stanisława Kopańskiego: „Oddziały jugosłowiańskie walczące w Ojczyźnie pozdrawiają bohaterskich obrońców Tobruku. Jugosłowianie są dumni, że walczą w podobnie ciężkich warunkach przeciw wspólnemu wrogowi. Głęboko wierzymy w ostateczne zwycięstwo sojuszników. Ślemy pozdrowienia dawnym [?] towarzyszom Anglikom, braciom Polakom i Czechom. Niech żyją obrońcy Tobruku”.³⁴

Zupełnie nieznaną kwestią jest pobyt w szeregach I Brygady Strzelców Podhalańskich w Cupar w Szkocji plutonu jugosłowiańskiego. Żołnierze jugosłowiańscy (około 15 oficerów i 70 szeregowych) przybyli i weszli w jego skład 23 XI 1941 r. Odeszli z niego 4 II 1942 r. wobec możliwości włączenia ich do własnych oddziałów jugosłowiańskich. W czasie uroczystego pożegnania polscy oficerowie otrzymali orderzy jugosłowiańskie, a dowódca I Brygady Strzelców wygłosił przemówienie, w którym stwierdził m.in.: „Historie walk Narodu Jugosłowiańskiego i Polskiego – są do siebie bardzo podobne. Naród Jugosłowiański walczył z „cywilizowanym barbarzyństwem” tak, jak Polacy, i tak samo dzielnie mu się przeciwstawił. Dzieje Jugosławii – to ustawiczna walka o wolność. Raczej umrzeć, niż popaść w niewolę, oto zasada,

33. L. Kliszewicz, ss. 91-92.

34. IPMS: A.XII.57/I.

która przyświecała Narodowi Jugosłowiańskiemu w Jego bohaterskich zmaganiach. Walka o wolność Jugosławii była prowadzona od dawnych czasów pod przewodnictwem dynastii Karadzordżewiczów. Wiodła ona Naród Jugosłowiański pośród walk – do wolności.”³⁵ W podobnych słowach wypowiedział się dowódca I Korpusu Polskiego w Szkocji, gen. Marian Kukiel, który przeprowadził paralełę między historią narodów jugosłowiańskiego i polskiego.³⁶

W tym samym czasie – w listopadzie 1941 r. – trwały prace nad zawarciem polsko-jugosłowiańskiej umowy wojskowej. Jej preambuła miała brzmieć następująco: „Opierając się na tradycyjnej przyjaźni Polski i Jugosławii, mając na względzie wspólność ich celów w toczącej się wojnie, oraz w przekonaniu, że współpraca wymienionych Państw będzie istniała również w okresie powojennym – Rządy Rzeczypospolitej Polskiej i Królestwa Jugosławii ustaliły następujące zasady współpracy w dziedzinie wojskowej na czas trwania wojny”.³⁷ Dalej w projekcie znalazły się szczegółowe zapisy zasad służby obywateli Jugosławii w Polskich Siłach Zbrojnych.³⁸ Niestety nie doszło do jej podpisania.

Wkrótce potem Naczelnny Wódz gen. W. Sikorski wydał 1 XII 1941 r. „Rozkaz nr 21”, o treści następującej:

„Żołnierze. W dniu dzisiejszym przypada blisko ćwierćwieczna rocznica zjednoczenia Serbów, Chorwatów i Słoweńców w państwo bratniej nam Jugosławii. Rocznice tę Jugosłowianie obchodzą w cierpieniu i na tułaczce, która i naszym jest udziałem.

Święto Jugosłowian jest naszym świętem, tak samo, jak i przyszłe zwycięstwo nad Niemcami będzie również naszym wspólnym, słowiańskim świętem.

Razem z Wami szczęśliwy jestem, że chwila święta państwowego Jugosławii łączy się z czynem choć w drobny tylko sposób wykazującym naszą gotowość do współdziałania z bratnim narodem. W szeregi nasze wstępują na czasowy

35. IPMS: A.XII.32/3.

36. Tamże.

37. Tamże.

38. Tamże.

przydział żołnierze – obywatele Królestwa Jugosławii. Otoczcie ich miłością i szacunkiem, na jaki zasługują. Oby dane nam było wspólnie walczyć o wolność Beogradu i Warszawy!

Niech żyje Król Jugosławii Piotr II-gi! Niech żyje wolna i potężna Jugosławia! Niech żyją nasi drodzy towarzysze broni – Jugosłowianie!

Rozkaz przeczytać przed frontem wszystkich oddziałów, dyonów lotniczych i na pokładach okrętów wojennych w dniu 1 grudnia b.r.³⁹

Pojawiały się też wtedy koncepcje polityczne, związane z Jugosławią. Jedną z ciekawszych przedstawił ppłk dypl. J. Czerwenka w swym memoriale z 15 XII 1941 r., zatytułowanym „Zagadnienia polsko-jugosłowiańskie w czasie wojny i okresie powojennym”, adresowany do szefa sztabu Naczelnego Wodza, gen. Tadeusza Klimeckiego. Pisał w nim m.in.:

„Polska i Jugosławia są narodami najbardziej cierpiącymi spośród narodów Europy, słuszne więc będzie wspólne wystąpienie na forum międzynarodowym w celu obrony swych praw w bloku (łącznie z Czechami) opartym na analogicznych dążeniach rozwojowych i na pokrewieństwie rasowym. Blok taki, w sile około 70 milionów Słowian, scementowany mocno w czasie wojny, może mieć głęboki wpływ na układ przyszłej Europy. W dalszej przyszłości blok ten ma wszelkie dane ku temu, by stać się skutecznym potencjałem w walce z germanizmem w szerokim ujęciu tego wielkiego problemu. (...) Jeżeli jednak zagadnienia słowiańskie będą przedmiotem takich czy innych spekulacji ideowych i politycznych w takiej czy innej Rosji, związana traktatowo z nami Jugosławia może stać się dla nas czynnikiem bardzo pożądanym. Kwestia powyższa jest tym większego znaczenia, że istnieje obawa, iż puszczona samopas Jugosławia, mając trudną sytuację wewnętrzną i wiedziona tradycyjną przyjaźnią, może na ślepo rzucić się w objęcia ‘matki – Rosji’. W tym wypadku, we wszystkich kwestiach polsko-rosyjskich, stać może zasadniczo i zawsze po stronie Rosji, co przy znanym nastawieniu

39. Tamże. W tym samym czasie podobny rozkaz, kładący nacisk na polsko-jugosłowiańskie braterstwo broni, wydał król Piotr II.

Czechów, postawić może Polskę w całkowicie odosobnionej pozycji w sferze spraw słowiańskich i naszych granic wschodnich. Jest rzeczą nie do pogardzenia uprzedzić w przymierzu z Jugosławią dzisiaj Czechów, a jutro Rosję.

Konkluzja.

W obliczu wyjątkowej koniunktury politycznej, mając za sobą wielką popularność Wodza i Narodu Polskiego wśród Jugosłowian, Polska ma duże perspektywy stać się czynnikiem kierowniczym pod względem politycznym i wojskowym bloku Słowian Zachodnich i Południowych, co da jej znacznie zwiększone możliwości w zakresie własnej polityki wschodniej.”⁴⁰

Jako sposoby realizacji tych zamierzeń ppłk Czerwenka proponował zawarcie możliwie jak najdalej idących traktatów przyjaźni z Jugosławią oraz utworzenie „Legionu Słowiańskiego” na terenie Bliskiego Wschodu – wielkiej jednostki złożonej z Polaków, Czechów i Jugosłowian. W bloku tych trzech państw dominowałaby Polska.⁴¹ Jest rzeczą wręcz zadziwiającą, że w odróżnieniu od wielu polityków Zachodu zarówno wówczas, jak i wiele lat później, ppłk J. Czerwenka z tak wielką precyzją widział zagadnienie pierwszorzędnej wagi – niedopuszczenie do tego, aby osamotniona Jugosławia szukała wsparcia w Rosji.

We wrześniu 1942 r. – jak wynika ze sporządzonego w owym czasie raportu ppłk. dypl. J. Czerwenki – wśród Serbów dało się zauważyć „duże rozczarowanie w stosunku do Anglii, która nie udzieliła i nie udziela pomocy patriotom serbskim”.⁴² Jak dalej twierdził, „prestizj Polski został podniesiony dzięki zawarciu umowy polsko-czeskiej i nawet polsko-sowieckiej”.⁴³ Zamierzona federacja polsko-czeska jest dla opinii serbskiej przykładem i wzorem, który chcą naśladować przez dołączenie do tej federacji.”⁴⁴ Natomiast pro-

40. IPMS: A.XII.32/3.

41. Tamże.

42. Tamże.

43. Chodzi o deklarację polsko-czechosłowacką z 11 XI 1940 r. o utworzeniu po wojnie konfederacji obu państw oraz układ Sikorski-Majski z 30 VII 1941 r.

44. IPMS: A.XII.57/I.

hitlerowskie sympatie wśród Chorwatów w owym czasie pod wpływem niemieckich klęsk mocno już osłabły i pojawił się wśród nich nawrót do idei jugosłowiańskiej.⁴⁵

W praktyce więc jedynie Serbowie i Czarnogórcy w sposób najbardziej masowy stawiali opór najeźdźcom. Zresztą rządząca krajem dynastia Karadjordjevićów panowała przed I wojną światową w Serbii i następnie dążyła do utrzymania integralności Jugosławii; wywodzący się z niej król Piotr II po opuszczeniu kraju powołał w Londynie rząd emigracyjny. Sytuację w Jugosławii dodatkowo skomplikował fakt, że po pewnym momencie czetnicy zawarli porozumienie z Niemcami, aby móc swobodnie walczyć z partyzantami J. Broz-Tity; na terenie Serbii zresztą funkcjonowały też struktury kolaboracyjne w postaci rządu gen. Milana Nedića i serbskich policji kolaboracyjnych.⁴⁶

Sytuacja w Serbii była niestety pogmatwana, tak dalece, że ppłk W. Mercik scharakteryzował Nedića i Michajłowicza oraz ich działalność następująco w spisanej tuż po wojnie relacji: „Obydwaj byli generałami królewskimi – Serbami z pochodzenia. Nedić jawnie od początku – Mihailović z czasem – zerwali z ideą Jugosławii przedwojennej. Obaj podkreślali wierność dla Króla, pragnęli Królestwa Serbskiego z dynastią Karadzordzewiczów. Nedić poszedł na współpracę z Niemcami – Mihailović pozostał wierny sojuszowi z Wielką Brytanią. Dla obu wspólnym wrogiem był Tito. To zamięszenie ideologiczne dawało się silnie odczuwać w Kraju. W urzędach serbskich znajdowało się wielu zwolenników Mihailovića – wśród czetników byli konfidenci Nedića – i Niemców. Konspiracja właściwie nie istniała; tu wszyscy zainteresowani o wszystkim wiedzieli. Utrzymanie w tajemnicy planu jakiejś akcji bojowo-dywersyjnej czetników było prawie niemożliwe. Na odwrót – czetnicy byli uprzedzani zawsze o zamierzonej przez Niemców ekspedycji karnej na miejscowości przez nich zajęte – i zawsze mieli czas ująć w góry i lasy.”⁴⁷ Podobnie sytuację charakteryzował ppłk

45. IPMS: A.XII.57/I.

46. C. Madajczyk, t. II: „Mechanizmy realizowania okupacji”, ss. 351-352, 359, 444.

47. IPMS: Kol. 218/III/5.

dypl. J. Czerwenka w meldunku sytuacyjnym z 3 IX 1942 r., gdzie jednak podkreślił, że Nedić jest ogólnie zniechęcony. Przy okazji – wybiegając nieco do przodu – podkreślić należy, że Michajłowicz nie wyszedł dobrze na dochowaniu wierności sojuszniczej Wielkiej Brytanii, która bez skrupułów poparła zwalczających go komunistów J. Broz-Tity, co ostatecznie spowodowało upadek Michajłowicza oraz zwycięstwo komunistów w Jugosławii; „zasługi” Brytyjczyków tutaj są wręcz nie do przecenienia.

29 IX 1941 r. Centrala otrzymała z Bazy „Romek” depeszę o aresztowaniu w Belgradzie kpt. W. Zahorskiego. Łączność próbuje utrzymywać jeszcze jego zastępca, kpt. W. Guttry, ale w listopadzie 1941 r. doszło do licznych aresztowań i placówka „Sława” została całkowicie rozbita. Usiłowania w kierunku jej odbudowy podjęła kairska placówka (kryptonimy: „Muł”, „Pasza”) już w połowie 1942 r., a depeszą z 11 XI 1942 r. powiadomiono o tym gen. S. Roweckiego, pytając go: „Jakie są możliwości dotarcia waszych ludzi do gen. Michajłowicza? Będziemy tam mieli przedstawiciela od Paszy. Jego możliwości z tamtego terenu podam w swoim czasie.”⁴⁸ W związku z pracami placówki „Muł” 23 XII 1942 r. do Kairu przyleciał rtm. Jerzy Szymański z Oddziału VI Sztabu Naczelnego Wodza. Przeprowadził on rozmowy z Anglikami oraz przedstawicielami przebywającego tam rządu jugosłowiańskiego. Podjęto decyzję o zrzuconiu na spadochronach dwóch oficerów w rejonie pobytu misji brytyjskiej przy gen. Draży Michajłowiczu we wschodniej Serbii. Łączność miała zapewnić radiostacja misji, ponadto gen. Michajłowicz podał trzy adresy kontaktowe po stronie rumuńskiej, w Timișoara i Jimbolei. Pierwszy z kandydatów do misji w Jugosławii wycofał się, natomiast drugi, por. Józef Maciąg ps. „Wola”, nazwisko operacyjne Cpt. John Peter Nash, po odbyciu specjalnych kursów został zrzucony w nocy 15/16 VI 1943 r. na Homolijskiej Planinie. Miał on zorganizować i kierować placówką o kryptonimie „Drawa”. Dlatego też jeszcze przed odlotem otrzymał adresy punktów kontaktowych w

48. „Armia Krajowa w dokumentach 1939-1945”, t. II, s. 87; J. Tucholski, „Spadochroniarze”, W-wa 1991, s. 147.

Bukareszcie i Stambule, zaś budapeszteńska baza „Liszt” otrzymała polecenie budowy trasy do placówki „Drawa”, w kierunku Timișoary.⁴⁹ Jak meldował do Centrali 3 XI 1943 r. płk Franciszek Matuszczak, szef bazy łączności w Budapeszcie, dnia 27 X 1943 r. został wysłany do Zagrzebia kurier por. Aleksander Rosiński ps. „Dębiec”, z zadaniem:

- a) zorganizowania w Zagrzebiu, Belgradzie i w Dalmacji melin jako punktów wypadowych do Oracza Drawy,
- b) rozpoznanie dróg z Belgradu na Sieński Majdan oraz Zagrzebia na wybrzeże Dalmatyńskie,
- c) nawiązanie kontaktu z organizacją Michajłowicza na podstawie uzyskanych dotychczas kontaktów. O wynikach zamelduje.

*Proszę usilnie o podanie mi hasła do Michajłowicza i Oracza Drawy oraz o hasło dla kontaktów Michajłowicza w Budapeszcie, uzgodnione z Michajłowiczem.*⁵⁰

Z kolei zadania por. Maciąga były następujące:

Zadanie dla por. Maciąga (placówka „Drawa”):

a) *Instrukcja wysłana przez Oddz. Spec. dla kierownika placówki „Drawa” przewidywała jako zadanie zasadnicze łączność z Krajem (przekazywanie poczty z Armii Krajowej, ekspediowanie przychodzących kurierów, zapewnienie bezpieczeństwa kurierów i poczty, zorganizowanie szlaków łączności w kierunku Węgier i Rumunii). Dla łączności z Centralą (przez placówkę w Kairze) w pierwszej fazie miał wykorzystać środki łączności misji angielskiej, a następnie przewidywane było dostanie własnej radiostacji.*

Jako zadanie dodatkowe miał kierownik placówki meldować o sytuacji, w jakiej znajdują się Polacy, którzy są w oddziałach niemieckich na Bałkanach.

b) *W instrukcji nadesłanej drogą radiową do Centrali, główne zadanie pozostało bez zmian z tym, że istnieje już wyraźniejsza wskazówka dla „Drawy”, aby starał się zorganizować żołnierzy-Polaków, używając ich jednak do zadania głównego, tj. łączności z Krajem.*

Zjawia się jednak nowe zadanie (pod naciskiem Angli-

49. J. Tucholski, s. 147.

50. „Armia Krajowa w dokumentach 1939-1945”, t. III, ss. 195-196.

ków), że kierownik placówki ma w miarę możliwości współdziałać w organizowaniu akcji bojowej, dywersyjnej lub sabotażowej, organizowanej przez gen. Michajłowicza lub misję angielską.

c) Na odprawie ustnej Szef Sztabu NW podał „Drawie” dodatkowo, że „osobisty udział (w akcji bojowej wzgl. dywersyjnej) jest niedopuszczalny, ze względu na ryzyko niewykonania zadania głównego”. W wypadku otrzymania rozkazu z poleceniem wzięcia udziału w akcji dywersyjnej, ma żądać zezwolenia na nadanie depešy szyfrowanej do Centrali, celem uzyskania potwierdzenia tego rozkazu.⁵¹

W ślad za por. Maciągiem na terenie Jugosławii, Albanii i Grecji zrzucono kolejnych polskich oficerów i koncepcja szlaku od Stambułu (ewentualnie Kairu) przez Grecję, Albanię, Jugosławię do Budapesztu zarysowała się coraz wyraźniej. Nocą 9/10 IX w górach Kopaonik na południu Jugosławii por. Zbigniew Piątkowski („Mak”, „Włada”) mimo ognia albańskich karabinów maszynowych wylądował wraz z 26 zasobnikami ze sprzętem na placówce ubezpieczanej przez około 70 Serbów w rejonie wsi Blazevo. Powstała w ten sposób druga placówka w Jugosławii – „Prisztina”. Dwa inne rzuty, jeden we wrześniu, a drugi w październiku, miały miejsce w Albanii, po albańskiej stronie pogranicznego jeziora Ohrid oraz w Grecji.

Słabością tego planu było rozmieszczenie skoczków na tym szlaku pojedynczo, co mogło go zniweczyć, w wypadku wypadnięcia któregokolwiek z nich ze służby. Dodatkowo nałożono na nich obowiązek opieki nad Polakami przebywającymi na tym terenie oraz zorganizowania ich w oddziały partyzanckie, co utrudniało realizację zadania głównego. Wreszcie zainstalowanie ich przy misjach brytyjskich przy oddziałach gen. Michajłowicza było słuszne i dawało rezultaty w czasie, kiedy stosunki tych oddziałów z Brytyjczykami były pozytywne.⁵² Tymczasem po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej pojawił się na widowni J. Broz-Tito,

51. J. Tucholski, ss. 147-148.

52. Tamże, ss. 147-148.

który zaczął działać w Chorwacji, aby następnie rozszerzyć swoją działalność na inne prowincje. Stopniowo uzyskiwał on coraz większe poparcie Brytyjczyków, co wywołało negatywne konsekwencje w stosunkach między Jugosłowiańską Armią Krajową a Brytyjczykami. Natomiast należy podkreślić, że kpt. J. Maciąg wyrobił sobie znaczący autorytet wśród zarówno oficerów brytyjskich, jak i wśród dowódców oddziałów czetników. Mówił po serbsku jak rodowity Serb, zresztą jego matka była Dalmatynką, a on sam urodził się w 1914 r. w Visegradzie w Bośni. Na czele liczącego około 200 ludzi zgrupowania przeprowadził szereg akcji przeciwko Niemcom; sam zginął 11 XII 1943 r. we wsi Luka niedaleko Boru, odznaczony pośmiertnie *Virtuti Militari* 5 klasy, spoczywa na cmentarzu w Belgradzie. Po nim zgrupowaniem tym dowodził do jesieni 1944 r. ppor. Zygmunt Katuszewski. Powstanie tego zgrupowania było uzgodnione przez niego z gen. Michajłowiczem i przebywającym w Kairze rządem jugosłowiańskim.⁵³ Jak pisze J. Tucholski, „J. Maciąg pozostał trwale w historii (...) jako bohater polskiego i jugosłowiańskiego ruchu oporu”.⁵⁴

Ppłk W. Mercik w listopadzie 1943 r. sporządził sprawozdanie – datowane 24 XI 1943 r. – dla Naczelnego Wodza, gen. K. Sosnkowskiego. Jak wynikało z niego, przy oddziałach gen. Michajłowicza znajdowały się trzy kompanie, liczące łącznie 4 oficerów i około 205 szeregowców. Byli to Polacy zbiegli z Organizacji Todta, robót przymusowych oraz z Wehrmachtu, do którego jako mieszkańcy ziem wcielonych do Rzeszy zostali przymusowo zmobilizowani. Istniała możliwość uzyskania z tych źródeł dalszego około tysiąca ludzi, ale do tego już nie doszło.⁵⁵ W grudniu 1943 r. Brytyjczycy wstrzymali dostawy broni dla czetników, intensyfikując je dla komunistycznych oddziałów J. Broz-Tity, a następnie w lutym 1944 r. ewakuowała się misja brytyjskiego generała Charlesa D. Armstronga przy gen. Michajłowiczu, zaś wiosną 1944 r. misje przy korpusach czetnickich. W listopadzie 1943

53. J. Tucholski, ss. 153-156; L. Kliszewicz, ss. 112-114.

54. J. Tucholski, s. 154.

55. IPMS: Kol. 218/III/5.

roku wpływy Tity zaczęły rozszerzać się na teren Serbii, a z kolei w wyniku ograniczania walk z Niemcami i wzmożenie walk z komunistami pozycja Michajłowicza w Wielkiej Brytanii była coraz słabsza.⁵⁶ W swoim przemówieniu 22 II 1944 r. W. Churchill potępił tego ostatniego za zaprzestanie walk z Niemcami i zapowiedział udzielanie poparcia dla Tity. Obecny wtedy w sali obrad Izby Gmin Jan Nowak-Jeziorański określił to w swoich wspomnieniach jako „polityczny wyrok śmierci na Michajłowicza”.⁵⁷

Strona polska przeciwna była jednak tak silnemu wspieraniu przez Brytyjczyków komunistów, choć nie miała możliwości przeciwdziałania temu. Starano się utrzymywać dobre stosunki z jugosłowiańskim rządem emigracyjnym oraz Michajłowiczem. W styczniu 1944 r. szef sztabu armii jugosłowiańskiej zwrócił się do polskiego *attaché* wojskowego w Kairze z prośbą o przyjęcie na staż do polskich jednostek 20 oficerów jugosłowiańskich, na co Naczelny Wódz, gen. Sosnkowski, jeszcze w tym samym miesiącu wyraził zgodę. Wydaje się jednak, że ostatecznie do tego nie doszło.⁵⁸

Jak pisze L. Kliszewicz, „wnioski Anglików nie były po naszej myśli. Podczas gdy Brytyjczycy coraz bardziej przechylali się na stronę Tity, opinia polska była w dalszym ciągu po stronie Michajłowicza. Było to rzeczą zrozumiałą, bowiem ustępstwa w Jugosławii mogły w przyszłości powtórzyć się na terenie Polski.”⁵⁹ W marcu 1944 r. przy oddziałach Michajłowicza znajdowało się około 150 Polaków, zaś w lipcu tego roku raportowano o obecności w nich około 300 ludzi. Trwały starania o ewakuację ich do II Korpusu we Włoszech. Z przyczyn politycznych natomiast nie zdecydowano się – w odróżnieniu od Anglosasów – na nawiązanie kontaktów z komunistami J. Broz-Tity. Zresztą konflikt między partyzantką Tity i czetnikami oraz opowiedzenie się Brytyjczyków po stronie tych pierwszych spowodował z kolei zaostrenie

56. IPMS: Kol. 218/III/5; J. Tucholski, s. 149-157; L. Kliszewicz, ss. 106-109.

57. J. Nowak-Jeziorański, „Kurier z Warszawy”, Londyn 1978, s. 247-249.

58. IPMS: A.XII.24/77.

59. L. Kliszewicz, s. 115.

stosunków między Polakami i czetnikami. Polacy odmawiali udziału w walkach z partyzantką komunistyczną, co powodowało ostre represje ze strony czetników, między innymi niektóre kompanie zostały rozproszone wśród oddziałów czetników. Pojawiły się zresztą wtedy opinie, że Tito też nastawiony jest wrogo do Polaków. Ci ostatni usiłowali co prawda jesienią nawiązać na własną rękę kontakty z Michajłowiczem, za plecami Brytyjczyków, a nawet od września do grudnia 1944 r. baza łączności „Capri” we Włoszech wymieniała z nim depesze radiowe, ale gdy w grudniu 1944 r. wyszło to na jaw, Brytyjczycy ostro zaprotestowali i kontaktów zaprzestano.⁶⁰ Dla Brytyjczyków najważniejszy był J. Broz-Tito, który – wedle posiadanych przez nich informacji – prowadził najbardziej konsekwentną walkę z Niemcami. Z kolei Polacy, z natury rzeczy wrogo nastawieni do komunizmu, najchętniej widzieli współpracę z Michajłowiczem o prozachodnich sympatiach. Stanowisko Anglików z biegiem czasu zmieniało się i wymusili oni na Polakach zerwanie stosunków z Michajłowiczem. W konsekwencji tego ich polityka ułatwiła komunistom J. Broz-Tity zdobycie władzy w Jugosławii.

Do tej pory była mowa o udziale Polaków w walce z III Rzeszą na terenie Jugosławii i współpracy z podziemiem podległym jugosłowiańskim władzom na emigracji. Pora wspomnieć o znanych przypadkach udziału Serbów w polskim podziemiu. Istnieje tu pewna różnica – mianowicie w polskich szeregach walczyli ci pojedynczy Serbowie, których losy wojny rzuciły do Polski, nie było natomiast prób tworzenia jakichś wspólnych struktur, siatek łączności itp. współpracy między czetnikami a polskim podziemiem w Polsce. Spośród Serbów walczących w Polsce najbardziej znaną postacią jest adiutant gen. Draży Michajłowicza sprzed wojny oraz z okresu walki z najazdem hitlerowskim w 1941 r., kpt. Dragan Sotirović. Przebywał on w oflagu najpierw w Rawie Ruskiej, a potem w Stryju. Po ucieczce z niemieckiej niewoli w styczniu 1944 r. walczył w szeregach Armii Krajowej we Lwowie,

60. IPMS: Kol.218/III/5; J. Tucholski, ss. 149-157; L. Kliszewicz, ss. 106-109, 128-129, 132-134, 136-137, 142-148.

pełniąc od marca tego roku funkcję zastępcy dowódcy oddziałów leśnych 14 pułku ułanów AK. W dniu 22 VII 1944 r. w czasie walk z Niemcami został ranny w nogę, a 27 lipca odznaczony przez komendanta Obszaru Lwowskiego AK, płk. Władysława Filipkowskiego, Krzyżem *Virtuti Militari* 5 kl. W dniu 31 VII 1944 r. został wraz z innymi oficerami z Komendy Obszaru AK Lwów aresztowany przez NKWD. Udało mu się zbiec z więzienia, następnie za Sanem dowodził jedną z kompanii działającego na Rzeszowszczyźnie Zgrupowania „Warta”. Złożone z żołnierzy lwowskiej AK, miało ono operować w ramach organizacji „NIE” w kierunku na Lwów, gdyby – o czym marzono – udało się wynegocjować to miasto dla Polski. Były to jednak iluzje i ostatecznie siły „Warty” walczyły z oddziałami sowieckimi, polskimi ugrupowaniami komunistycznymi i UPA w Rzeszowskiem. Po rozwiązaniu Zgrupowania 1 VII 1945 r. przeniósł się z częścią swych sił na Ziemię Zachodnie, gdzie zajęli oni miasteczko Marklissa (obecnie Leśna koło Lubania), a Sotirović został tam burmistrzem. Stamtąd w końcu sierpnia 1945 r. wyjechał do Katowic, aby przez Pragę czeską przedostać się do Paryża. We Francji mieszkał już do końca życia. Był to jeden z najbardziej znanych Serbów walczących w polskiej partyzantce, oprócz *Virtuti Militari* posiadał też Krzyż Walecznych oraz odznaczenia brytyjskie i jugosłowiańskie.⁶¹

Inni Serbowie walczyli w 1. pułku strzelców podhalańskich AK: był tam kpt. Lazar Debetić służący w II Batalionie (dowodzonym przez kpt. Juliana Krzewickiego, ps. „Filip”) oraz Paweł Mendić z Dubrownika i Popivić. Niestety, nie posiadamy o nich żadnych szczegółowych informacji. Pułk ten wchodził w skład Grupy Operacyjnej „Śląsk Cieszyński”, a 20 I 1945 r. jej dowódca, gen. bryg. Brunon Olbrycht „Olza” wydał rozkaz nadający dowódcy pułku, mjr. Adamowi Stabrawie Złoty Krzyż Zasługi z Mieczami, wszystkim oficerom Srebrne, a podoficerom i szeregowym Brązowe Krzyże Zasługi z Mieczami. Między innymi odznaczenia te

61. G. Mazur, J. Węgierski, „Konspiracja lwowska 1939-1944”. Słownik biograficzny, Katowice 1997, ss. 185-186.

otrzymali też ci trzej wymienieni Serbowie.⁶²

Przy przypominaniu sprawy polsko-serbskiej współpracy z okresu II wojny światowej, mało w sumie znanego epizodu z okresu II wojny światowej, należy zwrócić uwagę i podkreślić parę istotnych szczegółów. Przede wszystkim, rozbiście Jugosławii było naczelnym celem polityki niemieckiej, a III Rzesza w realizacji tego celu wykorzystywała zaborcze względem niej zamiary sąsiadów Jugosławii oraz proniemieckie sympatie niektórych narodów tego państwa. Podobne przykłady można znaleźć, śledząc losy Polski w czasie II wojny światowej, można tutaj mówić o pewnej analogii losów Serbów i Polaków, jedni i drudzy bowiem byli zagrożeni przez oba totalitaryzmy, w miarę swoich możliwości stawiali im opór oraz zostali porzuceni na pastwę losu przez swoich anglosaskich sojuszników. Wydaje się, że zwłaszcza obecnie warto te fakty przypomnieć. Nie można bowiem dla koniunkturalnych w sumie celów politycznych pominąć milczeniem faktów, świadczących o wieloletniej przyjaźni i wspólnej walce obu narodów. Zresztą – co istotniejsze – historycy winni je przypominać, ponieważ ich obowiązkiem jest stałe docieranie do prawdy bez względu na obowiązujące tendencje.

Grzegorz MAZUR

62. SPP: koperta weryfikacyjna Lazar Debetić; G. Mazur, W. Rojek, M. Zgórniak, „Wojna i okupacja na Podkarpaciu i Podhalu, na obszarze Inspektoratu ZWZ-AK Nowy Sącz 1939-1945”, Kraków 1998, ss. 242, 279, 332-333.

JAKA POLSKA?

– PRZESŁANIE „KULTURY”

Z okazji ukazania się antologii „Wizja Polski na łamach *Kultury*, opracowanej przez Grażynę Pomian, 18 grudnia 1999 roku w lokalu Instytutu Polskiego w Paryżu odbyła się konferencja, zorganizowana przez Instytut i Stację Naukową Polskiej Akademii Nauk w Paryżu.

Pierwsza część konferencji była poświęcona dyskusji na temat „Inteligencja wobec przeszłości i wobec przyszłości”. Dyskusję prowadził Krzysztof Pomian. Części drugiej – „Polacy i inni” przewodził prof. Daniel Beauvois.

SESJA PORANNA

„INTELIgENCJA WOBEC PRZESZŁOŚCI I PRZYSZŁOŚCI”

Krzysztof POMIAN:

Proszę państwa, zaczynamy tę naszą sesję o inteligencji, która oczywiście nie będzie dyskusją o tym, co jest na ten temat w antologii, czy też było na ten temat w *Kulturze*, ale będzie – mam nadzieję – dyskusją o sytuacji dzisiejszej, obecnej, dyskusją przedłużającą przesłanie *Kultury*. Tak się zresztą ta cała dzisiejsza sesja ma nazywać – „Przesłanie *Kultury*”.

Rozumiem, że moja rola jest nie tylko rolą kogoś, kto ma udzielać głosu, ale również kogoś, kto ma wystąpić w roli

zawodowego prowokatora. To, co powiem jako zagajenie naszej dyskusji, ma dokładnie tę intencję, to znaczy ma sprowokować w sensie dosłownym zarówno osoby siedzące za tym stołem, jak również państwa siedzących na sali.

Otóż tematem spotkania jest „Inteligencja wobec przeszłości i przyszłości”. Chciałbym przez chwilę – a postaram się mówić krótko, bo to ułatwia prowokacyjność – zastanowić się nad tym, jak wygląda dzisiaj stan rzeczony inteligencji polskiej. Jesteśmy dokładnie dziesięć lat po roku 1989 i po tym wszystkim, co wtedy nastąpiło. W ciągu tych dziesięciu lat miejsce i rola inteligencji polskiej uległy istotnym zmianom, które można scharakteryzować w trzech szybkich punktach.

Po pierwsze, inteligencja przestała być namiastką klasy politycznej, którą w jakimś sensie z konieczności była wtedy, kiedy była nosicielem sprzeciwu wobec panującego ustroju.

Po drugie, inteligencja przeżyła ogromne ograniczenie swoich możliwości zarobkowych, pogorszenie warunków życia i prawdopodobnie obniżenie się pozycji w hierarchii prestiżu (co subiektywnie przeżywa, niezależnie od tego, czy sondaże potwierdzają to, czy nie).

Po trzecie wreszcie, wystąpił z dużą ostrością – jak sądzę – podział na inteligencję „szlachecką” (w cudzysłowie, bo nie chodzi tu o pochodzenie realne, tylko o całkowicie fantazmatyczne i fikcyjne poczucie przynależności i więzi) i inteligencję chłopską. Ten podział jest głęboki, wydaje mi się, że się pogłębia, że mamy w Polsce na dobrą sprawę dwie inteligencje o dwóch różnych profilach zawodowych, jeśli brać rzecz statystycznie. Jedna jest inteligencją o dominancie humanistycznej, druga jest inteligencją o dominancie techniczno-zawodowej, jedna ma inne poglądy niż druga na niedawną przeszłość, a w szczególności znowu, jeśli brać pewne tendencje – na PRL i na historię opozycji. Ten podział nie jest specjalnie niczym nowym, sięga on okresu przedwojennego, że przypomnę „Młode pokolenie chłopów” Józefa Chałasińskiego, ale wydaje się, że ponownie, po jakimś okresie, kiedy zdawał się słabnąć, podział ten ponownie się zaostrzył.

To, co będę mówił, dotyczyć będzie głównie inteligencji humanistycznej. Pytanie dotyczy tego, czy inteligencja polska jest dzisiaj przygotowana do podjęcia tych wyzwań, które

przed nią stoją. Moja odpowiedź brzmi, że nie. Nie jest do tego przygotowana i spróbuję to bardzo krótko uzasadnić.

Otóż sądzę, że nie jest do tego przygotowana, między innymi dlatego, że jeśli chodzi o polską inteligencję humanistyczną – co wyraźnie podkreślam – jest to inteligencja fundamentalnie literacka, a bycie inteligentem osiąga w pewnym sensie w Polsce swoją pełnię wówczas, kiedy się jest literatem. Ja odróżniam literatów od pisarzy. Przeglądałem kiedyś bardzo pożyteczny katalog czasopism polskich wydany przez Fundację Batorego, tu reprezentowaną, i odniosłem wrażenie, że w Polsce wychodzą wyłącznie czasopisma literackie z jednym wyjątkiem *Gdańskiego Przeglądu Politycznego*, który odbiega od tej formy. Może jest ich więcej, ale nie musi być ich dużo.

Ten charakter przygotowania zawodowego i całego profilu polskiego humanistycznego inteligenta sprawia, że jego wzory są usytuowane w przeszłości, że jego ideałem jest dworek, nawet jeśli sam urodził się nie w dworku, ale zupełnie gdzie indziej, że ciągle jeszcze robi on wrażenie kogoś, kto nie pogodził się z granicami Rzeczypospolitej po roku 1920, nie mówiąc już o granicach po roku 1945, że żyje on w świecie fantazmatycznym, w którym Polska ma mniej więcej zasięg sprzed pierwszego rozbioru i że jego dominującą tonacją jest nostalgia. Nostalgia za dawnymi dobrymi czasami, które mogą być bardzo różne. Mogą to być już w ogóle legendarne czasy przeszłości, kiedy chłop polski i szlachcic polski żyli w atmosferze jednego wielkiego cudu, mogą to być równie legendarne, zmitologizowane czasy rzeczywistej czy urojonej martyrologii solidarności przez małe i duże „S”.

Patrząc z zewnątrz, z daleka, na polską produkcję książkową odnosi się wrażenie, że punkt ciężkości zdecydowanie przesunął się z socjologii, filozofii i historii właśnie na – nie chciałbym powiedzieć – literaturę, ale – powiedziałbym – na literackość, by nie rzec na literactwo. Że zanikła jakkolwiek godna tego miana myśl laicka i że to, co się dzieje z polską myślą katolicką dzisiaj może budzić uzasadnione niepokoje, co w pewnym sensie mnie nie dotyczy, ale w pewnym sensie mnie dotyczy. Nie dotyczy mnie w tym sensie, że nie jestem katolikiem, ale dotyczy mnie w tym sensie, w jakim stan myśli katolickiej wyraża stan kultury narodowej. I nie

asystujemy dzisiaj – i to już nie jest moja opinia, ale ludzi, którzy widzą to od wewnątrz – przy wzlocie myśli katolickiej. Mówi się bardzo dużo o duchu i bardzo dużo się moralizuje, ale odnoszę wrażenie, że bardzo mało się myśli o problemach cywilizacyjnych, podczas gdy podstawowym problemem Polski jest wyrównywanie poziomu z Europą Zachodnią i krajami Unii Europejskiej, do której mamy przystępować.

Nie jestem pewien, sądząc z tego, co czytam, czy ten problem, który jest zaiste jednym z głównych problemów polskiej klasy politycznej, a mianowicie przygotowanie Polski do przystąpienia do Unii Europejskiej, stał się rzeczywiście problemem polskiej inteligencji.

Wreszcie ostatni punkt. Generalnie rzecz biorąc, polska inteligencja pełni dzisiaj funkcję apologetyczną. Nie krytykuje zwłaszcza siebie samej, tego już nie należy specjalnie od niej oczekiwać, roztkliwia się nad swoją przeszłością, rozczuła nad swoim bohaterstwem, za każdym razem można dodawać – rzeczywistym czy urojonym, podziwia swoje własne piękno duchowe, natomiast jedyna rzecz, której nie robi, to nie pełni tej funkcji krytycznej, która – jeśli o jakimkolwiek przesłaniu *Kultury* w tym zakresie można mówić – była właśnie tym podstawowym wskazaniem *Kultury*. W pewnym sensie powiedziałbym, że inteligencja polska dzisiaj, żeby to streścić jednym zdaniem, jest dokładnie antyportretem, antytypem tego idealnego wzoru inteligenta, który z łamów *Kultury* jako ideał można sobie było odtworzyć.

Aleksander SMOLAR:

Minione dziesięć lat, to wielki triumf polskiej inteligencji. Wiem, że teza ta może wydać się kontrowersyjna, ale przypomnijmy rok 1989. Kto przejął wówczas władzę? Kto formował pierwszy rząd? Kto organizował Parlamentarny Klub Obywatelski? Kto tworzył od podstaw najpotężniejszą gazetę w Polsce, której rola opiniotwórcza i pośrednio polityczna jest nie mniejsza od niejednej partii politycznej? Tadeusz Mazowiecki, Bronisław Geremek, Jacek Kuroń, Leszek Balcerowicz,

Adam Michnik, Jan Olszewski, Wiesław Chrzanowski, tacy ministrowie jak Krzysztof Kozłowski czy Henryk Samsonowicz, postacie takie jak: Andrzej Wajda czy Jerzy Kłoczowski to tylko niektórzy, choć daleko nieprzeciętni, reprezentanci całej palety inteligentnych biografii, poglądów i postaw, które wpłynęły zasadniczo na kształt pierwszej dekady wolności. Czy ktokolwiek, kto śledził złożone, tragiczne często dzieje inteligencji w poprzednim półwieczu, kto uczestniczył w licznych powojennych debatach na temat śmierci tej formacji, mógł się spodziewać tak niezwyklej jej roli?

Renesans publicznej roli inteligencji nastąpił spektakularnie w latach 70-tych. Powstanie opozycji demokratycznej oznaczało ostateczne zerwanie pępowiny, która łączyła najbardziej dynamiczne, społecznie widoczne środowiska inteligentkie z „władzą ludową”. Zbyt dużo pisano na temat tego rozdziału, abym miał do niego powracać w krótkim wystąpieniu poświęconym innemu problemowi, innym czasom. Opozycja demokratyczna oznaczała powrót inteligencji do roli przywódczej i wzorotwórczej w społeczeństwie. Działalność społecznikowska, nawet nazwy (jak np. Uniwersytet Łatający) nawiązywały do rozbiorowych doświadczeń. Jednoznaczny język prawdy i moralności jasno definiował stosunek tych środowisk wobec władzy „z obcego nadania”.

Powstanie „Solidarności” było wielkim triumfem społeczeństwa, w tym również inteligencji. W jej stosunku do wydarzeń był jednak element pewnej dwuznaczności, pewnego zagubienia. Bowiem inteligencja utraciła zarazem w tym momencie swoje historyczne, przywódcze miejsce. Niewątpliwie, wywodzące się z niej jednostki odgrywały i wówczas bardzo znaczącą rolę, ale pozbawioną autonomicznej legitymizacji. Ich wpływ był duży, czasami decydujący, nie dlatego jednak, że mieli za sobą poważne dokonania, wielkie doświadczenie, często lata więzienia, ale dlatego, że akceptował ich jako doradców Lech Wałęsa, czy odpowiednie gremium związkowe. Wraz z upływem czasu byli zresztą coraz bardziej agresywnie atakowani przez rosnące w siłę środowiska radykalnie nacjonalistyczne i populistyczne.

Paradoksalnie i z lekką tylko ironią powiedzieć można, że stan wojenny był wielkim rewanzem i triumfem inteligencji

polskiej. Związek został rozbity, robotnicy przepędzeni z placu publicznego. Działali oczywiście w parafiach, w tajnych organizacjach związkowych, pomagając prześladowanym. Ale Związek w opinii publicznej istniał najbardziej wyraziście dzięki setkom pism i gazetek, tygodniom kultury chrześcijańskiej, dzięki uchwałom i deklaracjom władz podziemnych, dzięki bojkotowaniu telewizji przez aktorów i oficjalnej prasy przez pisarzy i dziennikarzy. Słowo, symboliczny gest, nawet konspiracja to inteligentkie formy działania, inteligentkie formy walki. Tradycje patriotyczne, waga przypisywana polityce symbolu i słowa, wszystko to czyniło z inteligenta centralną postać walki lat 80-tych. Do tego można dodać rozrastającą się opozycję polityczną, również zdominowaną przez inteligencję; umacniające się legalne czy półlegalne liberalne środowiska ideotwórcze, przygotowujące przyszłe zmiany. Przeglądając w emigracyjnym oddaleniu prasę podziemną uderzało jak często w latach 80-tych odnaleźć można było swoisty syndrom legionowy: żal, często pogardę dla robotników, którzy zapominając o Polsce, Niepodległości, Solidarności, Walce, powrócili do przyziemnych problemów codziennej egzystencji. Ten ton lekceważenia i goryczy zapowiadał szybki rozwój inteligencji z robotnikami w latach 90-tych, łatwe oskarżenia robotników o egoizm, prywatę, warcholstwo, rewindykacyjny stosunek do państwa. To wszystko, co szokowało, tak różniących się skądinąd Karola Modzelewskiego i Bohdana Cywińskiego, którzy pozostali wierni przeszłości tak jak ją rozumieli, ale politycznie całkowicie bezsilni.

W latach 70-tych i 80-tych z inteligencją polską w roli przywódczej konkurować mógł tylko Kościół. Ale konfliktów było wówczas bardzo niewiele (głównie ujawniały się przy kolejnych enuncjacjach prymasa Glempa), dominowało poczucie więzi, współpracy, bliskości. Wiele jest świadectw tego, jak szczęśliwy był wówczas polski inteligent zaangażowany w sprawy publiczne, nawet jeżeli dzielił z resztą społeczeństwa smutek, gorycz, momentami poczucie beznadziei. Andrzej Kijowski pisał w jednym z esejów jakim szczęściem było dla polskiego inteligenta powrót do ludu, do Kościoła, do tradycji narodowej, odnalezienie własnego domu. Mówienie prawdy pełnym głosem było wielkim szczęściem. Popularni pisarze rezygnowali z wysokich nakładów, dochodów i paszportów na

rzecz marnej techniki i niskich nakładów; tak silna była potrzeba odzyskania poczucia niewinności i godności.

Rok 1989, historyczny czas dla Polski, spektakularny powrót na scenę historii „Solidarności”, był, w kategoriach społecznych, momentem triumfu polskiego inteligenta. Ówczesny, wyjątkowy jej sukces znalazł negatywny wyraz m.in. w konflikcie „Solidarności” z ruchem Komitetów Obywatelskich, które przygotowywały zwycięskie wybory z 4 czerwca 1989 roku. „Solidarność” osłabiona, zaledwie cień historycznego związku, porzucona przez inteligencję, która poszła do Komitetów Obywatelskich i formujących się już w podziemiu partii politycznych, poczuła się zagrożona dynamizmem i przywódczymi aspiracjami powstającej konkurencji.

W tej formacji inteligencji, która odcisnęła silne piętno na dalszym rozwoju kraju, można odnaleźć źródła obecnego polskiego myślenia o świecie. Ogromna jest zasługa tej właśnie formacji w wypracowaniu bardzo przyzwoitej polityki zagranicznej zarówno wobec Zachodu jak i Wschodu. Jej wizja świata, polskich interesów i obowiązków została uformowana w dużym stopniu przez *Kulturę*. Jeżeli od pierwszej chwili panowała w Polsce daleko idąca zgoda co do polityki zagranicznej, to należy to zawdzięczać wspólnie pobieranej, wielodziesięcioletniej lekcji *Kultury*, lekcji udzielanej przez Jerzego Giedroycia, Juliusza Mieroszewskiego i wielu innych autorów pisma. A przecież, choćby powojenna historia Niemiec pokazuje, jak wielkim i nieoczywistym osiągnięciem jest brak w dzisiejszej Polsce terytorialnych żądań wobec Litwy, Białorusi i Ukrainy. W Republice Federalnej, kraju od dziesięcioleci demokratycznym, pozostającym pod czujną kuratelą NATO i struktur europejskich, rezygnacja z ziem należących obecnie do Polski była długim i bolesnym procesem. Do dziś spotkać tam można środowiska, które kwestionują powojenne zmiany terytorialne, czy przynajmniej pewne ich aspekty. Konsekwencje historycznej zmiany w polskim myśleniu nie ograniczają się w żadnym razie do symbolu. Mają one też znaczenie wykraczające poza samą Polskę. Rewolucja „Solidarności” i później rok 1989 były możliwe m.in. dlatego, że Polacy przestali bać się Niemców. A więc Związek Sowiecki nie był już konieczną ostoją przed

potencjalną agresją z Zachodu. Podobnie, wielką szansą ukraińskiej niepodległości i demokracji jest to, że Ukraina nie musi dziś bać się Polski i szukać obrony w Moskwie. Kijów może widzieć w Polsce swojego prawdziwego sojusznika. Na takim właśnie tle należy widzieć wyjątkową rolę *Kultury*, oraz znaczenie inteligencji w formowaniu się polityki demokratycznego państwa.

Inteligencja odegrała po 1989 roku niezwykle rolę również w wielu innych państwach regionu. Symbolem może być tu Vaclav Havel. Wszędzie w świecie postsowieckim, gdzie w następstwie niedorozwoju i narodowej podległości, inteligencja odgrywała historycznie rolę przywódczą, wysunęła się ona tam gdzie załamały się, wraz z upadkiem komunizmu, stare elity – na czoło swoich narodów. Inteligencja stała się pionierem przemian demokratycznych i rynkowych. Zapomina dziś często o tym część antyinteligentcko nastawionych konserwatystów i liberałów rynkowych. W tej podwójnej roli promotora rynku i demokracji – jest jednak pewien paradoks. W jakimś sensie inteligencja ze swej natury jest antyrynkowa i ma ambiwalentny stosunek do demokracji przedstawicielskiej i systemu wielopartyjnego. Pierwsza teza zdaje się być bardziej oczywista niż druga. Istnieje rozległa literatura na temat ścisłych związków inteligencji z radykalnymi, totalitarnymi ruchami XX wieku: z komunizmem i z faszyzmem. Rynek, zysk, handel, skoncentrowanie na wartościach materialnych – to wszystko, co słusznie czy też nie, identyfikowano z kulturą „strasznych mieszczan” – było zaprzeczeniem inteligentckiego etosu. Również akceptacja spontaniczności jako źródła porządku społecznego zdawała się pozostawać w konflikcie ze skłonnością inteligencji do budowania racjonalnego porządku opartego na klarownym projekcie i świadomej woli, jednym słowem na globalnym planowaniu. A przecież, gdy przyszedł czas wielkich zmian, najbardziej aktywne środowiska polskiej inteligencji i inteligencji szeregu innych państw naszego regionu, głosiła z żarem, z którym kiedyś zwalczała „kramarzy”, rynkową teodyceę: nie ma zbawienia poza rynkiem! Rząd zdominowany przez inteligentów wprowadzał radykalne reformy rynkowe, które stworzyły ramy dla spontanicznych przedsiębiorczych działań i śladem

Guizot apelowało: *enrichissez vous!* – bogacie się. Krytyka kapitalizmu, chaosu, który miał on powodować, groszorbstwa, narastających nierówności społecznych, znikła pod strzelistą konstrukcją nowej wiary. Entuzjazm neofitów rynku tłumaczy częściowo występującą wśród polityków i biznesmenów inteligentckiego pochodzenia pogardę dla tradycyjnej inteligencji, którą nazywa „budżetową”, ponieważ czerpie dochody z budżetu państwa. Tak jakby finansowanie nauki, kultury, edukacji, służby zdrowia przez państwo było straszliwą, nieznaną w świecie anomalią. Inteligencja odegrała pozytywną rolę przyspieszając niezbędne przemiany gospodarcze, ale zapłaciła za to wysoką cenę wyrzekając się tradycyjnych swoich wartości, swojego powołania, na rzecz nowej wiary; oddając też całkowicie Kościołowi misję głoszenia prawdy, że wartości materialne nie są wartościami najwyższego rzędu, że „nie samym chlebem...”

Złożone stosunki inteligencji z demokracją mają inne źródła i inne konsekwencje niż problemy z rynkiem. Inteligencja wychowana w etosie szczególnego posłannictwa, romantycznej tradycji gotowości do poświęceń dla dobra wspólnego, ma naturalne skłonności do identyfikowania się z narodem, z całym społeczeństwem. Inteligencja z dużą trudnością przystosowuje się do warunków, w których przestaje być jedyną, niepodzielną elitą narodową, gdy pojawiają się zawodowi politycy, elity zawodowe i przede wszystkim dynamiczni, pełni wigoru i wiary w siebie nowi przedsiębiorcy.

Inteligencji trudno jest pogodzić się z polityką demokratyczną, u której podstaw leży założenie, że nikt, żadna siła, żadna formacja, żadna partia nie reprezentuje w pełni interesów społeczeństwa. Bowiem pragnienia i dążenia społeczne znajdują swoje odbicie w całym złożonym procesie demokratycznym. Trudności inteligencji z uznaniem tej zasady wyrażały się w skłonnościach do tworzenia antypolitycznych formacji, które miały reprezentować całe społeczeństwo. W Polsce istniała silna pokusa, aby utrwać struktury Komitetów Obywatelskich i nie dopuścić do formowania się partii politycznych. W Czechach obecne było dążenie do utrzymania Forum Obywatelskiego. Vaclav Havel do dziś zresztą zachował dwuznaczny stosunek do partii politycznych i bardzo

często je krytykuje. Takie tendencje z większym czy mniejszym nasileniem występowały również w innych krajach regionu. Oczywiście, były racjonalne argumenty przeciwko przedwczesnemu dzieleniu obozu demokratycznego wyrosłego z ruchu protestu przeciw komunizmowi. Można w dobrej wierze dowodzić, że utrzymanie jedności w okresie trudnych przemian pozwoliłoby przeprowadzić szybciej i lepiej niezbędne zmiany ekonomiczne, społeczne i polityczne, zablokować na dłużej powrót do władzy byłym partiom komunistycznym. Nie ulega jednak wątpliwości, że niechętny stosunek do instytucjonalizacji politycznego pluralizmu wynikał również z odrzucenia demokratycznej zasady częściowości wiedzy i „prawdy”, jaka dana jest każdej formacji politycznej; z przekonania, że partie inteligenckie mają ze swej natury uprzywilejowaną pozawczo i moralnie pozycję, która usprawiedliwia ich przywódczą rolę.

Mimo ogromnych sukcesów przemian po 1989 roku polski inteligent patrzy dziś często z goryczą na ubiegłą dekadę. Źródłem tego szukać można w potrójnej marginalizacji, której padł on ofiarą. Obniżał się po pierwsze jej status: inne grupy wyprzedzały ją w hierarchii społecznego uznania, szacunku, autorytetu. Temu upadkowi sprzyjała konkurencja innych elit, ucieczka wielu dynamicznych jednostek do biznesu i polityki. Odwrócenie się zdolnych młodych ludzi, stojących u progu kariery, szukających dziś spełnienia marzeń poza tradycyjnymi inteligenckimi zawodami. Po drugie, ulegała degradacji sytuacja materialna inteligencji. Nie zawsze oznaczało to spadek dochodów indywidualnych. Mnożenie się szkół prywatnych i rozrost uczelni państwowych, coraz większe potrzeby urzędów i sektora prywatnego na różnego typu ekspertyzy i doradztwo, powodowało, że dla wybranych grup inteligenckich zwiększyły się ogromnie możliwości dochodowe. Ale daleko nie dla wszystkich. I ponadto, zarabianie odbywało się i odbywa kosztem rozwoju intelektualnego, kosztem pogarszającej się jakości wykonywanej pracy, kosztem zdrowia. Jednym słowem: awans materialny pojedynczych inteligentów odbywa się kosztem roli społecznej polskiej inteligencji jako grupy. Po trzecie, malała rola publiczna inteligencji. Słabo jest ona obecna w życiu publicznym

w swej tradycyjnej funkcji analitycznej, krytycznej, mitotwórczej, jako miejsce społeczne rodzenia się projektów zbiorowych, norm, wyobrażeń o lepszej Polsce. Słabną partie inteligentkie, których biografie znaczone były przez antytotalitarny opór. Powstała nowa klasa polityczna, złożona z tysięcy ambitnych, często przypadkowych ludzi, którzy po 1989 rzucili się na plac publiczny dla kariery, w poszukiwaniu „wielkiego skarbu”, sensu życia, czy służby zbiorowości. Szok spowodowany wypieraniem przez *homo novus* inteligentów zasłużonych w czasach walki opozycji demokratycznej, wywoływał – na Wschodzie i na Zachodzie – lament nad „rewolucją, która pożera własne dzieci”. Towarzyżyły mu apokaliptyczne przepowiednie o zagrożeniu dla Europy postsowieckiej ze strony nacjonalizmu, integryzmu, prawicowego jakobinizmu. To nie rewolucja jednak, lecz nowa demokracja prowadziła do zdziesiątkowania inteligencji w polityce, do wyeliminowania z życia publicznego wielu wybitnych działaczy przeszłości, którzy nie potrafili albo nie chcieli znaleźć dla siebie miejsca w nowych warunkach wolności i konkurencji. Inteligencja często przegrywała w polityce dlatego, że jej tradycje, wartości, specyficzny typ kultury lepiej ją przygotowały do oporu wobec dyktatury, do głoszenia racji bezwzględnych, deklarowania *non possumus*, niż do wyboru mniejszego zła, moralnie wątpliwych sojuszy, ograniczonych, względnych sukcesów.

Czesław MIŁOSZ:

Kultura trafiała do inteligencji, inteligencja była w Polsce czytelnikami *Kultury* jako pisma i książek wydawanych przez *Kulturę*. Muszę powiedzieć, że ilość książek wydanych przez *Kulturę* krążących w obiegu podziemnym w Polsce jest zawrotna. Ja osobiście nie mogę zrobić bibliografii wydań moich książek, które się ukazały w Polsce, bo jest to zawrotna ilość. Czyli jest to wpływ na inteligencję polską. Ja nie byłem w czasach krytycznych, to znaczy w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych w Polsce, więc nie mogę stroić się w cudze piórka i

wydawać jakichś sądów na ten temat. Mogę tylko stwierdzić, że teraz – tak jak dzielił swój czas między Berkeley a Krakowem – Polska jest dla mnie niesłychanie tajemniczym krajem.

Jeden z moich studentów, młody Amerykanin, odwiedził kiedyś Polskę, a było to jeszcze w czasach PRL-u, i później pytał mnie: „Jak to jest? W Polsce mieszkają dwie zupełnie różne narodowości: inteligencja i lud. Oni nie mają ze sobą nic wspólnego, nawet fizycznie. To są zupełnie różne plemiona.” Na co ja mu mówię: „No przecież ta inteligencja dzisiaj to nie jest inteligencja pochodzenia szlacheckiego, co mogłoby usprawiedliwić inny wygląd fizyczny i inne myślenie. Ogromna ilość tej inteligencji jest pochodzenia chłopskiego”. Jest to dla mnie tajemnicze, bo ja widzę to teraz w Polsce właśnie i widzę pewne subiektywne także odczucie inteligentów istniejące także w literaturze. Na przykład twórczość Mrożka jest pełna obsesyjnego wstrętu do ludu. W jednej z jego sztuk inteligent próbuje wytłumaczyć policjantowi co to jest wolność. I nie może wytłumaczyć. Bo wolność to mówienie tego, co się myśli. Więc jest brak pewnego jednolitego typu ludzkiego, powiedziałbym. Jak to się zdarzyło, że w 1980 roku nastąpiło spotkanie robotników i intelektualistów, ja nie podejmuję się tego wyjaśniać. Można to wyjaśnić tylko w ten sposób, że prawdopodobnie wzór szlachecki jest jedynym wzorem zachowania się w Polsce, a sięga on do tak zwanego ludu i inteligencji jednocześnie.

Dzisiaj inteligencja ma przede wszystkim przed sobą ocenę przeszłości, jako literatury polskiej przede wszystkim. Bo na czym polegała na przykład polonistyka w ciągu całego XIX wieku i przez znaczną część XX? Jeżeli jako wskaźnik weźmiemy profesora Ignacego Chrzanowskiego i jego podręczniki, to literatura polska służyła patriotyzmowi. Może nie jest to zupełnie to samo, co służenie nacjonalizmowi, ale niedaleko. Służenie mesjanizmowi, oczywiście. Ja w każdym bądź razie sięgam do moich doświadczeń z Litwy i z Wileńszczyzny, gdzie były takie nauczycielki, małe szlachcianeczki z zaścianków, które specjalizowały się w literaturze polskiej, to znaczy uczyły Mickiewicza, Słowackiego, uczyły patriotyzmu polskiego. To jest olbrzymie zagadnienie: w jaki sposób odnieść się do całego tego dziedzictwa, żeby to nie

było wyłącznie ideologiczne kształcenie w patriotyzmie starego typu? Tylko że to jest tak idące wbrew dwudziestemu pierwszemu wiekowi! Bo chyba nie powiemy, że patriotyzm chorwacki czy bośniacki i serbski są dla nas ideałem w przyszłości. A więc jakaś nowa ocena, nowe zbliżenie się do tej literatury. *Nota bene* bardzo ciekawe zjawisko, które moim zdaniem też należy do historii współczesnej inteligencji, to jest polonistyka na uniwersytetach, której skład w 90 procentach stanowią kobiety. Czyli można powiedzieć, że tak samo jak wspomniane nauczycielki były rzecznikami patriotyzmu w XIX wieku, tak samo dzisiaj jest jakaś olbrzymia feminizacja kultury polskiej inteligencji. Bo z pewnością rola polonistki w szkole jest olbrzymia, przekonałem się o tym na własnej skórze. Co prawda walczyłem z nią, bo stawiała mi złe stopnie z dopiskiem: „styl telegraficzny”.

Ponieważ tytuł naszego panelu brzmi „Inteligencja wobec przeszłości i przyszłości”, zwracam uwagę na tę sprawę borykania się inteligencji z przeszłością. Odbiór poszczególnych pisarzy dzisiaj jest niesłychanie ważny i kluczowy. Ja nie wiem, na ile dzieci prowadzone na oglądanie „Pana Tadeusza” skorzystają z tego. A także odbiór takich pisarzy, jak Gombrowicz. Jest to bardzo ciekawe, co z Gombrowicza się bierze, czy bierze się tylko drwinę, czy uważa się go za wesołka, który pokazuje język wszystkim wartościom patriotycznym, czy też bierze się go głębiej.

Ja tylko dotykam z brzegu tych spraw. Robiłem ostatnio korekty do nowego wydania mojej książki o Stanisławie Brzozowskim. Cała filozofia Brzozowskiego jest niesłychanie dzisiaj ważna do przemyślenia.

Chciałbym mą wypowiedź uzupełnić. Samo słowo „inteligencja” pojawia się w środku XIX wieku, między Niemcami, Polską i Rosją. Ale teraz zadaję pytanie: co się stało w Rosji wskutek rewolucji? Jak się różni dzisiaj miejsce inteligencji polskiej w porównaniu z miejscem inteligencji rosyjskiej, jeżeli ta inteligencja w ogóle przeżyła? Jeżeli mimo olbrzymiej ilości ludzi otrzymujących w Rosji wykształcenie, nastąpiło zupełne zaniechanie tych zadań, które inteligencja rosyjska wyznaczyła sobie w XIX wieku? Być może, że to, co zdarzyło się w Polsce w latach siedemdziesiątych i osiem-

dziesiątych, to powtórzenie dziewiętnastowiecznej roli inteligencji. Podczas kiedy dzisiaj, jeśli chcemy się na przykład zwrócić do inteligencji rosyjskiej, to nie bardzo mamy z kim rozmawiać, ponieważ ta inteligencja została – że tak powiem – wchłonięta przez instytucjonalizm państwa. Podaję to jako pytanie.

Leszek KOŁAKOWSKI:

Wracając do tematu podjętego przez Krzysztofa Pomiana, to rzeczywiście inteligencja nie jest kategorią, która istnieje w zachodniej Europie, to jest polska i rosyjska kategoria. Rzeczywiście ona była pochodzenia szlacheckiego. Byli oczywiście wybitni ludzie wywodzący się z chłopów, wybitni uczeni. Tadeusz Sinko, wielki filolog klasyczny, był chłopem, Pigoń był chłopem, Chałasiński był chłopem itd. Byli też chłopci, którzy byli uszlachceni, dochodzili do stanu szlacheckiego. Była to naturalnie formacja pochodzenia szlacheckiego, czego nie należy wcale mówić ze wstydem. Ale był to jeden z czynników, które powodowały konflikty między inteligencją i reżimem komunistycznym. Te rzeczy należą już do przeszłości. Ja się nie zgadzam jednak z Krzysztofem Pomianem, jeżeli chodzi o obecną sytuację inteligencji. Prawdę mówiąc, ja nie widzę tego, żeby było takie wyraźne zaprzątnięcie nostalgiami, dworkiem itp. Mnie się zdaje, że to już należy do dawnego czasu. Myślę, że stopniowo odbywa się proces, w wyniku którego inteligencja przestanie istnieć. Inteligencja w tym szczególnym polsko-rosyjskim znaczeniu. Będą oczywiście pisarze, będą intelektualiści, historycy, uczeni, ale to już chyba nie będzie ta kategoria specjalna, wykształcona przez szczególne warunki walki, zaborów. Ta klasa społeczna przestanie istnieć i nie musimy tego – być może – żałować.

Bohdan OSADCZUK:

Jeśli chodzi o Ukrainę, to rozwój i kształtowanie się inteligencji na Ukrainie przebiegały odmiennie niż w innych krajach, zwłaszcza w Polsce. Zadecydowały o tym takie czynniki jak inne układy historyczne i geopolityczne, utrata własnych elit na skutek przymusowej lub dobrowolnej asymilacji szlachty, co w sumie doprowadziło do opóźnienia historycznego i powstania bardzo odmiennych struktur społecznych. Na Ukrainie ukształtowała się inteligencja głównie chłopskiego pochodzenia, odmienna od polskiej czy węgierskiej, o podłożu szlacheckim lub mieszczańskim. Inaczej przebiegały też wpływy ościenne, zwłaszcza związki z kulturą Europy Zachodniej, wpływy Francji czy Włoch na jednym biegunie a Bizancjum na drugim.

Inaczej potoczyły się losy Polski i Ukrainy po epoce niewoli. Pozornie obce zabory były podobne, ale potencjały oporu i trwanie przy korzeniach narodowej tożsamości były bardzo rozmaite. Generacje Polaków pod obcą okupacją państw zaborczych mogły się skuteczniej bronić przed wynarodowieniem dzięki tradycji długiej i nieprzerwanej państwowości. Ukraińcy tych tradycji w takim zasięgu nie mieli, wobec czego skutki niewoli były bardziej dotkliwe.

I jeszcze jeden – moim zdaniem – doniosły aspekt, mianowicie okres między obydwoma wojnami światowymi. Dla narodów, które po pierwszej wojnie uzyskały niepodległość, okres ten okazał się w późniejszej dobie europejskich kataklizmów, zbawiennym. Dwudziestolecie niepodległości stało się skutecznym lekiem przeciwko forsowanej przez Moskwę i rodzime reżymy komunistyczne sowietyzacji. Natomiast kraje, które nie zdołały zachować samodzielności na skutek własnej słabości i braku pomocy ze strony zwycięzców, nie posiadały tych rezerw oporu. Zresztą zarówno zwycięzcy, jak też nowo powstałe państwa, pozostawiły podbite przez komunistyczną Moskwę kraje sam na sam z molochem. Utworzony wzdłuż granic ZSSR *cordon sanitaire* był symbolem egoizmu i dowodem nieposkromionej głupoty, wyrazem zdrady ideałów wolności i wspólnoty wartości europejskich. Powtórzy się to

jeszcze nieraz, w zdradzie monachijskiej wobec Czechosłowacji w 1938 roku, w Jałcie w 1944 r. a obecnie wobec Czechenii.

Ta obojętność pozwoliła Stalinowi zupełnie dowolnie stosować terror policyjny, gospodarczy, etniczny. Ukraińska inteligencja wszystkich odcieni od konserwatywnej, poprzez liberalną do lewicowej, została zdziesiątkowana, duchowo złamana po dodatkowym terrorze okupacji hitlerowskiej, zepchnięta do służalczej roli jako multiplikator totalitarnej woli partii w nauce, literaturze, sztuce. Kiedy „imperium wewnętrzne” czyli stary ZSSR sprzed drugiej wojny światowej, powiększyło się po tej wojnie o tak zwane „imperium zewnętrzne” czyli o kraje satelickie, system stosunków międzynarodowych uległ zmianie. Powstały nowe zasady gry, na miejsce dawnej obojętności i odcięcia się od Wschodu, doszły zmieniające się elementy współpracy i konkurencyjności.

Ukraina tylko częściowo zyskała na tej zmianie, a więc w realizacji dążeń do terytorialnego zjednoczenia swych etnograficznych ziem, uzyskania pseudosuwerennego statusu w postaci przynależności do Organizacji Narodów Zjednoczonych. Ale duchowe różnice, powstałe z odmiennych kolei bytu w okresie międzywojennym, pozostały w postaci dwóch rozmaitych świadomości i ukrytych lub otwartych postulatów. Na skutek powstałych zmian w stosunkach międzynarodowych i rosnącej rywalizacji pomiędzy powstającą koalicją atlantycko-europejską i formacją stalinowsko-sowiecką, inteligencja stała się zarówno instrumentem jak też uczestnikiem gry, zwłaszcza od czasu niewypowiedzianej ale rozgorzałej „zimnej wojny” po raz pierwszy w historii dzięki rozwojowi techniki komunikacyjnej przenikającej granice i zakazy cenzury.

Dla Ukrainy Polska w tej dziedzinie odegrała niezwykle doniosłą rolę. Była i jest szkołą intelektualnego oporu, swobody myśli, światopoglądowego pluralizmu. Nieprzypadkowo młodzi a nawet starsi Ukraińcy w okresie „Solidarności” zaczęli się na gwałt uczyć polskiego. Zresztą ów duch wolności przyczynił się walcie do zniknięcia wśród Ukraińców starych, negatywnych stereotypów o „Lachach” i „Białopolakach”.

Ale mimo zwycięstwa wolności i upadku komunizmu zegary w naszych krajach poruszają się niejednakowo.

Ukraińscy intelektualiści wykonują syzyfową pracę. Po pierwsze przywracają zatartą i prześladowaną pamięć historyczną. Zapełniają treścią „białe plamy” w ojczystej literaturze, drukują i wydają od dawna zakazane dzieła literackie, a po drugie usiłują przełamać długoletnią izolację i prowincjonalizację, odbudowują dawno zerwane mosty ze światem zewnętrznym.

Nie bardzo się zgadzam z rozwiniętą tu przed nami przez Czesława Miłosza wizją westernizacji naszego świata słowiańskiego i nadbałtyckiego i powszechnego zwycięstwa cywilizacji amerykańskiej. Może w wypadku Polski to nastąpi, ale taki skok u moich ziomków tak od razu od kołchozu do internetu jakoś mi nie wchodzi w głowę.

Jestem nietypowym Ukraińcem, bo urodziłem się w Kołomyi, a wychowałem w Polsce, w Kongresówce. Ojciec był wysiedlonym w latach dwudziestych nauczycielem. Nie chodziłem do szkoły, bo nie chciałem, bojkotowałem szkołę. W młodości nie umiałem pisać, potrafiłem tylko czytać drukowane litery z gazet. Wychowywałem się między pastwiskiem, bo bardzo lubiłem jeździć konno, bez siodła, na oklep, i między dworkiem, bo tam chodziłem do biblioteki. Dzisiejsze miasteczka w dawnej Kongresówce bez Żydów są tak samo smutne, jak miasta galicyjskie bez Żydów. I Halicz, i Kołomyja, i Sambor itd. Na szczęście na Ukrainie jest jeszcze prawie trzysta tysięcy Żydów.

Kołomyja uratowała mi życie. Ponieważ ja nigdy nie byłem w żadnej armii, nigdy nie strzelałem i mam do tego odrazę, zawsze uciekałem przed takimi strasznymi rzeczami. Studiowałem w Berlinie i musiałem pracować żeby z czegoś żyć. Zgłosiłem się po kartę pracy, a Kołomyja po niemiecku to Kolomea. Niemiec pyta mnie: „Pan jest z Włoch?” Ja mówię: „Nie, z Galicji”. On mi na to: „Niech mi pan nie zawraca głowy, Galicja jest w Hiszpanii, a pan jest Włochem”. Dostałem tę kartę pracy jako Włoch. Wszyscy moi koledzy uciekli, a ja zostałem, bo chciałem zobaczyć jak się ta Trzecia Rzesza kończy, jak Czerwona Armia zdobywa Berlin. No i parę razy było bardzo nieprzyjemnie. Tylko że jak wpadałem w obławy, to pokazywałem mój dokument i słyszałem: „To tylko zafajdany Italianiec”. Dzięki temu udało mi się przeżyć i to wszystko zobaczyć.

Wracam do tematu i do kwestii stereotypów, obrazów naszych narodów. Przeczytany przez pana Beauvois list nie jest najpiękniejszy i świadczy o występujących jeszcze pozostałościach. Mimo *Kultury* i tego wszystkiego co zrobiliśmy. Nie czarujmy się i nie łudźmy się, jest to długa, długa operacja i wymaga wiele czasu i wiele cierpliwości. Nie od razu Kraków zbudowano i nie od razu zbudujemy przyjaźń polsko-ukraińską. Dużo z tych stereotypów o Rezunach i o Lachach, Białopolakach zniknęło. Podczas moich wędrówek po Ukrainie od Lwowa do Charkowa, Czernikowa, Kamieńca Podolskiego, ostatnio do Odessy, zauważyłem, że w gruncie rzeczy więcej tych antypolskich stereotypów jest na Zachodzie, na pograniczu między Przemyślem i Lwowem czy Tarnopolem. Im dalej na Wschód, tym mniej jest antypolskości, przeciwnie, najwięcej sympatii dla Polski jest w Charkowie, w Odessie, w Dniepropetrowsku.

Tamta Ukraina widziała Polskę inaczej. A Polska widziała Ukrainę tylko z perspektywy galicyjskiej. Polski punkt widzenia do niedawna, a po części występujący jeszcze dziś, to jest perspektywa do Zbrucza, skierowana tylko na Lwów i na Galicję, nawet Wołynia nie znają. Ja właściwie Ukrainę poznałem – co jest ważne w moim życiorysie politycznym, w moim spojrzeniu na Ukrainę – przez oficerów petlurowców, którzy chodzili po Polsce i sprzedawali obrazy. Żyli w nędzy po wyjściu z obozów internowania po Traktacie Ryskim. Gdy nocowali u nas, opowiadali mi o Połtawie, o Winnicy, o Kamieńcu Podolskim, o Kijowie, o Charkowie, o tej dużej Ukrainie. I taka u mnie utopia wyrosła o tej wymarzonej Ukrainie, nie tej małej, galicyjskiej. Jak jadę do Kijowa czy do Charkowa, to widzę ten ogrom przestrzeni i jestem wtedy u siebie w domu. Tego nauczyłem się od tych wędrujących petlurowców, którzy zaszczepili mi miłość do Ukrainy. Dzięki nim nie stałem się antypolskim nacjonalistą, co było bardzo łatwe, gdy weźmie się pod uwagę deportację ojca. Powiedziałem sobie kiedyś, że będę się starał dalej w moim życiu, w skromnym zasięgu, działać w tym duchu, w którym działali Piłsudski i Petlura. Jestem temu wierny i znalazłem trybunę, poparcie i możliwość realizowania tego wszystkiego razem z Jerzym Giedroyciem, któremu zawdzięczam bardzo dużo,

przede wszystkim stałe dążenie, żeby robić to dalej.

Bez *Kultury* i bez Giedroycia nie byłoby takich stosunków polsko-ukraińskich, jakie istnieją. One są dobre, one wymagają ogromnych wysiłków, żeby to, co jest zrobione na górze, w elitach, poszło w lud, w naród, w społeczeństwo, żeby się rozszerzyło we wszystkich dziedzinach. To jest ogromne zadanie, ale zasadnicze fundamenty są położone i z tej drogi zejść nikomu już nie będzie można.

Krzysztof POMIAN:

Mamy całkiem sporą listę osób, które zgłosiły się do dyskusji, ale zanim udzielę głosu kolejnym dyskutantom, chciałbym prosić o zabranie głosu pana Rektora Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, prof. Mariana Harasimiuka, który jest jednym z bohaterów imprezy jako patron jednego z najlepszych wydawnictw uniwersyteckich w Polsce.

Prof. Marian HARASIMIUK:

Proszę państwa, jest mi niezmiernie miło, że mogę wystąpić wobec tak szacownego grona. Dziękuję za miłe słowa, które pan prof. Pomian wypowiedział pod adresem naszego wydawnictwa.

Nieskromnie powiem, że dołożyliśmy wielu starań w ciągu ostatnich sześciu lat, żeby to wydawnictwo stało się wydawnictwem godnym tego określenia.

Jeśli chodzi o nasze zamierzenia dotyczące *Kultury*, to były one świadome od samego początku, od kiedy dyrektorem wydawnictwa został pan Andrzej Peciak, ściśle związany ze środowiskiem *Kultury* wcześniej, i na propozycję, że powinniśmy wydać jak najwięcej dorobku *Kultury*, odpowiedź Uniwersytetu była jednoznaczna: będziemy wydawali te

elementy, które są potrzebne dla prezentacji dorobku *Kultury* społeczeństwu polskiemu, które może nie zawsze i nie w pełnym zakresie odbierało *Kulturę* tak, jak powinno. Z całą pewnością *Kultura* kształtowała poglądy bardzo szerokich kręgów społeczeństwa, ale dzisiaj jak gdyby jej rola trochę maleje, bo procesy w Polsce są dziś zupełnie inne. Te procesy polityczne, gospodarcze, a niestety także i bardzo szerokie procesy społeczne, które niosą ze sobą wiele cech negatywnych.

Chcę, byśmy publikując książki związane z *Kulturą*, łącznie z ostatnim wyborem tekstów pod tytułem „Wizja Polski na łamach *Kultury*”, mogli przekazać pewne treści także studentom, tym, którzy nie sięgną może do oryginalnych wydań *Kultury*, bo nie wszędzie ona jest dostępna, i traktowali to wydanie jako w pewnym sensie podręcznik akademicki. Bo tak dzisiaj te teksty rozumiemy na Uniwersytecie. One powinny wejść jako kanon kształcenia uniwersyteckiego, kanon kształtowania myśli.

Dochodzimy tutaj do tych problemów, o których toczy się dyskusja. Co to jest inteligencja i jaka jest dzisiaj rola uniwersytetów w kształtowaniu inteligencji? Padały tu nie dosłowne, ale różne definicje inteligencji. Czy nie jesteśmy przypadkiem świadkami – używając tytułu książki Mieroszewskiego – „finału klasycznej inteligencji”? Jesteśmy, być może, przed budową zupełnie nowego pojęcia. Co to jest inteligencja i jaką ma rolę do spełnienia w społeczeństwie? Jako rektor uniwersytetu, mam pełną świadomość, że nie każdy absolwent, któremu dajemy dyplom ukończenia studiów jest inteligentem. Niektórzy są rzemieślnikami z dyplomem uniwersyteckim, ale mam nadzieję, że jednak większość absolwentów uniwersytetów w Polsce to są, lub będą, inteligenci.

Co ma do zrobienia dzisiaj inteligencja w Polsce? Ma ogromne zadania. Poprzez różnego rodzaju zawirowania polityczne, gospodarcze, jesteśmy świadkami ogromnej dezorientacji społeczeństwa co do tego, co w życiu społecznym jest wartościowe, a co wartościowe nie jest. I tu widzę przede wszystkim ogromną rolę inteligencji. Inteligencja ma wskazać społeczeństwu to, co jest wartościowe w dzisiejszych czasach i ku czemu powinniśmy zmierzać. Tę rolę wiodącą powinny

– moim zdaniem – przejąć uniwersytety jako ośrodki kulturotwórcze, jako ośrodki pracy dużej części inteligencji. Myślę, że w najbliższych latach możemy się spodziewać takich tendencji w przesuwaniu się ośrodków kulturotwórczych ku uniwersytetom. Uniwersytetom bowiem udało się w ciągu ostatnich dziesięciu lat zachować jeszcze pewien autorytet, kiedy prawie wszystkie autorytety zostały zniszczone i kiedy my ich dzisiaj potrzebujemy. Uniwersytety są apolityczne, w ostatnich latach przeszły bardzo wyraźną ewolucję ku apolityczności, i tu jest ich pewna legitymizacja. Są spoza kręgów władzy, która jest bardzo różnie oceniana, na ogół negatywnie, wszystko jedno czy władza jest lewicowa czy prawicowa. W takiej sytuacji społeczeństwo potrzebuje czegoś pozytywnego, bo nie da się w negatywach funkcjonować całemu społeczeństwu. Myślę, że uniwersytety powinny, chcą i mogą, spełniać taką właśnie funkcję kulturotwórczą wyznaczania pewnych kierunków myślenia i pewnych kierunków działania dla całego społeczeństwa.

Prof. Hanna MALEWSKA:

Chciałabym do naszej dyskusji wnieść pewną propozycję zróżnicowania inteligencji ze względu na generacje. (...) Trzydziesto- i czterdziestolatki bardzo się różnią. Ja nie prowadziłam na ten temat badań, więc mówię o moich impresjach, które oczywiście pochodzą z pewnego określonego środowiska. Stykam się ze środowiskiem studiów zaocznych, stykam się ze środowiskiem młodych inżynierów, stykam się wreszcie z bardzo dynamicznym środowiskiem ludzi, którzy organizują szkoły prywatne. Otóż w ciągu ostatnich dwóch, trzech lat ja nie widzę tam żadnej nostalgii, widzę propozycje przyszłości, widzę ludzi, którzy organizują nową rzeczywistość. Nawet jeśli – i tu jest mowa o środowisku szerszym – obserwuje się konsumpcję, to prawie nikt już nie kupuje antyków i dawnych dworków, tylko komputery i internet.

Mnie się wydaje, że te uwagi – skądinąd bardzo słuszne

i przemysłane – trzeba po części zróżnicować, jeśli chodzi o generacje.

Jeszcze dwa słowa o studentach, o wyborze kierunku studiów. Otóż, jak wiadomo, wybierane są studia ekonomiczne, studia technologiczne – niekoniecznie, bo już są kłopoty z politechniką. Wybierana jest nawet psychologia. Ale jakie kierunki? Ludzie chcą robić magisteria z biznesu, z *menagement*'u, zajmują się reklamą. Mówię oczywiście o moich impresjach, a ja nie obracam się w środowisku literackim. Środowisko literackie, środowisko tej humanistycznej inteligencji w wąskim znaczeniu, na pewno jest inne. Ale skoro mowa o inteligencji, to chciałam powiedzieć o tym, że jest inteligencja i inteligencja, i zróżnicowanie generacyjne jest ważne.

Prof. Bożena PUCHALSKA:

Pierwsza uwaga dotyczy tego, co mówił pan Czesław Miłosz na temat roli inteligencji w wielkich ruchach społecznych w 1980 roku. Chciałabym tylko przypomnieć, że „październik 1956 był zapoczątkowany i właściwie prowadzony przez grupy inteligencji, do których dołączyli później robotnicy, szczególnie Żerań w Warszawie. Był to ruch, który był prekursorem następnych ruchów, bo także i KOR-u, i Solidarności. Powiedziałam kiedyś Adamowi Michnikowi: „Wy przecież jesteście naszymi dziećmi”. Jeśli chodzi o rolę inteligencji, o rolę ludzi z uniwersytetu, to była ona bardzo duża. Nie należy jednak zapominać, że po 1956 roku nastąpiły pewne niekorzystne zmiany.

Chciałabym też ustosunkować się do samego określenia „inteligencja”. Bo mówi się o inteligencji, o inteligencji humanistycznej, to znaczy pisarzach, malarzach, kompozytorach. Wydaje mi się, że jest to daleko idące nieporozumienie. Bo ja sama jestem fizykiem, pracuję w środowisku fizyków, biologów, matematyków. Są to przecież ludzie absolutnie twórczy. To, że pisarze czy malarze nie rozumieją matematyki, nie oznacza, że matematycy nie są ludźmi odgrywający-

mi niezwykle ważną rolę w życiu naszego narodu. Może to i dobrze, że w przyszłości zniknie nazwa „inteligencja”, ale póki istnieje, chciałabym zwrócić uwagę, że tacy ludzie jak Groszkowski, czy inni wybitni fizycy, matematycy, odgrywają niezwykle ważną rolę także w polskim życiu intelektualnym.

Andrzej NAKOW:

Postaram się bardzo krótko sformułować parę uwag na temat dzisiejszego spotkania. Jestem historykiem sztuki, zajmuję się sztuką XX wieku, a zwłaszcza sztuką rosyjską początku XX stulecia.

Takie spotkanie nie jest dzisiaj możliwe w Rosji, ani w Paryżu. Z bardzo prostej przyczyny: znajomość języków obcych u inteligencji rosyjskiej jest teraz tak nikła, że to jest absolutnie niemożliwe. W tej chwili w Rosji inteligencja jest jak trawa, która pod śniegiem dopiero się pokazuje. Jestem w życiu optymistą i wierzę, że się to zmieni, bo znam parę osób, które pracują nad tematami humanistycznymi. W pełni zgadzam się z wizją profesora Kołakowskiego dotyczącą tego ustroju, gdyż ten ustrój wyjątkowo agresywnie walczył z całą kulturą krótkiego okresu kontaktu Rosji z Zachodem. Był to wyjątkowo krótki okres, w którym publikowało się na przykład teksty markiza de Custine'a nieocenzurowane. Jest to okres zaledwie paru lat, do 1912 bodajże roku.

Chciałbym przypomnieć też fakt, że w Rosji pokolenie inteligencji było w sposób bestialski wymordowane w latach trzydziestych i później. Świadczy to o czymś więcej niż samo planowane zniszczenie tego pokolenia. Pokolenie to było niszczone w sposób niezwykle brutalny, agresywny, co świadczy o zupełnie nieświadomych pozycjach i przyczynach ludzi, którzy z tym walczyli.

Chciałbym zwrócić uwagę państwa na to, że kultura polska, która przetrwała ten system i inwazję ideologii komunistycznej, przetrwała dzięki emigracji, dzięki paryskiej *Kulturze*, czego w Rosji nie było. W Rosji parę pokoleń zostało zniszczonych. Emigracja rosyjska na Zachodzie, w chwili

gdy po pierwszej wojnie światowej stała się emigracją, już w owym czasie była w konflikcie z nowym pokoleniem rosyjskim, które jest tematem moich studiów, pokoleniem tak zwanej awangardy intelektualnej, plastycznej, muzycznej itd. Gdy to pokolenie lat dziesiątych wyjawiało swój temat, już było w opozycji z poprzednim. A to poprzednie pokolenie wyemigrowało. W ten sposób dwóch wrogów napadło na kulturę, która miała rozwijać się dalej. Zawsze mówiłem moim przyjaciołom na Zachodzie, że ustrój komunistyczny upadnie w Polsce, w Czechach, na Węgrzech w chwili, gdy armii sowieckiej nie będzie w tych krajach.

Wydaje mi się, że sprawa pokoleń i ciągłości jest wyjątkowo ważna. Chciałbym podkreślić, że polska kultura, kultura XX wieku i kultura rosyjska, która – mam nadzieję – nie umrze, zawdzięcza bardzo dużo panu Redaktorowi. Dlaczego? Bo on miał wizję kulturową Europy otwartą na Rosję, nie nacjonalistyczną, nie było tam żadnej fobii kultury słowiańskiej czy kultury rosyjskiej. Jest to pozycja właściwie jedyna, która jest dzisiaj do przyjęcia na świecie i w Europie.

Książdz Superior Henryk HOSER:

Chciałem, jako kolejny już mówca, nawiązać do wypowiedzi profesora Krzysztofa Pomiana. Osobiście odczytuję jego wypowiedź jako bardzo trafną, adekwatną w stosunku do pewnej grupy, zapewne nie większościowej, wśród polskiej inteligencji. Używając języka pana Czesława Miłosza: jednego plemienia, które funkcjonuje obecnie wśród polskiej inteligencji. Pojawienie się tego nurtu, który niewątpliwie jest zauważalny, jawi się prawdopodobnie w związku z przemianami, jakie nastąpiły. Pozorna jedność polskiej inteligencji była spowodowana mobilizacją wobec wspólnego przeciwnika, albo opowiedzeniem się za lub przeciw, i w związku z tym te czynniki wyznaczały kryteria klasyfikacyjne polskiej inteligencji. Obecnie, gdy sytuacja się ogromnie skomplikowała, a przede wszystkim bardzo zróżnicowała, kiedy przyszłość jest dużo bardziej mgławicowa niż się to nam wydawało kiedyś,

następuje wśród inteligencji odruch identyfikacyjny, sięgający do jej korzeni. W ten sposób część identyfikuje się z nurtem szlacheckim, z dworku, nurtem bardzo tradycyjnym, który – być może – jest modelem dla wielu. Natomiast nie ma on wielkiego wpływu na przebieg wydarzeń, na to, co się w tej chwili dzieje.

Ciekawa byłaby próba scharakteryzowania tej, być może większościowej, grupy inteligencji technicznej, czy pochodzenia robotniczo-chłopskiego, która doznała niewątpliwie jakiejś wielkiej promocji społecznej. Jest to inteligencja, która też – być może – szuka swoich korzeni i identyfikuje się z jakimiś innymi korzeniami, aczkolwiek ta identyfikacja również najprawdopodobniej nie ma wielkiego wpływu na przebieg wydarzeń, na codzienną rzeczywistość.

Pan profesor wspomniał również o wiejskiej kondycji inteligencji katolickiej, która kiedyś miała być lepsza. Wydaje mi się, że tę opinię też można by zrelatywizować. Twórczość inteligencji jest obecnie jedną z wielu. Ginie w bardzo szerokim wachlarzu środowisk, które się w tej chwili manifestują, które publikują, które zabierają głos na areopagu. Niemniej jednak wydaje mi się, że jest nadal prężny, dynamiczny nurt – w dobrym tego słowa znaczeniu – inteligencji katolickiej, który przecież nie wymarł i rozwija się. Wielu takich autorów czytamy czy słuchamy dość często.

Adam MALDZIS:

Chciałbym zabrać głos na temat: inteligencja polska a inteligencja białoruska, oraz powiedzieć parę słów o tym, czego oczekujemy od inteligencji polskiej i jakie mamy wobec niej zastrzeżenia. Przecież w XVII wieku nasz Franciszek Skoryna szeroko otworzył drzwi do Europy a ukończył on – chciałbym to przypomnieć – Wszechnicę Jagiellońską. XV stulecie to fala odrodzenia, które zostało przerwane po powstaniu z 63 roku. Mówiono tutaj o inteligencji chłopskiej i inteligencji szlacheckiej. Inteligencja białorusko-polska XIX stulecia to inteligencja szlachecka i prawie wszyscy nasi pi-

sarze XIX wieku, bo i Bohuszewicz, i Łuczyna, i Hurynowicz pisali równocześnie w języku białoruskim i w języku polskim. Trochę to miało swój początek w Paryżu. To przecież Adam Mickiewicz podczas swoich wykładów w Collège de France tak świetnie scharakteryzował język białoruski jako jeden z najczystszych języków. Adam Mickiewicz władał oczywiście tym językiem. Pierwsza książka o Białorusi wydana poza jej granicami to „Białoruś” Aleksandra Rybińskiego, która ukazała się w Paryżu w 1840 roku. Po powstaniu 63 roku nasz jedyny hrabia w literaturze, jak sam to podkreślał, Sulima Zabołowski próbował tutaj wydawać gazetę. Chcę tutaj podkreślić, że i Janka Kupała, i Łastowski nie tylko wychowali się w środowisku katolickim, zresztą ma im to za złe radio białoruskie. Radio to proponuje, żeby ogłosić anatemę na Dunina Marcinkiewicza i dla Janki Kupały tylko dlatego, że byli katolikami.

Proszę też pamiętać, że był rok 1937 i czym on był dla kultury białoruskiej. Tylko jednego dnia, 27 października 1937 roku zostało rozstrzelanych 19 wybitnych białoruskich pisarzy. Zostało tylko parę osób, bo Stalin powiedział, że jeśli również ich się rozstrzela, to już nikogo nie będzie.

W czasach powojennych, czasach dzisiejszych mamy ściśle powiązania z inteligencją polską, która nam w wielu rzeczach pomaga, ale co do innych, to można mieć pewne zastrzeżenia. Aby być dobrze zrozumianym, chciałbym państwu pokazać stronę z naszej gazety *Słowiński Sobor*, wydawanej przez Rynek Komarowski. Proszę wyobrazić sobie gazetę warszawską wydawaną przez Halę Mirowską! Jest to jednak bardzo poczytna gazeta posługująca się mitem o Białorusi, która ma wszystkich, poza Polakami i Czechami, zjednoczyć. Na pierwszym miejscu na pozór niezrozumiałe zdjęcie – Fara w Grodnie, dalej łagier w Berezie itd. Jest oczywiście mowa o Katyniu jako miejscu zbrodni hitlerowskiej, oczywiście cytuje się słowa pewnego rosyjskiego deputowanego do Dumy, że wszystkie państwa Europy Środkowo-Wschodniej są już pokrzywdzone, poza Rosją i Białorusią i artykuł kończy się słowami, że Polacy chcą nam odebrać Kresy Wschodnie. A polska prasa pomaga takim gazetom, dlatego że takie pojęcie jak Kresy Wschodnie ma – moim

zdaniami – sens tylko historyczny. Stąd prośba do środków masowego przekazu: żeby używać raczej pojęcia „pogranicze”. Gdy ja czytam na przykład w przewodniku po Nowogrodzynie dla polskich uczniów, że Adam Mickiewicz urodził się w Polsce, to od razu zastanawiam się nad tym, komu na Białorusi się to spodoba.

Algis KALEDA:

Chciałbym najpierw poprosić zebrane tu gremium o wylansowanie na laureata Nagrody Nobla Tomasa Venclovę.

Druga sprawa, nawiązując do mojego przedmówcy to ta, że oczywiście z historią nie da się walczyć. Mickiewicz urodził się gdzie? Czy Białoruś istniała wtedy jako państwo? No więc o co chodzi?

Trzecia sprawa dotyczy Rzeczypospolitej szczęśliwej i nieszczęsnej wielu narodów. Czemu czterech? Litwini, Polacy, Ukraińcy, Białorusini. A Żydzi? Pojęcie Kresów jest dość dziwne, ale też nie będziemy chyba z nim walczyć, bo rewizja historii zawsze – niestety – nieszczęśliwie się kończy.

Wpływ pana Jerzego Giedroycia na kształtowanie postawy inteligencji w Europie Środkowo-Wschodniej jest ogromny, ale – mnie się wydaje – że inteligencję, kulturę, środowisko kultury pan Giedroyc pojmował i pojmuje jako stosunek wobec wartości. To jest aksjologia. Dlatego też stawiam pytanie na wzór pana profesora Kołakowskiego: czy Gierek był inteligentem, czy nie? Czy pierwszy sekretarz partii był inteligentem, czy nie? Czy w końcu Lenin był inteligentem, czy nie? Mnie się wydaje, że chodzi o stosunek do tradycji, do wartości. Jest to kryterium niezbędne. Nie jest to ani pochodzenie, ani genetyczne ukształtowanie, tylko stosunek do wartości.

Prof. Michał TYMOWSKI:

Chciałbym odnieść się do treści dyskusji, która rano się

toczyła i która w bardzo ciekawy sposób naświetliła nam co najmniej dwa aspekty stosunku inteligencji polskiej do przeszłości i do przyszłości. Otóż był to aspekt polityczny, bardzo ważny, dotyczący przekształceń ostatnich dwudziestu lat i był to aspekt opiniotwórczy.

Ja chciałbym się upomnieć o jeszcze jedną rolę inteligencji, tak oczywistą w XIX i w początku XX wieku, a w tej chwili zanikającą. Chciałbym zapytać jaka jest opinia państwa o tej trzeciej sprawie, a mianowicie o pewnym obowiązku inteligenta, o tym wszystkim, co się łączy z twórczością Żeromskiego, o zasypywaniu różnicy między tymi dwoma „plemionami”. Czy tutaj twórcza i aktywna rola inteligencji, podjęcie tej roli w chwili obecnej nie dałoby jej oczekiwanego miejsca, które właśnie traci? Ten aspekt społeczny wydaje mi się niesłychanie ważny.

Prof. Leszek KOŁAKOWSKI:

Chciałbym odnieść się do dwóch spraw poruszonych w dyskusji. Jedną podniosła Bożena Puchalska, całkiem słusznie oczywiście, mianowicie, że zaliczamy do inteligencji w tym tradycyjnym, staroświeckim znaczeniu nie tylko humanistów, ale także matematyków, fizyków, biologów, lekarzy. To jest oczywiste, że oni odgrywali rolę i kulturalną, nie tylko zawodową i nadal ją odgrywają. To, że o nich nie mówiliśmy, związane jest ze sprawą starego modelu uniwersytetu. Te uniwersytety które my znamy, w których myśmy się kształcili, miały ambicje wykształcania ludzi nie tylko z umiejętnościami zawodowymi, ale także ludzi zdolnych do uczestniczenia w procesie kulturalnym. Byłaby wielkim niebezpieczeństwem, a raczej jest wielkim niebezpieczeństwem, tendencja, by uniwersytety sprowadzać do zbioru szkół zawodowych, do instytucji uczących określonych zawodowych umiejętności. Gdyby to się stać miało, uniwersytet przestałby istnieć, przestałby być potrzebny, bo mógłby się rozdzielić na wielość szkół, każda z osobnym zawodowym profilem.

Oczywiście ci ludzie: matematycy, fizycy, lekarze, biolodzy

przyczynili się ogromnie do kultury, a nie tylko do ściśle określonych zawodowych zadań. To nie jest specyficznie polski problem, on jest światowej natury, to jest coś, o czym warto myśleć, żeby ten uniwersytet w starym znaczeniu nie zginął. Może też zginąć to, co było w Warszawie, a czego nie ma chyba w Paryżu, na pewno nie ma w Londynie: środowisko inteligenckie, w którym znajdowali się ludzie tak rozmaitych zawodów. Byli tam pisarze, byli aktorzy, byli reżyserzy teatralni i filmowi, byli malarze. Myślę, że tego nie ma w Paryżu i nie wiem czy przetrwa jeszcze w Polsce, a byłoby szkoda, gdyby go nie było. Najważniejsza jednak sprawa to sprawa uniwersytetów.

Jeszcze krótka odpowiedź na pytanie kolegi z uniwersytetu wileńskiego: Lenin był inteligentem. Stalin nie był. A Lenin był, nic na to nie poradzimy.

Możemy tylko powiedzieć, że jest jeszcze jedna strona, o której myśmy w ogóle nie wspomnieli. Mówiliśmy o tradycjach szlacheckich inteligencji, co jest naturalnie prawdziwe, ale nie powiedzieliśmy o tym, że byli również Żydzi lub ludzie pochodzenia żydowskiego w drugim pokoleniu. Kiedy zaczęła się tak zwana emancypacja, Żydzi weszli we wszystkie części inteligencji polskiej i odegrali tam ogromną rolę, nie będąc – jak by nie było szlachciami.

SESJA POPOŁUDNIOWA

„SWOI I OBCY”

Tomasz STRÓŻYŃSKI:

Przedpołudnie poświęciliśmy problematyce inteligencji polskiej, teraz dyskusja potoczy się na inny temat, który jest istotnym tematem antologii Grażyny Pomianowej, mianowicie: „Swoi i obcy”.

Przewodniczyć obradom będzie pan Daniel Beauvois, niegdyś twórca polonistyki na Uniwersytecie Lille III, później

profesor Sorbony, Uniwersytetu Paryż I, wybitny historyk Polski, Ukrainy.

Prof. Daniel BEAUVOIS:

Chciałbym najpierw podziękować panu dyrektorowi za wielki zaszczyt zaproszenia mnie do przewodniczenia tak ważnej sesji. Temat „Swoi i obcy” brzmi prawie identycznie jak artykuł, który napisałem 6-7 lat temu i zatytułowałem „Oni i inni”. „Oni” to byli ziemianie w Polsce. Było to studium o reakcjach, o wizji ziemiaństwa polskiego wobec sąsiadów z tak zwanych Kresów dawnej Polski. Okazuje się, że konkluzja tego artykułu była dość pesymistyczna, bo doszedłem do przekonania, że „inni” w ogóle bardzo mało istnieli w oczach tego ziemiaństwa, przynajmniej w tych pamiętnikach, które analizowałem. Wydaje mi się, że jeżeli ci „inni” istnieją obecnie przynajmniej trochę więcej, to zawdzięczają to naturalnie *Kulturze* i ogromnej pracy Redaktora Giedroycia. Pani Pomianowa pokazuje to doskonale w swej nowo wydanej książce. Jej wybór doskonale ilustruje wszystkie aspekty działalności tego pisma i szczególnie dobrze oświetla problem stosunków polsko-litewskich, polsko-białoruskich, polsko-ukraińskich, polsko-niemieckich, polsko-rosyjskich i polsko-żydowskich.

Prenumeruję *Kulturę* już od czterdziestu lat. Gdy zostałem mianowany dyrektorem Ośrodka Kultury Francuskiej, jeden z moich polskich znajomych podarował mi w prezencie prenumeratę Kultury. Muszę powiedzieć, że od tego czasu nie opuściłem tego pisma i tym bardziej się cieszę, że pan Giedroyc jest również moim wydawcą. Wydał jedną z moich książek. Idee *Kultury* są mi zatem bardzo bliskie, co ściągą czasami na mnie opinie zupełnie nieoczekiwane.

Chciałbym, jako wprowadzenie do tematyki, zacytować pismo, które dotarło do Biblioteki Polskiej dokładnie pięć dni temu. Jest to pismo wysłane przez panią Krystynę Kierską-Rucińską z Orleanu. Do listu dołączyła wycinek z prasy z omówieniem książki pióra pana Krzysztofa Burzackiego.

Książka ma tytuł „Zawsze wierni Tobie, Polsko”, jest wydana w Jeleniej Górze przez Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, ma 260 stron. Okazuje się, że ta książka poświęca mojej skromnej osobie cały rozdział, żeby skrytykować jeden z moich artykułów pod tytułem „Mit Kresów Wschodnich, czyli jak im położyć kres”. Pani Kierska-Rucińska wyraża się w taki sposób: „Protestuję przeciw trwającemu od lat przeinaczaniu prawd historycznych o polityce Polski wobec Rusinów i Kozaków, obecnie nazywanych Ukraińcami, na dawnych wschodnich ziemiach polskich. Systematycznie na konferencjach oczernia się Polskę i Polaków, w czym celuje specjalnie pan Daniel Beauvois, pomijając milczeniem dawne postępowanie i zdrady Kozaków jak i potworne mordy popełniane na niewinnej ludności polskiej” itd. Są tego trzy strony.

Doszedłem więc do wniosku, że praca *Kultury* wcale się nie skończyła. Jeżeli jeszcze są ludzie zdolni do pisania takich rzeczy, to świadczy to o tym, że czeka nas jeszcze bardzo wielka praca.

Najpierw oddaję głos panu Aleksandrowi Ancipence z Mińska, który będzie mówił w moim języku, za co ja mu dziękuję serdecznie.

Aleksander ANCIPENKO:

Chciałbym poświęcić me wystąpienie stosunkom rosyjsko-białoruskim czy białorusko-rosyjskim, mimo że mamy też innych sąsiadów. Oczywiście jednak jest, że najpoważniejsze i najdonioślejsze problemy dotyczące przyszłości mojego kraju związane są z naszym sąsiadem ze Wschodu. Chciałbym rzec kilka słów na temat rozwoju tych stosunków w czasach niepodległości Białorusi.

Trzeba to jasno powiedzieć, że od samego początku nastawienie Białorusinów było antyrosyjskie, a politycznym symbolem tej antyrosyjskiej opozycji był pan Woźniak, ówczesny lider Frontu Narodowego. Jeden z jego artykułów opublikowany w połowie lat osiemdziesiątych wywołał wiele

szumu i ostrych reakcji, zawierał bowiem bardzo agresywne poglądy antyrosyjskie. Rosjanie byli w nim przedstawieni jako okupanci, kolonizatorzy. Reakcje wywołane tym artykułem były naprawdę bardzo gorące.

Moim zdaniem, artykuł ten był pewnego rodzaju konkluzją antyrosyjskiej polityki, prowadzonej do tej pory przez opozycję i być może wpłynął na pojawienie się Łukaszenki. Białorusinom niezaangażowanym w politykę Łukaszenko chciał pokazać się jako polityk, który potrafi rozwiązać problem opozycji, problem konfrontacji Białorusini – Rosjanie. Wyniki wyborów dowiodły, że Łukaszenko potrafił pozyskać dużo głosów i to właśnie w tych regionach kraju, gdzie białoruska tożsamość była najbardziej niepewna. Są to regiony na wschodzie kraju, to znaczy terytoria graniczące z Rosją, a także regiony południowe, czyli obszary zamieszkałe przez ludzi o tożsamości w połowie ukraińskiej, w połowie białoruskiej. Oczywiście stało się, że prorosyjska retoryka Łukaszenki odniosła w tych regionach sukces, a zarazem okazało się, że ideologia nacjonalistyczna oparta na filozofii ekstremalnie antyrosyjskiej takiego sukcesu nie odniosła.

Począwszy od tej chwili Łukaszenko zaczyna rozwijać swą retorykę białorusko-rosyjskiego braterstwa i marginalizować rolę białoruskiej opozycji demokratycznej. Muszę wszakże powiedzieć, że białoruska opozycja od samych swych początków posługiwała się naprawdę antyrosyjskimi symbolami, a jednym z nich był symbol minionego bohaterstwa. Wielokrotnie powracała do bitwy pod Orszą z XVI wieku, podczas której Białorusini odnieśli zwycięstwo nad dużo liczniejszymi wojskami rosyjskimi. Aby uczcić tę bitwę, opozycja co roku organizowała manifestacje, a manifestacje te miały oczywiście konotację antyrosyjską. Opozycja wykorzystywała równocześnie inne symbole o tej samej konotacji co – moim zdaniem – nie wywołało tych samych reakcji, które wystąpiły w innych krajach, na przykład na Litwie i na Ukrainie. Była to zatem klęska, której waga było bardzo istotna w tym sensie, że straciła na tym białoruska tożsamość polityczna, a opozycja utraciła swą pozycję w społeczeństwie białoruskim.

Muszę powiedzieć kilka słów o traktacie podpisanym ostatnio przez Rosję i Białoruś. Ta utrzymywana przez Łuka-

szenkę prorosyjska linia polityczna znalazła poparcie. Sądę, że jest to traktat niosący dla Białorusi wiele zagrożeń, chociaż istnieją rzeczywiste okoliczności dogodne dla opozycji, aby zapobiec narzuconym w traktacie perspektywom. Prawdziwe zagrożenie niesie ze sobą tworzenie wspólnej przestrzeni informatycznej, jest także obecne w dziedzinie ekonomii i w tym, że procesy demokratyczne w Rosji zostały zastopowane. Nie można zapominać, że w rosyjskim parlamencie były tylko trzy głosy przeciw ratyfikacji tego traktatu, natomiast w białoruskim parlamencie Łukaszenki traktat został ratyfikowany jednogłośnie. Dowodzi to, że białoruskie władze naprawdę nie widzą innej alternatywy dla przyszłego rozwoju politycznego i ekonomicznego.

Trzeba tu powiedzieć, że socjologiczne sondaże na temat postawy Białorusinów wobec Rosjan nie są zbieżne z postawą białoruskich władz. Około 40% ludności białoruskiej wypowiada się za traktatem, jednak wojna w Czeczenii w sposób istotny wpłynęła na jej postawę; liczba osób popierających traktat wyraźnie maleje.

Jeśli chodzi o stosunki Białorusi z Rosją, to problem tkwi w dużej mierze we wzajemnym uznaniu się elit. Wielka to szkoda, ale próby nawiązania kontaktów z rosyjskimi intelektualistami nie doprowadziły – jak dotąd – do zapoczątkowania procesu dialogu. Sądę mimo wszystko, że znajdzie się kilku intelektualistów zdolnych do dostrzeżenia odmienności Białorusinów. Jest to problem rosyjskiej mentalności.

Na zakończenie opowiem historię, która przydarzyła mi się parę lat temu w Moskwie. Przyleciałem na moskiewskie lotnisko, udałem się do tamtejszego hotelu. Kobięcie w recepcji podałem paszport. Obejrzała go i zapytała mnie: „Jest pan ze Wspólnoty Niepodległych Państw?” Odpowiedziałem: „Nie, jestem z Białorusi.” Kobieta ponownie obejrzała mój paszport i powiedziała: „Ależ nie, pan jest ze Wspólnoty Niepodległych Państw!” „Nie, jestem Białorusinem.” Spojrzała na mnie osłupiałym wzrokiem i rzekła: „Ależ my, Rosjanie, jesteśmy nieszczęśliwi!”

Adam MALDZIS:

Chociaż moi ziomkowie mogą mnie posądzić, że jestem chory na brak patriotyzmu, a jednak śmiem stwierdzać, że w europejskiej rodzinie Białoruś dotychczas pozostaje Kopciuszkim. Kopciuszkim pod względem narodowościowym, a więc i państwowym. Kopciuszkim, którego Europa, w tym także Rosja, chce widzieć jeśli nie królowną to chociaż normalną panną na wydaniu, gotową do integracji, wchodzenia do ogólnoeuropejskiego czy jakiegokolwiek innego domu.. Kopciuszka w osobie przeciętnego obywatela, przeciętnego przedstawiciela elektoratu wszystko to mało obchodzi. On tylko co wyszedł, zresztą bez osobliwej chęci, dlatego tylko, że już wyszli inni, z ogólnego baraku pod nazwą Sowietkiej Sojuz. On tylko co zaczął budować, możliwie i dla przyszłego małżeństwa, swoją własną chatkę – nie wieżowiec, nie pałac, nie komunałkę i, naturalnie, nie gułag, a skromną drewnianą chacinę. Jemu zaś znowu proponują jakieś zamążpójścia, jakieś wspólne gmachy. A on jeszcze nie dojrzał do ślubu. W lepszym wypadku on, nie przyzwyczajony do podjęcia samodzielnych decyzji, zechce pójść nie na kobierzec, a pod czyjąś ochrończą czy niby nadziejną spódnicę.

Aby być lepiej zrozumianym, pozwolę sobie na jeszcze jedno porównanie. Białoruś przypomina mi (Państwo pozwoli, że pozostanę przy poprzedniej wizji własnego domu) gmach, zbudowany pośpiesznie, na nietrwałym i chwiejnym fundamencie. Największe wrażenie robi i zdaje się normalnym dach – system władzy. Przecież u nas wszystko wygląda jak u ludzi i nawet lepiej. Niby mamy dwa parlamenty, dwie flagi i dwa herby. Tylko słów hymnu jeszcze nie mamy... A pod tym dachem stoją ściany – nasza gospodarka, nasza ekonomia. W ścianach tych w związku z kryzysem coraz więcej dziur i dziurek. Nieumiejętnie łątając jedno, powiększamy drugie. W wyniku tego wszystkiego wiatry-przeciagi, które tradycyjnie wieją nad Białorusią ze Wschodu na Zachód i z Zachodu na Wschód, nadszarpują ściany, robią cały gmach chwiejnym. Jednak największe niebezpieczeństwo czai się gdzie indziej. W odróżnieniu od innych europejskich krajów,

ściany tego chwiejnego domu stoją na nietrwałym gruncie, na ruchomym piaseczku, który nie został swego czasu dostatecznie wzmocniony odpowiednim cementem. Cementem tym zaś jest uświadomienie narodowe, pamięć historyczna, spuścizna kulturalna naszych przodków. A w innych krajach Europy Środkowej i Wschodniej (może z wykluczeniem wschodniej Ukrainy) pamięć ta jest święcie szanowana, jest podstawą narodowego bycia.

Dlaczego jednak tak się stało, że pamięć historyczna, uświadomienie narodowe są u białoruskiego Kopciuszka o tyle nietrwałymi, że stale są kwestionowane nie tylko przez sąsiadów, lecz i przez niego samego. Bardzo często wstydzi się on, osobliwie na szczęblu codziennego bycia swojej białoruskości. Rodzi ona u niego kompleks niższości, co z kolei przeszkadza przetworzeniu Kopciuszka jeśli nie w królownę, to chociaż w pannę roztropną i zdatną do świadomej integracji.

Przyczyn takiego wyjątkowego zaniku historyczno-narodowej pamięci jest kilka. Tu i przeciągłe wchodzenie ziem białoruskich do wspólnych utworzeń państwowych – Rusi Kijowskiej, Wielkiego Księstwa Litewskiego, Rzeczypospolitej, Imperium Rosyjskiego, Związku Sowieckiego. Tu i bliskie brzmienie imienia własnego z imionami własnymi sąsiednich narodów, co przeszkadzało samoidentyfikacji: onegdajszy Rusin – to niby dzisiejszy Rosjanin, Litwin – to niby dzisiejszy Litwin etniczny, a wczorajszy Żmudzin. Tu i rozdwojenie religijne, konfesjonalne: jeśli jesteś katolikiem, to musisz być Polakiem, jeśli prawosławnym – to Rosjaninem, a Unia, która miała szansę stać się religią narodową, ale nie stała, została skasowana w latach trzydziestych ubiegłego stulecia i pamięć o niej, w odróżnieniu od Ukrainy, omal zaginęła. Tu i sławetna białoruska tolerancyjność, która była naszą siłą, gdy byliśmy silnymi (w WKŁ), i stała się teraz naszą słabością, gdy jesteśmy zfrustrowani. Proszę przypomnieć sobie rok 1921, gdy w wyniku Traktatu Ryskiego białoruskie ciało narodowe zostało przepołowione i pod wielu względami pozostaje takim nadal, potrzebuje duchowego scalenia. Proszę przypomnieć sobie także rok 1937, gdy tylko w jednym dniu, 29 października, zostało rozstrzelanych kilkunastu wybitnych pisarzy białoruskich, czy lata 60-te, gdy Chruszczow otworzył

przed Białorusinami ponętą perspektywę pierwszymi przybiec do wspólnego beznarodowościowego koryta. I biegliśmy. I biegniemy dotychczas... W wyniku stulecia polonizacji i rusyfikacji, rusyfikacji i polonizacji, przymusowych i dobrowolnych, a nawet przyjmowanych z aplauzem, jako wybawienie od wszystkich nieszczęść, przywiodły do tego, że Kopciuszek nie bardzo wie, kim jest i kim chciałby się stać. Do swoich kompleksów przyzwyczał się i czasem, jak to bywa z dziećmi, nawet mu z nimi wygodnie.

A Europa, która przeżyła swoje dzieciństwo narodowe o wiele wcześniej, nie bardzo rozumie tego Kopciuszka, a niecierpliwi się jego niegotowością do ślubu, daje mu często klapsa zamiast cierpliwie pouczać i sprzyjać scaleniu. Przecież, proszę Państwa, i na krajach ościennych leży częśćka win za to, że jesteśmy tacy, a nie inni, że w oczach waszych byliśmy nie narodem samodzielnym, a tylko *siewierozapadnymi okrainami* albo „kresami wschodnimi”, a między nimi zupełnie nie było czasem miejsca pod słońcem dla Białorusina. Ja, proszę Państwa, nie chcę tu nikogo oskarżać, nikogo winić, chcę tylko wytłumaczyć, dlaczego Kopciuszek zostaje Kopciuszkiem nawet u progu trzeciego tysiąclecia.

A więc od niezupełnie narodowościowo uświadomionego i dojrzałego Kopciuszka oczekuje się integracyjnych akcji. Z Zachodnią i Centralną Europą, z Rosją, z Serbią czy nawet z krajami bardziej oddalonymi... Takie dążenia są dobre dla krajów, opierających się na wypracowanej w ciągu stuleci świadomości narodowej, mających pod sobą twarde historyczne opory, a są niebezpieczne dla etosu białoruskiego, który nie patrząc na rozpaczliwe wysiłki, nie zdołał jeszcze przebyć ciernisty szlak od kopciuszkowatej tutejszości do narodowości. I jeśli nie zdoła zrobić tego w przeciągu najbliższego czasu, zniknie z mapy świata. Rodzina słowiańskich narodów zmniejszy się o jedną osobowość. A komu taka anihilacja jest potrzebna? Śmiem kategorycznie stwierdzać, że ani Europie Zachodniej, ani Rosji, ani światowej wspólnotie. Może tylko, przychodzi do głowy taka podła myśl, nam samym – aby nie było podstaw dla smutnych rozmyślań nad swoją tożsamością.

Cóż więc trzeba robić aby umocnić fundamenty naszego

państwowo-narodowego utworzenia. Recepty tu są dobrze znane, wymyślać ich nie trzeba. Dostatecznie twórczo wykozystać doświadczenia innych narodów, słowiańskich i niesłowiańskich, które przeżyły w XIX i na początku XX stulecia swe odrodzenia narodowe. Częściami składowymi są uczucia patriotyczne, niestety przyrównywane w Białorusi dzisiejszej i państwach ościennych do niebezpiecznego nacjonalizmu i szowinizmu, stały się umiłowaniem ojczystej (u nas – macierzyńskiej) mowy i kultury, uszanowania spuścizny poprzednich pokoleń. W takim przypadku pamięć genetyczna wiąże obywateli i społeczeństwo ze swoją ziemią. I – jako skutek – gromady tych państw mocno stoją na własnym gruncie, im nie zagrazi żadna integracja. Samouświadomienie tam określa nie tylko kulturę, ale i ekonomię, gospodarkę, bo nie mająca korzeni istota nigdy nie będzie dobrym gospodarzem na darowanej jej przez Pana Boga ziemi.

A teraz – pytanie zasadnicze, dla Państwa chyba banalne, ale dla nas pytanie bolące, bo od niego zależy hamletowskie *to be or not to be*. Co trzeba czynić, aby ten średnioeuropejski czy wschodnioeuropejski Kopciuszek nareszcie dorósł do swoich siostr, aby historia przestała być dla niego macochą i stała się sprawiedliwą matką?

Moim zdaniem, najpierw potrzebna jest, jak się śpiewa w naszym hymnie duchownym *Magutny Boża*, praca pozytywistyczna, praca u podstaw, którą Rosjanie nazywają *po-czwenniczestwom*. Potrzebę takiej pracy my, Białorusini, chyba nawet osobliwie i nie uświadamiamy. My chcemy otrzymać pożądane skutki natychmiast, za pomocą różdżki czarodziejskiej, tylko nie bardzo wiemy, gdzie jej szukać.

Z wewnętrzną rozterką konstatuje, że Białorusini są chyba najbardziej mitologizowanym narodem wśród Słowian a być może i w całej Europie. Nieprzypadkowo mamy taki bogaty folklor, a w nim – tyle fantastycznych baśni, na których wyrosli i Mickiewicz, i Syrokomla, i Kupała. I równocześnie jesteśmy narodem jak najbardziej mesjanistycznym – jak Polacy po Powstaniu Listopadowym, a tyle że teraz pielgrzymi z ziemi białoruskiej chodzą nie do Paryża, a po Warszawie i Wilnie. Nieprzypadkowo przecież mianowicie z Białorusi, z Oszmiany przyjechali do Paryża na furmance Andrzej To-

wiański, a z Mińska, z klasztoru Bazyljanek wybrała się aż do Rzymu matka Makryna Mieczysławska. Palmę ojczyzny słowiańskiego mesjanizmu Białoruś mocno utrzymuje nadal. Nadal my chcemy być zbawcami nie tylko słowiaństwa, lecz i całego świata. Nadal liczymy nie na pracę u podstaw, a prze-ważnie na cud. Opozycja (za wyjątkiem tej młodej) spodziewa się, że oto przyjdzie Zachód, Zachód nam pomoże. Władze zaś święcie wierzą, że oto przyjdzie Wschód, Wschód roz-strzygnie wszystkie nasze kryzysowe problemy. I tylko część chłopów, nie oderwana ostatecznie od ziemi, liczy wyłącznie na pracę na swoich działkach. I tylko grupki młodzieży za-czynają do nowa żmudną pracę oświatową rozumiejąc, że dobra szkoła, dobry podręcznik czy nabożeństwo w języku ojczystym więcej dadzą korzyści, niż inne huczne hasło. Zresztą hasła też są potrzebne, ale nie tylko hasła.

I tutaj u Szanownego Państwa może zjawią się uzasadnio-ne pytania: a cóż ty taki za jegomość, że nawołujesz do tej żmudnej pracy? Czy masz do tego chociaż jakieś prawo oso-biste? Dlatego muszę chociaż krótko opowiedzieć, czym zaj-muje się Międzynarodowa Asocjacja Białorusycystów, którą tutaj przedstawiam, i Narodowe Centrum naukowo-oświato-we imienia naszego luminarza Franciszka Skoryny. Za osiem lat istnienia, nasza Asocjacja zrzeszająca około sześciuset entuzjastów kultury białoruskiej z 23 krajów, w tym też z Francji, wydających kwartalnik *Perspectives Biélorussiennes*, przygotowała 12 tomów *Albarutheniki* poświęconych kontaktom kultury białoruskiej z kulturami państw ościen-nych, a także z kulturą niemiecką, amerykańską, hebrajską, włoską (szkoda, że tutaj nie mogę przywołać kultury fran-cuskiej, lecz sytuację łatwo poprawić), organizowaliśmy około dwudziestu kongresów, sympozjów i okrągłych stołów, po-swięconych teje problematyce. Cztery lata wydajemy mie-sięcznik *Kontakty i Dyjałohi*, który prawdopodobnie będzie miał i wersję angielską. W maju następnego roku w związku z 2000-leciem chrześcijaństwa przygotowujemy Trzeci Mię-dzynarodowy Kongres Białorusycystów z tematyką „Białoruś a światowa wspólnota: współdziałanie i wzajemne wzbogaca-nie się kultur jako czynnik pokojowego współistnienia”, gdzie do rzeczy byłyby i białorusko-polski, i białorusko-francuski

table ronde. A w Banku Informacji Centrum gromadzimy dane dotyczące stosunków społeczno-kulturalnych Białorusi z innymi krajami i narodami. Sądzę, że informacja ta także mogłaby zaciekawić Państwa.

A odnośnie wchodzenia Kopciuszka do wspólnego ogólnoeuropejskiego domu – cóż tu powiedzieć? Byliśmy już zadomowieni w Europie od czasów Skoryny i Statutu Litewskiego pisanego po starobiałorusku. Potem wychodziliśmy z tego domu. Zresztą nie z własnej woli. I jeśli Państwo rzeczywiście chcecie, abyśmy tam wrócili znowu, pomóżcie Kopciuszkowi nareszcie, chociaż w XXI stuleciu, uświadomić sobie, kim on właściwie jest, zrozumieć, że może stać się nawet królowną. Grupka Białorusinów, którzy zebrali się w Łodzi gdzieś na końcu I wojny światowej, stworzyła taką wizję: „Karaleŭstwa Biełaruś”. Pięknie napisał o tym Marian Brandys. Polak.

Daniel BEAUVOIS:

Zabrzmiały tu bardzo ważne słowa, które podkreślają jak ważna i głęboka jest rola *Kultury* w przybliżeniu Ukrainy i Polski. Piękne teksty zebrane przez panią Grażynę Pomian pokazują to jeszcze lepiej, bo są to rewelacyjne teksty, o których teraz mało kto pamięta i które warto ponownie przeczytać. Nasuwa mi się tutaj na przykład artykuł Mieroszewskiego o imperializmach. Nie tylko o imperializmie rosyjskim, o którym się ciągle mówi, ale o imperializmie polskim. Trzeba było mieć niemało odwagi, żeby wypowiedzieć coś takiego wówczas, gdy Polska miała zapędy imperialistyczne. On to powiedział i pomogło to bardzo w sprawie zbliżenia. Podobnie rzecz się ma, gdy pani Grażyna Pomian mówi o dekolonizacji umysłów polskich, co jest bardzo trafnym określeniem streszczającym całą działalność *Kultury* i uświadamiającym Polakom, i w ogóle czytelnikom, że istniało coś takiego jak kolonializm polski. Gdy pisałem o tym w swoich książkach, rzucały się na mnie tłumy przeciwników. Bardzo się więc cieszę, że znalazłem takie słowa napisane piórami pol-

skimi. Badacz z zewnątrz, jakim jestem, stwierdził, że zjawiska te istniały i jest to ogromny postęp, że mówi się teraz o nich otwarcie.

Po Białorusinie, po Ukraińcu, głos ma Litwin, nasz drogi kolega z Wilna, Algis Kaleda.

Algis KALEDA:

Pamiętam wspaniałe spotkanie w Wilnie, kiedy pan profesor Beauvois, pan profesor Norman Davis i inni myśliciele dyskutowali na podobne tematy w letniej szkole i przypomniła mi się taka mała refleksja Normana Davisa, że prace teoretyczne – a chcę tu przypomnieć, że profesor Beauvois jest autorem wielkiej dwutomowej pracy o uniwersytecie wileńskim, rzeczywiście prekursorskiej – trafiają niestety do dziwnego odbiorcy. Kiedy Norman Davis szukał w amerykańskich bibliotekach swojej książki „Biały Orzeł”, znalazł ją... w dziale ornitologicznym.

Jestem pod wielkim wrażeniem wczorajszych wystąpień, niezwykle globalnego referatu profesora Zbigniewa Brzezińskiego, czy Leszka Kołakowskiego. Największe wrażenie zrobiło jednak na mnie wystąpienie pana ministra Bronisława Geremka, który podkreślił na samym początku, że współczesną politykę zagraniczną Polski kształtowała *Kultura* i środowisko Jerzego Giedroycia. To wyznanie było poparte rzeczywistymi przykładami i stwierdzeniem – zwłaszcza miłym dla serca Litwina – że Polska zawsze, oczywiście przy obecnych rządach, będzie jednym z największych adwokatów Litwy w drodze do wspólnoty europejskiej, do NATO itp.

Chcę oczywiście zacząć od stwierdzenia, że Litwa jest tradycyjnie tolerancyjnym państwem. Polacy mieszkali tam i mieszkają od bardzo dawna. Jak wiadomo, Wielkie Księstwo Litewskie, ojczyzna wielu narodów, wielu języków, wielu religii – co podkreślano szczególnie mocno również w ubiegłym roku podczas konferencji mickiewiczowskiej w Collège de France – było prawozorem wspólnoty europejskiej w tamtych czasach. Niestety, jak wiadomo, rozpadło się, ale mnie się wy-

daje, że pamięć o tamtym złotym wieku powinna pozostać.

Chciałbym na początku podkreślić parę znanych rzeczy. Między innymi to, że naród litewski znajduje się w otoczeniu słowiańskim. Przypomniała mi się tu pewna ciekawa historyjka. Rozmawiałem kiedyś z warszawskimi studentami i zapytałem ich, czy Polska ma granicę z Rosją. „Nie, nie!” - odpowiedzieli. Ja im na to, że przecież ma na północy kraju. Byli bardzo zdziwieni, że Polska ma granicę z Rosją. Litwa znajdowała się zatem zawsze w pewnym sensie w postawie obronnej czy też postawie wymuszonej tolerancji. Czasy sowieckie rzeczywiście ukształtowały u co najmniej kilku litewskich powojennych pokoleń świadomość podstępnego zagrożenia. Wpłynęły na rozwój postaw makiawelistycznych, które w dwudziestoleciu międzywojennym były już zapomniane. W okresie sowieckim deklarowano przymusową przyjaźń między narodami, Rosjanin był wówczas starszym bratem, a Polak młodszym, ale też bardzo dużym. O Żydach się nie mówiło, ale też otwarcie nie można było opowiadać kawałów o Żydach. Ten stan naruszenia świadomości kształtowanej w sposób naturalny na pewno wpłynął też na sytuację obecną, chociaż minęło już dziesięć lat.

Chcę tu przypomnieć i podkreślić wielką rolę *Kultury* i jej środowiska. Ja bym to określił jako rolę, jako misję prewencyjną. Cała polityka *Kultury* szła z wyprzedzeniem co najmniej dwudziestu lat. Cytuję wypowiedź Redaktora Giedroycia z 1975 roku: „To, co uważam za najważniejsze, to doprowadzenie do znormalizowania stosunków nie tylko polsko-rosyjskich, polsko-ukraińskich, ale także tych narodów między sobą [... brak nagrania] do normalizacji stosunków między tymi narodami.” Jest to punkt widzenia z Paryża, z Maisons-Laffitte. Ten wpływ *Kultury*, idei środowiska *Kultury* rzeczywiście obserwujemy w bardzo dużym stopniu wśród intelektualnej elity litewskiej. Redaktor Leopold Unger wspominał o spotkaniu z Landzbergisem. Landzbergis czytał *Kulturę* od dawna i te idee są mu bardzo bliskie. Można dorzucić mnóstwo nazwisk litewskich intelektualistów, polityków, działaczy, którzy w tych dawnych czasach różnymi sposobami docierali do *Kultury*, na przykład poprzez emigrację litewską. Środowiska emigracji litewskiej i polskiej

w Stanach Zjednoczonych bardzo ściśle ze sobą żyją i współpracują. Litewskie ugrupowanie „Światło – Porozumienia” jest moim zdaniem zjawiskiem analogicznym do paryskiej *Kultury*. Idee solidarności międzynarodowej, polityki międzynarodowej z Maisons-Laffitte kształtują obecną sytuację narodowościową na Litwie i w ten sposób zmienia się cały układ poglądów i świadomości. Nastąpiło przejście od antagonistycznego poczucia „swój – obcy” do poczucia „swój – inny”. Nie jest to już „obcy”, ale „inny”. Inny człowiek, który jest wartością samą w sobie, właśnie dlatego, że jest inny.

To samo dotyczy kultury. Kultura, zwłaszcza z terenów pogranicza – oczywiście mówię i o Gdańsku, i o Wrocławiu, i o Wilnie, i o Lwowie, i o wielu innych miastach Francji czy Niemiec – ma charakter palimpsestowy, jest to nakładanie się poszczególnych warstw. I tylko barbarzyńcy, albo ludzie nieinteligentni, tego nie pojmują i starają się burzyć ten naturalny układ historyczny.

Problemy narodowe *sensu stricto* na Litwie nie istnieją. I w ustawach litewskich, i w szkole, i na uczelniach, chociaż są podkreślane pewne rozbieżności, to nie ma żadnych oficjalnych ani marginesowych partii, które by się ośmieliły deklorować wrogość wobec innych narodów. Być może występują pewne problemy, ale są one malutkie, malusieńkie. Jest taka anegdota o przewodniku w puszczech litewskich: Chodzi przewodnik z grupą turystów po puszczy i turyści pytają go, czy są w puszczach litewskich łosie. „Oczywiście, że są.” „Czy są żubry?” „Oczywiście, że są.” „Czy są niedźwiedzie?” „Oczywiście, że są.” „Czy są słonie?” . „Oczywiście, że są, tylko takie malusieńkie, malusieńkie.” Tak więc problemy narodowe na Litwie są też malusieńkie, malusieńkie, o ile w ogóle są.

Wiem to z własnego doświadczenia jako kierownik katedry polonistyki. Mamy tam dwie grupy studentów po szkołach polskich studiujących filologię polską jako ojczystą oraz studentów po szkołach litewskich. Nasza polonistyka powstała dopiero w 1993 roku przy poparciu między innymi Redaktora Jerzego Giedroycia, Czesława Miłosza i innych świątłych ludzi. Do 1993 roku polonistyki na Litwie Litwin

nie mógł nigdzie studiować. W Instytutach Pedagogicznych przyjmowano tylko po szkołach polskich. Byli więc skandynawieści, hebraiści, orientaliści, germaniści, angiści itd., natomiast polonistyki Litwin nie miał możliwości studiować, bo warunkiem przyjęcia na studia było ukończenie polskiej szkoły średniej. Patrząc na to młode pokolenie, na współobcowanie w tym tyglu polonistycznym, lituanistycznym czy rusycystycznym, w ogóle filologicznym, to naprawdę jestem optymistą. Dlatego, że poznając język, Litwin ma też możliwość poznania autentycznej kultury nie ze stereotypów przekazanych przez pokolenia, ale przez dotarcie do jej autentycznego źródła.

Na powstawanie prawdziwej znajomości i pozytywnego portretu Polaka niewątpliwie wpłynie fakt, że od ubiegłego roku szkolnego w szkołach litewskich jest też język polski. Litwin musiał w szkole wybierać jeden język zachodni i jako język wschodni miał obowiązkowo rosyjski. Teraz obok rosyjskiego, do wyboru jest też język polski.

Chciałbym podkreślić jeszcze to, że świat staje się multikulturowy, multinarodowy, nie ma już szczelnych granic i niezwykle cieszę się tym, że młodzież podróżuje i poznaje Polskę. Ten ogólny kontekst koniunktury społecznej, koniunktury światowej na pewno wpływa na sytuację narodowościową na Litwie.

Opowiem króciutką anegdotę. Kolega po pobycie w Paryżu, zwłaszcza po przejazdach metrem, opowiadał: „Czasami nie wiedziałem, gdzie jestem. W Hongkongu, w Nowym Jorku? Strasznie dużo tam Murzynów i innych ras”. Zjawisko to obserwuje się też dzisiaj i w Warszawie, i na Litwie.

Na koniec chciałbym zaznaczyć jedną rzecz. Szalenie mi się podoba sposób myślenia i rozważania profesora Kołakowskiego. Czy otwarcie granic i to przemieszanie jest dobre, czy złe? Nie ma przesłanek – parafrazuję profesora Kołakowskiego – żeby to koniecznie było dobre, ale też nie ma przesłanek, żeby powiedzieć, że to otwarcie, przemieszanie, powstanie wspólnoty kosmopolitycznej jest złe. Myślę, przynajmniej intuicyjnie – znając naszą przeszłość – że będzie dobrze, albo lepiej.

Daniel BEAUVOIS:

Naturalnie można tylko się zgodzić z tym, co powiedział pan profesor, chciałbym jednak przypomnieć, że pozycja *Kultury* była ustalona jeszcze znacznie wcześniej niż lata siedemdziesiąte. Przypomnę to, co jest bardzo dobrze wyeksponowane w tej książce, że już w roku 1953 była ta słynna deklaracja redakcji, w której powiedziano wyraźnie, że Polacy już nie mają wyrażać pretensji ani do Lwowa, ani do Wilna. Wydaje mi się, że jest to naprawdę moment zwrotny. Należy również podkreślić drobny fakt, że ta deklaracja była zrobiona zaraz po piśmie księdza Majewskiego z Afryki Południowej. Charakterystyczne jest to, że czytelnicy *Kultury* tworzą jakiś światowy związek ludzi dobrej woli. Wydaje mi się bardzo wymowne i symboliczne, że pomysł wyszedł z bardzo dalekiego kraju i że znalazł odbicie tutaj, w Paryżu, poprzez *Kulturę*.

Leopold UNGER

Skład uczestników tego „panelu” naszej sesji odzwierciedla, z małą poprawką, znane od dawna priorytety *Kultury* w sprawie „Polacy i inni”. Istotnie, można ten skład sprowadzić do słynnych inicjałów „ULB”, dotyczących tych „innych”, wylansowanych w swoim czasie przez *Kulturę* jako wielki program polityczny. Z małą poprawką, albowiem do Ukraińca (Osadczyk), Litwina (Kaleda) i Białorusina (Ancipenka i Maldzisz), tym razem dodano ostatnią literę alfabetu: „Z z kropką”, to znaczy Żyda (Unger).

Nie chodzi tu naturalnie o modyfikację „alfabetu *Kultury*”. Sprawa żydowska nigdy właściwie nie zniknęła z listy zmartwień *Kultury*. Jerzy Giedroyc często powtarzał, że w Polsce są dwa tematy *à risque*: Kościół i Żydzi. On często ryzykował. Dziś na mnie kolej.

3) Zaczę od stwierdzenia, krótkiego, bo to nie rewelacja, ale koniecznego, że w roku 1968, doszło w Polsce do

ostatniego exodusu żydowskiego w Europie i że, mówiąc bez patosu, tzw. „wydarzenia marcowe” (w istocie nieco wcześniejsze a także późniejsze) zamknęły tysiąc lat obecności Żydów w Polsce. Można się było, naturalnie, spodziewać, że po wymordowaniu przez hitlerowców prawie całej trzymilionowej masy polskich Żydów, polski antysemityzm zniknie na zawsze, ale okazało się to złudzeniem. Okazało się, że w Polsce mógł istnieć (i ciągle jakoś istnieje) antysemityzm bez Żydów, że wystarczy garstka ocalała z hitlerowskiego piekła, aby w wielkim europejskim i chrześcijańskim kraju, móc uruchomić na szeroką skalę antysemicką czystkę rasistowską.

Ponad 30 lat minęło do „wydarzeń”. Nie wniosły te lata wiele nowego w próbę analizy „marca”. Oto kilka wybranych „kluczy” do ich przypomnienia, a, dla niektórych, zwłaszcza młodych, może i do zrozumienia:

a) „Marzec 68” był w pewnym sensie zaskoczeniem także dla Żydów. Jest to tym bardziej zrozumiałe, że w Polsce przed ostatnią falą antysemityzmu społeczność żydowska jako taka właściwie nie istniała, a jeżeli chcieć by ją sztucznie odtworzyć, to jawiłaby się ona wewnątrznie rozbita: klasowo, zawodowo i środowiskowo. Proces asymilacji był – jak się okazało POZORNIE – bardzo daleko posunięty, interes specyficznie i grupowo żydowski nie istniał, a interesy poszczególnych Żydów miały charakter środowiskowy i zawodowy, a nie narodowy. Żydowski działacz stalinowski był w naturalny sposób związany ze stalinowcem rdzennie polskim, który zresztą nierzadko był antysemitą, a Żyd-pisarz razem ze swymi kolegami aryjskimi zwalczał albo padał ofiarą polskiego albo żydowskiego cenzora czy dzierzymordy.

Trudno dziś negować, że w większym niż myślano stopniu, antysemityzm w określonych kręgach istniał – zbyt wiele było rozczarowań – ale nie ulega kwestii, że dopiero rzucenie hasła od góry zaaktywizowało go i że dopiero szantaż albo związane określonych korzyści z udziałem w antysemickiej rozróbie nadało akcji masowy charakter i zorganizowane formy.

Tak więc w Polsce roku 1968 grupa żydowska sformowana została przez samych antysemitów dla celów rządowych i partyjnych i nic dziwnego, że rozpadła się natychmiast po przekroczeniu granicy.

b) Nie było, jak mówią Francuzi, *ni fleurs ni couronnes*. Społeczeństwo polskie pożegnało swych Żydów bez żalu i bez łez. Nie jest to pretensja, tylko stwierdzenie faktu. Przyczyny tej obojętności wymagają delikatnego podejścia. Każdy z wypędzonych zna przecież przypadki szlachetnej i wzruszającej postawy polskich przyjaciół, no i wiadomo, że w dziedzinie postaw społecznych wszelka próba uogólniania jest niebezpieczna i może być krzywdząca.

Można więc powiedzieć, że społeczeństwo polskie w rozgrywkach przedmarcowych widziało przede wszystkim konflikt wewnątrzpartyjny, gdzie nie Żydzi padali ofiarą, ale komuniści i to nie z rąk Polaków, ale innych komunistów. Potem, po marcu 1968 r., kiedy zjawisko stało się wyraźne i cynicznie antysemityczne, było już za późno, i mimo niesmaku i zawstydzenia chodziło się na antyżydowskie wiece i zebrania lub po prostu milczało ze zwyczajnego strachu. Na pomarcowej fali bowiem wszelka próba przeciwstawiania się ofensywie antysemitycznej kończyła się sankcjami, także ekonomicznymi.

W świetle tego nie należy się dziwić, że nie znalazło się zbyt wielu Polaków skłonnych do ryzykowania posady (ja mam żonę i dzieci) w imię zwalczania tego, co było dla nich kolejnym etapem degeneracji systemu, który przecież bez przerwy od objęcia władzy kogoś zwalczał, niszczył, prześladował. Mniejsza o to, jak nazywane były poszczególne etapy prześladowań: walka z kułakami, z żołnierzami Armii Krajowej, z klerem czy działaczami katolickimi, pisarzami czy rewizjonistami, w świadomości Polaków władza komunistyczna utrzymała się w postaci stałej i wszechobecnej przemocy, w kształcie molocho nieustannie wołającego o dalsze ofiary.

Zgodnie z tą popularną teorią musiała przyjść kolej na Żydów. Wyrafinowane rozważania na temat różnic między poglądami politycznymi a pochodzeniem rasowym jak i motywacją prześladowania, nie miały naturalnie sensu w warunkach, kiedy tak jak nikt nie wybrał sobie pochodzenia ani nie mógł go ukryć, tak i poglądy bywały z zasady narzucone i rzadko odpowiadały rzeczywistości tym, jakie kolejna ofiara wyznawała naprawdę.

c) Dla Polaków tych, nie zaangażowanych w walkę frakcji,

heca antyżydowska, aczkolwiek wyjątkowo haniebna i odrażająca, nie stała się żadnym przełomowym faktem w dziejach systemu socjalistycznego. Dla polskiej inteligencji ów system politycznie nie zdegradował się nagle przez sam fakt antysemitycznej nagonki. Stalinowski czy neostalinowski stupajka, cenzor czy tajna policja były odpychające również bez antysemityzmu, choć trudno negować iż ten ostatni kwiatuszek wymownie upiększył całość bukietu.

Na próby nadania prześladowaniu Żydów wartości nadrzędnej, normalni Polacy odpowiadają, że kiedy skarżyli się żołnierze Armii Krajowej, chłopci, intelektualści katolicy, to Żydzi jako grupa nie tylko nie protestowali, ale nawet byli obecni wśród prześladowców. Niezależnie od łatwej do dowiedzenia demagogii tego argumentu, rasistowskiego przecież *à rebours* (Żydzi jako grupa nie istnieli, a Polacy też przecież jako grupa nie protestowali), nie wolno go nie brać pod uwagę.

Żydowskie żale traktowane były również jako spóźnione, bo przecież według polskiej opinii, dla każdego, kto miał oczy i chciał wiedzieć, powinno było być widoczne, że formuła socjalistycznej dyktatury – tak jak ją się realizuje w Polsce – była od początku antypostępowa i nie dawała żadnej szansy rozwiązania kwestii polskiej, żydowskiej czy jakiegokolwiek innej narodowej.

Zgodnie z tym poglądem fakt, że Żydzi przejrzeni dopiero, kiedy sami stali się obiektem prześladowań, nie daje im prawa do wyjątkowego współczucia. Argument ten jest znowu demagogiczny, niemniej był popularny nie tylko w Polsce, ale i wśród niektórych kół żydowskich na Zachodzie, w myśl zasady: Nikt im nie kazał tak długo w Polsce siedzieć.

d) Spora – bardziej prymitywna – część społeczeństwa polskiego nie mogła zrozumieć powodów alarmu, skoro przed Żydami otworzyły się granice państwa. Nie negując przykrości związanych z przymusowym przesiedleniem, wielu Polaków patrzyło na wyjeżdżających Żydów z pewną zawiścią. Jest to o tyle zrozumiałe, że Polacy (prawie każda rodzina ma kogoś za granicą) znają różnice w stopie życiowej, wiedzą, że przy wielu wadach ustrój demokracji burżuazyjnej potrafił zapewnić szeroki zakres swobód osobistych, że jak ktoś dzwoni

o piątej rano, to jest to na pewno mleczarz... itd., itp. Wielu z tych Polaków byłoby zadowolonych gdyby mogło spokojnie i z bagażem wyjechać. Oczywiście, 30 milionów Polaków ani nie mogło, ani nie chciało z powodu garstki gangsterów przenieść się na przykład do Kanady, ale robienie tragedii z powodu zamiany kraju okupowanego i biednego na wolny i bogaty do nich nie przemawiało. Nawet jeżeli ta zamiana poprzedzona była falą prześladowań, odrażających metod celnych, poniżającego szantażu pakowaczy, cynizmu urzędników-łapówkarzy na rozmaitych szczeblach, gnilnej atmosfery handlu mieniem żydowskim, i nawet jeżeli wygnani Żydzi nie chcieli opuszczać kraju, który uważali za swoją ojczyznę.

e) Exodus polskich Żydów wypadł w złym momencie. Świat nie był skłonny wierzyć w prawdziwe rozmiary tragedii polskich Żydów. Zbyt wiele działało tu konkurencji. Biafra przytłaczała rozmiarami autentycznego ludobójstwa, Czechosłowacja – głębokością narodowego dramatu. Cynicznie mówiąc, jeden Palach, czeski student, który podpalił się w proteście przeciw interwencji wojsk Układu Warszawskiego, wytoczył i słusznie więcej też niż wszyscy razem żydowscy emigranci z Polski.

Do zatarcia tragicznych rysów polskiego exodusu przyczynił się także niewątpliwy dramat setek tysięcy czy milionów Żydów w ZSSR. W sytuacji, gdy ogromna liczba sowieckich Żydów nie mogła wyjechać, choć rzeczywiście o niczym innym nie marzyła, komfortowy wyjazd polskich Żydów stanowił w oczach zdolnych jeszcze do wzruszeń humanistów na Zachodzie szansę, za jaką w istocie powinni byli być wdzięczni władzy ludowej w Warszawie.

f) W rzeczywistości sprawa żydowska w Polsce po czerwcu 1967 r., a zwłaszcza po marcu 1968, nie stanowiła wcale *Ding an sich*. Był to fragment większej całości, specyficznie polski refleks faszyzacji życia społecznego, ustanowienia hegemonii policji nad partią i rządem, walki o pozycje w kierownictwie partii i państwa – walki, która objęła cały aparat ucisku i cały aparat partyjny i państwowy. Nie ulegało kwestii, że manewr żydowski był tylko jednym ze środków działania w tej bezpardonowej walce i że obecność Żydów miała ewentualnie skorumpować jedną z zaangażowanych frakcji lub też

dostarczyć kozła ofiarnego. Tak więc mimo tragedii skazanych Żydów, w istocie chodziło nie tylko o ich los, ale o los wszystkich Polaków.

Nic dziwnego więc, że wszystkie próby nadania priorytetu niewątpliwie prześladowanym Żydom, z pominięciem ogólnonarodowego aspektu ugruntowywania się (najbardziej chyba ponurej w historii) władzy pogardzanych, zawodowo podejrzliwych i smutnych, nieufnych, zawistnych, tchórzliwych i sfrustrowanych, bo izolowanych policjantów, były skazane na niepowodzenie i niepopularność wśród milionów, Polaków, głównych ofiar neostalinizmu.

g) Tym bardziej, że moralne i faktyczne *auto da fe* literatury polskiej, kafkowskie zdejmowanie z afisza sztuk klasyków, procesy młodych intelektualistów skazywanych na ciężkie więzienia za kolportowanie paryskiej *Kultury* dla inteligencji polskiej były znacznie bardziej istotne, niebezpieczne i znamienne dla degeneracji władzy niż niewątpliwie rasistowskie usuwanie oficerów, urzędników czy profesorów o żydowskich rysach twarzy.

Dlatego Kościół zagrzniał w obronie polskich dzieci katowanych przez komunistyczną policję, natomiast nikt, z wyjątkiem kilku pisarzy, publicznie nie zaprotestował przeciw antysemityzmowi i dlatego w odważnej pomarcowej interpelacji niezależnych parlamentarzystów katolickich nie znalazło się nawet miejsce dla wspomnienia o krzywdzie resztek polskich Żydów. Dlatego też ci Polacy, którzy ze szczerym oburzeniem i wstrętem mówili o Gomułce i Moczarze, a z pełnym poczuciem ryzyka zanosili żywność strajkującym studentom, obojętnie nieraz wysłuchiwali oczywistych bredni na zebraniach, kiedy wyrzucano urzędników o innych nazwiskach, niżby na to wskazywały ich nosy.

h) To w takich warunkach ludziom Moczara udało się podrzucić Polakom wyjątkowo niebezpieczną tezę tłumaczącą i uzasadniającą polski antysemityzm dużym udziałem ludzi z tak zwanym żydowskim pochodzeniem w działalności Komunistycznej Partii Polskiej przed wojną, a potem we władzach partii i państwa socjalistycznego.

Przez parę wieków, aż do drugiej wojny światowej, znaczna część ludności żydowskiej w Polsce faktycznie była grupą

narodowościową, odrebną tak przez swój język, jak przez obyczajowość i religię. Okoliczność ta była bardzo wartościowa dla kultury polskiej, która – jak wiele innych wielkich kultur światowych – sporo zawdzięcza ludziom znajdującym się na przecięciu czy styku kilku formacji kulturowych czy wprost żyjących na peryferiach narodu. Jednocześnie wielu Żydów, zwłaszcza tych świeżo asymilowanych, nie miało tak silnego związku z polską tradycją narodową (dobrą i złą) jak prawdziwi Polacy, dzięki czemu posiadali znacznie większą, bo wolną od balastu, ruchliwość umysłową, no i wynikające z tej ruchliwości większe zrozumienie dla haseł internacjonalistycznych.

Praktycznie biorąc, w dochodzeniu do komunizmu podstawową atrakcją dla Żydów był, w ciężko antysemitycznej Polsce przedwojennej, jego program definitywnego rozwiązania t.zw. kwestii żydowskiej, a w Polsce powojennej, i w wejściu w komunistyczny aparat władzy, rola ZSSR i komunistów w rozgromieniu Hitlera, wyzwoleniu Auschwitz itp. Niestety, w obu układach Żydzi wystąpili w końcu w ich tradycyjnej roli kozła ofiarnego.

i) Można powiedzieć, że to nie w roku 1948, ale dopiero w 1968 Gomułka stanął na czele prawdziwego odchylenia pravicowo-nacjonalistycznego. Obok tego starego modelu, polski neostalinizm i jego ideologiczny produkt, neoantysemityzm, wniosły jednak do historii światowego obskurantyzmu także coś nowego: podczas kiedy antysemityzm tradycyjny bił w odrębność i obcość Żydów, to w Polsce Gomułki główne uderzenie poszło w te grupy, które uległy w poważnym, a nawet całkowitym stopniu, asymilacji. To znaczy w tych Żydów, którzy myśleli zgodnie z tym, co pisał pewien polski Żyd nazwiskiem Izaak Deutscher, wskazując na przykłady Freuda, Marksa, Trockiego, Heinego czy Spinozy – że staną się wielkimi, kiedy przekroczą granice judaizmu.

Okazało się jednak, że w Polsce Gomułki i Moczara jest to niemożliwe i że granic judaizmu Żydzi tam przekroczyć nie mogą. I że jak spróbują przekroczyć, to zawsze im to ktoś uniemożliwi. I że zawsze się znajdzie ktoś – nawet w rządzie i w partii komunistycznej, kto najpierw Żydów polskich napiętnuje za to, że są inni niż pozostali, a potem za to, że

starają się ową odrębność ukryć. Najsmutniejsze zaś, że ten ktoś, za pomocą hasła antysemitckiego osiąga to, co dla niego najważniejsze, a mianowicie neutralizację i zubożenie społeczeństwa.

Te strzępy uwag, to wszystko co wyżej, ma pomóc wyjaśnić, ale w żadnym wypadku nie ma usprawiedliwić często wrogiej, a generalnie obojętnej postawy Polaków wobec cierpień ich żydowskich współobywateli na fali „marca”. Ta obojętność, nie mówiąc już o wrogości, stanowiła bowiem coś więcej niż zbrodnię, stanowiła błąd... strategiczny. Za parawanem prześladowania Żydów toczyła się bowiem bezpardonowa walka o władzę w Polsce, w wyniku której frakcja Moczała forsowała model komunizmu narodowego, polskiej odmiany nazizmu. Sprowadzanie wymiaru ofiar takiej hipotezy do kilku tysięcy Żydów jest naiwnością. Stawką był naród polski.

Byli, naturalnie, Polacy, którzy wiedzieli, że kwestii polskiej nie należy sprowadzać do kwestii żydowskiej.

W 1956 r. młody, a już znany, polski filozof Leszek Kołakowski pisał:

„Utrzymywanie antysemityzmu potrzebne jest politycznej reakcji zwłaszcza tam, gdzie chodzi o skupienie uwagi ludności na urojonych źródłach społecznych nieszczęść, w celu odwrócenia uwagi od jej źródeł rzeczywistych. (...) Walka z Żydami rzadko bywa celem samym dla siebie (...) antysemityzm ma stworzyć uniwersalny symbol zła, który następnie chce się związać w umysłach z tymi zjawiskami w polityce, kulturze, nauce, które trzeba zwalczać. Trzeba z żydostwa uczynić obelgę, którą będzie się piętnować, wszystko, co ma być unicestwione (...) Cokolwiek wtedy w kulturze, w polityce, w życiu ma być zohydzone i stać się przedmiotem nienawiści, może być przedstawione jako produkt żydowski.”

W 1968 roku Władysław Bieńkowski, jeden z najbardziej świątłych polskich komunistów i rewizjonistów, pisał we wstępie do swej ważnej książki „Motory i hamulce socjalizmu” (Instytut Literacki, Paryż 1969):

„Nigdy w dziejach antysemityzm nie odgrywał samostojnej roli, zawsze był osłoną dla programów, które dla ich łatwiejszej przyswajalności odwoływały się (...) do zabobonów

gromadzonych w psychice społecznej od średniowiecza. Wznosząca się fala antysemityzmu zawsze oznaczała przyplływ reakcyjnych tendencji społecznych, zawsze wymierzona była w siły lub idee postępu... [W 1968 roku] okazało się (...), że ustrój socjalistyczny nie rozwiązał problemu żydowskiego, że przeciwnie, sam stworzył pożywkę, która utajonym bakteriom antysemityzmu pozwoliła przetrwać i odżyć...

Wprawdzie były i w Polsce w różnych okresach objawy antysemityzmu, a największe skupisko Żydów na świecie właśnie na naszych ziemiach stanowiło niełatwy problem społeczny, jednak nigdy przedtem w naszej historii hasło antysemityzmu nie zostało wypisane na państwowych sztandarach, nigdy nie było narodowym programem."

Jakże niewiele się w Polsce zmieniło między 1956 a 1968 rokiem. Bieńkowski i Kołakowski, dwa pokolenia Polaków, dwóch polskich patriotów, dwóch ludzi lewicy, dwóch intelektualistów. Jakże tragiczna jest ta przerażająca identyczność diagnozy!

W 1956 r. Kołakowski tak kończył swój artykuł: „Kiedykolwiek cień antysemityzmu (...) przemyka przed bramami naszych domów – uwaga! Kanalia stoi za rogiem!”

W 1968 r. Bieńkowski tak woła: „Na powierzchnię życia kraju wypłynęły elementy zdeprawowane, ciemne, czarnosieczne siły, gotowe pójść w każdym kierunku!”

Kanalia nie stała więc za rogiem. Kanalia była już w domu. Prawda, że ten dom był Judenrein, oczyszczony z Żydów, ale przecież od początku było wiadomo, że nie o Żydów tu chodzi.

Oprócz Żydów, trzy mity padły (nie do końca, ale jednak...) ofiarą „marca”

a) Ten przede wszystkim, że istnieje związek przyczynowy, czy, jak kto woli, sprzężenie wprost, między antysemityzmem w Polsce a „nieproporcjonalnie wielką” obecnością Żydów w aparacie państwa, partii itp. Po roku 1968, Polska została praktycznie „Judenrein”, ale i dziś ks. Jankowski, ks. Rydzyk i jego Radio Maryja, rozmaite Wrzodaki, itp. zyskują szeroki aplauz i poparcie publiczne kiedy denuncjują jakiegoś dygnitarza czy ministra o podejrzanym pochodzeniu.

b) Ten, po drugie, że zachodzi odwrotnie proporcjonalna

zależność między liczbą Żydów w partii a jej popularnością w narodzie. Nikt poważny przecież nie posunie się do twierdzenia, że popularność partii była w 1989 roku większa niż przed 1968 rokiem, przed pozbyciem się tych kilku tysięcy Żydów.

c) Ten w końcu, że zachodzi związek przyczynowy między nieszczęściami Polski a obecnością Żydów. Między rokiem 1968 a 1989, przez długich 20 lat, nie było praktycznie Żydów w aparacie państwa i partii komunistycznej w Polsce. A przecież był to okres nieustających wstrząsów narodowych: katastrof ekonomicznych, buntów robotniczych, fali strajków, uduszenia „Solidarności”, stanu wojennego, exodusu młodzieży itd. itd.

Dziś Polska jest państwem demokratycznym, żadna czystka rasistowska nie wydaje się możliwa, lekcja „marca” jest jednak nadal aktualna: cykl prześladowań zaczął się od Żydów, ale skończył na Polakach. Natychmiast po „marcowej” emigracji, już na Zachodzie, napisałem artykuł na ten temat. W tytule pytałem: „Za dużo Żydów czy za mało socjalizmu?” 30 lat później, można stwierdzić, że pytanie to zachowuje swą aktualność także w demokracji. Nawet bez Żydów.

Daniel BEAUVOIS:

Usłyszeliśmy naprawdę otrzeźwiający, a nawet wstrząsający referat w wielkiej tradycji *Kultury*. Wydaje mi się, że jest to ukoronowanie naszych obrad. Był to tekst treściwy i dający dużo do myślenia.

Prof. Marian HARASIMIUK:

Chcę ponownie zabrać głos w sprawie współpracy z naszymi sąsiadami ze Wschodu. W kwietniu tego roku, kiedy odbywały się wybory do władz rektorskich, na spotkaniu

przedwyborczym padło pytanie do kandydatów starających się o fotel rektorski: „Jak panowie wyobrażają sobie realizację polityki wschodniej i czy panowie będą realizowali politykę wschodnią uniwersytetu?” Co to oznacza „polityka wschodnia uniwersytetu” dzisiaj, kiedy mamy oficjalne przyjaźnie praktycznie ze wszystkimi krajami na wschód od naszych granic? Myślę, że pytanie oczywiście wynika z tego, że Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej wraz z uniwersytetem białostockim to te uniwersytety, które są na naszych wschodnich granicach i za lat parę będą pierwszymi od Wschodu uniwersytetami na granicy Unii Europejskiej. Myślę, że rzeczywiście zasadne jest pytanie czy te uczelnie potrafią realizować politykę wschodnią i czy to one będą wytyczały politykę wschodnią. Czy bezpośrednio sąsiedztwo z tymi krajami pozwoli na przezwycięzenie uprzedzeń, przezwycięzenie animozji i doprowadzenie do rzeczywistej współpracy? Jak sobie wobec tego wyobrażamy dzisiaj politykę wschodnią jednego z dwóch lubelskich uniwersytetów?

Otóż wydaje mi się, że od kilku lat ta polityka wschodnia jest bardzo wyraźnie realizowana, czasami wbrew wszelkim trudnościom i wbrew wszelkim problemom natury również ekonomicznej. Może to wywołać pewne zdziwienie. Skąd tu problemy ekonomiczne, jeżeli mówimy o współpracy polsko-ukraińskiej, polsko-białoruskiej? W przypadku naszego uniwersytetu mniej mówimy o współpracy polsko-litewskiej. Wydaje mi się, że w pierwszym rzędzie musimy doprowadzić do tego, żeby młodzież zrozumiała ideę współpracy i to właśnie młodzież uniwersytecka. Na naszym uniwersytecie jest filologia ukraińska, jest filologia białoruska. Kształcą się sporo studentów i tylko niewielka część to studenci pochodzenia ukraińskiego czy białoruskiego. Uczą się na tych filologiach rdzenni Polacy, którzy widzą swój interes w tym, że będą znali ten język i oprócz tego języka będą znali język angielski, francuski czy niemiecki. W tym właśnie widzą swoją przyszłość. Jest to zjawisko pozytywne, bo uczą się tych języków i widzą przyszłość we współpracy, w niczym innym.

Myślę, że ta polityka wschodnia może się też uzewnętrznić w stałej wymianie grup studenckich, stałej organizacji konferencji. Tych konferencji jest sporo, są też wspólne pub-

likacje. Polityka wschodnia jest oczywiście także realizowana – głównie dzięki naszym przyjaciołom ze Lwowa, ale ostatnio także z Kijowa – poprzez umożliwienie nam badań historycznych w tamtejszych archiwach.

Myślę, że jedną z naszych kości niezgody jest Lwów i cmentarz na Łyczakowie. Jedną z dróg wzajemnego ustępstwa byłoby uznanie Lwowa za dziedzictwo kultury europejskiej, bo dzisiaj każda z nacji mówi, że Lwów jest ich i nie ma żadnych kroków, żadnej myśli, że Lwów jest nasz. Jeżeli uznalibyśmy razem, że Lwów jest miastem dziedzictwa kultury europejskiej, to może byłoby nam łatwiej porozumieć się.

Prof. Krzysztof POMIAN:

Ja chciałem tylko dorzucić na marginesie różnych rzeczy, które tu były powiedziane, uwagę dotyczącą zbiorowej psychologii polskiej w jej stosunku do krajów, które Polska nazywając rzecz po imieniu – kolonizowała w pewnym okresie swej historii. Otóż jest taki problem, który ja zrozumiałem bardzo późno, kiedyś po powrocie z pierwszego w życiu, i jak dotąd jedyne, pobytu w Wilnie. Polacy tak długo byli gnębieni, uciskani, byli przedmiotem zaborów, że jest im bardzo trudno zrozumieć, że również oni byli – i to w tym samym czasie – gnębiicielami, wyzyskiwaczami, prześladowcami wynaradawiającymi innych. Im się to po prostu w głowie nie mieści. Znaczący to, że w polskiej psychologii zbiorowej zakodowane jest bardzo silnie poczucie ofiary, martyrologii. Nikt nie mógł od nas cierpieć, bo to myśmy od wszystkich cierpieli. To, co jest w tej sprawie ważne, bo ta sprawa nieustannie powraca, to jest to, że nierozwiązywanie tego kompleksu, utrzymywanie go przez pewien typ kultu romantycznego i angelizowanie Polaków oraz polskiej przeszłości pogłębia pewne psychologiczne podłoże, które stale w Polsce istnieje. Chodzi mi o te zjawiska, które ci sami ludzie raz podtrzymują, a następnie potępiają, kiedy to do nich wraca w postaci cytowanego przez Poldka Ungera księdza Jankowskiego, księdza Rydzyka, czy w postaci antylytewskich, oburzających manifestacji.

Praca, którą *Kultura* zaczęła, musi być kontynuowana, bo to są problemy, które sięgają bardzo głęboko pewnych źródeł zbiorowej psychologii, często nieuświadomianej. Mamy zatem przed sobą dużo do roboty.

Prof. Algis KALEDA:

Profesor Osadczyk poruszył tu niezwykle trudny i delikatny problem: wyciszanie fanatyków, nacjonalistów. Wydaje mi się, że sprawa polega na tym, że intelektualiści albo ludzie, którzy rozumieją to, są zbyt delikatni, są zbyt samokrytyczni, zbyt refleksyjni, natomiast walka z człowiekiem fanatycznym, święcie przekonany o tym, że wykonuje misję, jest strasznie trudna. W tym właśnie kontekście widzę ten wspaniały dialog o Wilno Miłosz–Venclova, który do tej pory robi niesamowite wrażenie na kolejnych pokoleniach. Wydaje mi się, że taka droga, kiedy to przedstawiciel swojego narodu krytykuje swój naród, jest najbardziej imponująca. Aczkolwiek jest to bardzo trudne.

Dwa słowa na temat wystąpienia rektora Harasimiuka. Współpraca między uczelniami z Lublina czy Białegostoku jest bardzo ważna, ale dziwna rzecz: współpraca uniwersytetu wileńskiego najlepiej układa się nie z białymstokiem, ale z uniwersytetem krakowskim czy warszawskim, bo są dalej. Bardzo dobrze, że pan profesor Harasimiuk współpracuje ze Lwowem, ale proponuję też współpracę z Wilnem, bo jest dalej. [śmiech]

Prof. Michał TYMOWSKI:

Przyszło mi zamykać te nasze całodniowe obrady. Chcę przede wszystkim podziękować publiczności, bo obecność tu to jest i przyjemność, i praca. Spędzenie takiego dnia jest przyjemnością, ale jest też wysiłkiem.

Dziękuję obecnym tutaj i porannym uczestnikom na-

szego panelu czy „okrągłego stołu”, tym, którzy swoje idee mogli tutaj przedstawić.

Kiedy minął dzień wczorajszy, zastanawiałem się nad tym, o czym my będziemy mówić dzisiaj. Ponieważ dzień wczorajszy był po pierwsze bardzo ciekawy i bardzo wyczerpujący. Otóż dzisiejszy nasz dzień, nasycony następnymi nowymi myślami, i tak ważny, pokazuje dwie rzeczy, że było o czym mówić, jest jeszcze o czym mówić. Co więcej, wiele głosów wskazywało tutaj na to, że nie tylko jest o czym mówić, ale jest jeszcze bardzo wiele do zrobienia. I wśród tej pracy, którą przez lata wykonywała *Kultura*, jest oczywista dalsza droga kontynuacji i pracy.

Oba dzisiejsze posiedzenia, poranne i popołudniowe, były trochę różne, ale równocześnie bardzo się ze sobą łączyły. Były zainspirowane książką Grażyny Pomianowej. Jesteśmy wszyscy za tę książkę bardzo wdzięczni [brawa].

Pierwsza część obrad to była trochę wiwisekcja inteligencji samej w sobie. Zastanawialiśmy się nad jej rolą, jej stosunkiem do przeszłości, do przyszłości, ale przede wszystkim nad jej stosunkiem do samej siebie.

Popołudniowa część pokazała nam ile inteligencja ma jeszcze do zrobienia wobec innych. To jest ważniejsza wskazówka, bo chyba tyle naszej wartości, ile robimy dla innych. Bardzo ważną częścią tego popołudnia było to, że mogliśmy spojrzeć na siebie samych oczami z zewnątrz. Nie jest to zawsze spojrzenie tylko i wyłącznie przyjemne, ale dające tyle do myślenia. Najwięcej do myślenia wtedy znajdujemy, kiedy widzimy się nie tylko własnymi oczami, bo sami patrzymy na siebie schematycznie, może jednostronnie, być może z za małym wysiłkiem. Spojrzenie kogoś z zewnątrz przywołuje nam nowe myśli i za te myśli bardzo serdecznie dziękuję. Z tymi szansami na zastanawianie się nad sobą samym będziemy się żegnać.

DOKUMENTY

FRAGMENTY WSPOMNIEŃ N.S. CHRUSZCZOWA

POCZĄTEK DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ

Gdy 1 września Niemcy zaatakowały Polskę, nasze wojska były skoncentrowane na granicy. Znajdowałem się tam jako członek Rady Wojennej Frontu Ukraińskiego, akurat wśród jednostek, które miały działać na kierunku Tarnopola. Przebywał tam także dowódca frontu, Timoszenko, wcześniej szef Kijowskiego Wydzielonego Okręgu Wojskowego. Gdy Niemcy zbliżyli się do terenów, które zgodnie z paktem z sierpnia miały być włączone do ZSSR, nasze wojska wkroczyły 17 września na terytorium Polski. Polska w tym czasie niemal nie stawiała już oporu. Walki toczyły się tylko w oblężonej Warszawie i w poszczególnych miejscach, ale zorganizowana obrona skończyła się. Polska okazała się całkowicie nieprzygotowana do wojny. Ileż to było demonstracji siły, ile okazywano dumy, jak lekceważono nasze propozycje połączenia sił antyfaszystowskich – i jaką klęskę poniosła polska machina wojenna!

Gdy przekroczyliśmy granicę, rzeczywiście nie napotkaliśmy oporu. Nasze wojska bardzo szybko dotarły do Tarnopola. Objechaliśmy miasto wraz z Timoszenką i wracaliśmy inną drogą, było to dosyć nierozsądne, gdyż w okolicy przebywały jeszcze polskie oddziały, które mogły nas zatrzymać.

N.S. Chruszczow: „Wospominanija: Wriemnia – Ludi – Własti”, Moskowskije nowosti. Moskwa 1999. IV tomy. Komentarz Redakcji pod tekstem.

Przejechaliśmy przez kilka miasteczek, zamieszkałych przez Ukraińców oraz przez zaścianki, które zamieszkiwała głównie ludność polska. Nie było tam jeszcze naszych oddziałów i wszystko mogło się zdarzyć. Kiedy tylko wróciliśmy, zawiadomiono nas, że Stalin czeka na telefon. Zameldowaliśmy, jak przebiega operacja.

Nie pamiętam już, ilu dni potrzebowaliśmy do całkowitego zakończenia kampanii, chyba dwa lub trzy. Pierwszego dnia zajęliśmy Tarnopol, do Lwowa doszliśmy chyba drugiego albo trzeciego dnia. Niemcy też zbliżali się do miasta, trochę ich wyprzedziliśmy, ale żadna ze stron nie wkraczała do Lwowa. Powstał problem, jak uniknąć starcia z ich wojskami. Postanowiliśmy nawiązać z Niemcami bezpośredni kontakt. Ze strony sowieckiej do tego zadania został wyznaczony Jakowlew, dowódca artylerii Kijowskiego Okręgu Wojskowego. Znał trochę niemiecki i osobiście rozpoczął pertraktacje z dowództwem wojsk niemieckich, które dotarły do Lwowa od zachodu. Naszymi jednostkami dowodził tam Golikow. Przyjechałem do niego. Sztab Golikowa stacjonował niedaleko Lwowa, w polu pod stogami. Rozmowy z Niemcami zakończyły się szybko: chcieli wkroczyć do Lwowa jako pierwsi, żeby ograbić miasto. Ponieważ jednak nasze wojska stały już w pobliżu, Niemcy zrezygnowali z okazywania wrogości, pokazali, że dotrzymują warunków paktu, powiedzieli: „Proszę bardzo”.

Nasze wojska wkroczyły do Lwowa, potem do Drohobycza, Borysławia, z którego Niemcy się wycofali, a później wyszliśmy na linię granicy, ustaloną w porozumieniu sierpniowym. Niektóre tereny, które miały należeć do nas, zostały już zajęte przez Niemców, ale Hitler działał z rozmachem i nie chciał wywoływać konfliktu z nami z powodu takich „drobiazgów”. Przeciwnie, starał się wykazać, że dotrzymuje słowa i jest „człowiekiem honoru”. Dlatego wojska niemieckie zostały częściowo wycofane, a nasze wyszły na rubieżę, wyznaczone przez Ribbentropa i Mołotowa. Tak zakończył się pierwszy etap tych wydarzeń. Żołnierze wraz z całym narodem sowieckim bardzo przeżywali przyłączenie ziem zachodnich. Ukraina od dawna dążyła do zjednoczenia całego narodu w jednym państwie. Były to ziemie historycznie

należące do Ukrainy i zamieszkałe przez Ukraińców, choć z wyjątkiem miast. Na przykład Lwów zamieszkiwali Polacy, tworzyli tam większość. Czasem przewagę ludności polskiej tworzono sztucznie. We Lwowie Ukraińców nie przyjmowano do pracy nawet przy brukowaniu ulic. Dyskryminowano ich, by w miastach było jak najwięcej ludności polskiej. Miała ona służyć jako oparcie dla władzy, ustanowionej wzdłuż granicy po agresji Piłsudskiego na Rosję Sowiecką w 1920 r. Wtedy w skład Polski weszły ziemie, które przed I wojną światową należały do imperium rosyjskiego. Strona sowiecka była słaba i nie mogła w tamtych latach utrzymać się przy dawnych granicach Rosji z Austro-Węgrami. Polacy po zajęciu tych terytoriów, zamieszkałych przez Ukraińców i Białorusinów, rozmieszczali wzdłuż granicy swoich osadników. Byli wśród nich również chłopci, podpora warszawskiej władzy na granicy z ZSSR.

Zjednoczenie narodów Ukrainy i Białorusi, a potem wejście tych państw w skład ZSSR, ludzie sowieccy ocenili właściwie, wydarzenia te stały się powodem powszechnej radości. Bez zastrzeżeń wychwalaliśmy wtedy przenikliwość Stalina, jego mądrość polityczną, troskę o państwo, umiejętność umacniania ZSSR i naszych sowieckich granic. To nie żarty, doszliśmy do Bałtyku, przesunęliśmy na zachód te granice, które przebiegały blisko Kijowa. Zaś fakt, że podpisaliśmy traktat o nieagresji z Niemcami, absolutna większość członków partii oceniała jako wybieg taktyczny. Jestem o tym przekonany. Była to prawidłowa ocena, choć nie mogliśmy o tym otwarcie mówić i nie mówiliśmy. Nawet na zebraniach partyjnych. Wielu ludzi nie mogło zrozumieć, dlaczego my, komuniści, wyznawcy idei sprzecnej z ideologią faszystowską, możemy w ogóle dopuszczać możliwość jakichkolwiek układów z Hitlerem, nawet układu o pokojowym współistnieniu. Z Niemcami – owszem, ale z Hitlerem nigdy.

Stalin liczył, że dzięki podpisaniu paktu wojna między ZSSR a Niemcami odwlecze się na jakiś czas. Przewidywał, że wybuchnie ona między Niemcami a Anglią i Francją. Być może Ameryka też zostanie wciągnięta w zawieruchę. My zaś zachowamy neutralność i dzięki temu oszczędzimy swoje siły. A potem się zobaczy. Mówiąc „potem się zobaczy” mam na mys-

li, że Stalin w ogóle nie brał pod uwagę, że pozostaniemy neutralni do zakończenia wojny: na jakimś etapie włączymy się do działania. Tak rozumiem wydarzenia tamtych dni z perspektywy dnia dzisiejszego, a właściwie już z perspektywy przyszłości.

Skoro mowa o narodowych interesach Ukraińców, to nie byli oni w pełni zadowoleni z ustaleń paktu. Znany jest inny układ, podpisany po I wojnie światowej przez byłych sojuszników carskiej Rosji. Ustalał zachodnie granice Rosji jako członka Ententy na tzw. linii Curzona. Linia Curzona sięgała dalej na zachód niż granice, wytyczone w pakcie Ribbentrop–Mołotow. Dlatego Ukraińcy uważali, że nie oddano im jeszcze części ziem, przyznanych Ukrainie przez byłych sojuszników Rosji po rozgromieniu Niemiec w I wojnie światowej. Na razie jednak skończył się pierwszy etap napięcia wojskowo-politycznego, jakie przeżywaliśmy, i nastąpiła chwila odprężenia. Uważaliśmy, że etap ten był korzystny dla ZSSR, choć nie odzyskaliśmy wszystkiego, co się nam historycznie należało. „Nadmiar” uzyskaliśmy tylko gdzieś w rejonie Białegostoku, gdzie od dawien dawna zamieszkiwała ludność polska.

Po klęsce hitlerowskich Niemiec ten rejon granicy uległ korekcie, oddaliśmy go Polsce. *Nota bene* do jej terytorium zostały przyłączone po wojnie również niektóre ziemie, zamieszkałe przez rdzenną ludność ukraińską i białoruską. Widocznie Stalin odstąpił je, żeby „zaspokoić” polski egoizm: powiedziałbym, że miał tu miejsce akt wielkiej gry politycznej na nowych podstawach, chodziło o zatarcie przykrego osadu, jaki pozostał w Polakach po podpisaniu przez nas paktu Ribbentrop–Mołotow. Przecież jak gdyby wydaliśmy Polskę na pastwę hitlerowskich Niemiec i sami się do tego przyczyniliśmy. Po wojnie Polska zyskała jednak na zachodzie tłuśszy kąsek: ogromne i bogate tereny o znacznie większej powierzchni niż te, które straciła na rzecz Ukrainy i Białorusi: były to tereny wzdłuż granicy na Odrze i Nysie, a oprócz tego Szczecin na lewym brzegu Odry. Przyłączono go do Polski na skutek nacisków ZSSR na sojuszników podczas konferencji w Poczdamie.

W 1939 r. byliśmy pewni, że naród polski – robotnicy, chłopi i inteligencja – właściwie rozumieją konieczność

paktu ZSSR z Niemcami. To nie była nasza wina, że podpisaliśmy taki pakt: winę ponosił ówczesny rząd Polski, zaślepiony nienawiścią do ZSSR oraz wrogi wobec robotników i chłopów we własnym kraju. Rząd ten obawiał się kontaktów ze Związkiem Sowieckim, możliwości rozpowszechnienia się idei wolnościowych i przede wszystkim uzmożnienia roli Komunistycznej Partii Polski. Przecież gdyby doszło do sojuszu z Polską i wspólnej walki przeciwko Niemcom, losy rządu polskiego zależałyby od woli ludu. Ja też uważam, że pakt Ribbentrop-Mołotow był dla nas nieunikniony w zaistniałej sytuacji. I wcale nie dlatego, że miał przynieść korzyści Związkowi Sowieckiemu: to był szachowy ruch. Tak też należy go rozpatrywać. Gdybyśmy go nie podpisali, wojna przeciwko nam i tak by wybuchła, ale zapewne w mniej korzystnych warunkach. A tak wojna się już zaczęła, ale my pozostaliśmy na uboczu, zyskaliśmy chwilę oddechu. Uważam, że posunięcie było słuszne, choć bolesne.

Szczególnie bolało to, że nie mogliśmy sensownie wytłumaczyć ludziom tego kroku. Przecież nie mogliśmy oświadczyć wszem i wobec, że to tylko posunięcie taktyczne, musieliśmy prowadzić grę z Niemcami. W tej grze nie mogliśmy odsłonić kart przed Hitlerem. Trzeba było wyjaśniać sprawę tak jak zawsze: przy pomocy języka gazet. To też budziło niesmak, gdyż nikt nie wierzył w nasze wyjaśnienia. Niektórzy ludzie wykazywali całkowite niezrozumienie sprawy: rzeczywiście uważali, że Hitler miał szczerą intencję. Nie mogliśmy tłumaczyć na łamach gazet, że nie trzeba mu wierzyć. Jednym słowem, nasza propaganda znalazła się w bardzo trudnej sytuacji. Dla Hitlera pakt też był posunięciem taktycznym, chciał zyskać na czasie i rozprawić się z wrogami po kolei. Najpierw chciał poprzez likwidację Polski oczyścić sobie drogę na wschód i dzięki kampanii wejść w bezpośredni kontakt z naszymi wojskami, stanąć u naszych granic. Najwidoczniej uważał, że po błyskawicznym rozgromieniu Polski Anglia i Francja nie ośmielą się wypowiedzieć mu wojny, choć oba te państwa miały układy z Polską i zobowiązania, że w przypadku agresji na Polskę przyjdą jej z pomocą.

Anglia i Francja wypowiedziały jednak wojnę Niemcom. Zapoczątkowało to drugą wojnę światową. Nie wzięliśmy

jeszcze w niej udziału, przesunęliśmy jedynie swoje wojska bardziej na zachód i stanęliśmy na nowej granicy, czyli, jak tłumaczyliśmy ludziom, wzięliśmy pod swoją obronę bratnie narody Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi.

Rozpoczęła się więc II wojna światowa, ale nie stała się jeszcze „wielką”. Nastąpił okres „dziwnej wojny”. Francuzi i Anglicy wypowiedzieli wojnę Niemcom, skoncentrowali swoje wojska, podciągali rezerwy. Anglia przerzucała jednostki na kontynent, demonstrowała planowane operacje wojskowe. Francuzi wierzyli w swoją Linie Maginota. Budowali te umocnienia przez wiele lat, faktycznie miały one wielkie znaczenie dla obrony kraju. Jednakże jedna linia obronna nie gwarantuje skuteczności obrony, to tylko umocnienia. Bronić kraju powinni ludzie, którzy służą w tych umocnieniach. Hitler też miał swoją Linie Zygfryda. W ten sposób wojska obu państw stały naprzeciwko siebie. Hitler nie podejmował na razie aktywnych działań przeciwko Anglii i Francji, one zaś nie przystępowały do operacji przeciwko Niemcom. Niemcy przerzuciły wojska na wschód, do Polski, potrzebowały czasu, żeby je przegrupować.

Potem Mussolini rozpoczął działania wojenne przeciwko Grecji i ugrzązł w tym kraju. Następnie Hitler zaatakował Jugosławię i rozprawił się z nią, gdyż Niemcy były silniejsze: prawie bez wystrzału zajął Danię i Norwegię, niemal bez oporu zagarnął Holandię, wtargnął do Belgii, w 1940 r. zajął większą część Francji. Zabezpieczył sobie w ten sposób długą linię wybrzeży morskich, obronę przed flotą brytyjską, a na północy podszedł prawie pod nasz Murmańsk. Rząd sowiecki realizował w tym czasie ustalenia paktu Ribbentrop-Mołotow. Jesienią 1939 r. zaczęliśmy rozmowy z Estonią, Litwą i Łotwą. Przedstawiliśmy im swoje warunki. W ówczesnej sytuacji kraje te słusznie pojęły, że nie mogą sprzeciwiać się Związkowi Sowieckiemu i przyjęły nasze propozycje, podpisując z nami umowy o wzajemnej pomocy. Potem nastąpiła zmiana ich rządów. Oczywiście! Niektórzy przywódcy, np. prezydent Litwy Smetona, zbiegł do Niemiec. Nie było to ważne. Jednym słowem, w krajach tych powstały rządy przyjaźnie nastawione do ZSSR. Partie komunistyczne uzyskały możliwość legalnego działania. Postępowe siły podjęły szeroką agitację wśród mas ro-

botniczych, chłopskich i inteligenckich, przekonując je do przyjaźni z ZSSR. Efektem było ustanowienie w tych krajach władzy sowieckiej.

Na Zachodniej Białorusi i na Zachodniej Ukrainie natychmiast przystąpiono do tworzenia sowieckich organów w rejonach, które w 1939 rok weszły w skład ZSSR. Z początku nowa władza była jeszcze prawie niezorganizowana, dopiero co weszły nasze wojska. Potem tworzyliśmy terenowe tymczasowe organy rewolucyjne. Ludzie w zachodnich rejonach Ukrainy witali nas bardzo dobrze. Faktem jest, że ludność polska czuła się zdławiona, ludność ukraińska czuła się wyswobodzona. Na zebraniach, które organizowaliśmy, Ukraińcy wygłaszali bardzo rewolucyjne przemówienia, chociaż oczywiście nie wszyscy, ponieważ na tych terenach istniał silny odłam nacjonalistyczny. Powstał jeszcze w czasach Austro-Węgier i obecnie walczył z komunistami, z wpływami sowieckimi, zwłaszcza we Lwowie, gdzie mieszkała liczna ukraińska inteligencja. We Lwowie działała także swego rodzaju filia Ukraińskiej Akademii Nauk. Na jej czele stał jak mi się wydaje akademik Studniskij. Do tej grupy zaliczano także syna pisarza Iwana Franko. Piotr, według mnie, był najbardziej nieudanym dziełem ukraińskiego klasyka, bardzo niemądrym człowiekiem. Zachowywał się wobec nas chwiejnie, jakby nas popierał, ale skłaniał się w stronę naszych przeciwników.

We Lwowie i innych zachodnioukraińskich miastach mieszkała duża grupa Żydów, byli to zarówno robotnicy jak i inteligencja. Nie pamiętam, aby w tej grupie działo się coś negatywnego, antysowieckiego. Wśród żydowskich robotników i inteligentów było wielu komunistów. Organizacja komunistyczna nazywała się KPZU (Komunistyczna Partia Zachodniej Ukrainy). Należeli do niej Ukraińcy i Żydzi. Kiedy zebraliśmy się na mityng w Operze Lwowskiej, zaproszono tam i Ukraińców, i Żydów, i Polaków, głównie robotników, chociaż przyszła również inteligencja. Występowali tam również Żydzi i dziwnie nam było słuchać jak oni sami mówili: „My Żydzi, w imieniu Żydów chcielibyśmy powiedzieć...” i tak dalej. Chodziło o to, że po polsku Żydów tak się normalnie nazywa, nie mając na myśli niczego złego.

Natomiast ludzie sowieccy przyjmowali to jako obrazę narodu żydowskiego. Później w kularach zebrania pytałem: „Dlaczego tak mówicie o Żydach? Mówicie Żydzi, przecież to obraźliwe.”*

Odpowiadano mi: „uważamy za obraźliwe nazywanie nas jewrejami”. Było to dla nas bardzo dziwne, nie mogliśmy się przyzwyczaić. Jeśli odnieść się do literatury ukraińskiej to w niej słowo „Żyd” nie ma znaczenia obraźliwego lecz określa narodowość. Ukraińska piosenka: „prodam tebe żydowi rudomu” oznacza: „Sprzedam cię rudemu żydowi”. Ten epizod zapamiętałem ponieważ przeczy on naszej praktyce, naszym przyzwyczajeniom.

W ogóle spotkaliśmy tam wielu dobrych ludzi, tylko zapomniałem jak się nazywali. Byli to ludzie, którzy siedzieli w polskich więzieniach, sprawdzeni komuniści. Jednak ich partia była naszą decyzją rozwiązana i Komunistyczna Partia Polski, i Komunistyczna Partia Zachodniej Ukrainy. Dlaczego? W naszym rozumieniu wymagały one sprawdzenia, chociaż ich członkowie byli komunistami i otrzymali ten tytuł w walce klasowej. Wielu z nich siedziało w polskich więzieniach, jakiego jeszcze trzeba sprawdzenia? Ale wtedy u nas rozumiano to inaczej. Traktowaliśmy ich jak niewykrytych agentów: trzeba ich nie tylko sprawdzić, ale i sprawdzić pod mocno powiększającą lupą. Wielu z nich zwolnionych z Armii Czerwonej trafiło do naszych więzień. Niestety, tak to właśnie wyglądało. Oczywiście byli wśród nich i prowokatorzy. Z pewnością byli i szpiedzy. Nie można jednak uważać każdego kto do nas przychodzi z sercem na dłoni za nasłanego agenta, który chce zdobyć zaufanie. Jest to błędne myślenie. Do czego to by nas doprowadziło? Pisałem o tym wcześniej.

Jak reagowała na nasze wejście ludność polska? Reagowała bardzo chorobliwie, lecz jest to zrozumiałe. Po pierwsze Polacy uważali (a jest to fakt), że tracili suwerenność państwową. Mówili: „Który to już rozbiór Polski? I kto nas

* W języku rosyjskim słowo „Żyd” ma znaczenie obraźliwe. Na określenie człowieka narodowości żydowskiej używa się słowa „jewrej” (przyp. tłumacza).

podzielił? Wcześniej rozbiorów dokonywały Niemcy, Austria i Rosja, a teraz?” Tak oceniali wydarzenia przeciwnicy naszej akcji: „Znow Rosja dokonała rozbioru Polski, odebrała jej niepodległość, pozbawiła niezależności, podzieliła się krajem z Niemcami!” Pamiętam, jak pojechałem z Drohobycza do Borysławia obejrzeć rafinerię (były tam dwie), rzucić okiem na wydobywanie ropy i gazu, porozmawiać z ludźmi. Przyjechałem do zakładów chemicznych. Były dosłownie w proszku. Zrobili to Niemcy przed wycofaniem się. Zniszczenia zostały dokonane bardzo przemyślnie. Rozmontowano urządzenia do przetwarzania ropy naftowej. Gdy przyjechałem, przedsiębiorstwo wyglądało jak zgłiszcza, po których snuli się ludzie. Zacząłem z nimi rozmawiać. Byli to Polacy w średnim wieku, bardzo przygnębieni. Miałem na sobie półwojskowe ubranie, tj. mundurową bluzę i szynel, ale bez dystynkcji. Uważali mnie za wojskowego.

Zadając pytania starałem się być bardzo uprzejmy. Jeden z nich powiedział łamiącym się głosem: „Jak się znaleźliśmy w takiej sytuacji? Przecież nas...” i zamilkł. W dalszej rozmowie dawało się wyczuć nawet nie niezadowolenie, lecz jak gdyby smutek, żal, że stało się tak, jak się stało. Rozumiałem ten stan. Wśród ludzi znajdował się młody człowiek, odezwał się po ukraińsku. Wtrącił się do rozmowy i zaczął ostro polemizować z Polakiem. Pojąłem, że był to Ukrainiec, spytałem, kim jest. Odpowiedział: „Jestem inżynierem, jedynym w tym przedsiębiorstwie inżynierem Ukraińcem. Nie wiecie, jak trudno było nam zdobyć w Polsce wykształcenie, a później pracę”. Polak spojrział na Ukraińca żalonym, błagalnym wzrokiem i zaczął apelować do jego sumienia: „Co pan tu opowiada?” Najwidoczniej przestraszył się, że tamten mówi przedstawicielowi władzy sowieckiej i wojskowemu tak przykre rzeczy o ludziach, z którymi pracował w zakładzie. Może obawiał się o swój los. Zacząłem udowadniać Polakowi, że Ukrainiec ma rację. Nie pamiętam już swoich argumentów, ale zapewne mówiłem, że Polacy rzeczywiście prowadzili nierozsądną politykę wewnętrzną wobec Ukraińców. Rozumiałem ją, gdyż tuż obok leżała sowiecka Ukraina, potężna część ZSSR. Polska bała się jej wpływów na swoich terenach, a rząd traktował Ukraińców jako agentów tego kraju i reagował stosownie do swoich obaw.

Prowadziliśmy też rozmowy z polską inteligencją. Było jej sporo na terenach zajętych przez nasze wojska. Dowiedziałem się, że przebywa na nich Wanda Lwowna Wasilewska, pisarka, jej głos liczył się w kręgach inteligencji. Później poznałem ją i zaprzyjaźniliśmy się. Była bardzo miłym, mądrym i porządnym człowiekiem. Początkowo należała do PPS, później została komunistką. Ta działaczka Polskiej Partii Socjalistycznej pisała książki, które nie znajdowały uznania w oczach kierownictwa PPS, gdyż przeważnie zajmowała się problemami biedoty ukraińskiej i białoruskiej, spędzała w tych rejonach wiele czasu, poznawała życie i warunki bytowania ludu. Znajdowało to potem wyraz w jej utworach, wymierzonych przeciwko władzy. Określiło to pozycję Wasilewskiej w społeczeństwie polskim. Chyba była nawet więziona.

Dlaczego zatrzymuję się przy Wandzie Wasilewskiej? Zachowuję w pamięci dobre wspomnienia o tej kobiecie, wielkiej społeczniczce, zaangażowanej w sprawy ludu, człowieku niezwykle uczciwym i prostolinijnym. Bardzo ją za to szanowałem. Sam słyszałem, jak mówiła Stalinowi prosto w twarz bardzo nieprzyjemne rzeczy. Mimo to słuchał jej, a potem wielokrotnie zapraszał na oficjalne rozmowy i nieoficjalne, towarzyskie obiady i kolacje. Taki miała Wasilewska charakter! Wtedy poinformowano mnie, że Wasilewska znajduje się w jednym z rejonów, zajętych przez nasze wojska. Uciekła z okupowanej przez Niemców Warszawy i dotarła do nas piechotą, czekaliśmy na nią, byłem zaintrygowany, kim jest ta Wasilewska? Oprócz niej było na naszych terenach wielu innych, polskich pisarzy, ale o odmiennych poglądach i nastawieniu. Ich stanowisko nie należało do takich, które mogliśmy akceptować. Reprezentowali przeżytki polskiego nacjonalizmu i określone poglądy na Ukraińców, naszą wymuszoną kampanię rozumieli niewłaściwie, głosili, że dogadaliśmy się z Niemcami kosztem Polaków. Trzeba tu przypomnieć, że oficjalnie nigdy nie wyrzekliśmy się naszych terenów, które tymczasowo weszły w skład Polski. Przecież to polski rząd naruszył linię Curzona, godząc w interesy ZSSR. Ze strony Polski było rzeczą nierozsądną zajmować te ziemie i trzymać się ich kurczowo w nadziei na jakąś akcję, która przywróciłaby sprawiedliwość i dokładniej ustaliła granice.

Etnografia i historia przemawiały na korzyść tych granic, które wyznaczono między Polską i ZSSR. Tego polscy inteligeni nie mogli pojąć i upierali się przy swoim błędnym stanowisku. Z wyjątkiem Wasilewskiej.

Wanda Lwowna przyszła do Lwowa w krótkim kożuszk i zwykłych butach. Wyglądała na prostą kobietę, choć pochodziła ze znakomitego polskiego rodu. Była córką Wasilewskiego, ministra w rządzie Piłsudskiego i jego najbliższego przyjaciela, Wasilewski był zaufanym człowiekiem Piłsudskiego. Było mi niezręcznie wypytywać Wandę Lwownę o te sprawy, ale krążyły słuchy, że Piłsudski był jej ojcem chrzestnym. Nie wiem, ile jest w tym prawdy, Wasilewska nigdy nie wstydziła się ani swojej przeszłości, ani ojca. Pamiętam też zdarzenie, które miało miejsce już po zakończeniu wojny. Córka Wandy Lwowny, Ewa, zdobyła wykształcenie i pracowała w Moskwie w jakiejś bibliotece. Przeglądając archiwa przyszła kiedyś do matki i mówi: „Znalazłam książki dziadka i wszystkie kazałam wynieść do piwnicy. Są jawnie antysowieckie”. Widywałem się z Ewą jeszcze za życia jej mamy, gdy Ewa była prawie dzieckiem. Nie wiem, co się z nią teraz dzieje.

Wasilewska z miejsca zajęła zdecydowanie prosowiecką pozycję, ze zrozumieniem przyjęła wkroczenie naszych wojsk na tereny, ustalone w pakcie z Niemcami, zaczęła wyjaśniać polskim towarzyszom nasze stanowisko. Okazała w ten sposób ogromną pomoc zarówno WKP(b), jak i mnie, sekretarzowi Komunistycznej Partii Ukrainy. Niebawem przeniosłem się do Lwowa, by zająć się tam codzienną pracą. Znaleźli się w mieście Polacy, którzy aktywnie z nami współpracowali, ale żaden z nich nie mógł dorównać Wasilewskiej.

Co do paktu z Niemcami, to opublikowano go u nas tylko częściowo. Światło dzienne ujrzał jedynie fragment o nieagresji. Mimo to znalazły się tam punkty, dotyczące terytoriów polskich i naszych nowych granic. Polska traciła niepodległość, nie było o tym mowy w tekście, ale wynikało z ducha dokumentu: Rzeczpospolita stawała się protektora-tem niemieckim. Mieliśmy więc granicę z Niemcami, a nie z Polską. Osobiście nie widziałem tekstu paktu, ale wiem o tym od Stalina. Pakt określał też nasz stosunek do Litwy, Łotwy,

Estonii, Finlandii i Besarabii. Losy tych krajów też zostały omówione, ale ta część umowy nie była publikowana. Mówię o tym dlatego, gdyż ludzie, którzy chcą poznać wszystkie okoliczności, powinni przeczytać dokumenty dyplomatyczne, tekst paktu. Uważam za swój obowiązek wypowiedzieć się w tej kwestii, aby było całkowicie jasne, jak rozumiałem pakt z Niemcami i co z niego wynikało.

W tamtych dniach zdarzały się zabawne, wręcz anegdotyczne przypadki. Chcę opowiedzieć również o nich. Przez długi czas znajdowaliśmy się pod wrażeniem akcji demaskowania „wrogów ludu” i ich likwidacji. Gdy zajęliśmy tereny zachodnie i utworzyliśmy tam tymczasowe komitety rewolucyjne, najbardziej newralgicznym miejscem okazał się Lwów, stolica Zachodniej Ukrainy. Mieszkało w nim wielu ukraińskich inteligentów, którzy dawniej mieli obywatelstwo austro-węgierskie, a później polskie. Byli proukraińscy. W Polsce oskarżano ich o prosowieckość, choć trzeba traktować te oskarżenia z dużą poprawką: wcale nie marzyli o sowieckiej Ukrainie, lecz po prostu o Ukrainie. Pytani o stolicę odpowiedzieliby, że powinien być nią Lwów. Przedstawicielem lwowskiego rewkomu został pierwszy sekretarz komitetu obwodowego Komunistycznej Partii Ukrainy, Miszczenko. Jakoś późną jesienią zaszedłem do jego gabinetu popatrzeć, jak pracuje. Kłębił się tam tłum ludzi, trzeba było szybko podejmować decyzje w sprawach życia miasta: chodziło o tramwaje, o naprawę nawierzchni zniszczonych ulic, o zaopatrzenie w wodę i elektryczność. Ludzie, którzy wcześniej pracowali na odpowiedzialnych stanowiskach, przeważnie Polacy, chcieli określić swoją sytuację przy nowej władzy i przyszli do rewkomu po zaświadczenia, że zajmują takie to a takie stanowisko. Było to naturalne.

Co ujrzałem? Siedział przewodniczący rewkomu w półkożuszku, na który wciągnął szynel. Nie wiem, jak zdołał tego dokonać, był człowiekiem ogromnego wzrostu, potężnie zbudowanym. Na nogach walonki, z szynela sterczą dwa rewolwery. Jednym słowem, brakowało mu tylko armaty na plecach, widocznie była za ciężka. Ludzie siedzieli i patrzyli na niego. Skończyły się godziny przyjęć. Zostaliśmy sami. Powiedziałem do Miszczenki: „Wystawiacie złą opinię nie

tylko sobie, ale i sowieckim organom władzy, naszym wszystkim ludziom, naszej tchórzliwości. Co zrobicie ze wszystkimi swoimi pistoletami, jeśli przyjdzie jakiś terrorysta i będzie chciał was zabić? Zastrzeli was z waszych własnych pistoletów. Po co te demonstracje? Dlaczego sterczą wam te rękojeści? Schowajcie broń do kieszeni i ubierzcie się jakoś porządnie”. Miszczenko był zmieszany i zupełnie nie rozumiał moich pretensji. Przecież przejawiał swoją „rewolucyjność” i „nieugiętość”!

Po jakimś czasie musieliśmy zweryfikować kadry. Ludzie, którzy pracowali we Lwowie tymczasowo, wrócili na poprzednie stanowiska. Miszczenko też wrócił do Winnicy. Stanowiska we Lwowie obsadzono nowymi ludźmi, była to jednak trudna sprawa, gdyż polski aparat administracyjny nie to, żeby sabotował (nie przypominam sobie takich przypadków), ale był zdemoralizowany, sparaliżowany duchowo. Oczywiście nasze wkroczenie nikogo nie natchnęło większym entuzjazmem do pracy. Gdy po wielu latach rozmawiałem z Gomułką, opowiadał mi, że w okresie wejścia naszych wojsk był w oddziałach obrony robotniczej, później myśmy go zmobilizowali, przez pewien czas pracował w Kijowie przy budowie tuneli kolejowych.

Stalin przed wojną zapragnął zbudować tunele kolejowe pod Dnieprem: jeden na północ od Kijowa, drugi na południu. Pracowali tam budowniczy moskiewskiego metra. Nie zdążyli jednak skończyć prac przed wybuchem wojny, a po wojnie tunele przestały być potrzebne, roboty przerwano. Wykopy są dziś pomnikiem przeszłości.

Sowietyzacja Zachodniej Ukrainy przebiegała raczej sprawnie, nie napotykalśmy na opór. Nie pamiętam jakichś aktywnych czy zbrojnych wystąpień przeciwko nam. Później zaczął działać Stiepan Bandera. Siedział on w miejscowym więzieniu. Skazano go w związku z zamachem na polskiego ministra spraw wewnętrznych. Nie pamiętam, jaki był udział Bandery w tym zamachu: czy sam strzelał do ministra, czy należał do grona organizatorów zabójstwa. Wykazaliśmy brak rozsądku i wypuściliśmy wszystkich więźniów bez sprawdzania, kim są. Nie wiem jednak, czy mieliśmy możliwość takiego sprawdzenia. Wszyscy wyszli na wolność, Bandera też. Im-

ponowała nam jego działalność: wystąpił przeciwko ministrowi spraw wewnętrznych reakcyjnej Polski. Nie mieliśmy powodów, żeby opłakiwać tego ministra. Ponieważ jednak takie akcje przeprowadzały grupy przeciwników ZSSR – nacjonalistów, nienawidzących socjalizmu – powinniśmy to byli wziąć pod uwagę. Później ponownie zetknęliśmy się z Bandera i przysporzył nam wiele nieszczęść. Straciliśmy tysiące ludzi już po wojnie, kiedy ukraińscy nacjonaści rozpoczęli walkę zbrojną przeciwko władzy sowieckiej. Bandera okazał się agentem niemieckim. Gdy Niemcy szykowały się do wojny i po jej rozpoczęciu banderowcy-nacjonaści, ci agenci imperializmu niemieckiego, aktywnie pomagali hitlerowcom.

Kiedy Bandera zorientował się, że Niemcy nie mają zamiaru dotrzymać danej mu obietnicy i utworzyć niepodległej Ukrainy, rzucił swoje oddziały przeciwko nim, ale nie przestał przy tym nienawidzić ZSSR. Pod koniec wojny walczył i przeciwko nam, i przeciwko Niemcom, po wojnie podjął wojnę z władzą sowiecką. Kim był? Nie wszyscy to wiedzą. Stiepan Bandera pochodził z rodziny duchownej, jego ojciec był popem w okolicach Stanisławowa lub w samym Stanisławowie. Bandera uczył się na Politechnice Lwowskiej, zdobył wyższe wykształcenie. Początkowo stał się liderem nacjonalistów w zachodnich rejonach Ukrainy, a później przywódcą całego ukraińskiego ruchu nacjonalistycznego. Gdy po ataku Niemców na Polskę nasze wojska stanęły na nowej granicy, cały naród ukraiński ogarnęły radosne nastroje. Z drugiej strony wszyscy zdawali sobie sprawę, że wkrótce wybuchnie wojna, która nie ominie ZSSR. A jeśli Związek Sowiecki zostanie wciągnięty do wojny, to nowe rejony Zachodniej Ukrainy, włączone do ZSSR, jako pierwsze znajdą się w ogniu walk. Zachodni Ukraińcy bardzo różnie przeżywali to zagrożenie. Nacjonaści, zaciekli wrogowie państwa sowieckiego, czekali na wybuch wojny i przygotowywali się do niej. Cieszyli się, ponieważ omamili ich Gebbels tym, że w rezultacie wojny Niemców z ZSSR Ukraina otrzyma niezależność państwową. Byli zaślepieni w swoim nacjonalizmie i nie mogli docenić wielkości postępowego ustroju sowieckiego. Ci ludzie czekali na wojnę i robili wszystko, by ją przyspieszyć. Chcieli ułatwić Niemcom zajęcie Ukrainy w

nadziei, że Hitler przy pomocy swoich wojsk przepędzi „Moskali” i podaruje im uroczyście na tacy niepodległe państwo.

Potem ukraińscy nacjonałiści przekonali się, że wszystko się skończyło: wielkie nadzieje legły w gruzach, Hitler zaczął wsadzać ich do więzień i prowadzić z nimi bezlitosną wojnę. Niektórzy musieli nawet zejść do podziemia i podjąć akty terroru wobec Niemców. Faktem jest, że zdarzało się to bardzo rzadko. Nacjonałiści gromadzili siły. Liczyli, że w przypadku ofensywy sowieckiej przeciwko Niemcom będą mieć własne wojsko, które w ostatniej fazie oczyszczania terytorium z resztek faszystów pozwoli Ukraińcom przejąć władzę i utworzyć państwo niezależne od „Moskali” i Moskwy. Taka sytuacja zaczęła powstawać w okresie, gdy walczyliśmy o utrwalenie władzy sowieckiej na Zachodniej Ukrainie i szykowaliśmy się do nieuniknionej wojny.

Chcę opowiedzieć o pewnych tragicznych przypadkach, które widziałem lub o których słyszałem: informowali mnie pracownicy Ludowego Komitetu Spraw Wewnętrznych (Narkomu). Narkomem na Ukrainie kierował wówczas Sierow. Niedługo przedtem ukończył akademię wojskową. W ramach umacniania organów bezpieczeństwa ściągano do nich wielu oficerów. Podobnie zmobilizowany został Sierow. Brakowało mu doświadczenia. Miało to i złe, i dobre strony, gdyż nagromadziło się już szkodliwe dla kraju i partii doświadczenie, zdobywane poprzez prowokacje, aresztowania niewinnych ludzi, przesłuchania z torturami w celu wydobycia zeznań, kaźnie. Przesłuchujący zostali już przekształceni w maszynę i kierowali się jedną myślą: jeśli ja tego nie zrobię, to inni zrobią to samo ze mną: lepiej zrobię to sam komuś innemu, zanim inny zrobi to mnie. Strasznie jest dziś pomyśleć, że komuniści byli zmuszeni kierować się nie świadomością, nie sumieniem, lecz jakimś zwierzęcym strachem o własny los. Żeby ratować własne życie, pozbawiali go uczciwych, absolutnie niewinnych ludzi...

Sierow z racji sprawowanej funkcji nawiązał wtedy służbowo kontakty z gestapo. Na mocy porozumienia z Niemcami we Lwowie ulokowała się oficjalna agentura gestapo. Nie wiem dokładnie, jak liczna była sieć agentów, ale działało ich dużo. Powodem tej aktywności i kontaktów

była „wymiana ludzi” między nami i Niemcami: osoby, które opuściły tereny, zajęte przez wojska niemieckie i chcące powrócić do miejsca zamieszkania na obszarze dawnej Polski, mogły to zrobić. I odwrotnie: ludzie, którzy znaleźli się na terenach zajętych przez Niemców, a chcieli przejść na stronę sowiecką, też mogli to zrobić. Wymiana trwała. Pewnego razu przyszedł do mnie Sierow i powiedział: „W punkcie rejestracji chcących wrócić na terytorium Polski ustawiają się olbrzymie kolejki. Gdy podszedłem bliżej, poczułem ból : w kolejkach stali przeważnie Żydzi. Co się z nimi stanie? Jak bardzo ludzie są przywiązani do życiowych drobiazgów – do mieszkania, rzeczy. Dawali łapówki gestapowcom, żeby ci pomogli im jak najszybciej wrócić do domów”. Gestapowcy chętnie brali łapówki, bogacili się i kierowali tych ludzi prosto do obozów. Nie mogliśmy nic poradzić, nasz głos nic nie znaczył dla tych nieszczęsnych ludzi: chcieli wrócić do domów. Może niektórzy mieli tam jeszcze rodziny. Jednym słowem, chcieli wracać tam, gdzie się urodzili i gdzie żyli, choć wiedzieli, jak Niemcy rozprawili się u siebie z Żydami. A mimo to polscy Żydzi, których bieg wypadków rzucił na terytorium, zajęte przez ZSSR, wszelkimi sposobami starali się wrócić na ziemię, gdzie panował już faszizm i gdzie czekał ich smutny los. Z drugiej strony wielu ludzi, szczególnie Żydów, uciekało przed faszystami do nas. Widzieli przecież, jak Niemcy traktują ludność żydowską, jak poniżali Żydów u siebie, każąc im nosić szczególne „znaki rozpoznawcze”, jak znęcali się nad narodem żydowskim. Tu muszę wspomnieć o Sierowie. W swoim czasie został ukarany i usunięty ze stanowiska ministra, gdyż okazał nieostrożność. Jednakże przy wszystkich swoich pomyłkach był człowiekiem uczciwym i nieprzekupnym. Darzyłem go szacunkiem i zaufaniem.

A oto jeszcze jeden przypadek, którego przyczyn nie poznałem i byłem nim zasmucony. We Lwowie pojawiła się Bandrowska (nie ręczę, czy prawidłowo wymieniam nazwisko), znana polska śpiewaczka operowa. Zameldowano mi, że jest na naszym terytorium. Poprosiłem ludzi, zajmujących się sprawami kultury, żeby z nią porozmawiali i zaproponowali występy w operze lwowskiej, o ile miałyby na to ochotę. Jeśli nie tu, to mogłyby śpiewać w operze kijowskiej, charkowskiej

lub odeskiej. Jednym słowem, nasi działacze mieli jej zapewnić każdą możliwość. Sądziłem, że taka atencja skłoni ją do pozostania u nas. Nie chciałem, żeby tak znana śpiewaczka wróciła na terytorium Polski, zajęte przez faszystów. Przecież będzie tam śpiewać, a to stanie się jak gdyby krokiem przeciwko narodowi polskiemu i sowieckiemu. Bandrowska nie chciała zostać i wróciła. Gdy nasi prowadzili z nią rozmowy, śpiewaczka sprytnie udawała, że niby chce zostać, a w tym samym czasie po cichu pertraktowała z Niemcami. W tajemnicy przeprowadzili ją na swoją stronę. Przyszedł do mnie Sierow i mówi: „Bandrowskiej nie ma. Jest w Krakowie i już wystąpiła dla oficerów armii niemieckiej”.

Inteligencja polska na terenach zajętych przez Armię Czerwoną bardzo różnie reagowała na fakt przyłączenia Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi do ZSSR. Wielu inteligentów, jak to się mówi, dosłownie osłupiało. Znajdowali się w stanie jakiegoś szoku. Ich kraj stał się obiektem napaści hitlerowskich Niemiec, Polska została rozgromiona, Warszawa uległa poważnemu zniszczeniu, inne miasta też. Co będzie dalej? Wychowani na tradycjach burżuazyjnych i przywykli do burżuazyjnego rozumienia przebiegu wydarzeń ci ludzie jak gdyby tracili swoją tożsamość, swoją twarz. Nie mogli pojąć, że polska kultura i naród polski nadal rozwijają się na terytorium, przyłączonym do ZSSR, choć było ono niewielkie w porównaniu z tym, które zaanektowały hitlerowskie Niemcy. Polacy przeżywali klęskę bardzo głęboko i tragicznie. Niektórzy wybierali mniejsze zło. Byli przeciwnikami władzy sowieckiej, lecz widząc to, co zrobił z Polską Hitler, woleli Sowiety. Byli i tacy, którzy znalazłszy się na terenach zajętych przez Armię Czerwoną, nie czekając na „wymianę ludzi”, uciekali na stronę niemiecką. Czasem chcieli w ten sposób uniknąć kontaktu z gestapo.

Gestapowców było wtedy we Lwowie bardzo dużo. Na mocy porozumienia przyjechali do miasta, żeby zajmować się wymianą obywateli. Zdarzały się jednak przypadki takie jak z Bandrowską, gdy gestapowcy nie uzgadniali z nami list wyjeżdżających. Korzystając z całkowitego otwarcia granicy wypisywali różnym ludziom fałszywe dokumenty.

Trwały prace nad ustanowieniem władzy sowieckiej i

normalizacją sytuacji w zachodnich rejonach Ukrainy. Przede wszystkim należało utworzyć lokalne organy władzy. W skład komitetów obwodowych i rejonowych weszło wielu miejscowych aktywistów. Nie brakowało kadr, które stały na gruncie sowieckiej rzeczywistości. Mimo mocnej pozycji nacjonalistów ukraińskich, było wielu sprzyjających nam komunistów, choć Komunistyczna Partia Zachodniej Ukrainy została rozwiązana, a my wyraziliśmy wobec niej brak zaufania. KPZU rozgromiono jeszcze w okresie „czystek” w latach 1936-1937. Kierowanie organizacjami komunistycznymi Zachodniej Ukrainy powierzono Komunistycznej Partii Ukrainy. Gdy jeszcze w latach 1928-1929 pracowałem w Kijowie na stanowisku kierownika oddziału organizacyjnego komitetu okręgowego, jego sekretarzem był Demczenko. To właśnie on na mocy decyzji KC KPU odpowiadał za związki z KPZU i kierowanie jej działalnością. Demczenko spotykał się z ludźmi „stamtąd”, przyjeżdżali nielegalnie, dostawali od niego polecenia i wyjeżdżali. Tak wyglądała robota organizacyjna.

Demczenko zajmował się też problemami kultury. W Kijowie mieściła się Ukraińska Akademia Nauk, wybitny historyk Gruszewski kierował w niej wydziałem historii Ukrainy. Demczenko miał nadzorować Akademię Nauk i poświęcał temu wiele uwagi. Poprzez Akademię był powiązany z naukowcami, którzy znajdowali się we Lwowie, po polskiej stronie. Pamiętam dwa nazwiska: Studziński i Kolassa. Cieszyli się autorytetem wśród inteligencji, przy czym Kolassa bardziej jako uczonego, a Studziński jako działacza społeczny i dobry mówca. Występując na łamach polskiej prasy zaprezentował się jako postać antypolska, prosowiecka i proukraińska. Gdy jednak spotkałem go w 1939 roku okazało się, że nie miał trwałych przekonań politycznych. Tak więc KPZU była rozgromiona, a jej kadry, których dosięgła nasza ręka – zlikwidowane jako prowokatorzy, zdrajcy i agenci Piłsudskiego, już nieżyjącego.

Komunistyczna Partia Polski też została rozgromiona i rozwiązana przez Komintern. Jej kierownictwo zlikwidowano, gdyż mieszkało w Moskwie i pracowało właśnie w Kominternie. Wszyscy, którzy tu mieszkali, trafili do więzienia i zginęli – Leński i inni. Została tylko młodzież. Bierut ocalał,

gdyż był jeszcze mało znany, a poza tym przebywał w Polsce, a nie w ZSSR. Całkiem młody był też Gomułka. I oto ich partię zniszczono, zginęło jej centralne kierownictwo, praktycznie nie było żadnego kierownictwa. Gomułka opowiadał mi przed aresztowaniem po wojnie, że działał wówczas w Drohobyczu; gdzie pracował Bierut, nie wiem. Kiedy zajęliśmy Drohobycz, to przyszedł przewodniczący Rady Państwa PRL Zawadzki, bardzo dobry człowiek, siedział w miejscowym więzieniu. Wcześniej też był wielokrotnie więziony i opowiadał mi, że znał rygory różnych polskich więzień. Żartował, że „najlepszym” więzieniem było to w Drohobyczu.

Już wspominałem, że w ciągu tych miesięcy zajmowaliśmy się tworzeniem wybieralnych organów władzy lokalnej narodów, zamieszkujących wschodnie ziemie byłej Polski. Teraz ci ludzie powinni określić swój stan prawny: z kim będą? Czy chcą należeć do państwa sowieckiego? Odbyły się wybory przedstawicieli ludowych. Przebywałem wtedy we Lwowie i organizowałem tę pracę. Kiedy odbywało się posiedzenie delegatów ludowych, siedziałem w łoży i przysłuchiwałem się. Dziś już nie pamiętam składu prezydium, ale byli to ludzie z zachodnich rejonów Ukrainy, dobrze nam znani, stojący na określonych pozycjach politycznych. Otwarcie mówili o tym w wystąpieniach, ustnie i na łamach gazet. Nie były to jakieś podstawione osoby, mówiąc ordynarnie „nasi agenci”, o nie! Byli to komuniści z przekonania. Kiedy przemawiali, nie słyszałem ani jednego mówcy, który wyrażałby choć cień wątpliwości, czy powinna u nich powstać władza sowiecka. Z radością i patosem deklarowali, że ich największym marzeniem jest przyłączenie do sowieckiej Ukrainy.

Posiedzenia odbywały się na wysokim poziomie politycznym. Nie pamiętam, jak długo trwały. Przyjemnie było jednak patrzeć na te wydarzenia, cieszyć się, że potwierdzają nasz punkt widzenia: lud – robotnicy, chłopi, inteligencja pracująca, ze zrozumieniem odnoszą się do naszej ideologii, uznają ją i chcą na jej bazie budować swoją przyszłość. Oto siła idei Lenina! Żyły w ludziach, choć władze polskie robiły wszystko, żeby izolować ich od ZSSR i wytepić leninizm, straszili ludzi władzą sowiecką. Akurat w tamtych latach nasiliły się represje stalinowskie, co też wykorzystano przeciw-

ko nam z odpowiednią interpretacją. Jeśli pisaliśmy i mówiliśmy, że wszystko to służy umocnieniu państwa sowieckiego i oczyszcza drogę do budowy socjalizmu, wrogowie ZSSR tłumaczyli wszystko inaczej, oczywiście na naszą niekorzyść. Takie opinie krążyły po Polsce i po innych krajach burżuazyjnych. A jednak mimo tak usilnego prania mózgów, lud powitał wkraczającą Armię Czerwoną i nas jako bliskich mu ludzi. Posiedzenie przedstawicieli ludowych tych rejonów, które zostały wyzwolone przez nasze wojska, miało we Lwowie szczególnie uroczysty charakter. Ludzie ze łzami radości w oczach mówili o tym, że wreszcie doczekali czasów, gdy powstanie jedna Ukraina, że zjednoczą się z braćmi Ukraińcami. Były to dla nas dni triumfu, tym bardziej, że oprócz zaspokojenia aspiracji Ukraińców umocniliśmy i zabezpieczyliśmy zachodnią granicę ZSSR. Przesunęła się na zachód. Naprawiono historyczną krzywdę wobec narodu ukraińskiego, który nigdy przedtem nie miał jednego państwa. Teraz spełniły się jego marzenia. Co prawda nie zostało to jeszcze zatwierdzone prawnie, gdyż posiedzenia delegatów odbywały się jedynie we Lwowie. Na razie obserwowaliśmy tylko, jak dają upust swoim uczuciom ludzie, wyzwoleni spod ucisku. Oficjalnie nie przyjęto jeszcze ich ziem do ZSSR. Oprócz tego pozostawali jeszcze Ukraińcy, mieszkający za Karpatami, na terenie Węgier. Gdy Hitler zlikwidował Czechosłowację, Zakarpacie weszło właśnie w skład Węgier. Nasi Ukraińcy brali to pod uwagę i mówili: „Nasi rodacy z Zakarpacia na razie nie znaleźli się w granicach Sowieckiej Ukrainy, ale przyjdzie czas, że będą z nami”. Po wojnie rzeczywiście tak się stało. Sowiecka Ukraina Zakarpacka została włączona do USSR, sowiecka Ukraina stała się ojczyzną wszystkich Ukraińców, zamieszkujących swoje historyczne ziemie.

Po posiedzeniu przedstawicieli ludowych we Lwowie przenieśliśmy rozważanie problemu do Kijowa. Posiedzenie lwowskie nazwano zgromadzeniem pełnomocników (czymś w rodzaju zebrania założycielskiego). Delegaci wystąpili z prośbą o włączenie Zachodniej Ukrainy do USSR. W Kijowie zwołano Radę Najwyższą Republiki, a następnie dokończyła dzieła Rada Najwyższa ZSSR. Na jej sesję przybyli przedstawiciele

zachodnich obwodów i ponowili swoją prośbę. Aktu przyłączenia dokonano w bardzo uroczystej sprawie. Byłem dumny, że od początku do końca przebywałem w zachodnich rejonach Ukrainy i organizowałem to wszystko. Jak przebiegały analogiczne wydarzenia na Białorusi, dokładnie nie wiem, gdyż znam je tylko z gazet. Białorusini też świętowali zwycięstwo, też cieszyli się z historycznego aktu zjednoczenia całego narodu w obrębie jednego państwa. Prawdopodobnie mieli te same radości i trudności, co my. Tak sądzę. Kto chce, może znaleźć materiały na ten temat w gazetach.

Teraz o Litwie, Łotwie i Estonii. O naszych przedsięwzięciach dowiadywałem się tylko z rozmów, jakie prowadziłem ze Stalinem podczas pobytów w Moskwie. Oczywiście cieszyliśmy się, że Litwini, Łotysze i Estończycy znajdują się w ZSSR. Oznaczało to i rozszerzenie terytorium, i wzrost ludności, i ogólne wzmocnienie ZSSR. Uzyskaliśmy długi pas wybrzeża Bałtyku. Wcześniej mieliśmy jedynie wąskie dojsście do Zatoki Fińskiej, teraz zdobyliśmy prawdziwą granicę morską. Oprócz tego w przypadku „wielkiej wojny” na terytoriach tych trzech krajów mogłyby wylądować wojska Anglii, Francji i Niemiec. Włączenie Litwy, Łotwy i Estonii do ZSSR umacniało więc naszą obronność. Miało to ogromne znaczenie, gdyż połączone siły bloku imperialistycznego były większe od naszych. Rzecz jasna, nie można stawiać znaku równości między narodami Litwy, Łotwy i Estonii a ludnością Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi. Przecież w Nadbałtyce mieszkały odrębne narody, a nie części narodów ZSSR. Zyskały jednak możliwość takiego życia, jakie mieli w Związku Sowieckim robotnicy, chłopci i inteligencja. Dla szerokich mas Nadbałtyki był to ogromny sukces. Przywódcy tych państw ustąpili miejsca innym. Prezydent Litwy Smetona zbiegł do Niemiec. Nie wszyscy jednak uciekli, niektórzy przedstawiciele poprzednich rządów zachowali nawet wysokie stanowiska. Nie napotkaliśmy oporu, a inne sprawy załatwiano tam inaczej niż w Zachodniej Ukrainie i w Zachodniej Białorusi, sowietyzacja miała odmienny przebieg. Powstały tam własne, lecz już postępowe rządy. Nie wszyscy ich członkowie byli komunistami. Lacis, który zastąpił na czele rządu Łotwy Kirchensteina, był komunistą i znanym pisarzem. Nie

pamiętam już pierwszych przywódców Litwy i Estonii. Tam też nastąpiły podobne zmiany. Stopniowo wszędzie zaprowadzono sowieckie porządki: Estonia, Litwa i Łotwa weszły w skład ZSSR, co przeprowadzono metodami demokratycznymi, przestrzegając wszelkich formalności prawnych, przewidzianych w takich sytuacjach.

POLSKI SĄSIAD

Z Polakami łączą nas stosunki szczególne. Lepiej się znamy, mieliśmy więcej kontaktów. W swoim czasie państwo polskie było pod zaborem rosyjskim, pruskim i austriackim. Większa część ludności trafiła do imperium rosyjskiego. Przedstawiciele narodu polskiego pracowali w przedsiębiorstwach całej Rosji i robotnicy rosyjscy mieli okazję często kontaktować się z nimi. Przed rewolucją ja również nierzadko spotykałem się z Polakami, kiedy pracowałem w zakładach maszynowych Bosse koło Józowki i w kopalni w tej samej miejscowości. Można powiedzieć, że stykałem się z nimi od dzieciństwa. Polacy są tacy sami jak i inne narody: są wśród nich ludzie dobrzy i źli. Wielu moich przyjaciół było Polakami, a ja przyjaźniłem się z nimi.

W zakładzie w czasie jednodniowego strajku (w związku z rozstrzelaniem robotników w Lienskich Sztolniach wiosną 1912) jednym z jego przywódców był ślusarz, Polak Czerniawski. Towarzysze bardzo go szanowali, nie tylko za aktywność społeczną; miał wysokie kwalifikacje. Zaraz po strajku władze zaczęły go prześladować, zrezygnował z pracy i wyjechał i więcej go nie spotkałem. Pamiętam jeszcze jednego Polaka, również ślusarza, Leonida Borowskiego, cudownego młodego człowieka, wesołego i sympatycznego. W zasadzie stosunki między polskimi i rosyjskimi robotnikami zawsze były koleżeńskie, zresztą nie mogło być inaczej, Pracowaliśmy dla tego samego pana, warunki pracy były jednakowe dla wszystkich, nie było powodów do napięć. A sprawy narodowe? W naszym środowisku o takich sprawach

w stosunku do Polaków nie było mowy, w czasach dzieciństwa i młodości niczego podobnego nie zauważyłem. Po rewolucji październikowej trafiłem do pracy w Kijowie. Tam również spotykałem Polaków. Na Ukrainie, w guberni kijowskiej, żytomierskiej i innych było dużo ludności polskiej. Nie było jednak żadnych napięć narodowościowych.

Po rewolucji w Kijowie znałem redaktora gazety, Polaka Skarbka. W swoim czasie stał na czele polskiego oddziału KC KP(b)U w Charkowie, potem zdaje się pracował w Moskwie, w wydziale propagandy. Był to wielce szanowany towarzysz, uczciwy komunista. Byłem wówczas szefem Wydziału Kijowskiego Okręgowego Komitetu Partii, podlegały mi sprawy kadrowe. Przy doborze kadr nie patrzyliśmy na narodowość: Polak, Żyd, Rosjanin, Ukraińiec czy ktoś inny. Takich problemów nie było, ludzi dobierano według kwalifikacji. Oczywiście kierując towarzysza na to czy inne stanowisko brano pod uwagę narodowość i znajomość języka. Na Ukrainie przecież większość ludności to Ukraińcy, i oni mieli pierwszeństwo przy obsadzaniu stanowisk, gdzie znaczenie miała znajomość rdzennego języka i miejscowych realiów. Jest to oczywiste i tak powinno być. Skarbek redagował gazetę nie polskojęzyczną. Był człowiekiem przygotowanym i wszystko szło mu dobrze.

Pewnego razu w Kijowie przypadło mi zbliżyć się z Polakami. W końcu lat 20-tych Piłsudski postanowił zwołać wszechświatowy zjazd Polaków. W tamtych czasach nasze stosunki z Polską były bardzo złe. Pamiętaliśmy, że w 1920 roku Piłsudski walczył przeciw Rosji sowieckiej a później prowadził wrogą politykę w stosunku do ZSSR. Dlatego też mieliśmy zamkniętą drogę do szerszych stosunków z Polską i w ogóle z Polakami poza granicami naszego kraju. Chcieliśmy jednak, aby przedstawiciele narodowości polskiej w ZSSR również otrzymali mandaty na ten zjazd w Warszawie, gdzie mogliby wystąpić w imieniu sowieckich Polaków.

Utworzono komisję, do której włączono mnie, Rosjanina, szefa Wydziału Komitetu Okręgowego Partii. Komisja dobierała kadry, badała ludzi, kogo z nich można by posłać do Warszawy. Należało wziąć pod uwagę, aby otrzymali oni mandaty i nie zostali zatrzymani na granicy przez państwo

polskie. W składzie komisji był również Skarbek, na jej czele stał Krynicki, znany Polak-bolszewik, który kierował wówczas Wydziałem Agitacji i Propagandy KC WKPb. W rezultacie nieraz spotykałem Krynickiego i traktowałem go z ogromnym szacunkiem. Niestety zginął tragicznie, jak i wielu innych. Zdaje się, że skierowano go do Saratowa na sekretarza miejscowego komitetu partii i w czasie rzezi stalinowskiej aresztowano go i rozstrzelano. W czasie pracy komisji uważnie rozpatrywaliśmy różne kandydatury, ale nasza praca nie dała żadnego rezultatu, gdyż Piłsudski nikogo z sowieckich Polaków nie wpuścił do Warszawy.

Kiedy rozpoczęły się stalinowskie czystki wśród kadr partyjnych zginął nie tylko Skarbek i Krynicki, ale i w ogóle mnóstwo innych Polaków. Bardzo przeżywałem fakt, że Skarbek został aresztowany i stracony. Wydawał mi się bardzo porządnym człowiekiem. Martwiło mnie również, że wiele lat przepracowaliśmy razem w kijowskim Komitecie okręgowym a w komisji miałem z nim do czynienia codziennie i bardzo go ceniłem. A teraz okazało się, że Skarbek to wróg narodu. Kiedy dowiedziałem się, że aresztowano Krynickiego, zdenerwowałem się, co się mogło stać. Towarzysz Krynicki nagle okazał się zdrajcą! Teraz już wszystkim wiadomo jakimi byli „wrogami narodu”.

W tamtych czasach, w odpowiedzi na moje pytania wyjaśniano mi, że Skarbek był agentem Piłsudskiego. Wiedziałem, że Skarbek w swoim czasie przekroczył nielegalnie sowiecko-polską granicę; były pepeesowiec został aktywnym działaczem WKPb. Mówiono, że przekroczył granicę na rozkaz Piłsudskiego, żeby wkraść się w łaski i szpiegować za rzecz pańskiej Polski. Oczywiście takie rzeczy zdarzały się w życiu. Wywiad niejednokrotnie korzystał z takich sposobów jeśli zdarzała się okazja. Teoretycznie Skarbek mógł być agentem, nie było w tym nic niewiarygodnego, uwierzyłem w te wyjaśnienia. Dawałem natomiast upust swojemu niezadowoleniu: jaki byłem krótkowzroczny, jeśli wysoko ceniłem obcego agenta.

Później, kiedy pracowałem w Moskwie, poznałem jeszcze jednego Polaka, byłego towarzysza broni Dzierżyńskiego, Rendensa. Był on pełnomocnikiem OGPU obwodu moskiewskiego. Robotnik-elektryk, przed rewolucją pracował w

zakładach w Kamienskim (później Dnieprodzierżyńsk), pracował na fabrykantów, którzy również byli Polakami. Miałem dobre stosunki z Redensem i odnosiłem się do niego z szacunkiem chociaż według mnie nie był zupełnie pozbawiony wad. Mało jest jednak ludzi zupełnie bez wad. W aspekcie politycznym miałem do Redensa pełne zaufanie. Był on ożeniony z siostrą Stalina Anną Allilujewą. Nieraz siedziałem u Stalina przy obiedzie rodzinnym tuż obok Redensa. Cała rodzina Stalina w tamtym czasie zbierała się na takich obiadach. Redens skończył tak jak wielu innych, został aresztowany i zesłany, a później stracony. Jego żona Anna bardzo przeżyła śmierć męża i z nieszczęścia straciła rozum. Była to ogromna tragedia dla rodziny Allilujewów. Nadzieży Siergiejewny nie było już wówczas na świecie, zginęła wcześniej.

Przypominam sobie po kolei swoje różne spotkania z Polakami, z którymi się zetknąłem, pracowałem i przyjaźniłem, wspominam ich ciepło, a jednocześnie wzdragam się wspominając okres, kiedy Stalin wzmógł czujność, który kosztował życie tysięcy ludzi. Czy w ogóle byli polscy agenci przysłani przez Piłsudskiego? Z pewnością byli. Albo przez inne wywiady? Bezwarunkowo, ponieważ obce wywiady zawsze przysyłają do innych swoich agentów. Mądrość działacza państwowego polega jednak na tym by nie mieszać uczciwych ludzi z agentami. W przeciwnym przypadku wychodzi to co było u nas. W rezultacie ogołociliśmy swój społeczny front i najlepsi ludzie, którzy zasłużenie wysunęli się na czoło w czasie rewolucji i po jej zakończeniu, zajęli kierownicze stanowiska w partii, armii, w państwie i gospodarce zostali wybici, a pierwszym rzędzie – Polacy.

Płacili oni za głupią politykę przywódcy rządu polskiego, Piłsudskiego, wroga władzy sowieckiej. Kiedy w roku 1936, 1937, 1938 rozpoczęło się prawdziwe polowanie na czarownice, Polakom trudno było się gdziekolwiek utrzymać, nie mogło być mowy o zajęciu kierowniczego stanowiska. Wszyscy Polacy byli w ZSSR podejrzani. Nastroje te były podgrzewane, ponieważ w miarę pogarszania się sytuacji międzynarodowej, kierownictwo Polski pogłębiało swoje antysowieckie nastawienie.

Ta sama polityka była kontynuowana po śmierci Piłsud-

skiego. Kiedyś zadzwonił do mnie do Kijowa Stalin i uprzedził: „Zwróćcie większą uwagę na granicę z Polską, radzę wam jeździć tam częściej osobiście”. Drugim razem zadzwonił, by zwrócić uwagę na Kamieniec Podolski: „Według informacji naszego wywiadu, Polacy przygotowują się do zajęcia Kamieńca Podolskiego i następnie do rozwinięcia ataku w kierunku Morza Czarnego”. Na ile to było realne? Czy należało w to wierzyć? Trudno powiedzieć. Teraz oczywista jest wątpliwość, jeśli nie niewiarygodność takich planów. Polska nie miała żadnych realnych możliwości aby to zrobić. Stalin był bardzo nieufny wobec Polski. Częściowo było to uzasadnione i potwierdziło się po rozpoczęciu drugiej wojny światowej.

Swoją nieufność wobec burżuazyjno-ziemiańskiej Polski Stalin przenośił na każdego Polaka. Wydawało mu się, że ci ludzie myślą tylko o tym, jak i gdzie zaszkodzić naszemu państwu. Gdy rozpoczęło się rozprawianie z „wrogami narodu” atmosfera była tak gorąca, że przedstawiciele Komunistycznej Partii Polski w Kominternie zostali aresztowani i straceni, a decyzją Komitetu Wykonawczego Kominternu została w ogóle zlikwidowana. Pracowałem wówczas jako pierwszy sekretarz Komitetu Moskiewskiego Partii i pamiętam jak po aresztowaniu kolejnej grupy ogólnie znanych działaczy politycznych przewaliła się fala mityngów w celu ich osądzenia, Polacy zostali zakwalifikowani jako agenci Piłsudskiego, którego wysiłki stale były skierowane na wroga działalność przeciw ZSSR.

Pojawiło się zawołanie: Każdy Polak – „nasz wróg”, przysłany przez Piłsudskiego. Tak jak kiedyś czarnosecińcy krzyczeli: „Bij Żydów – ratuj Rosję!”, tak samo teraz wzywali: „Bij Polaków ratuj Związek Sowiecki!”

Kiedy zabrakło Polaków, wzięli się za tych, którzy byli w jakiś sposób interesujący, zajmowali widoczne stanowiska. Przyjechałem kiedyś na zebranie Biura Politycznego. Razem z Jeżowem siedzieliśmy pod ścianą. Stalin wszedł do sali i od razu skierował się do nas. Podeszedł, wskazał mnie palcem i spytał:

– Wasze nazwisko?

– Towarzyszu Stalin, jak zawsze Chruszczow.

– Nie, nie jesteście Chruszczow – zawsze tak ostro mówił. – Nie jesteście Chruszczow. – I wymienił jakieś polskie nazwisko.

– Co wy towarzyszu Stalin, moja matka jeszcze żyje... Zakład stoi, gdzie spędziłem dzieciństwo i pracowałem... Moje rodzinne strony to Kalinowska w obwodzie kurskim... Można sprawdzić, kim jestem...

– Tak mówi Jeżow – odpowiedział Stalin.

Jeżow zaczął zaprzeczać. Stalin wezwał wówczas Malenkowa na świadka. Powiedział, że Malenkow powiedział mu o podejrzeniach Jeżowa, że Chruszczow, to nie Chruszczow tylko Polak. Ten również zaczął zaprzeczać. Taki właśnie obrót przyjęły sprawy, zaczęto wszędzie szukać Polaków. Jeśli Polaków nie znajdowano, robiono ich z Rosjan.

Na Ukrainie, gdzie zacząłem pracować w 1938 roku, Polacy pracowali tak samo jak wszyscy ludzie sowieccy. Robotnicy i chłopcy żyli swoim codziennym życiem, uczciwie pracowali niezależnie od narodowości. Nadchodziła jednak wojna. Po podpisaniu w 1939 r. układu z Hitlerem znaleźliśmy się w bezpośrednim sąsiedztwie działań wojennych. Jeszcze w sierpniu Hitler poprzez Ribbentropa uprzedził Stalina, że Niemcy rozpoczną wojnę z Polską we wrześniu. W Moskwie zdecydowano, że Armia Czerwona też powinna wkroczyć na terytoria, które zgodnie z paktem z 23 sierpnia znalazły się w strefie wpływów ZSSR. Obszary Zachodniej Ukrainy wchodzące w skład państwa polskiego miały być przyłączone do Ukraińskiej SSR, Zachodnia Białoruś – do Białoruskiej SSR. Rozstrzygały się wtedy losy Litwy, Łotwy, Estonii, Finlandii, ale teraz mówię właśnie o Polakach.

Od niemieckiego uderzenia na Polskę 1 września rozpoczęła się II wojna światowa. Skoncentrowaliśmy swoje siły na granicy z Polską, ale nie rzuciliśmy ich jeszcze do akcji. Dowiedziałem się od Stalina, że Hitler przez ambasadora w Moskwie przypominał mu: „Dlaczego nie przystępujecie do działania zgodnie z umową?” Stalin odpowiadał, że jeszcze nie jesteśmy gotowi. Zaczęliśmy 17 września. Wojskami dowodził Timoszenko. Byłem na miejscu, wśród pododdziałów. Dywizją kawalerii, która nacierała na Tarnopol, dowodził dobry generał, nie pamiętam jego nazwiska, wyróżnił się

później w czasie wojny. Bojowy był człowiek, górnik. Nocą przed natarciem zameldował mi, za ile godzin znajdzie się w Tarnopolu. I dotrzymał słowa. Co do samych działań bojowych, to powiedziałbym, że było to pojęcie umowne. Armia Czerwona parła naprzód nie napotykając żadnego oporu, nawet ze strony polskich pograniczników. Gdy wieczorem przyjechaliśmy z Timoszenką do Tarnopola, nasza kawaleria już tam była.

Po raz pierwszy w życiu znalazłem się za granicą. Ludzi na ulicach nie było widać, choć Tarnopol zamieszkiwali głównie Ukraińcy. Tylko przy samej granicy mieszkali tak zwani osadnicy – Polacy, przejmujący gospodarstwa i ziemie po wysiedlonych Ukraińcach. Wysiedlano ich, by polscy osadnicy mogli stać się jak gdyby strażą na granicy z Ukraińską SSR. Nie było żadnych oznak wrogości wobec naszych żołnierzy: tamtejsi Polacy nie byli fanatykami i nie rwali się do boju z ludźmi sowieckimi.

Na kierunku lwowskim wojskami dowodził generał Golikow. Pojechałem do niego. Swój polowy punkt dowodzenia umieścił pod stogiem słomy. Podjechałem, zameldował mi, że dowódca artylerii kijowskiego okręgu wojskowego generał Jakowlew został wysłany do dowództwa niemieckiego na rozmowy w sprawie zajęcia przez nas Lwowa. Wybór padł na niego, gdyż znał niemiecki – niezbyt dobrze, ale w stopniu umożliwiającym porozumienie się.

Dobry był generał. W czasie wojny zajmował się artylerią i działał bardzo sprawnie. Nie uratowało go to jednak. Już po wojnie, mimo zasług, Stalin wsadził go do więzienia.

Zajęliśmy Lwów i zetknęliśmy się z ludnością polską. Wokół miasta mieszkali Ukraińcy, ale w samym Lwowie żyli prawie wyłącznie Polacy.

Były to burzliwe dni. Działania wojenne zakończyły się. Prawdę mówiąc, jeśli chodzi o Armię Czerwoną, to nasze jednostki w ogóle nie toczyły żadnych walk. Po prostu wyszliśmy na granicę, ustaloną wcześniej z Niemcami.

Jeśli chodzi o aspiracje inteligencji ukraińskiej, to widziała ona tę granicę jeszcze bardziej na zachód. Dla Ukraińców zachodnią granicą kraju była linia Curzona. Obecnie wytyczona przebiegała na wschód od tej linii.

Tak więc oskarżenia ZSSR, że okupował terytorium Polski, nie są całkiem słuszne. Nasze wojska zajęły tereny, które historycznie i etnicznie należały do Ukrainy. Ludność wiejska z niewielkimi wyjątkami była rdzennie ukraińska.

Były to dla mnie najlepsze i najszcześniejsze czasy. Świątowaliśmy zjednoczenie ziem ukraińskich i białoruskich we wspólnym państwie sowieckim. Ludzi ogarnął świąteczny nastrój, przeprowadzaliśmy wiece, konferencje, zjazdy – zaczęła się ożywiona działalność polityczna. Szczególnie uroczyście przeżywała przyłączenie ziem zachodnich inteligencja ukraińska.

W tym okresie jako sekretarz Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Ukrainy przeprowadziłem się do Lwowa i pracowałem w obwodach zachodnich. W Kijowie bywałem bardzo rzadko. Zaprosiliśmy przedstawicieli inteligencji ukraińskiej, przede wszystkim pisarzy, żeby przyjechali do Lwowa i pracowali z miejscową inteligencją. Lwów stał się stolicą zachodnich terenów Ukrainy i wszystkie decyzje w sprawach przyłączonych ziem zapadały we Lwowie. W mieście pozostała polska ludność i polska inteligencja – również ta, która dotarła do Lwowa w ucieczce przed Niemcami. Wśród tych uciekinierów znalazła się też Wanda Lwowna Wasilewska.

Różni byli wtedy Polacy we Lwowie. I różny był też ich stosunek do naszego kraju. Nie było nam lekko. Fakt pozostawał faktem: podpisaliśmy pakt z Ribbentropem. Rozpętała się propaganda antysowiecka. Głównym zarzutem było to, że my, partia komunistyczna, porozumieliśmy się z faszystami.

Trudno było, bardzo trudno było odpowiadać na ten pozornie prosty zarzut, Trudności dotyczyły nie istoty sprawy, lecz jej formy. Co do istoty sprawy, to oczywiście partia komunistyczna nie mogła mieć nic wspólnego z faszystami i żadnego paktowania z nimi być nie mogło, ale formalnie taki pakt był i to on zadecydował o nowym kształcie granic. Opinia publiczna dowiedziała się o nim po upadku Trzeciej Rzeszy, gdy niemieckie archiwa trafiły w ręce Amerykanów.

Podstawowa trudność polegała na tym, że nie mogliśmy ujawnić, iż był to tylko manewr, że nie mieliśmy innego

wyjścia. Byliśmy zmuszeni do tego kroku z winy tejże Polski, z winy francuskiej burżuazji, z winy burżuazji brytyjskiej, które nie chciały połączyć się ze Związkiem Sowieckim przeciwko faszystowskiemu Niemcom. Nie mogliśmy tego powiedzieć Polakom, nie mogliśmy powiedzieć nawet u siebie, na Ukrainie.

Jednakże nie tylko takie trudności mieliśmy we Lwowie, Polacy szczególnie boleśnie przeżywali utratę państwowości. Polska znalazła się pod okupacją, Warszawa została rozgromiona. I znów nie mogliśmy mówić pełnym głosem, nie mogliśmy zająć stanowiska, wynikającego z naszego światopoglądu, z naszej ideologii. Jawną propagandę przeciwko Hitlerowi, przeciwko jego polityce, przeciwko niemieckim i włoskim faszystom prowadziliśmy do momentu podpisania paktu. Teraz nie mogliśmy nic powiedzieć, gdyż stali się naszymi sojusznikami. Powiedziałbym, że zaistniała sytuacja dosłownie stała się tragedią dla naszych propagandzistów.

W tym czasie w partyjnym środowisku ukraińskim Polaków prawie nie było. Jeśli nawet zdarzali się, to nie zajmowali jakichś znacznych stanowisk. Wszystkich takich ludzi Stalin zlikwidował. Gdy przyjechałem do Lwowa, powiedziano mi, że jest taka pisarka Wanda Lwowna Wasilewska – człowiek stanowczy, trzeźwo oceniający sytuację i taki, na którego można liczyć. Zapewniono mnie, że Wasilewska nas zrozumie i stanie po naszej stronie.

Miała lada chwila przyjechać do Lwowa. Czekałem na Wandę Lwownę, żeby wraz z nią rozpocząć pracę nad zorganizowaniem polskiej inteligencji w mieście. Chcieliśmy powstrzymać tych ludzi od działalności antysowieckiej uczynić z nich sojuszników w walce o normalizację warunków życia. W innych rejonach Zachodniej Ukrainy, zamieszkałych przez Ukraińców, opieraliśmy się właśnie na nich i nie potrzebowaliśmy Polaków. Sytuacja komplikowała się jeszcze bardziej, gdyż wśród Ukraińców panowały nastroje antypolskie. Polacy byli panującą narodowością, prowadzili nierozumną politykę ucisku ludności ukraińskiej. Szczególnie silne nastroje antypolskie panowały wśród inteligencji.

Nie chcieliśmy, by sytuacja uległa zaognieniu. Miała podłoże historyczne: przez wiele wieków Polska walczyła z

Ukraińcami. Wszyscy znają czasy Bohdana Chmielnickiego, który prowadził wojny przeciwko Polakom. Później pod jego rządami Ukraina weszła w skład państwa rosyjskiego.

Wreszcie pojawiła się Wanda Lwowna. Z łatwością porozumieliśmy się we wszystkich kwestiach. Zrozumiała nasze wyjaśnienia, w jakich warunkach podpisaliśmy pakt z Niemcami i dlaczego nasze wojska zajęły wschodnie rejony Polski.

O pakcie rozmawiałem z nią nie ja, lecz pisarze ukraińscy, przede wszystkim Korniejczuk i Mikoła Płatonowicz Bażan. Ci ludzie byli najbardziej aktywni i najbardziej mi bliscy. Poprzez nich tworzyłem przyczółki naszej propagandy i naszej polityki wśród polskiego aktywu twórczego, który zaczął się gromadzić wokół nas.

Wanda Lwowna również jako pisarka z ogromną sympatią odnosiła się do ukraińskiej i białoruskiej biedoty. Znalazło to odbicie w jej twórczości. Siedziała w polskim więzieniu za obronę praw zachodnich Ukraińców i Białorusinów. Do dziś z przyjemnością wspominam jej książki.

Nie pamiętam już nazwisk innych polskich towarzyszy, zjawiła się Wanda Lwowna, później dotarli następni polscy inteligenci, którzy uciekli z Warszawy. Odnosili się do nas różnie, niektórzy wręcz nieprzyjaźnie, inni pogrążali się w pijaństwie. Wanda Lwowna od razu włączyła się do pracy i szybko stała się przywódczynią polskiej inteligencji we Lwowie.

Choć Komunistyczna Partia Polski została rozwiązana przez Komintern, podstawowe organizacje partyjne działały. Być może nie wiedziały o rozwiązaniu KPP, być może po prostu ignorowały tę decyzję. Gomułka opowiadał mi po latach, że działał w tym czasie w Drohobyczu i uważał się za członka partii. Nie wiem, jak wyglądała tam organizacja partyjna i czy w ogóle istniała. Zapewne pojedynczy ludzie uważali się za komunistów i byli tacy jak Gomułka. Zawadzki, który został przewodniczącym Rady Państwa w Polsce opowiadał, że siedział w więzieniu w Drohobyczu jako komunistą. Wśród komunistów, członków byłej KPP, było wielu robotników i inteligentów. Chcieli wstąpić do partii, ale o tym nie było mowy.

Istniała jeszcze Komunistyczna Partia Zachodniej Ukrainy, kierowana przez Komitet Centralny Komunistycznej Partii Ukrainy z Kijowa. Byłych członków tej partii pozwolono nam przyjmować w trybie indywidualnym. Przyjmowaliśmy więc tego i owego, nie mogliśmy ich nie przyjmować, gdyż widzieliśmy, że są to uczciwi ludzie, którzy przedstawiali dowody swojej działalności w podziemiu. Byli nam potrzebni. Najlepiej znali warunki lokalne. W ten sposób przystąpiliśmy do tworzenia organizacji partyjnej. Jak cios obuchem w głowę stała się dla mnie wieść, że nasi czekiści zabili męża Wasilewskiej. To było przypadkowe zabójstwo, jak mi uczciwie wyznali. Byłem jednak wstrząśnięty. Mąż Wandy Lwowny należał do PPS, miał robotnicze korzenie, choć działał mniej aktywnie niż ona. Od razu zrodziło się pytanie: jak ta sprawa odbije się na stosunku Wasilewskiej do nas? Czy nie pomyśli, że usunęliśmy jej męża z jakichś powodów politycznych? Różne rzeczy mogą przyjść człowiekowi do głowy w następstwie takiej tragedii. Powiedziałem swoim Ukraińcom, Korniejczukowi i Bażanowi; wytłumaczcie Wandzie Lwownie uczciwie jak to się stało, niczego nie ukrywajcie.

A stało się tak. Czekiści chcieli aresztować jakiegoś lokatora domu, w którym mieszkała we Lwowie Wasilewska, ale piętro wyżej. Pomylili mieszkania. Zapukali przypadkiem do innego. Mąż Wasilewskiej otworzył drzwi i od razu został zastrzelony. Pytałem potem: „Dlaczego strzelano? Popełniono pomyłkę, zapukali nie do tych drzwi, co trzeba, ale człowiek przecież je otworzył, można było wszystko z nim wyjaśnić”. Odpowiedziano mi, że czekistom wydało się, iż lokator był uzbrojony i miał zamiar strzelać. Oczywiście to był akt tchórzostwa ze strony funkcjonariuszy. Mąż Wasilewskiej nie miał broni i nie mógł strzelać. Zabili człowieka i tyle...

Opowiedzieliśmy całą prawdę o tym Wandzie Lwownie i poprosiliśmy o zrozumienie. Wasilewska uwierzyła, że nie było w tym przypadku premedytacji i aktywnie pracowała dalej, przyjaźnie do nas nastawiona. Miałem z nią jak najlepsze stosunki do końca jej życia.

Nie ukrywam, że nie wszystkie spotkania z Polakami we Lwowie były radosne. Było im bardzo trudno zrozumieć naszą politykę, w wyniku której zostali oni pozbawieni

państwowości i utracili swój rodzinny Lwów, gdzie polska inteligencja zajmowała wiodącą pozycję. Polacy byli wszędzie: w gospodarce komunalnej, na uniwersytecie, w technikach i szkołach. Jednym słowem, wszystkie stanowiska kierownicze we Lwowie były wyłącznie w rękach Polaków. Dlatego też, kiedy zetknęliśmy się z organizacją służb gospodarki komunalnej, mieliśmy do czynienia z polską administracją. We Lwowie robotnikami byli również Polacy. Ukraińców nie dopuszczali nawet do czarnej roboty. Ukraińcy mówili nam: – Nie dopuszczają nas nawet do brukowania ulic we Lwowie. Nawet jeśli Polacy nie występowali przeciwko nam, taili swoje niezadowolenie z sytuacji jaka się wytworzyła, to z oczu można było wyczytać co o tym myślą, piętno żałoby mieli na twarzach. Pozostały mi w pamięci smutne epizody.

Niemcy przysłali swoich ludzi, agitowali oni uchodźców do powrotu. We Lwowie pracował wówczas generał Sierow.

Otrzymywałem jeszcze bardziej gorzkie komunikaty tego właśnie Sierowa. Informował mnie, że prowadzona jest rejestracja, stoją ogromne kolejki chętnych do wyjazdu na terytorium Polski, zajętej przez wojska niemieckie, kolejka w większości z uchodźców z terenów zachodnich, Żydów. Stoją i błagają, żeby ich wpisano na listy, by mogli wrócić na tereny okupowane przez Niemców. Dają łapówki gestapowcom.

Nieszczęsny Żyd, który miał w Warszawie lub gdzie indziej na zachodzie domek lub pracownię krawiecką, rzemieślnik oddaje gestapowcom ostatki dobytku, który zabrał przy ucieczce. Ci robią mu przysługę – wpisują go na listę, a on jeszcze im dziękuje za to, że znalazł się na liście. Ci ludzie szli na pewną śmierć. Niemcy zabijali ich, tak jak zabijali Żydów na terytorium Niemiec. Nic nie mogliśmy zrobić. Nie mogliśmy powiedzieć prawdy w związku z Paktem Ribbentrop-Mołotow, najstraszniejsze było to, że ci ludzie i tak by nas nie słuchali, byli owładnięci chęcią powrotu za wszelką cenę do swojego ogniska domowego, do domu. Nie zastanawiali się, że ten dom stanie się ich grobem, że powrót skazywał ich na pewną śmierć. Wszyscy ci nieszczęśnicy z pewnością zginęli.

We Lwowie nie było żadnych ofiar wśród ludzi sowieckich z powodu oporu Polaków, jeśli nie liczyć przypad-

ku śmierci korespondenta jakiejś gazety w rezultacie paniki. Nocą obudził się, usłyszał hałas na ulicy, otworzył okno, wychylił głowę, by zorientować się o co chodzi i z powodu nieporozumienia został zabity przez naszych ludzi. Sowieccy ochroniarze uważali, że być może jest to snajper, wybierający cel. Walka zbrojna rozwinęła się później, ale i ta nie została rozpoczęta przez Polaków, lecz przez ukraińskich nacjonalistów-banderowców.

Stiepan Bandera, syn duchownego z zachodnioukraińskiego miasta Stanisław, w tamtym czasie był studentem politechniki i należał do ukraińskiej organizacji terrorystycznej, która organizowała akcje terrorystyczne przeciwko polskim władzom. Stał na pozycjach niezależnej samodzielnej Ukrainy. Organizacja była jednocześnie antypolska i antysowiecka. Banderę sądzono za zamach na polskiego ministra i skazano na więzienie. Nasi razem z wojskami niemieckimi wypuścili wielu więźniów na wolność i Bandera wrócił do swojej poprzedniej działalności, teraz już antysowieckiej, przy współdziałaniu Niemców. Jego ludzie wyrządzili nam wiele szkód i krzywd, w walce z banderowcami ponieśliśmy wiele ofiar.

Po jakimś czasie po śmierci męża Wasilewska zaprzyjaźniła się z Korniejczukiem i zaczęli żyć razem. Korniejczuk zerwał ze swoją poprzednią żoną, siostrą znanego ukraińskiego pisarza Natana Rybaka, jego najbliższego przyjaciela. Wyszła z tego tragedia rodzinna w kwadracie. Wasilewską połączyły z Korniejczukiem mocne więzy miłości, które okazały się nierozzerwalne.

Jeszcze jednym przybyszem „z tamtej strony” był Gomułka, nie przekroczył on jednak linii demarkacyjnej, pracował w Drohobyczu. Stąd zmobilizowano go do Kijowa, gdzie pracował na budowie tunelu kolejowego pod Dnieprem. Pracowali tam również inni wolnonajemni Polacy. „Wolnonajemni” w tym sensie, że najęli się nie z własnej woli, lecz że najęto ich wbrew niej. Pracowali tam również i Ukraińcy na ogólnie przyjętych zasadach, z jednolitą zapłatą, bez jakiegokolwiek dyskryminacji jeśli chodzi o pieniądze.

Przed wojną Stalin postawił zadanie: wybudować niezawodną, niemożliwą do zbombardowania drogę kolejową przez Dniepr. W tym celu postanowiono zbudować dwa

tunele – jeden na południe od Kijowa, drugi – na północ. Uważał, że taka kolej nie zostanie zbombardowana w przypadku wojny z Niemcami.

Gomułka dużo opowiadał o tym okresie swojego życia, żartował, nie skarżył się.

22 czerwca 1941 wybuchła wojna.

Czym była w tamtych czasach ewakuacja? Trudno sobie wyobrazić. Trzeba było widzieć na własne oczy w jakich warunkach to się odbywało: z Ukrainy Wschodniej ratował się, kto jak mógł, była to ucieczka. Niemcy parli do przodu i Lwów od pierwszych dni wojny znajdował się pod nieprzerwanymi atakami niemieckiego lotnictwa. W szczególnie trudnej sytuacji znalazły się rodziny żołnierskie, naszych generałów i oficerów. Ci uciekali jak kto mógł.

Miejscowi nie ewakuowali się ani z Lwowa, ani z innych miast Zachodniej Ukrainy. Poddali się nacjonalistycznej propagandzie i mimo całej naszej agitacji, mimo mityngów i tłumaczeń zajęli wrogie pozycje. Z nami wyjeżdżała pewna ilość ludzi, lecz były to jednostki a nie masowa ewakuacja.

W latach 1941 i 1942 nie mieliśmy szczególnych problemów z Polską. Nie było nam do tego. Dopiero w przełomowym dla przebiegu wojny roku 1943, zaczęto myśleć, w jaki sposób wykorzystać polskie oddziały zbrojne na froncie sowiecko-niemieckim.

Pierwsza nieudana próba sformowania polskich oddziałów pod komendą polskiego generała Andersa miała miejsce wcześniej, w roku 1942. Dowodził jak się wydaje kawalerią w Polsce i znalazł się u nas w niewoli. Kiedy została sformowana polska armia z Polaków znajdujących się w Związku Sowieckim, generał Anders odmówił walki przeciw Hitlerowi na terytorium Związku Sowieckiego i jego wojska przerzucono przez Iran do Afryki, gdzie walczyli oni po stronie Anglików.

W 1943 roku słyszałem o tym w końcowym etapie bitwy pod Stalingradem.

Następnym razem rozpoczęto formowanie polskich wojsk pod kierownictwem generała polskiej armii Berlinga, znajdującego się w Związku Sowieckim. W tym celu przywieziono go z Sybiru, gdzie siedział w łagrze.

Kiedy rozpoczęło się formowanie polskich oddziałów, zastanawialiśmy się nad pracą polityczną i patriotyczną wśród polskich żołnierzy i znów wypłynęło nazwisko Wandy Lwowny Wasilewskiej. Myślę, że był to rezultat moich wielokrotnych rozmów ze Stalinem, w czasie których z zachwytem opowiadałem o Wandzie Lwownie i jej zaletach politycznych, o jej patriotyzmie i wierności ideom komunistycznym.

Nowe oddziały formowały się pod hasłami Związku Patriotów Polskich, na czele którego stała Wanda Lwowna Wasilewska.

W tamtym czasie rola Wasilewskiej jako propagandzisty i organizatora politycznego była wielka. Wasilewska wyjeżdżała do polskich oddziałów i traktowano ją jako szefa tworzącego się polskiego rządu na terytorium Związku Sowieckiego. Było mi przyjemnie, że ta rola została powierzona Wandzie Lwownie. Bardzo ją szanowałem i wierzyłem w jej szczerść i rozum polityczny.

Z polskimi towarzyszami, którzy wchodzili w skład Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego (PKWN) i zajmowali się tworzeniem polskiej armii, spotykałem się kilka razy w Moskwie u Stalina i potem w Kijowie. Nie robili mi żadnych poważnych problemów. W tym czasie wszystko co było niezbędne Polakom, a więc uzbrojenie i amunicja, szło w trybie scentralizowanym, za pośrednictwem komendanta zaplecza Armii Czerwonej, generała Chruliewa. Polskie oddziały formowały się w tym czasie w mieście Sumy na Ukrainie.

Zadecydowano, że polska armia będzie walczyć na odcinku Pierwszego Białoruskiego Frontu generała Rokossowskiego, wspianego komunisty i przywódcy. Lewa flanką Pierwszego Frontu Białoruskiego znajdowała się na terytorium Ukrainy i rejonie Łucka. Tam skoncentrowała się Pierwsza Polska Armia generała Berlinga. Zapoznałem się wtedy z nimi i nawiązałem dobre stosunki. Stalin radził mi nawiązać kontakty osobiste. Z Berlingiem spotykałem się niejednokrotnie w Kijowie, często dzwoniłem do niego, interesowałem się jak się mają sprawy.

Nigdy nie byłem w miejscu postoju jego wojsk.

Zapamiętałem szczególnie jedno spotkanie. Odbyło się ono w połowie roku 1944. Stalin bardzo nadskakiwał Berlin-

gowi i całemu polskiemu dowództwu.

Berling poskarżył się Stalinowi, że Ukraińcy źle odnoszą się do Polskiej Armii. W tym czasie Polską Armię przerzucano do granic Polski. Stalin przykazał zbadać sprawę.

Najpierw do Kijowa przyjechał Malenkow, a dzień później miał przyjechać Bułganin (w tym czasie przedstawicielem Związku Sowieckiego przy rządzie polskim był Nikołaj Aleksandrowicz Bułganin). Stalin zwolnił go z obowiązków członka Rady Wojennej Frontu Zachodniego i wyznaczył na pełnomocnika.

Zaproponowałem Malenkowowi:

– Trzeba pojechać po Bułganina.

– Nie warto – odrzekł Malenkow – sam przyjedzie. Poślij kogoś, niech go przywieżą.

Znalazłem się w niezręcznej sytuacji. Chciałem wyrazić szacunek Bułganinowi. Przyjaźniłem się z nim. Z drugiej strony, nie chciałem stawiać Malenkowa w niezręcznej sytuacji: nie chciał jechać. Dlaczego Malenkow, który również przyjaźnił się z Bułganinem, podczas kiedy ja byłem sekretarzem Moskiewskiego Komitetu Obwodowego i Miejskiego, okazał się tak nieprzyjazny?

Później zrozumiałem o co chodzi.

W 1943 roku odbyło się kilka akcji na Froncie Zachodnim przeciw Niemcom, gdzie Bułganin był członkiem Rady Wojennej, ataki te skończyły się niepowodzeniem. Stalin zdenerwował się i wyznaczył komisję aby sprawdziła przyczyny porażek ataków na Froncie Zachodnim. Na czele komisji stał Malenkow. Prowadzono śledztwo. Sztab Zachodniego Frontu obwiniano o nieumiejętność kierowania wojskami i złe wykorzystanie zapasów materiałowych. Frontem dowodził wówczas Sokołowski, miły człowiek i bezwarunkowo znający rzemiosło wojenne, a Bułganin był członkiem Rady Wojennej. Nie mogę wypowiedzieć się co do zdolności administracyjnych i przywódczych Sokołowskiego, jako sztabowca ceniłem go wysoko.

Nie pamiętam, czy po zwolnieniu Sokołowskiego i Bułganina z funkcji nałożono na nich jakąś karę. Malenkow mówił mi, że wpisano im zdaje się naganę, ale nie bardzo pamiętam. Malenkow, wiedząc że „przysłużył” się Bułganinowi,

odpowiednio ułożył sobie z nim stosunki. Nie wierzyłem w obiektywność dochodzenia i kompetencje Malenkowa. Wiem, że Malenkow od chwili przyjazdu prowadził śledztwo tak jak kazał mu Stalin. A Stalin, wiadomo, rzucał gromy na Bułganina. Malenkow musiał więc przyjechać i sporządzić odpowiedni protokół.

Przyjechał Bułganin, a z nim Berling. Dowiedziałem się wówczas o co chodzi. Malenkow powiadomił mnie, że on również przyjechał w tej sprawie jako główna osoba.

Spytałem Berlinga:

– Czym wyraża się zły stosunek Ukraińców do Waszej armii?

– Ukraińcy – mówi – stale są niezadowoleni.

Spytałem:

– W czym to się przejawia? Może wasi żołnierze ich grabili? Armia zawsze zabiera chłopom. A może konie paśliście na chłopskich zasiewach? To normalne, że będą niezadowoleni. Oprócz tego trzeba mieć na uwadze, że zachodnie rejony Ukrainy długo należały do państwa polskiego. Rząd polski prowadził nierozsądną nacjonalistyczną politykę, dyskryminował Ukraińców, prześladował ich. Dlatego Polaków oni nie lubią. Historia jest świadkiem ile wieków Ukraińcy walczyli z Polakami. Jeszcze od czasów Bogdana Chmielnickiego.

Poczuł się niezręcznie i odpowiedział:

– Wiecie, sam nie oczekiwałem takiego obrotu sprawy i nie chciałem tego. Nie mam żadnych pretensji. Widocznie powiedziałem coś niepotrzebnie Stalinowi. Jako żołnierz wiem, że takie incydenty zdarzają się między wojskiem a cywilami.

Do Berlinga odniosłem się bardzo dobrze. Znałem go i ceniałem jako osobistość polityczną i dowódcę polskiej armii, która będzie współpracować razem z armią sowiecką. Chciałem umocnić nasze stosunki i dobrze go usposobić do nas. Często mu coś posyłałem: jakieś ukraińskie delikatesy i kawior, który otrzymywałem z Moskwy.

Posiedzenie komisji zakończyło się obiadem, i to solidnym, zakrapianym obiadem, należnym wysoko postawionym przedstawicielom komisji. Malenkow wówczas prawie nie pił. Ukraina powinna była być wtedy gościnna i była. Na tym

zakończyło się nasze spotkanie i wyjaśnianie sprawy. Bułganin odleciał z Berlingiem, a Malenkov po pewnym czasie wrócił do Moskwy. Tak zapoznałem się z głównodowodzącym polskiej armii.

W 1944 roku, jak pamiętam, jacyś polscy antyfaszyści przekroczyli linię frontu, przyjmowałem ich u siebie na Ukrainie, zaprosiłem ich na obiad. Stalin polecił mi udzielić im pomocy.

W tym samym roku 1944, Armia Czerwona zajęła część polskiego terytorium, w tym miasto Lublin. Lublin – duże miasto, był kiedyś stolicą Polski. Pojawił się u nas generał (tytuł generalski otrzymał jeszcze w czasach Piłsudskiego) Rola-Żymierski. Chociaż, jak mi opowiadano, w tamtych czasach siedział w więzieniu. Piłsudski mu z jakiegoś powodu niedowierzał. Nie wiem o co chodziło i nie dochodziłem tego, ale mówiono mi, że ponoć oskarżano go o to, że był agentem Związku Sowieckiego. Ten człowiek był naszym przyjacielem. Mądry, doświadczony. Uważam, że zasłużył na zaufanie. Zupełnie nie pamiętam, kto stał na czele Komitetu, najwyższej polskiej władzy (Bierut czy Wasilewska), której było podporządkowane wszystko, a więc i armia, na której czele stał Berling.

Zaczęto tworzyć rząd Polski. Jako siedzibę wybrano Lublin. Było to słuszne – polskie terytorium, była stolica Polski. Tam rozlokował się również Bułganin.

W tym czasie, aby złagodzić wrażenie jakie pozostało po podpisaniu Paktu Ribbentrop-Mołotow, Stalin zrewidował granicę między Ukrainą i Polską, Białorusią i Polską. Zostało to potwierdzone w czasie Konferencji Jałtańskiej.

O nowych decyzjach w tej sprawie dowiedziałem się, gdy przekazywano je polskiemu kierownictwu. Chełm z rejonami wiejskimi przechodził do Polski. Tereny te, jeżeli nie liczyć mniejszości polskiej, były całkowicie zasiedlone przez Ukraińców. Znów znaczna ilość Ukraińców została włączona do Polski.

Ukraińcy byli niezadowoleni z nowych granic wyznaczonych przez Stalina. Nie ujawniali tego na zewnątrz, ale między sobą dużo mówili, że to ziemie ukraińskie, a nawet, że po Traktacie Wersalskim, wyznaczającym linię Curzona, na-

leżały one do Ukrainy. Polacy w latach 20-tych naruszyli tę linię i posunęli się dalej na wschód. Nawet granica 1939 roku bardziej odpowiadała narodowym interesom Ukraińców, niż linia wyznaczona po wojnie. Ukraińcy szemrali. Referendum wśród Ukraińców oczywiście nie było. Ciężko to przeżywali i okazywali mi swoje niezadowolenie.

Swoją decyzją Stalin postawił mnie, jako przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych Ukrainy oraz sekretarza Komitetu Centralnego, w trudnej sytuacji. W 1939 roku zjednoczenie było uroczyście świętowane w Kijowie i w Moskwie, potem uchwalone na sesji Rady Najwyższej. Interesy narodowe Ukraińców zostały zaspokojone. Pierwszy raz w historii narodu ukraińskiego, Ukraina została zjednoczona, a teraz przyszło ustąpić. Co mogłem zrobić, tak zdecydował Stalin.

Myślę, że Stalin postąpił tak, ponieważ chciał złagodzić wspomnienia Polaków o Pakcie Ribbentrop-Mołotow, Pakcie o podziale Polski. Obecnie Stalin wykazał „rozumienie i dobrą wolę”, odstąpił część terytorium ukraińskiego Polsce. Kiedy spotykałem się z Polakami i wymienialiśmy poglądy, Polacy również byli niezadowoleni z granicy, uważali, że powinna przebiegać jeszcze bardziej na wschód.

Uważam, że spór jest nie do rozstrzygnięcia. Zarówno w interesie Polski jak i Związku Sowieckiego leży ułożenie sobie dobrych, braterskich stosunków między naszymi krajami. Dlatego też ustępstwo, na które poszedł Stalin, było politycznie usprawiedliwione tym, że w pewien sposób łagodziło gorzki osad, jaki pozostał Polakom po 1939 roku. Tworzyło również przesłanki dla wzajemnego zrozumienia i przyjaźni między naszymi narodami. Problem ludności ukraińskiej żyjącej na polskiej granicy Stalin rozwiązał w sposób prosty: zaproponować im przeprowadzenie się na Ukrainę. Polacy przyjęli to dobrze. Było to dla nich wygodne. Polska ludność mieszkająca na Ukrainie mogła wrócić do Polski, Polacy zgadzali się ją przyjąć, chętnych było wielu. Takie same warunki Polska zastrzegła sobie w stosunku do granicy białoruskiej i ludności białoruskiej.

Stalin powiadomił o tej decyzji mnie i Ponomarienkę, który był wówczas przewodniczącym Rady Komisarzy

Ludowych Białorusi i sekretarzem Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Białorusi. Mieliśmy wejść w kontakt z polskim rządem tymczasowym, przeprowadzić rozmowy i stworzyć warunki do wymiany ludności. Ta sprawa nie podlegała dyskusji, była już przesądzona. Otrzymaliśmy wytyczne.

Telefonicznie umówiliśmy się z towarzyszem Ponomarienko co do wyjazdu do Lublina. Witął nas Bułganin. Ja przyjechałem z Kijowa, Ponomarienko – z Mińska. Przywieźliśmy ze sobą konsultantów, którzy mieli być obecni przy rozmowach. Polacy powitali nas bardzo dobrze. Praktycznie wszystkie sprawy załatwiliśmy szybko, bez problemów.

Pełnomocnikiem rządu sowieckiej Ukrainy przy rządzie nowej Polski został Podgornyj. W tym czasie pracował w ukraińskim Ministerstwie Przemysłu Spożywczego. Realizacja umów szła przez niego.

Pamiętam obiad wydany przez rząd Polski na cześć przedstawicieli Ukrainy i Białorusi. Gospodarzem w czasie obiadu był Rola Żymierski. Pokazał całą swoją generalską przewagę nad pozostałymi. Był bardzo wesoły i znakomicie panował nad sytuacją. Wrażenie spotęgowało jeszcze i to, że miał doskonałe manieri.

Pozostali byli ludźmi prostymi, posługiwali się swoim językiem. Kiedy Ukraińcy podnosili kielichy, mówili: „Na zdrowie!” Taką samą terminologią posługiwali się Białorusini, a jego toasty były kwiecistymi oracjami. Demonstrował swoją wiedzę o etykietce wyższych sfer. Później został zorganizowany wielki obiad z udziałem szerokich kręgów nowo utworzonego polskiego rządu. Odbyło się również posiedzenie przedstawicieli chłopów polskich.

Uczestniczyłem w naradzie i rozmawiałem z polskimi chłopami. Wieśniacy jak wieśniacy, byli zadowoleni z wolności.

Zawarłem wtedy znajomość z Witosem. Jest to znane w Polsce nazwisko. Starszy brat, dawny polski działacz polityczny, dawno już umarł. Młodsze go brata zaangażowano do pracy w Polskim Komitecie. Był przywódcą polskich chłopów, oczywiście bogatych i stał na pozycjach kułackich. Sam Witos był dość bogatym człowiekiem, nie obszarnikiem lecz kułakiem.

Działo się to w sierpniu, postanowiłem więc ugościć polskich chłopów ukraińskim smakołykiem. Zadzwoiłem do Kijowa i poprosiłem o dostarczenie najbliższym samolotem do Lublina arbuzy i melony. Arbuzy i melony w Polsce nie rosły i wieśniacy ich nie znali. Poczęstunek wywarł bardzo dobre wrażenie, ale zdarzyło się coś śmiesznego. Witos bardzo bał się kołchozów, bał się, że będziemy narzucać je siłą. Kiedy trafiły do nas melony, a przywieziono nam melony z gatunku „kołchoźnica” – niewielkie, ale bardzo aromatyczne i smaczne – spytałem:

– Jak panu, panie Witos smakuje nasza kołchoźnica?

Nie wiem co zrozumiał, ale spytał:

– To jest kołchoźnica? Melon?

Odpowiadam:

– Tak, kołchoźnica.

– To dlaczego nie jest czerwona?

Chciał mi jakoś dopiec, ale nie rozumiałem sensu jego złośliwości. Zrozumiał mnie jakoś inaczej, uważał, że nadaję szczególny sens słowu „kołchoźnica”. Zawsze czułem, że ten człowiek był w opozycji jeśli chodzi o przebudowę rolnictwa w oparciu o kołchozy, chociaż w tym czasie nie było tego problemu, nawet się nie wspominało o kołchozach. Nie prowadziłem w ogóle rozmów o politycznym ustroju Polski po wypędzeniu Niemców, uważano to za wewnętrzną sprawę Polski i miało się rozstrzygnąć po wyzwoleniu całego terytorium.

Nie polecano mi prowadzenia takich rozmów i nie mieszałem się do tych spraw.

Nie ze wszystkimi Polakami miałem dobre stosunki, chociaż byli to ludzie różni politycznie. Szczególnie podobał mi się, nie mówiąc o Wandzie Lwownie, Bolesław Bierut – czysty, szczery, uroczy i jednocześnie mądry człowiek. Łatwo było z nim prowadzić rozmowy, jak i po prostu gawędzić. Dobre wrażenie robił Rola Żymierski, w porównaniu z innymi był to człowiek o wielkiej kulturze, w pewnym stopniu z arystokratycznymi manierami, przyjemnie było mieć z nim do czynienia.

Osóbka-Morawski miał burżuazyjny pogląd jeśli chodzi o przyszły ustrój Polski, był prawdziwym pepeesowcem, nie

powiem, że piłsudczykiem, lecz pepeesowcem. Używano wtedy u nas określenia „piłsudczyk” – polski faszysta. Był pepeesowcem, występował przeciwko teorii marksistowsko-leninowskiej. Na mnie Osóbka-Morawski wywołał wrażenie niekorzystne.

Wspominałem już, że w tym czasie rząd sowiecki reprezentował w Lublinie Bułganin. To ułatwiało moją misję. Bułganin był łatwy w kontaktach, dobrze się rozumieliśmy. Bułganin opowiadał jak się mają sprawy, charakteryzował ludzi.

Pamiętam, że wówczas powiadomiono nas, że w niemieckim obozie koncentracyjnym koło Lublina (nie pamiętam jak się to miejsce nazywało) odkryto groby ludzi zabitych przez Niemców. Były tam piece do spalania zwłok, nie wszystkich jednak spalano, jak widać piece nie wystarczyły.

Odkryto ogromne rowy, wypełnione zwłokami. Zaproponowałem:

– Chodźmy, Nikołaju Aleksandrowiczu, pojedziemy zobaczyć.

Kiedy przyjechaliśmy, prace jeszcze trwały, odkopywano rów. Straszny obraz. Usuwano niewielką warstwę ziemi, a niżej leżały na pół rozłożone zwłoki. Odór był nie do wytrzymania. Bułganin nie wytrzymał, uciekł. Ja wytrzymałem, bo chciałem dokładnie się zorientować, zapoznać się z tym nieludzkim barbarzyństwem, którego dopuścili się Niemcy. Poza tym było mi trochę niezręcznie wypaść w oczach robotników i lekarzy na jakiegoś delikacika, który nie może znieść trupiego smrodu.

Stało tam wiele pieców z resztkami nie do końca spalonych kości. Pokazano nam komorę, urządzoną jak łaźnia, w której uśmiercano więźniów gazem. Ludzi zapędzano do tych pomieszczeń pod pretekstem kąpieli, a gdy komory były pełne, strażnicy zatraskiwali drzwi, wrzucano pojemniki z gazem i wszyscy ludzie umierali. Wtedy trupy wyciągano z komór i palono w piecach.

Później zaprowadzono nas do długiego baraku z desek. Ukazał się nam straszny obraz: barak był wypełniony ogromną ilością kobiecych włosów. Najwidoczniej przed kaźnią kobietom ścinano warkocze, wiązano je w pęczki i magazynowano

tutaj. Tak samo robiono na wsi ze świńską szczecią.

Stamtąd przeszliśmy do drugiego magazynu, wypełnionego obuwiami. Były w nich buty wszelkich rozmiarów: męskie i damskie trzewiki i pantofle. Też ogromna ilość, wszystkie ułożone z niemiecką pedanterią.

Przed nami w barakach było wielu naszych ludzi i ten niemiecki porządek został już nieco naruszony. Straszliwe wrażenie, było jasne, że obuwiom należało do tych nieszczęśliwych, których resztki odkopywali nasi saperzy.

Był to obraz nie dla ludzi o słabych nerwach. Barbarzyństwo hitlerowców wywoływało jeszcze większą wściekłość na faszyzm, na Hitlera, na ich zezwierzęcenie.

W pobliżu Lublina znajduje się miasto Chełm. Z Nikołajem Aleksandrowiczem Bułganinem postanowiliśmy je obejrzeć. Dlaczego chciałem tam pojechać? W Chełmie uczyła się w gimnazjum moja żona Nina Pietrowna. Wiele opowiadała mi o tym mieście. Chełm do pierwszej wojny światowej należał do Rosji. Chciałem zobaczyć, co to za miasto, jacy ludzie tam mieszkają.

Zwiedziliśmy bardzo starą cerkiew, zapomniałem już z którego wieku. Oprowadzał nas zakonnik, nie wiem, jakie piastował stanowisko, ale był niemłody. Opowiadał nam o kościele, nie pamiętam już co, ale zapamiętałem twarz i oczy tego człowieka. Z takim bólem, z takim smutkiem mówił o historii świątyni. Jego smutek wynikał stąd, że Chełm miał należeć do Polski Ludowej. Zakonnik wypłakiwał swoje żale.

– Patrzcie, to rosyjska świątynia. Teraz znów ją utracimy, przerobią ją na kościół.

Zaczął opowiadać, że już się tak zdarzało. Cerkiew zamieniano w kościół, potem wracali Rosjanie i ponownie oddawali ją prawosławnym. Dosłownie wylewał łzy. Słuchaliśmy go, ale nie rozmawialiśmy na ten temat. Cóż mogliśmy zrobić? Obejrzeliśmy cerkiew i wyjechaliśmy.

Zimą 1945 r. nasze wojska zajęły wreszcie Warszawę. Wtedy całkowicie zająłem się polskimi sprawami, organizując pomoc w przywracaniu Warszawy do życia. Stalin powiedział: Nasze wojska wyzwoliły Warszawę i Polacy zażądali Mikity (tak się do mnie zwracał, gdy był w dobrym nastroju). Potem wrócił do poważnego tonu.

– Macie – powiada – ogromne doświadczenie w ożywianiu zburzonych miast. Zrobiliście bardzo dużo dla odbudowy gospodarki na Ukrainie. Teraz nasi wyzwolili Warszawę. Meldują mi, że tam nie ma wody, prądu, nie działa kanalizacja. Ulice zasypane są gruzem. Jednym słowem, Warszawa jest w ruinie. Nowi polscy przywódcy są ludźmi niedoświadczonymi, nigdy niczym nie kierowali i potrzebują pomocy. Dlatego jedźcie tam i pomóżcie naszym towarzyszom Polakom odbudować zniszczoną Warszawę.

Muszę przyznać, że z przyjemnością słuchałem tych słów. Byłem zadowolony, że powierzono mi takie zadanie i byłem pewien, że zdołam pomóc Polakom. Wiedziałem z doświadczenia: niezależnie od stopnia zniszczenia można przywrócić miasto do życia, wytworzyć minimalną ilość energii elektrycznej, uruchomić wodociągi i kanalizację, uruchomić piekarnie i inne źródła gospodarki miejskiej, bez których miasto nie może funkcjonować.

– Dobrze – powiedziałem. – Wyjadę natychmiast, ale pozwólcie mi zabrać specjalistów z Moskwy, a może nawet jakichś inżynierów z Kijowa, trzeba mieć pod ręką takich specjalistów, którzy zajmą się elektrycznością, kanalizacją i transportem.

– Bierzcie kogo chcecie. Znacie inżynierów w Moskwie i w Kijowie. Wasza sprawa.

Sformowałem brygadę specjalistów i wyjechałem do Warszawy. Z przyjemnością chciałem pomóc polskim przyjaciołom, ale chciałem też popatrzeć na zburzoną przez Niemców Warszawę, spotkać się z ludźmi, którzy przeżyli powstanie, porozmawiać z nimi.

Przyjechaliśmy do Warszawy. Powiedziano mi, że nowy rząd polski ulokował się na prawym brzegu Wisły, na przedmieściu o nazwie Praga, gdzie ocalały budynki. Na lewym brzegu miasto leżało w ruinach, wszystko było zniszczone.

Przede wszystkim spotkałem się z Bierutem, prezydentem, z Osóbką-Morawskim, premierem i ze Spychalskim, burmistrzem Warszawy.

Poznałem polskiego architekta, nie pamiętam już jego nazwiska, opracował pierwsze projekty odbudowy Warszawy, pokazał mi jakieś szkice.

Po przyjeździe Bierut przedstawił mi Bermana.

Jako głównego pomocnika wziąłem ze sobą Andrieja Jewgienijewicza Stramentowa. Szanowałem go i dobrze znałem. Był to kompetentny człowiek, doskonale znający się na gospodarce komunalnej, szczególnie na drogownictwie. W Warszawie potrzebowałem jego energii, siły przebicia i zdolności organizacyjnych. Poleciałem Stramentowowi stanąć na czele brygady specjalistów, utworzonej z moskiewskich inżynierów. Przede wszystkim mieli oni zbadać stan resztek infrastruktury miejskiej Warszawy i określić, co i w jakim terminie da się odtworzyć.

Praca była bardzo ciężka. Ciągi komunikacyjne Warszawy leżały pod górami gruzu i cegieł. Oglądałem Warszawę z samolotu: to było jakieś morze ruin, a nie miasto. Nie znam bardziej obrazowego słowa niż ruiny, ale żadne słowo nie mogłoby dać najmniejszego wyobrażenia o zniszczeniach, jakie zobaczyłem, o stanie Warszawy w tych dniach.

Obserwowałem taki obrazek: leży góra gruzu, patrzysz – a spod niej wychodzą ludzie. Okazuje się, że dom jest zniszczony, ale zostały piwnice. Ludzie jakoś oczyścili wejście i zamienili podziemia w mieszkania.

Nasi specjaliści codziennie składali mi raport z wykonanych prac. Fachowcy od energetyki, kanalizacji i wodociągów wracali ze zwiadów w różowym nastroju.

– Wiecie – powiadają – turbiny w elektrowni są całe, można je uruchomić. Budynek jest w ruinie, trzeba go uprzątnąć. Gdy tylko doprowadzimy gmach do porządku, będzie można włączyć turbiny. Będziemy mieć tyle prądu, że użytkowników nie starczy.

Żartowałem z Bierutem:

– Towarzyszu Bierut, czy nie moglibyśmy dostać trochę energii za te usługi, które wam świadczymy? Na Ukrainie brakuje nam prądu. To były żarty. Polakom też go zabraknie, gdy zaczną działać wszystkie urzędy miejskie. W pierwszej kolejności należało uruchomić oświetlenie, potem stację pomp, żeby stworzyć mieszkańcom miasta chociażby elementarne warunki życia.

Bierut odpowiadał:

– Proszę bardzo, będziemy płacić za włożony trud.

Gdy uruchomiliśmy turbiny i zameldowałem o tym Stalinowi, powiedział:

– Nie wyjeżdżajcie stamtąd, dopóki nie stworzycie choćby minimalnych warunków normalnego życia, dopóki nie uruchomicie urządzeń, niezbędnych do obsługi mieszkańców. W Kijowie na razie obejdą się bez was, są tam wasi ludzie i robota już ruszyła. Niech popracują bez was, a wy popracujcie w Warszawie.

Cieszyliśmy się, że niebawem ruszą wodociągi, że stacja pomp jest sprawna: jeśli nawet były jakieś zniszczenia, to zostaną szybko usunięte. Zaczęliśmy odbudowywać sieć wodociągową. Tu i ówdzie rury były rozerwane przez pociski, w innych miejscach rozsadził je mróz, ale główne podziemne ciągi wodne pozostały całe, wymagały jedynie niewielkich napraw. Kanalizacja też okazała się sprawna. Zaczęliśmy uruchamiać systemy miejskie. Połowa Warszawy otrzymała elektryczność, wodę i kanalizację. Z zaopatrzeniem w chleb było łatwiej; uruchomiliśmy wojskowe piekarnie polowe. Zaspokoily potrzeby mieszkańców Warszawy, których było niewielu, gdyż po zburzeniu miasta przez Niemców jego ludność rozproszyła się po prowincji. Warszawiacy zaczęli odgruzowywać miasto.

W któryś świąteczny dzień, chyba w niedzielę, władze Warszawy zorganizowały dzień pracy społecznej przy oczyszczaniu ulic. Towarzysz Bierut zaproponował mi, żebym wziął udział w tej akcji: „Popracujmy tak symbolicznie” – zażartował, zawsze mówił z uśmiechem.

Zgodziłem się z ochotą. Wzięliśmy łopaty, podstawowym narzędziem pracy była w tamtych warunkach łopata, i poszliśmy na jakąś ulicę. Ludzi zjawilo się całkiem sporo. Ulice zapełniły się warszawiakami, jedni przysli z łopatami, inni z taczkami, jedni ładowali gruz, drudzy go wywozili. Jednym słowem, pracowali. Oczywiście kręcili się też filmowcy. Utrwalili na taśmie dla potomności jak wyglądała wówczas Warszawa. Dziś ją odbudowano, przekształciła się w piękne, nowoczesne miasto.

Postanowiłem wybrać się do Łodzi. Wiele slyszalem o Łodzi, był to ośrodek proletariatu, łódzcy robotnicy mieli bogate tradycje rewolucyjne. Spytałem towarzysza Bieruta:

– Co byście powiedzieli, gdybym wybrał się do Łodzi?

– O, to dobrze, proszę bardzo.

Tu wtrącił się Osóbka-Morawski:

– Chętnie bym z wami pojechał. Nie macie nic przeciwko temu?

– Cieszę się.

Pojechaliśmy. Do Łodzi prowadziła droga wyłożona klinierem, nawierzchnia nie była uszkodzona. Była piękna pogoda. Przyjechaliśmy na miejsce. Pojeździliśmy po ulicach, obejrzelśmy miasto. Było w dobrym stanie, nie zauważyłem dużych zniszczeń. Zapadł wieczór, mieliśmy zamiar przenoćować w Łodzi, a rano wrócić do Warszawy.

Umieszczono nas w hotelu. Miał bogaty wystrój, zapewne kiedyś był to luksusowy hotel, ale i w tym czasie, gdy nocowaliśmy, wyglądał dobrze. Zmarzliśmy jednak. Ogrzewanie nie działało, musieliśmy przykryć się wszystkim, co mieliśmy.

Zasiedliśmy do kolacji. Jedliśmy w restauracji zapasy, które zabraliśmy ze sobą: mieliśmy śledzika i jeszcze jakieś produkty. Restauracja, według naszych pojęć, była elegancka. Odwiedzili nas łódzcy przywódcy. W trakcie kolacji zjawił się Rola-Zymierski. Nie jechał z nami, nie wiem, czy był służbowo w Łodzi, czy w jej okolicach. Swoim pojawieniem się od razu ożywił kolację. Towarzyski i wesoły, był miłym i mądrym rozmówcą. Zjedliśmy. Łódzcy przywódcy opowiedzieli nam o swoich sprawach. Wywarli na mnie bardzo dobre wrażenie, byli to ludzie rozumni i zaangażowani w swoją działalność. Robili wszystko, co było w ich mocy, żeby jak najszybciej odbudować swoje miasto. Według mnie w Łodzi nie pracowały żadne zakłady, miasto było na wpół wyludnione. Nie widziałem jakiegoś ożywienia na ulicach. Ludzie chodzili ze zwieszonymi głowami, najwidoczniej zaopatrzenie było kiepskie. Tak wyglądały zresztą wszystkie miasta po wyzwoleniu spod okupacji hitlerowskiej.

Następnego dnia wróciliśmy do Warszawy.

Po powrocie towarzysz Bierut opowiedział mi o towarzyszu Gomułce, który w tym czasie piastował stanowisko sekretarza KC.

– Teraz jest chory i leży w swoim mieszkaniu, dlatego

dobrze by było, gdybyście mogli do niego wpaść – powiedział Bierut.

Odparłem, że z przyjemnością odwiedzę Gomułkę, sam bardzo chciałem go poznać. Pojechałem. Otworzyła mi kobieta – żona towarzysza Gomułki, chyba właśnie prała. Mieszkanie wyglądało na ciemne, kiepsko oświetlone, ściany i podłoga były zakopcone. Najwidoczniej ogrzewano lokal piecykiem – „burzujką”, jak go nazywaliśmy w latach wojny domowej.

Gomułka przywitał mnie uprzejmie, był na nogach, nie w łóżku. Twarz miał obwiązaną jakąś czarną chustą, wyglądał dość ekstrawagancko.

Zaczęliśmy rozmowę. Opowiedział o sytuacji w Polsce i ocenił ją. Nie pamiętam, jak długo u niego byłem, ale wyszedłem zadowolony i ze spotkania, i z rozmowy. Gomułka wywarł na mnie bardzo dobre wrażenie.

Po powrocie z Warszawy zjechałem do Moskwy i zdałem Stalinowi relację z tego, co zrobiliśmy. Oprócz tego opisałem szczegółowo, w jakim stanie zastałem Warszawę, czego dokonaliśmy i jakie wrażenie wywarli na mnie poznani ludzie. Wiele uwagi poświęciłem spotkaniu z Gomułką, który praktycznie był dla nas kimś nowym. Stalina bardzo interesowało, co to za człowiek. O Gomułce mówiłem wyłącznie pozytywne rzeczy. Nie tylko zresztą o nim, o innych polskich działaczach politycznych też. Z nimi jednak Stalin już się stykał, a Gomułka był dlań kimś nowym.

Towarzysz Bierut wywarł na mnie szczególnie ciepłe wrażenie. Wyczułem jednak jego podstawowy mankament – miękkość. Wydał mi się człowiekiem nie całkiem zorganizowanym, nie czuło się w nim żyłki organizatorskiej. Jednakże ta miękkość, życzliwość, całkowite oddanie komunizmowi i takie ludzkie podejście do ludzi budziły sympatię. Wyczuwałem te cechy. W czasie krótkiej działalności politycznej towarzysza Bieruta jako przywódcy Polski widać je było przy omawianiu problemów, jakie pojawiały się między naszymi państwami.

Dziś, gdy nie pełnię już funkcji politycznych, raz do roku w drodze z Warszawy do Tbilisi przyjeżdża córka Bieruta, Krystyna. Zatrzymuje się u nas. Wyszła za mąż za architekta

i mieszka w Gruzji. Przyjmujemy ją z Niną Pietrowną i te spotkania przypominają nam o dobrych czasach, gdy żył jeszcze jej ojciec i nasz przyjaciel.

Po wyzwoleniu Warszawy Wanda Lwowna nie działała już tak aktywnie w kierownictwie PKWN. Mieszkała w Kijowie i tylko wpadała do Warszawy i Lublina. Wybiegam nieco w przyszłość. Gdy cała Polska została wyzwolona (często spotykaliśmy się z Korniejczukiem i Wandą Lwowną, bywali u mnie, przyjaźniliśmy się, lubiłem z nią rozmawiać, przyjemnie się jej słuchało), poskarżyłem się jej:

– Niedługo będziemy się rzadziej widywać.

– Dlaczego? – zdziwiła się.

– W związku z waszymi obowiązkami. Pewnie przeniesiecie się do Warszawy i rzadziej będziecie przyjeżdżać do Kijowa.

– Nie! – była człowiekiem stanowczym. – Nie, nieee! Nie pojedę tam.

Tak przeciągle, ale zdecydowanie wymówiła: „Nie!” Powiedziała, że przeprowadzi się na stałe do Warszawy tylko wtedy, gdy Polska stanie się republiką Związku Sowieckiego. Dopóki to nie nastąpi, nie ma tam nic do roboty. Nie zgodziłem się z nią, powiedziałem, co o tym sądzę, ale pozostała nieugięta. Myślę, że nie chodziło o to, czy Polska zostanie republiką sowiecką. Przyczyny były bardziej prozaiczne. Nie chciała zostawić Korniejczuka, nie chciała się z nim rozstawać na dłużej. Być może to uproszczone rozumowanie, ale myślę, że ta sprawa miała duży wpływ na wybór miejsca zamieszkania Wandy Lwowny po wyzwoleniu Polski.

Tak się też stało. Po rozgromieniu i kapitulacji armii niemieckiej Wanda Lwowna nie wyjechała do Polski. Utrzymywała bardzo dobre kontakty z Bierutem i innymi przywódcami Polski Ludowej, ale mieszkała w Kijowie.

Z kolei stosunek do Wandy Lwowny w Polsce był różny. Bierut odnosił się do niej z wielkim szacunkiem i sympatią, ale ze strony towarzysza Gomułki tego nie dostrzegłem. Bardzo dobrze wyrażali się o niej Berman, Minc i inni towarzysze. Ona zaś krytycznie wypowiadała się o polskim kierownictwie. Te krytyczne akcenty były wyrazem jakichś nie-domówień z Gomułką. Konkretnie nie mogę teraz sobie przy-

pomnieć, w czym to się przejawiało, zresztą o nic nie pytałem: mnie ta sprawa nie dotyczyła. Nie chciałem drążyć tematu ewentualnych rozdzźwięków, ale umysł zarejestrował, że są wobec siebie jakoś nieufni. Wanda Lwowna często jeździła do Warszawy, mieszkała tam jej matka, którą bardzo kochała i o której często opowiadała. Oczywiście spotykała się z przyjaciółmi jako działacz polityczny i pisarka, przywoziła wciąż nowe wrażenia z Polski.

Bierut był dla niej człowiekiem szanowanym, szanowała też Cyrankiewicza. Bardzo dużo mi o nim opowiadała. Cyrankiewicz dopiero co wrócił do Polski, na Zachodzie był więźniem obozu koncentracyjnego. Wyrażała się o nim ciepło, mówiła, że jest bardzo ciekawym i uczciwym młodym człowiekiem, na którego można liczyć.

Znała Cyrankiewicza sprzed wojny. Był pepeesowcem i działał wśród młodzieży PPS. Młody, energiczny, zdolny, mądry człowiek, obiecujący polski działacz polityczny. Zastąpił Osóbkę-Morawskiego na stanowisku przewodniczącego Rady Ministrów Polski Ludowej. Oczywiście było to uzgodnione ze Stalinem. Poznałem towarzysza Cyrankiewicza później. Nie pamiętam, czy za życia Stalina, czy już po jego śmierci. Cyrankiewicz wywarł na mnie dobre wrażenie. Zawsze odnosiłem się do niego z uwagą i szacunkiem, i teraz też mam taki sam stosunek. Sytuacja Cyrankiewicza była nie do pozazdroszczenia. Komuniści, którzy zaczęli rządzić Polską, nie mieli do niego pełnego zaufania. Zawsze otaczała go nieufność. Niektórzy mawiali wprost:

– Nie wiadomo, kim on jest. To nieco zagadkowa postać.

Cyrankiewicz reprezentował PPS w zjednoczonym kierownictwie, jego stanowisko wynikało z politycznej kombinacji, żeby przyciągnąć ludzi. PPS była silną i liczną partią. O towarzyszu Cyrankiewiczu chodziły różne słuchy, na szczęście już po śmierci Stalina. Gdyby rozeszły się za jego życia, to skończyłoby się to źle dla Cyrankiewicza. Cyrankiewicz lubił (sam mi o tym opowiadał) osobiście prowadzić samochód. Jeździł umiejętnie i szybko. To też było powodem rozmaitych plotek. Jedni mówili, że jeździ bez kierowcy, bo bardzo źle układa mu się z żoną i dlatego... Słyszałem o tym nawet od

towarzysza Gomułki. Jednakże towarzysz Gomułka bardzo cenił Cyrankiewicza i uważał, że jego obecność w kierownictwie jest niezbędna. Oprócz tego krążyły słuchy, że Cyrankiewicz jest Żydem, a nie Polakiem, i że jego nazwisko to spolszczone nazwisko żydowskie. Ojciec Cyrankiewicza miał przed wojną jakiś handel czy niewielkie przedsiębiorstwo. Jednym słowem, ta kandydatura pojawiła się w efekcie porozumienia i układów, a Cyrankiewicz jako człowiek inteligentny wszystko rozumiał. Znajdowało to wyraz w jego osobowości, przeważnie milczał i wypowiadał się jedynie w razie konieczności. Swoje opinie wyrażał precyzyjnie: nigdy nie słyszałem, żeby wypowiedź nie dotyczyła omawianego problemu.

Uważam, że Wanda Lwowna trafnie charakteryzowała towarzysza Cyrankiewicza. Ja też zawsze byłem dobrego zdania o tym człowieku. Wanda Lwowna dobrze odnosiła się również do Bermiana, który też niedawno pojawił się na polskiej scenie politycznej. Wcześniej w ogóle nie znałem Bermiana, słyszałem tylko, że pracował w Kominternie. Był jednym z nielicznych, którzy przeżyli czystki w latach 1937-1938. Potem przyjechał do Warszawy Minc. Minc był polskim komunistą, który też mieszkał w ZSSR. Wanda Lwowna miała o nim bardzo dobre mniemanie.

Ze swej strony też wysoko ceniłem Bermiana i Minca. Działali na różnych kierunkach. Berman był partyjnym działaczem politycznym i wybitnym organizatorem, Minc – handlowcem. Minc stał się twórcą gospodarczych planów rozwoju Polski Ludowej, odegrał w tej kwestii ogromną rolę.

Zimą 1945 r. na wezwanie Stalina przyjechałem do Moskwy. Tam poznałem szefa emigracyjnego rządu londyńskiego, Mikołajczyka. Mikołajczyk, zajadły antykomunista i wróg władzy sowieckiej, stał na czele emigracyjnego rządu w Londynie. Churchill go przyhołubił. Rząd Mikołajczyka miał na terytorium Polski swoje siły zbrojne. Rozkazano im, by nie stawiały oporu wojskom sowieckim, lecz zachowały swoją siłę bojową na przyszłość, na walkę, która miała się dopiero rozpocząć. Istniały dwa polskie rządy: jeden w Londynie, drugi w Lublinie. Nie uczestniczyłem w rozmowach z Mikołajczykiem.

Kraje zachodnie forsowały kandydaturę Mikołajczyka na premiera Polski, domagały się, by ZSSR to zaakceptował. Mikołajczyk miał być dla Zachodu kotwicą, która utrzymałaby Polskę na pozycjach burżuazyjnych w nurcie zachodniej polityki. Była to dalekosiężna polityka. My oczywiście byliśmy przeciwni Mikołajczykowi, chcieliśmy, by Polska stała się socjalistyczna, by była przyjacielem ZSSR, by na naszych zachodnich granicach powstało przyjazne państwo. Tyle wysiłku kosztowała nas wojna, tyle ofiar ponieśliśmy, że było rzeczą naturalną, iż broniliśmy własnych interesów. Przede wszystkim interesowało nas, jaki będzie rząd w Polsce i jaką politykę ma zamiar prowadzić.

W swoich wspomnieniach chciałem opowiedzieć o wyzwoleniu Warszawy. Gdy nasze wojska wyszły na linię Wisły i podeszły pod Warszawę, w mieście wybuchło powstanie pod dowództwem generała Bora-Komorowskiego. Powstanie zostało przygotowane przez emigracyjny rząd londyński. Zapewne miał on nadzieję, że po wkroczeniu Armii Czerwonej do Warszawy niezwłocznie powróci do kraju i w ten sposób powstanie burżuazyjna władza z Mikołajczykiem na czele. Jednakże niezależnie od tego, były wtedy niesprzyjające dla nas warunki do ofensywy na miasto. Żeby przygotować się do sforsowania rzeki, trzeba mieć czas na podciągnięcie odwodów, zgromadzenie sił. W tym okresie Wisłę uważano za poważną przeszkodę naturalną. Szturmować Warszawę z marszu, w czołowym natarciu, było rzeczą trudną. Takie oznaczają ogromne straty. Najlepszym sposobem jest zorganizowanie szturmów ze skrzydeł. Nasze wojska zajmowały już przyczółki na południe od Warszawy. Lewe skrzydło miało poprowadzić natarcie i zmusić Niemców do wycofania się z miasta, dzięki czemu miało być wyzwolone bez większych strat. Ten manewr wymagał jednak czasu.

Niemcy zdławiли powstanie warszawskie, wzięli powstańców do niewoli i od razu rozstrzelali. Wzięli też do niewoli Bora-Komorowskiego. Dziś trudno ocenić, co to za postać. Biorąc do niewoli generałów i ludzi, którzy wzniesli powstania na okupowanych terytoriach, Niemcy nie oszczędzali ich. Bór-Komorowski trafił do niewoli i pozostał przy życiu. Po wojnie prowadził antypolską i antysocjalistyczną politykę.

Wojna miała się ku końcowi. Nie pamiętam, kiedy Mikołajczyk wrócił z Londynu do Warszawy, chyba jeszcze przed zakończeniem wojny. Stalin musiał liczyć się z sojusznikami. Churchill naciskał Stalina, wmawiał mu, że Mikołajczyk jest przyjacielem ZSSR. W listach do Stalina pisał o niewłaściwym stosunku do Mikołajczyka, pisał, że ten z szacunkiem odnosi się do Stalina i do naszego kraju, że można na niego liczyć jako na przywódcę państwa polskiego. Pełnił tę rolę na emigracji i musiał tylko wrócić do Warszawy, by zająć stanowisko premiera Polski. Stalin napisał wtedy do Churchilla, że ta kwestia rozstrzygnie się po wyborach. Po rozgromieniu Niemców nadszedł czas, by je przeprowadzić. Mikołajczyk i inni przedstawiciele polskiej burżuazji byli kandydatami w tych wyborach.

Na wsi Mikołajczyk miał bardzo silne wpływy, nie tylko zresztą na wsi. W Polsce zachowały się jeszcze ślady rządów Piłsudskiego i władzy PPS. Wielu ludzi było wrogo nastawionych do ZSSR z powodu Paktu Ribbentrop-Mołotow. Zostawiło to niedobry osad. Wybory miały skomplikowany przebieg. Polacy potrafili dowcipnie i precyzyjnie żartować z polityki. Podczas wyborów absolutną większość zdobyli kandydaci PPR i Stronnictwa Ludowego. Polacy komentowali to tak: „Co to za szkatułka (chodziło o urnę wyborczą)? Wrzucasz Mikołajczyka, wychodzi Gomułka!”

Rymowanka miała ostry wydźwięk polityczny. Polska inteligencja, a uważam, że to jej przedstawiciele byli autorami wierszyka, nie wierzyła w rzetelność wyborów, uważała, że wyniki zostały sfalszowane przez komunistów.

Zachód oczywiście też był zdania, że wybory nie były uczciwe. Tak czy owak Mikołajczyk nie zdobył większości głosów. Polityka sił lewicy stała się bardziej precyzyjna. Mikołajczyk zajął jakieś stanowisko w rządzie, ale nie kierownicze. Gdy zrozumiał, że Polska twardo weszła na grunt socjalizmu, uciekł do Londynu. Ucieczka Mikołajczyka była przyznaniem się do krachu jego polityki. Zobaczył, że przeważająca część narodu polskiego po okresie rozterek, szczególnie klasa robotnicza, zdecydowanie stanęła na pozycjach zmiany ustroju.

Po wojnie często spotykałem się z polskimi towarzysza-

mi, gdy Bierut, Gomułka, Osóbka-Morawski i inni przyjeżdżali do Moskwy. Jeśli tylko też akurat byłem w Moskwie, Stalin zawsze zapraszał mnie po ich przyjeździe, gdyż wśród wielu kwestii, poruszanych w trakcie rozmów przez polskich przywódców, pojawiały się też kwestie ukraińskie. Stalin, nie chcąc wdawać się w spory z polskim kierownictwem, przerzucał na mnie ciężar wszystkich przykrych odpowiedzi na ich pretensje. Z przyjemnością spotykałem się z Polakami, ale zapoznawanie się z tymi pretensjami nie było przyjemne, gdyż nie zawsze mogłem uznać polskie racje. Przykro jest odmawiać ludziom, których szanujesz. Powierzono mi jak gdyby rolę obrońcy interesów sowieckiej Ukrainy. Gdy Polacy zgłaszali kolejny problem, Stalin mówił: „To dotyczy Ukrainy, niech Chruszczow decyduje. Wszystko zależy od niego, dogadujcie się z nim”. Patrzy przy tym na mnie i oczekuje (po głosie czuję, czego on oczekuje), żebym odmówił. Starłem się odmawiać grzecznie, nie chcąc zrażać przyjaciół do ZSSR.

Kilkakrotnie Bierut poruszał przy mnie problem Lwowa. Później, gdy zrozumiał, że Stalin i tak przekaze sprawę Chruszczowowi, zaczął zwracać się od razu do mnie: „Towarzyszu Chruszczow – mówił swoim miłym, łagodnym głosem – oddajcie nam Lwów. Macie taki ogromny kraj jak Ukraina, a dla nas Lwów to wielkie miasto, przez wiele lat należał do Polski, ludność jest polska, nasza inteligencja jest mocno związana ze Lwowem. Mieszkańcy Lwowa bardzo przeżywają, że zostali włączeni do Ukrainy. Niektórzy już wyjechali stamtąd do Polski”. Odpowiadam: „Towarzyszu Bierut, zrozumcie, że to niemożliwe. Wiem, że przez wiele lat Lwów należał do monarchii austro-węgierskiej. Rzeczywiście zamieszkują go Polacy. Wy jednak też przecież wiecie, że ludność wokół miasta to Ukraińcy. Przecież Lwów został zasiedlony przez Polaków w sposób sztuczny: zaczęło się to po pierwszej wojnie światowej, żeby wyprzeć stamtąd Ukraińców. Wasze pretensje są bezpodstawne. Towarzyszu Bierut, tak nie wolno. Wiecie, że Piłsudski uważał, iż Kijów powinien należeć do Polski i uzasadniał to historycznie tym, że granica Polski przebiegała wzdłuż Dniepru. Polacy aż do wybuchu wojny nie rezygnowali z hasła, że ich kraj powinien

się rozciągać od morza do morza. Mieli różne hasła. Gdyby jednak spytać o zdanie Ukraińców, to niektórzy zaczęliby fantazjować: 'A może zagarnąć też Kraków'?"

Zdziwił się:

– Co wy?

Uśmiechnąłem się:

– Ja też mogę tak wam odpowiedzieć. Co wy? Przecież macie zakusy na Lwów.

Rozmowy toczyły się w żartobliwej atmosferze. Nie wiem, na ile poważnie Bierut miał nadzieję, że dogada się na temat zwrotu Lwowa. Za to podczas rozmów z Polakami na inne tematy Stalin umiał ich ugłaskać, wysłuchiwał próśb z zyczliwością, żeby zapomnieli o 1939 roku.

Gomułka przyjeżdżał zazwyczaj z Bierutem, na Stalinie wywierał dziwne wrażenie. Stalin często po wyjeździe polskich towarzyszy mawiał: „Nie rozumiem Gomułki. Spójrzcie na niego: kiedy się z nim rozmawia, dosłownie wpatruje się w moje usta i notuje każde słowo”. Czułem, że właśnie dlatego Gomułka podoba się Stalinowi. Z drugiej strony, Stalin mógł oceniać notowanie wszystkich słów jako działania agenta imperializmu, który robi to na polecenie zagranicznego wywiadu, a potem informuje o wszystkim swoich mocodawców.

Całkowitym przeciwieństwem Gomułki był Bierut. Zachowywał się bardziej swobodnie, traktował Stalina z szacunkiem i z uwagą, ale bez takiego braku krytycyzmu jak Gomułka. Stalin traktował Bieruta dobrze, ale nie do końca mu ufał. Wielokrotnie pytał w naszym kręgu:

– Kim jest Bierut? Gdzie był w czasie okupacji? Jak się ukrywał? Kim jest jego żona i czym się zajmuje? Jak się poznali w podziemiu?

Temat żon przywódców interesował go szczególnie. Uważał, że poprzez żony różne wywiady werbują komunistów. A skoro pada pytanie, to do nieszczęścia blisko. Zaraz doradcy Bieruta dostaną rozkaz: zbadać i udowodnić, że to wróg ludu lub czyjś agent – na jedno zresztą wychodzi. Niestety, wiele było takiej podłości. Ku mojemu ogromnemu zadowoleniu, z Bierutem tak się nie stało. Zapamiętałem taką rozmowę z Bierutem. We Lwowie znajdowała się panorama, podobna do Sewastopolskiej lub Borodińskiej. Polscy artyści

uwiecznili na niej bitwę Polaków z Rosjanami w trakcie powstania, którym dowodził Kościuszko. Moim zdaniem obraz był wartościowy, ale nie jestem znawcą malarstwa i nie mogę kompetentnie ocenić go pod względem artystycznym. Wiem tylko, że płótno wywierało ogromne wrażenie na widzach. Przedstawiono na nim taki epizod: polscy żołnierze prowadzą wziętego do niewoli rosyjskiego generała, ich twarze, krok i zachowanie wyrażają radość. Obraz był zdecydowanie antyrosyjski i budził wiele emocji wśród oglądających. Dlatego po wyzwoleniu Lwowa zamknęliśmy panoramę. Powstanie wybuchło przeciwko carskiemu samodzierzawiu. Dawna sprawa, ale teraz panorama wywoływała wrogie uczucia wobec narodu rosyjskiego i władzy sowieckiej. Zaistniała zbędna analogia, która przynosiła szkodę przyjaźni narodów Polski i ZSSR. Właśnie dlatego zamknęliśmy panoramę dla zwiedzających.

I nagle Bierut poruszył ten problem. „Panorama Racławicka jest cała?” Odpowiadam: „Cała. Została zdjęta ze ścian jeszcze przed wojną i znajduje się w magazynie. Informowaliśmy po wyzwoleniu Lwowa, że nie uległa zniszczeniu, choć co prawda jest w kiepskim stanie, gdyż leżała w wilgoci i mocno ucierpiała. Można ją jednak odrestaurować”. „Prosimy o jej zwrot”. „Z przyjemnością, nie jest nam potrzebna, wątpliwe, żebyśmy ją kiedyś udostępнили zwiedzającym. Taka ekspozycja nie służyłaby dobrze naszym wzajemnym stosunkom, nie sprzyjałaby umocnieniu przyjaźni między naszymi narodami. Jak jednak macie zamiar ją wykorzystać? Jeśli pokażecie panoramę w Polsce, będzie budzić nastroje nacjonalistyczne i antyrosyjskie, a to nie leży ani w waszym, ani w naszym interesie. Powinniśmy teraz robić wszystko, żeby zacierać historycznie uwarunkowane wrogie stosunki między naszymi krajami. Nie powinniśmy przypominać, że Polacy zajmowali Moskwę i że rosyjscy carowie dokonywali rozbiorów Polski wraz z władcami Prus i Austrii. Wiele było gorczy w naszych wzajemnych stosunkach i trzeba je teraz łagodzić”.

Stalin poparł jednak Bieruta: „To nic strasznego, że my mamy operę ‘Iwan Susanin’. Z waszego punktu widzenia należałoby zakazać jej wystawiania jako antypolskiej”. Musia-

łem przyznać mu rację. Przekazaliśmy panoramę polskim towarzyszom. Niedawno przyjechała do nas Weronika Gostyńska, nasza stara towarzyszka. Spytała mnie: „Czy to prawda, co opowiadał Osóbka-Morawski, że podczas dyskusji z Bierutem o zwrocie panoramy Polakom byliście temu przeciwni?” Musiałem się przyznać, że rzeczywiście tak było i uzasadnić swoje racje.

Dziś też uważam, że moje stanowisko było słuszne. Potwierdzają je wydarzenia ostatnich lat. W 1968 roku w Warszawie wystawiono spektakl historyczny według poematu „Pan Tadeusz” Mickiewicza. Poemat opiewa walkę polskich powstańców przeciwko carskiemu samodzierżawiu. Każdemu przedstawieniu towarzyszyły antyrosyjskie okrzyki i hasła. Ze sceny nawoływano do walki przeciwko okupantom. Spektakl zawierał pewną prawdę historyczną, ale we współczesnych warunkach została ona zinterpretowana tak, że całkowicie zaskoczyła kierownictwo PZPR.

Gniew widzów przeniósł się z dawnych czasów do dzisiejszych, co spowodowało, że spektakl odebrano nie jako dzieło wymierzone przeciwko carom, lecz przeciwko Związkowi Sowieckiemu. Takie nastroje miały swoje konsekwencje. Przecież wszystko odbywało się w okresie, gdy znów dały się zauważyć skomplikowane procesy we władzach Polski. Kierownictwo zabroniło wystawiać spektakl. W ten sposób potwierdziły się moje wątpliwości, którymi dzieliłem się z Bierutem. Przedstawienie „Pan Tadeusz” wywołało ochłodzenie uczucia bratniej przyjaźni między narodami Polski i ZSSR, a w części społeczeństwa spowodowało nawet zamęt i wezwania do aktywnych działań. Podczas przedstawienia dochodziło do demonstracji na widowni, Polacy solidaryzowali się z przesłaniem sztuki, wymierzonym przeciwko caratowi, lecz przetransponowanym w warunki dnia dzisiejszego.

Dodam jeszcze kilka słów o Wasilewskiej, tej bardzo interesującej osobowości. Fakt, że stanęła po stronie ludzi pracy i w swoich dziełach opisywała przed wojną życie chłopów Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy, a więc wschodnich rubieży Rzeczypospolitej, świadczy o niej jak najlepiej i niejako wbrew jej pochodzeniu. Jej ojciec był bliskim

współpracownikiem Piłsudskiego. Krążyły słuchy, że Wanda Lwowna jest córką chrzestną Piłsudskiego. Wasilewski był ministrem w rządzie Piłsudskiego. Matka Wandy Lwowny była ponoć wychowanką instytutu dla szlachetnie urodzonych panien w Petersburgu. I to Wanda Lwowna, też szlachetnie urodzona, wybrała drogę walki ramię w ramię z ludźmi pracy. Wcześniej należała wraz z Piłsudskim do PPS. Potem została komunistką i wstąpiła do WKP(b). Była dobrym i uczciwym komunistą. Przyciągnęły ją do nas idee i światopogląd, a nie jakieś partykularne interesy. Wasilewska była człowiekiem ostrym i bezpośrednim. Czasem mówiła Stalinowi rzeczy, które absolutnie mu się nie podobały, ale ona je mówiła. Imponowała mi tą swoją bezpośredniością i nonkonformizmem. Nawet jej szorstkość w obejściu była usprawiedliwiona szczerością uczuć. Była to kobieta zasadnicza, nie idąca na kompromisy z sumieniem. W ZSSR została jej córka. Niestety nie mam teraz możliwości, by się czegoś o niej dowiedzieć, a tym bardziej nawiązać jakiś kontakt.

Stalin sprzyjał Polakom. Pomagaliśmy im, jak mogliśmy. Czasami Stalin udzielał tej pomocy kosztem Związku Sowieckiego. Mam na myśli straszliwy głód na Ukrainie w latach 1946-1947. Było to następstwo nieurodzaju w 1946 roku: Ukraina oddała całe zboże, ale i tak nie wykonała planu. W kołchozach i u kołchoźników zostały puste spichlerze. Nastął głód, zdarzały się przypadki ludożerstwa, i to wcale nierzadkie.

W tym czasie zboże z Ukrainy wysyłano do Polski. Na Ukrainie nie było nastrojów antypolskich, gdyż ludność o niczym nie wiedziała. O transportach wiedział jedynie wąski krąg ludzi. Wanda Lwowna Wasilewska po powrocie z Warszawy opowiadała mi o życiu mieszkańców tego miasta:

– Widziałam: jedzą czarny chleb i przeklinają rząd sowiecki, że przysyła za mało białego chleba, że zamiast niego przysyła czarny, a Polacy nigdy nie jadali czarnego chleba. Ukraińskie zboże jedzie do Polski, a na Ukrainie ludzie puchną i umierają z głodu.

Nie można jednak czynić z tego powodu zarzutów polskiemu kierownictwu i ludności. Prosimi o chleb, dawano go im, więc brali. O tym, co się działo na Ukrainie,

oczywiście nie wiedzieli. Nie wiedzano o tym również w naszym kraju, do dziś ludzie nie wiedzą. Kto mógł wiedzieć? O głodzie wiedziałem ja jako pierwszy sekretarz KC i przewodniczący Rady Ministrów, wiedział Stalin i jeszcze parę osób. Gdy mówiłem o tym problemie i nalegałem, by go rozpatrzeć, sam popadłem w tarapaty. Gdy zaapelowałem wprost, by wprowadzić system kartkowy i punkty żywieniowe dla chłopów, gdyż nie będą w stanie pracować, zostałem ostro skrytykowany za to, że pozwoliłem sobie napisać „oszczercze” pismo. Wiosną 1947 roku, gdy trzeba było rozpoczynać prace polowe, Moskwa musiała przyznać mi rację. Zorganizowaliśmy dożywianie, gdyż chłopci dosłownie padali od podmuchów wiatru. A ilu ich zmarło!

Nasze stosunki z Polską po upadku hitlerowskich Niemiec rozwijały się na dobrym gruncie. Czas jednak płynął i zaczęły się pojawiać trudności. Dowiedziałem się, że są w Polsce siły, niezadowolone z Gomułki. Stało się to po tym, gdy uległy pogorszeniu nasze stosunki z Jugosławią. Nie wiem, na jakim konkretnie tle doszło do rozdzwieków w polskim kierownictwie. Mogę jedynie snuć przypuszczenia w oparciu o strzępy rozmów ze Stalinem na ten temat. Gdy przyjeżdżałem do Moskwy i dyskusja schodziła na Polskę, to Stalin wygłaszał swoje opinie na ten temat. Nie byłem świadkiem wydarzeń, gdy decydowały się losy Gomułki i zaistniała kwestia jego uwięzienia. Nie rozumiałem o co chodzi i współczułem Gomułce, którego darzyłem szacunkiem. Nie zmieniłem wcześniejszej opinii na jego temat. Zawsze traktowałem Gomułkę jako jednego z najbardziej godnych przywódców Polski, jako człowieka wpływowego i przydatnego. Jednakże w Polsce nastroje antygomułkowskie narastały.

Jedno z oskarżeń brzmiało tak: popiera Jugosłowian, nigdy nie wystąpił ze stanowczą krytyką Tity. Co więcej, jeszcze przed zerwaniem z Jugosławią Gomułka jeździł do Belgradu, stał na czele polskiej delegacji. Zarzucano mu, że popiera politykę Tity. Mam na myśli wprowadzenie przez Jugosławię samodzielnych reform ekonomicznych. Model gospodarki jugosłowiańskiej różnił się od form i metod, przyjętych w gospodarce sowieckiej. Choć przywódcy jugosło-

wiańscy zawsze i wszędzie deklarowali, że niezmiennie stoją na gruncie marksizmu-leninizmu i nie ustają w budowie socjalizmu w swoim kraju, Stalin rozpatrywał wydarzenia po swojemu, w ZSSR zmobilizowano wszystkie siły naukowe i udostępniono im wszystkie strony gazet, żeby udowodnić, że jest inaczej. Jugosłowian nazywano zdrajcami, sojusznikami krajów kapitalistycznych. Wszystko okazało się kłamstwem, ale rikoszetem uderzyło w Gomułkę.

Początkowo tylko o tym szeptano. Była też mowa, że Gomułka występuje przeciwko kolektywizacji. To w jakimś stopniu było prawdą. Dziś też Polska wyróżnia się wśród krajów socjalistycznych swoją szczególną polityką wobec wsi. Przeważają w niej spółdzielnie w rodzaju związków rolniczych. U nas podobne kolektywy nosiły w latach 20-tych miano TOZ-ów, tj. towarzystw pracy rolniczej. Chłopi pozostawali właścicielami ziemi i indywidualnych środków produkcji. Poglądy Gomułki w tej materii Stalin uważał za przestępstwo. Przecież on sam zlikwidował TOZ-y i wprowadził kołchozy. I jeszcze jedno oskarżenie: Gomułka był antysemitą. Jeśli o to chodzi, to nie uważam, by akurat ten zarzut dyskredytował Gomułkę w oczach Stalina. Stalin sam ulegał nastrojom antysemitycznym. To nie przypadek, że ucziwi Żydzi, którzy pracowali z Leninem, zostali zlikwidowani. Oczywiście likwidowano ich razem z Rosjanami i przedstawicielami innych narodowości, pod tym względem Stalin był prawdziwym internacjonalistą.

Publicznie jednak Stalin zachowywał pozory i uważał, aby nie dać powodu do posądzenia go o antysemityzm. Każdy człowiek, który powiedziałby coś takiego o Stalinie, zostałby zniszczony. Na czym polegało zachowanie Gomułki, które oceniano jako antysemityczne? Osobiście niczego takiego od Gomułki nie słyszałem. Później, kiedy zaczęliśmy spotykać się częściej i zaprzyjaźniliśmy się, rozmawialiśmy na ten temat. Okazało się, że zamierzał zmienić skład Biura Politycznego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, jak nazwano ją po zjednoczeniu partii komunistycznej z socjalistami. W składzie Biura Politycznego była dość duża grupa osób pochodzenia żydowskiego, co powodowało pewne reakcje ze strony szeregowych Polaków. Ze zrozumieniem odnoszę się

do obaw Gomułki. Powodowało to w końcu niezadowolenie szowinistycznie nastawionych ludzi i znalazło później odzwierciedlenie w ostrych wystąpieniach społecznych. Działo się tak w Polsce i na Węgrzech, gdzie również w składzie rządu był znaczny procent osób pochodzenia żydowskiego.

Ludzie przeciw którym wystąpił Gomułka byli zasłużonymi, sprawdzonymi komunistami, bardzo zdolnymi przywódcami, choćby Berman i Minc. Bili na głowę innych członków Biura Politycznego swoim talentem organizacyjnym, wykształceniem, wiedzą marksistowsko-leninowską.

Berman był człowiekiem wpływowym, mądrym i doświadczonego politykiem. Miał duży wpływ na Bieruta. Nie pchał się do przodu, działał przez Bieruta. Myślę, że bez jego rady Bierut nie podejmował żadnej politycznej decyzji. Minc zajmował się gospodarką, był człowiekiem zasłużonym, szanowanym. Był tą osobą, która zatwierdzała plany gospodarcze.

Być może słowo zawiść nie jest całkiem na miejscu. Sytuacja jaka się wytworzyła, spowodowała nieprzychylnie reakcje kierownictwa PZPR. Sprawami kadrowymi w KC PZPR zajmował się Zambrowski, człowiek zdolny, lecz prowadzący nierozsądną politykę kadrową bez uwzględnienia czynnika narodowościowego. Zambrowski – stary działacz partii komunistycznej. W czasie okupacji hitlerowskiej był w podziemiu. Obwiniano go, że miał ukryte skłonności syjonistyczne. Jako komunista nie mógł być syjonistą, ale miał szczególny stosunek do towarzyszy żydowskiego pochodzenia. Czasami i u nas niezasłużenie podejrzewano ludzi o syjonizm. Syjonizm i antysemityzm – rodzeni bracia.

Zambrowskiego podejrzewano o to, że jako Żyd ochraniał żydowskich towarzyszy. Zarządzał kadrami w Komitecie Centralnym. Dlatego też, jak to się mówi, miał w ręku wszystkie karty. Awansował na wysokie stanowiska polityczne i gospodarcze częściej Żydów niż Polaków.

Jego motywacja często była uzasadniona – awansował lepiej przygotowanych, bardziej rozwiniętych. Takie posunięcia miały jednak zabarwienie polityczne w oczach komunistów polskiego pochodzenia, którzy także chcieli uczestniczyć w pracach, zajmować kluczowe stanowiska w kierownictwie swojego kraju. Odsuwali się, co zagęszczało atmosferę

i pogłębiało głuche niezadowolenie. Takie właśnie nastroje wychwytywał i wyrażał Gomułka.

Groziło mu aresztowanie. Uważano, że usunięcia Gomułki domagali się Berman i Minc, chociaż było niezupełnie tak. Stalin mówił przy mnie głośno, że ponoć Polacy chcą aresztować Gomułkę, ale „nie rozumiem dlaczego oni chcą go aresztować, co mają przeciwko niemu”. Rozmów, które prowadził z nim Bierut, nie znam. Stalin nie wymieniał Bieruta z nazwiska. W końcu Gomułkę aresztowano. Później Stalin powiedział, że zadzwonił do niego Bierut i wniósł taką właśnie propozycję. Stalin odpowiedział: „Decydujcie sami, co macie robić”. Gomułkę izolowano, znajdował się nie w więzieniu, ale w jakimś zamku. Następnie aresztowano wielu jego stronników, wśród nich był Spychalski, Sowiński, Kliszko, i wielu innych. Wymieniam tu tylko znaczące osobistości, ale w niższym kierownictwie też nastąpiły aresztowania stronników Gomułki.

Wyszło na to, że w polskim kierownictwie dokonano pogromu kadr narodowości polskiej. Stworzyło to nienormalną sytuację w PZPR. Kiedy Stalin umarł, nieraz pytałem Bieruta: „Na jakiej podstawie trzymacie Gomułkę w więzieniu?” Bierut był człowiekiem dobrodusznym, łagodnym, zwykle uśmiechał się i mówił: „Sam nie wiem dlaczego”. „Jeśli sami nie wiecie, to go uwolnijcie!” Działy jednak jakieś siły, które miały na niego wpływ, albo coś ukrywał. Miałem wrażenie, że wywierali na niego presję Berman, Minc i Zambrowski. Przekonałem się wówczas ostatecznie, że ten ostatni, niezupełnie prawidłowo rozumie sprawę narodowości i nadużywa zaufania, jakim go darzono.

W tym czasie w kierownictwie Polski dominowały kadry narodowości żydowskiej. Zambrowski nie rozumiał, że awansując przede wszystkim Żydów, wzbudza bardzo niebezpieczny antysemityzm. Żaden antysemita nie zrobi więcej złego niż Żyd, który kierując sprawami kadrowymi popiera bardziej Żydów, niż przedstawiciele ludności rdzennej dla danego państwa. Sprawa się przedłużała. Bierut nie uwolnił wspomnianych więźniów, choć nie było dowodów na to, że ludzie ci siedzą „za coś”, Bierut był człowiekiem chwiejnym, poddawał się wpływom, a Gomułka nadal siedział w więzieniu.

Odpoczywając na Krymie z towarzyszem Bierutem, powiedziałem mu spokojnie:

– Gomułka siedzi w więzieniu, dochodzą do nas słuchy, że w Polsce są siły niezadowolone za składu narodowościowego wyższych organów władzy w partii i rządzie. Politykę wyznaczają w dużym stopniu towarzysze nie polskiego lecz żydowskiego pochodzenia, chociaż są to ludzie szanowani i nie budzący wątpliwości. Jeśli chodzi o Bermana i Minca, to ich nazwiska nie budzą wątpliwości. Nie wiem jakie pozycje zajmują, lecz uważam, że są to najbardziej uczciwi i oddani działacze ruchu komunistycznego, którzy wiele zrobili po klęsce Niemiec dla stworzenia socjalistycznego państwa polskiego.

Na to Bierut popatrzył na mnie z właściwym mu uśmiechem i odpowiedział:

– Towarzyszu Chruszczow, wiecie jak mi ciężko. Sam rozumiem, że to budzi niezadowolenie, ale Berman to mądry człowiek. Wszystkie nasze dokumenty polityczne redaguje Berman, a gospodarcze – Minc. Przemówienia, które wygłaszam też są przez nich redagowane. Potrzebuję takich pomocników. Sami mówicie, że są uczciwi.

– Wszystko to prawda, lecz doprowadzi do antysemityzmu. Będziecie mieli trudności – odpowiedziałem.

Nalegać nie mogłem i nie chciałem. Wszystko pozostało jak dawniej.

Potem umarł Bierut. Stało się to zaraz po XX Zjeździe KPZR. Zachorował podczas pobytu u nas i umarł w Moskwie. Do Polski dostarczono trumnę z ciałem. Wydelegowano mnie wraz z delegacją KPZR do udziału w pogrzebie. Szanowałem Bieruta niezależnie od tego, że w tej sprawie zachował się paskudnie. Pogrzeb był imponujący. Ludzie byli zrozpaczeni, udręczeni, we łzach. Uczucia te uważałem za szczerze, ponieważ Bierut był typowym Polakiem, imponował rodakom mądrością, uprzejmością i dostępnością. Po jego śmierci powstał problem, kogo wysunąć na pierwszego sekretarza KC PZPR. Polacy poprosili mnie, abym chwilowo nie wyjeżdżał do Moskwy. Prawdę mówiąc, ja także wolałem na miejscu poczekać, aż sprawa się rozstrzygnie. Dla ZSSR nie było obojętne, kto będzie w polskich władzach.

W posiedzeniach polskiego Biura Politycznego nie uczestniczyłem, bo nie chciałem dawać powodów do zarzutów, że Chruszczow wywiera naciski. Mimo to, później dużo mówiono o tym, że wpływałem na polskich towarzyszy. Powtarzam, w ogóle nie uczestniczyłem w posiedzeniach, gdzie rozstrzygano sprawę nowej władzy, ani na plenarnym, ani na żadnym innym.

Polacy postanowili rozdzielić stanowiska szefa partii i szefa państwa, wcześniej łączył je Bierut. Do stanowiska pierwszego sekretarza KC PZPR pretendowali dwaj ludzie: Ochab i Zawadzki. Nie mieszałyśmy się, chociaż nie ukrywam, że bardziej imponował mi Zawadzki. Po burzliwej dyskusji członkowie KC wybrali Ochabę.

Poinformowano mnie, że na stanowisko pierwszego sekretarza wysuwają towarzysza Ochabę. Gomułka wówczas ciągle był w więzieniu. Nie mieliśmy nic przeciwko Ochabowi. Był to towarzysz sprawdzony w walce, mający za sobą polskie więzienie, prawdziwy komunista. Jego żona również była aktywną komunistką, ale znałem ją mniej. Rozgorzała walka o stanowisko sekretarza KC PZPR do spraw kadrowych. Ponieważ towarzysz Zambrowski miał dobre układy z sekretarzami komitetów wojewódzkich, stanęli oni za nim murem i znów powierzono mu sprawy kadrowe jak za czasów Bieruta. Wiedział jednak, że Moskwa nie popiera jego kandydatury. W rezultacie stronnicy Zambrowskiego podjęli gorączkową działalność przeciwko nam, zwłaszcza przeciwko mnie. Nie ukrywałem swojej opinii, otwarcie mówiłem, że na to stanowisko należy wysunąć równie godnego komunistę narodowości polskiej, aby ukrócić oskarżenia polskich komunistów, że proszę, wszędzie są Żydzi, a polskie kadry prawie w ogóle nie mogą się przebić na kierownicze stanowiska.

Przewodniczącym Rady Państwa, tj. prezydentem, został Aleksander Zawadzki.

Kandydatura Ochabę nie budziła wśród nas niepokoju, był naszym przyjacielem i prawidłowo rozumiał sens tej przyjaźni. Gdy jednak wracałem do Moskwy, dowiedziałem się, że walki w polskim kierownictwie nie ustały. Najwidoczniej towarzysze byli niezadowoleni i uważali, że po śmierci Bieruta nic się nie zmieniło w narodowościowym składzie

kierownictwa. Komuniści narodowości polskiej i żydowskiej toczyli skrytą walkę, otwarcie nigdy nie występowali, ale każdy z nich prowadził w miarę sił walkę wewnątrz partii. To najgorsza rzecz, gdy takie sprawy dzielą partię. Później sprawy się skomplikowały jeszcze bardziej, gdyż w Polsce, tak jak w innych bratnich krajach, zaczęto intensywnie zajmować się problemem kultu jednostki Stalina i związanych z tym naruszeń praworządności. Partię nurtowało wówczas przede wszystkim pytanie, dlaczego rozwiązano KPP przed wojną. Była o tym mowa na XX zjeździe KPZR. Bierut otrzymał kopię referatu, który wtedy wygłosiłem. Później ta tajna kopia trafiła w ręce ludzi, którzy chcieli nam zaszkodzić. Być może byli to agenci krajów kapitalistycznych, trudno to dziś ocenić. Jednym słowem, mój referat został powielony i stał się znany poza granicami Polski, obszernie cytowała go prasa burżuazyjna.

W Polsce zaistniała trudna sytuacja: mój referat, śmierć Bieruta, tarcia wewnątrz PZPR po jego zgonie – wszystko to budziło niepokoje w polskim społeczeństwie, zwłaszcza wśród inteligencji i młodzieży. Wydarzenia narastały. Ochab nie miał wystarczająco wielkiego autorytetu, nie cieszył się szacunkiem w kręgach partyjnych i bezpartyjnych. Z jego opiniami prawie nikt się nie liczył. Tymczasem jeszcze na pogrzebie Bieruta znów poruszyłem problem Gomułki i Spychalskiego. Pytałem wszystkich członków Politbiura, jak się odnoszą do naszego stanowiska, że należy uwolnić Gomułkę? Wszyscy przekonywali mnie, że nie wolno tego robić, najbardziej gorączkowali się Ochab i Zambrowski. Takie samo stanowisko zajmowali Zawadzki i Cyrankiewicz, nie mówiąc już o Mincu i Bermanie. Jednym słowem, kierownictwo uważało, że nie ma podstaw ani ochoty do zwolnienia Gomułki. Byłem szczerze rozczarowany. Nic jednak nie mogłem poradzić, przecież nie mieliśmy prawa żądać.

Im dalej, tym więcej: Ochab postanowił usunąć Cyrankiewicza ze składu kierownictwa. Przekonywałem, że nie należy tego robić, że trzeba pamiętać o tym, iż PZPR powstała ze zjednoczenia dwóch partii: komunistycznej i ludowej. Towarzysz Cyrankiewicz reprezentował PPS, jego usunięcie doprowadziłoby do rozpadu koalicji. Być może organizacyjnie

wszystko zostanie po staremu, ale spora część PZPR będzie przeciwko wam. Przekonywano mnie, że Cyrankiewicz jest słabym przywódcą. Argumentowałem:

– Towarzysze, powinniście zrozumieć, że Cyrankiewicz postępuje właśnie tak, bo nie czuje poparcia, więc jego zachowanie sprawia wrażenie chwiejności. Gdyby mógł rzeczywiście stanąć na czele rządu przy pełnym poparciu partii i narodu, zobaczylibyście, jakie naprawdę ma zdolności. Jeśli go usuniecie, partie komunistyczne wszystkich krajów demokracji ludowej poniosą wielką stratę. Socjaldemokratyczni liderzy Zachodu mówili wtedy, że komuniści poszli na sojusze z socjaldemokratami ze względów koniunkturalnych, a gdy umocnią swoje pozycje, to odsuną od władzy wszystkich socjaldemokratów.

Gdyby Polska „wyrzuciła” Cyrankiewicza, miałyby to zgubne skutki dla Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Na czele państwa stał tam Otto Grotewohl, również przywódca socjaldemokratów. Analogiczna sytuacja miała miejsce i w pozostałych krajach socjalistycznych. Wybiegając w przyszłość widzieliśmy, że w ruchu robotniczym powinno się tworzyć coś w rodzaju frontu lewicy, sojuszu lewej strony. Dziś też w niektórych krajach podczas wyborów do parlamentu komuniści łączą siły z socjaldemokratami i osiągają całkiem dobre efekty polityczne. Była to zasadnicza kwestia i dotyczyła nie tylko Polski.

Wróć jednak do problemu Gomułki. Po pewnym czasie polscy towarzysze przyjechali do nas wypoczywać na Krymie. Tam znów poruszyłem w rozmowie z Ochabem temat Gomułki. Ochab nie zmienił stanowiska, ale nie przytoczył żadnych argumentów za dalszym przetrzymywaniem Gomułki w więzieniu, powtarzał tylko, że jego zwolnienie skomplikuje sytuację w kierownictwie.

W tym czasie wewnątrz PZPR narastał pogląd, że Gomułka jest więziony niewinnie. Argumenty polskiego kierownictwa nikogo już nie przekonywały. Niepokoje miały jednak podskórny charakter i jeszcze nie zaistniały na zewnątrz, gdyż gazety znajdowały się pod kontrolą przeciwników Gomułki.

Fala protestów przybierała na sile zwłaszcza wśród studentów i inteligencji. Narastały żądania uwolnienia Gomułki.

Od czasu do czasu próbowałem w imieniu kierownictwa sowieckiego przeforsować wypuszczenie Gomułki na wolność. W tym czasie w Polsce powstała już przykra sytuacja: wrogie nam siły zjednoczyły się pod hasłem uwolnienia Gomułki. Nowe kierownictwo musiało to zrobić, jeśli chciało zachować swój autorytet. Ci ludzie nie rozumieli tego, trzymali się starej linii, nadal więzili Gomułkę. Wypuścili go dopiero pod naciskami z zewnątrz. Przez pierwsze tygodnie po zwolnieniu Gomułka chorował i nie pokazywał się publicznie. W tym czasie Ochab na czele polskiej delegacji pojechał do Chin, pod drodze zatrzymał się w Moskwie, gdzie przeprowadziłem z nim rozmowę. Zaproponowałem, by zaprosił w naszym imieniu Gomułkę na wypoczynek na Krymie. Ochab nie zgodził się, unikał rozmowy. Nie nalegałem.

Fakt uwolnienia Gomułki ucieszył nas. Sposób, w jaki się to dokonało, był jednak niepokojący. Zwolnienie Gomułki nastąpiło nie pod naciskiem jego stronników, lecz pod antysowieckim sztandarem: rozeszły się pogłoski, że Gomułkę aresztowano na nasze żądanie, choć nie było żadnych podstaw do takich opinii. Napięcie w Polsce rosło. Odbywały się demonstracje, wszystko wrzało. Dominowały nastroje antysowieckie. Manifestanci żądali wycofania wojsk sowieckich z Polski, były też inne postulaty. Nieoczekiwanie otrzymaliśmy wiadomość, że w Warszawie zebrało się plenum KC PZPR, że trwa burzliwe posiedzenie. Gomułka brał udział w pracach plenum, rozgorzała tam walka o władzę.

Dowiedzieliśmy się, że na plenum rozpatrywano wnioski o odwołaniu Ochaba i wyborze Gomułki na jego miejsce. Dyskutowano też gorąco o innych kwestiach. Zaniepokoiło to nas, zwłaszcza odwołanie Ochaba, choć nie mieliśmy nic przeciwko nominacji Gomułki. Decyzję KC PZPR uznaliśmy za wymierzoną przeciwko nam: ludzie, którzy przekonywali nas o konieczności trzymania Gomułki w więzieniu, teraz stwarzają pozory, że właśnie uzyskali możliwość jego zwolnienia i powołania na kierownicze stanowisko. Zadzwoniłem do Warszawy, rozmawiałem z Ochabem, spytałem, czy informacje z ambasady sowieckiej są prawdziwe. Potwierdził. Wtedy spytałem, czy to prawda, że w Polsce doszły do głosu nastroje antysowieckie i że Gomułka przejął władzę na fali tych

nastrojów? Dodałem też, że chcielibyśmy przyjechać do Warszawy i przeprowadzić rozmowy. Ochab odpowiedział: „Musimy się naradzić, dajcie nam czas”. Później zadzwonił i oświadczył: „Nie przyjeżdżajcie, dopóki nie skończy się posiedzenie KC”. Odpowiedź niby logiczna, o ile rozmawia się z zaufanym człowiekiem. Straciliśmy jednak zaufanie do Ochaba. Oczywiście najlepiej byłoby w ogóle nie pojawiać się w Warszawie. Chcieliśmy jednak jechać, żeby wywrzeć odpowiedni nacisk. Odmowa Ochaba potwierdziła nasze podejrzania, że w Polsce nasilają się nastroje antysowieckie, i że mogą one przerodzić się w działania, przy których powrót do normalnej sytuacji byłby bardzo trudny.

Trzeba było poinformować Ochaba, że jednak przyjedziemy. Oświadczyliśmy mu otwarcie, że Polska ma dla nas ogromne znaczenie strategiczne. Nie podpisano traktatu pokojowego z Niemcami. Nasze wojska stacjonują w Polsce na mocy układów poczdamskich z 1945 r. Strzegą linii komunikacyjnych, wiodących przez terytorium Polski. Stanowczo oświadczyliśmy Ochabowi, że przyjeżdżamy do Warszawy. Zebraliśmy delegację. W jej skład oprócz mnie weszli Mikojan i Bułganin. Poleciliśmy. Na lotnisku spotkali nas Ochab, Gomułka, Cyrankiewicz i inni towarzysze. Spotkanie przebiegało w nadzwyczaj chłodnej atmosferze. Przylecieliśmy bardzo wzburzeni i od razu po powitaniu wyraziłem swoje niezadowolenie z zaistniałej sytuacji: „Dlaczego wszystko odbywa się pod hasłami antysowieckimi? Z jakiego powodu?” Zawsze byliśmy za uwolnieniem Gomułki i nie mieliśmy nic przeciwko temu, by wrócił do kierownictwa. Gdy rozmawiałem w Moskwie z Ochabem, to proponowałem, by Gomułka wypoczął na Krymie, porozmawiamy z nim, podleczy zdrowie, a my w tym czasie określimy nasze stanowisko.

Myślę, że moje słowa zraziły wtedy Ochaba: zapewne uznał, że chcemy go zdjąć ze stanowiska i zastąpić Gomułką. Nie byliśmy przeciwnikami Ochaba, ale okazał się słabym przywódcą, Gomułka byłby lepszy na jego stanowisku. Bardziej ceniliśmy Gomułkę. Ochab chyba to wyczuwał.

W odpowiedzi na moją tyradę machnął tylko ręką, pokazał na Gomułkę: „Z nim rozmawiajcie, wybrano go na I sekretarza KC”. Ulokowano nas w Belwederze, gdzie zazwy-

czaj zatrzymywaliśmy się podczas wizyt w Polsce. Pałac stoi w malowniczym miejscu i jest bardzo pojemny. W swoim czasie mieszkał w nim namiestnik cara w Polsce, brat Mikołaja I, księżę Konstanty. Wrzuciliśmy tylko walizki i pojechaliliśmy na posiedzenie KC PZPR.

Posiedzenie prezydium PZPR było bardzo burzliwe. Braliśmy udział w dyskusji, ale nasze wypowiedzi nie uspokajały nastrojów, przeciwnie, dolewały oliwy do ognia. Trzeba jednak dodać, że wszyscy dyskutanci mówili o zachowaniu przyjaznych stosunków z ZSSR, szczególnie silne wrażenie wywarł na mnie towarzysz Zawadzki. Przy wszystkich komplikacjach pozostawał naszym najbliższym przyjacielem. Takim też pozostał w naszej pamięci po śmierci.

Towarzysz Gomułka odnosił się do niego bez szacunku, rozumiałem to. Zawadzki zajmował znaczące stanowisko w kierownictwie i Gomułka zdawał sobie sprawę, że do więzienia wsadził go nie tylko Bierut.

Szczególną pozycję na tym posiedzeniu zajął Cyrankiewicz. On też opowiadał się za zachowaniem przyjacielskich stosunków z ZSSR, ale wyrażał to w jakiś osobliwy sposób. Popierał Gomułkę i krytykował poprzednie kierownictwo, do którego sam należał, ale nie odgrywał w nim decydującej roli, nie miał wpływow. Dyskusja była burzliwa. Problem postawiono wprost: czy Polacy są za Sowiecami, czy przeciw? Nie owijano w bawełnę, padały ordynarne słowa. Zgłosiliśmy swoje pretensje i zażądaliśmy wyjaśnień, dlaczego podejmowano działania przeciwko ZSSR.

Wojskiem Polskim dowodził marszałek ZSSR Rokossowski. Polacy uważali go za człowieka prosowieckiego. Mieli rację. Choć sam Polak, był przede wszystkim człowiekiem sowieckim. Został ministrem obrony Polski na prośbę Bieruta. Stalin w mojej obecności zaproponował mu to stanowisko. Rokossowski stanowczo odmawiał: „Jestem żołnierzem Armii Czerwonej, nie chcę jechać do Polski”. Stalin zaczął go namawiać. W końcu ustalili, że Rokossowski dostanie polskie obywatelstwo, ale zachowa też sowieckie, a także stanowisko marszałka Związku Sowieckiego. Dopiero na tych warunkach zgodził się wyjechać i przyjąć stanowisko ministra. Polacy nadali mu tytuł marszałka Polski. W przerwie posiedzenia,

podczas obiadu, otrzymaliśmy informację od Rokossowskiego, że wojska podporządkowane Ministerstwu Spraw Wewnętrznych PRL zostały postawione w stan gotowości bojowej i skoncentrowane wokół Warszawy. „Jestem śledzony – mówił. – Nie mogę zrobić kroku, o którym nie doniesiono by ministrowi spraw wewnętrznych”.

Trzeba było pamiętać, że minister siedział w więzieniu razem z Gomułą i oczywiście był po jego stronie. Słowa Rokossowskiego jeszcze bardziej zaostriły nasze podejrzania. Rozlegały się już głosy, że Rokossowskiego trzeba odesłać do ZSSR, gdyż nie można mu ufać, bo prowadzi antypolską politykę. Wszystkie poczynania ministra spraw wewnętrznych były wymierzone w ZSSR. Przejawiało się to w postawieniu wojsk w pogotowie bojowe, w śledzeniu Rokossowskiego, we wściekłej nagonce przeciwko sowieckim specjalistom w Polsce. Na takiej właśnie fali Gomułka dochodził do władzy. Ta antysowiecka fala wywoływała w nas stosowny nastrój, choć byliśmy przekonani, że to tylko odreagowanie błędnej polityki Stalina. Za jego rządów miało miejsce rozgromienie KPP przed wojną i inne nasze posunięcia po wojnie, które raniły poczucie godności narodowej Polaków. Za Stalina podjęto decyzje, szkodliwe dla polskiej gospodarki. Wszystko to teraz wybuchło, w dodatku pojawił się antysemityzm. Liczyliśmy jednak, że to chwilowe zjawisko. Skomplikowaną sprawą było stacjonowanie naszych wojsk w Polsce. Postanowiliśmy bronić ich pobytu. Wynikał z układów poczdamskich i był zgodny z prawem międzynarodowym. Wojska strzegły linii kolejowych i drogowych, łączących ZSSR z siłami zbrojnymi w Niemczech.

Spytałem Rokossowskiego: „Jak zachowują się jednostki bojowe?” „Nie wszystkie polskie jednostki są mi posłuszne, choć niektóre (tu je wymienił) wykonają moje rozkazy”. Rozkaz zaś wyda tylko wtedy, gdy powiemy mu, jaki ma być. „Ja, obywatel ZSSR, uważam, że należy podjąć stanowcze kroki przeciwko siłom antysowieckim, które chcą przejąć władzę. Oprócz tego niezbędne jest utrzymanie linii komunikacyjnych z Niemcami”. Wojska sowieckie na terenie Polski były niewielkie. Do Warszawy przyjechał z nami marszałek Koniew, który dowodził w tym czasie siłami Układu War-

szawskiego. Jego obecność wydawała się nam niezbędna. Poprzez Koniewa postawiliśmy nasze jednostki na terenie Polski w stan gotowości bojowej. Później dodatkowo kazaliśmy podciągnąć pod Warszawę dywizję pancerną. Koniew zameldował, że wojska wykonały rozkaz, a dywizja zmierza w kierunku Warszawy.

Trwało nerwowe, burzliwe posiedzenie. Kłócimy się z Polakami. Widzę, że Gomułka nerwowo wstaje. Kieruje się ku mnie. Siada z powrotem. Potem znowu wstaje. Jego oczy wyrażają nie tyle wrogość, co silne wzburzenie. Nigdy przedtem nie widziałem go w takim stanie. W końcu podszedł do mnie i powiedział nerwowo: „Towarzyszu Chruszczow, na Warszawę idzie sowiecka dywizja pancerna. Bardzo proszę rozkazać aby nie wkraczała do miasta. Najlepiej byłoby, gdyby w ogóle nie zbliżała się do Warszawy, gdyż boję się, że stanie się coś nieodwracalnego.” Gomułka był człowiekiem impulsywnym, w tej chwili miał nawet pianę na ustach. Używał bardzo ostrych słów. Zaczęliśmy zaprzeczać, że nic podobnego. Postanowiłem nie wspominać, że jednocześnie z rozkazem Koniewa, Rokossowski otrzymał wytyczne, by skierować do Warszawy sowieckie wojska. Podejmował on pewne kroki w tych polskich wojskach, na których mógł polegać. Po jakimś czasie Gomułka ponowił prośbę. Zdążył sprawdzić swoją informację: miał dane od ministra spraw wewnętrznych, który śledził ruchy naszych wojsk.

Wśród Polaków byli ludzie, którzy w tak trudnej sytuacji nie tracili głowy. Przewodniczącym Rady Państwa był nasz dobry przyjaciel, wieloletni więzień, Zawadzki. Jego żona również była starą komunistką, naszą przyjaciółką, również siedziała w więzieniu. Tak jak i mąż ostro występowała przeciwko tym, którzy stali na pozycjach antysowieckich. Zawadzki poinformował nas, że prowadzona jest agitacja antysowiecka wśród warszawskich robotników, że niektóre fabryki zbroją się, minister spraw wewnętrznych rozdaje broń. Warszawa przygotowuje się do stawienia oporu naszym wojskom. Sytuacja robiła się ciężka. Znaleźliśmy się w niewoli, ponieważ Warszawa była w rękach sił stojących na pozycjach antysowieckich. Posiedzenie trwało. Przemawiał Gomułka. Mówił gorąco i powiedział słowa, którymi mnie przekupił: „Towa-

rzyszu Chruszczow, proszę zatrzymać sowieckie wojska. Myślicie, że tylko wam potrzebna jest przyjaźń z polskim narodem? Ja, jako Polak i komunista przysięgam, że Polska bardziej potrzebuje przyjaźni z Rosjanami, niż Rosjanie z Polakami. Czyż nie rozumiemy, że bez was nie będziemy istnieć jako suwerenne państwo? Wszystko będzie u nas w porządku a wy nie dopuścicie, żeby wojska sowieckie weszły do Warszawy, dlatego, że wtedy wypadki wymkną się spod kontroli”.

Ogłoszono przerwę w posiedzeniu. Zebraliśmy się osobno ze swoją delegacją i omówiliśmy sytuację razem z Rokossovskim. Uwierzyłem w Gomułkę chociaż wcześniej też nie wątpiłem w niego. Mimo porywczoci, był szczery. Powiedziałem: „Wierzę Gomułce jako komuniście. Jest mu trudno, od razu wszystkiego nie zrobi, usuniemy nasze wojska, damy mu czas, poradzi sobie z siłami, które stoją na nieprawidłowych pozycjach. Oczywiście wśród tych ludzi są wrogowie klasowi. Chcą skłócić nasze narody. Zauważyli szczelinę i zaczęli wbijać kliny. Uważam, że należy wesprzeć Gomułkę.” Wszyscy zgodzili się. Rozkazaliśmy Koniewowi zatrzymać sowieckie wojska idące na Warszawę. Potem wyjaśniliśmy Polakom, że nasze wojska w ogóle nie szły na Warszawę, tylko miały manewry i zatrzymały się w miejscu wynikającym z planu manewrów. Oczywiście nikt w to nie uwierzył, ale wszyscy byli zadowoleni, a wojska zostały zatrzymane. Gomułka też się uspokoił: od razu zameldowano mu, że nasze wojska nigdzie nie maszerują. Atmosfera poprawiła się. Polacy zrozumieli, że można się dogadać. Myślę, że wprowadzenie naszych wojsk do Warszawy mogłoby być fatalnym posunięciem i spowodować komplikacje o skutkach trudnych do przewidzenia. Uważam, że sytuację uratował Gomułka, który wypowiedział się w sposób tak przekonujący. Wszystko inne miało drugorzędne znaczenie.

Nie mieliśmy nic przeciwko wysunięciu Gomułki na stanowisko pierwszego sekretarza i nasz dalszy pobyt w Polsce nie był konieczny. Pożegnaliśmy się i odlecieliśmy do domu. Nie mieliśmy absolutnej pewności jak się sprawy potoczą, ale wierzyłem w słowa Gomułki i słusznie. Zaufanie to było usprawiedliwione. W historii tej bardzo aktywną rolę odegrał wspomniany już sekretarz KC PZPR ds. kadrowych Zambrow-

ski. Szczególnie aktywnie zachowywał się jego syn, ni to literat, ni to pracownik Akademii Nauk. Mówiono mi nawet, że wydał specjalną broszurę, w której zniewazył Związek Sowiecki i KPZR. Mojej osobie też się tam dostało. Dlaczego o tym wspominam? Zambrowski zawsze był uważany za człowieka Bieruta, który wsadził Gomułkę do więzienia. Gomułka okazał się ofiarą Bieruta. I nagle Zambrowski został aktywnym stronnikiem Gomułki w walce o władzę. Okazało się, że zupełnie brakuje mu zasad.

Czas upływał. Nastroje antysowieckie w Polsce trwały. Zrozumieliśmy, że nie przerwie się tego jednym ruchem ręki. Potrzebny jest czas, aby ludzie nam zaufali, a ci którzy zbłądzili, aby przekonali się, że jesteśmy przyjaciółmi narodu polskiego i, że nasza przyjaźń zapewnia Polsce bezpieczeństwo i nienaruszalność ziem zachodnich. Jeśli Niemcy zostaliby sam na sam z Polakami, nie mogłoby być mowy o utrzymaniu przez Polskę tych terytoriów. Gomułka sam mawiał: „Nasza inteligencja najbardziej obawia się Niemców. Stanowią oni zagrożenie dla Polski, szczególnie jeśli coś się zmieni w przyjaznych stosunkach z ZSSR.”

Dlatego też politycznie myślący ludzie popadli w stan rozdwojenia: z jednej strony nie byli zadowoleni z naszych działań, z drugiej – rozumieli, że w oparciu o przyjaźń z nami mogą utrzymać granice, jakie utworzyły się po rozgromieniu Hitlera. Równocześnie wynikł problem dla mnie zupełnie nieoczekiwany. Okazało się, że w swoim czasie zawarło umowę o dostarczeniu przez Polskę do ZSSR węgla po zaniżonych cenach. Uzbierała się ogromna suma, której Polska nie otrzymała, jeśli opierać się na cenach światowych. Zaczęliśmy badać sprawę. Rzeczywiście wszystko się potwierdziło. Z polskiej strony umowę podpisał Cyrankiewicz, jako przewodniczący Rady Państwa, z naszej strony – Mikojan. Zaprośiliśmy Polaków, aby wyprostować sprawę.

Spytałem Mikojana: „Jak to się stało?”. „Stalin kazał”. „A strona polska?” – „A co strona polska – odpowiada jej przedstawiciel. – Podpisaliśmy tekst na takich warunkach, jakie podyktowała strona sowiecka.” „Więc dlaczego nas winicie? – mówię mu. – Ja na przykład, choć jestem członkiem prezydium KC, pierwszy raz słyszę o tej umowie.” Jednak fakt

pozostał faktem. Musieliśmy dopłacić różnicę i skorygować umowę tak, aby handel szedł dalej na podstawie przyjętych cen światowych. Dopłata stanowiła ogromną sumę. Po ponownej rozmowie z Mikojanem zrozumiałem o co chodzi. Polacy dzięki nam otrzymali od Niemców Śląsk bogaty w węgiel. Stalin uważał, że węgiel jest w pewnym stopniu zapłatą za krew przelaną przy wyzwaniu Polski. Taka interpretacja jest bardzo emocjonalna i nie ma mocy prawnej. Kiedy narastały tam nastroje antysowieckie przedstawiano ten fakt jako grabież, jako eksploatację Polski przez Związek Sowiecki. Przeprowadzano porównania z działaniami imperialistów w koloniach. Sprawa śmierdziała. Nie upieraliśmy się, uznaliśmy racje strony polskiej i wyraziliśmy gotowość do zrekompensowania strat materialnych.

Stopniowo nasze stosunki z Polską normalizowały się, nastroje antysowieckie ucichły. Trzeba przyznać Gomułce, że położył im kres. Znalazł się w korzystnej sytuacji: ofiara, siedział kilka lat, jak mówiono, z rozkazu Stalina. Obecnie zaczął udowadniać konieczność umocnienia przyjaźni polsko-sowieckiej, wyjaśniając jak bardzo jest korzystna dla Polaków. Upłynęło trochę czasu. Przyjechali do nas polscy towarzysze. Zaprosiliśmy ich, aby pokazać światu, że nasze stosunki normalizują się, a nadzieje wrogów zostały rozwiane. Mieli poważny problem. W Polsce wytworzyła się trudna sytuacja gospodarcza i znowu potrzebowali naszej pomocy. W okresie zawieruchy nabrali kredytów i nie myśleli o tym, że kredyty trzeba w terminie spłacać. A skąd brać na te spłaty? Jednym słowem przyszli do nas.

Nie wspominaliśmy im niedawnych wydarzeń. Te wydarzenia i dla nas były nieprzyjemne.

Mieliśmy własne kłopoty, ale nie chcieliśmy swoich towarzyszy i braci zostawiać w biedzie. Uzyskaliśmy jakieś możliwości i przyszliśmy im z pomocą. To jeszcze przychylniej usposobiło do nas nowe polskie kierownictwo i Gomułkę. Mimo nie najlepszych stosunków stanęliśmy na pozycjach klasowych. Interesy klasowe i państwowe wymagały udzielenia pomocy. Tak tworzyła się baza dla naszych dalszych braterskich stosunków.

Nastroje antysowieckie wyciszyły się. Nie zostały jednak

zlikwidowane, jak wykazały dalsze wypadki, nastroje antysowieckie znów dały o sobie znać, a mianowicie przy wystawieniu w 1968 roku spektaklu według poematu Mickiewicza „Pan Tadeusz”. Inscenizacji dokonał współczesny autor. W spektaklu podkreślono antysowiecki kurs wydarzeń. W czasach Mickiewicza część postępowej inteligencji rosyjskiej stała po stronie polskich powstańców. Obecnie antyrosyjskie słowa, które zabrzmiały w teatrze, spowodowały kolejną falę nastrojów antysowieckich. Na początku rozchwiały one podstawy państwowe nowej Polski, potem wpływy te przeniknęły do Czechosłowacji. Wspominałem już o tym.

Jeśli mówić ogólnie o stosunkach gospodarczych ZSSR z krajami socjalistycznymi, to oparte były na zasadach równych praw, przy czym nikt nie powinien tracić. Jeśli już skrupulatnie liczyć koszty, które ponosi ten lub inny kraj, to bezwarunkowo ZSSR ma największy ze wszystkich krajów Układu Warszawskiego wkład w obronność. Należy policzyć choćby ile kosztuje utrzymanie naszych rakiet. A ile kosztuje produkcja nuklearna? Utrzymanie ogromnej armii? Armia jest buforem, na którym bazują wszystkie kraje socjalistyczne. Wydatki na nią są nieproporcjonalne, jeśli sprawiedliwie rozdzielić je według liczby ludności we wszystkich krajach socjalistycznych.

Nie wiem nawet ile razy więcej płacą ludzie sowieccy na utrzymanie takich sił zbrojnych. Jeśli ZSSR utrzymuje jeszcze wojska na Węgrzech i w Polsce, to ja uważam, że z punktu widzenia obronności nie jest to konieczne. Po co dawać wrogom powody by kłuli nas w oczy? Należy wyprowadzić nasze wojska, aby bratnie kraje czuły, że idą drogą socjalizmu z własnego przekonania, a nie pod przymusem ze strony ZSSR. Chociaż mądrzy ludzie nie wierzą w podobne dywagacje, zawsze jednak znajdą się tacy, którzy są skłonni wierzyć w propagandę imperialistycznych mocarstw.

Ku mojemu zdumieniu, Gomułka ostro sprzeciwił się mojej propozycji wyprowadzenia naszych wojsk, złożonej w 1957 roku i zaczął udowadniać konieczność i korzyści z ich przebywania na terytorium Polski. Byłem zdumiony. Pamiętamy przecież jak Polacy traktowali nas w 1956 roku, kiedy wieszali na Związku Sowieckim psy, nazywali nas okupan-

tami, krzykali: „Rosjanie zabierajcie się do domu!” – i zażądali odwołania Rokossowskiego. Rokossowski wyjechał do ZSSR, pożegnano go z honorami, wręczono order, a Gomułka powiedział mi: „Pamiętajcie, przy obecnym stanie rzeczy nie dowierzamy Rokossowskiemu. Lepiej, żeby wrócił do Związku Sowieckiego”. A teraz ten sam Gomułka nie chce nawet słyszeć o wyprowadzeniu sowieckich wojsk z Polski. Nawet z punktu widzenia wspólnej strategii wojennej państw socjalistycznych przebywanie naszych wojsk na terytorium Polski nie było konieczne, a utrzymywanie ich kosztowało bardzo drogo.

Zaopatrzenie każdej dywizji w Polsce lub na Węgrzech wychodziło dwa razy drożej niż w naszym kraju. Trzeba było się z tym liczyć. Szukaliśmy wtedy różnych możliwości zaoszczędzenia na zbrojeniach. Wyjaśniłem, że wpłacaliśmy dużo do budżetu tych państw, w których znajdowały się nasze wojska. Oto dlaczego Gomułka był przeciwny – w interesie polskiego budżetu. A mnie mówił: „Polityka i korzyści polityczne nie dadzą się zmierzyć materialnie.” Dodam, że na utrzymanie wojsk krajów zachodnich na terytorium RFN płaci w zasadzie sama RFN. Jest tam na odwrót.

Jako emeryt nie mam obecnie żadnego wpływu na bieg wydarzeń. Z punktu widzenia obywatela ZSSR i byłego działacza politycznego i państwowego uważam, że należy po równo rozłożyć ciężar utrzymania zjednoczonych sił zbrojnych na kraje socjalistyczne. Będzie sprawiedliwie, jeśli kraje te będąc w podobnej sytuacji społecznej ponosiłyby takie same koszty. ZSSR jest najbogatszym krajem socjalistycznym jeśli chodzi o bogactwa naturalne, ilość ludności i potencjał przemysłowy. Wszystkie nasze wskaźniki w porównaniu z rokiem 1913 radują duszę. Jeśli natomiast przeliczyć to na jednego mieszkańca to nasze bogactwa okażą się mniejsze niż w innych krajach. Pod względem spożycia na jednego mieszkańca tłuszczów roślinnych, mięsa, masła zajmujemy miejsce dalekie od czołówki. Kiedy jeszcze pracowałem, wiedziałem, że nie wytrzymujemy żadnego porównania z NRD, gdzie mieszkańcy spożywają na przykład półtora raza więcej mięsa. Czechosłowacy żyją już gorzej niż Niemcy, lecz znacznie lepiej niż w ZSSR. Na Węgrzech spożycie jest ileś tam

razy wyższe niż u nas, w Polsce również. Człowiek sowiecki, który poniósł główny ciężar walki o ustrój socjalistyczny, otrzymał najmniej ze wszystkich jako rekompensatę w postaci towarów konsumpcyjnych.

Mówię to dlatego, że polscy towarzysze nie mieli żadnych racji by obwiniać nas, że prowadzimy politykę dyskryminacyjną i korzystamy z dóbr wytworzonych przez naród polski, jego kosztem, dla własnej wygody. Wprost przeciwnie! Często rozmawiałem z towarzyszem Gomułką o tych sprawach i prawie co roku Polacy planowali dostawy określonej ilości naszego ziarna do Polski. A u nas samych brakowało produktów zbożowych. Nie tylko Polacy, z takimi samymi prośbami zwracała się do nas Bułgaria, i Węgry. Jeden raz, w czasie gdy byłem we władzach, zwrócili się do nas w tej sprawie Rumuni, z reguły eksportowali produkty zbożowe. Wiedziałem po co konkretnie Polakom ziarno i powiedziałem Gomułce: „Dlaczego chcecie, żebyśmy dostarczali wam ziarno, jeśli w Polsce macie lepsze niż w innych krajach wykorzystanie ziemi na głowę mieszkańca? Macie możliwość całkowicie zaopatrzyć się w zboża. Według danych które posiadam nasze ziarno idzie na pasze dla świń”. Polska miała dobrą wieprzowinę, jej szynki i inne delikatesy były słynne nawet w USA. Sam to doceniałem. Z pewnością polskie produkty są smaczne. „Chodzi o walutę – oświadczyłem. – Zabieracie nam zboże, które nam samym jest potrzebne. Kiedy w 1963 roku mieliśmy nieurodzaj musieliśmy kupować zboże za granicą, płaciliśmy za niego złotem. A wy nalegacie, żeby ZSSR dostarczał do Polski ziarno na pasze dla świń, które potem Polska eksportuje do USA i dostaje za to dolary i złoto. My wydobywamy złoto z ziemi, wy – z naszego ziarna.” Gomułka przyznał mi rację, ale nalegał na kontynuację tych praktyk.

Powstawały też inne problemy. Najczęściej Gomułka prosił o zwiększenie dostaw rudy żelaza o wysokiej jakości. Choć nam samym jej brakowało, spełnialiśmy te prośby. Podobnie było z dostawami ropy naftowej. Oczywiście ropa jest bardziej dochodowa niż węgiel, ale wydobywaliśmy jej mało. musieliśmy ją oszczędzać, dzielić się z Polakami.

Szczególnie przykry był fakt, że ich prośby powtarzały się niemal co roku. Upredzaliśmy, że rozpatrujemy kwestię do-

datkowych dostaw ostatni raz i prosimy, by w następnym roku sami sobie radzili, ale nic nie pomagało. Te przykłady dowodzą, że nie czerpaliśmy żadnych korzyści z przyjaźni z Polską. Nie robiliśmy jednak nic, co naruszyłoby harmonię jej działalności gospodarczej. Przecież nasza przyjaźń była szczerą, oparta na hasle „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!” Postępowaliśmy tak kosztem własnej gospodarki. Na usprawiedliwienie Polaków dodam, że oczywiście nie mogą oni zapomnieć rozbiorów swego kraju z udziałem Rosji i antypolskiego paktu z 1939 roku. Ale później? Ponieśliśmy podczas wojny straszliwe straty. Potem okazaliśmy się główną siłą, która wyzwoliła Polskę z jarzma faszyzmu, a teraz niesiemy najcięższe brzemie gospodarki i ekonomiki. Oczywiście nie mamy jeszcze z Polską takich stosunków jak z republikami związkowymi. W obrębie ZSSR posiadamy wspólne dobra i zasoby, wytwarza je cały naród sowiecki, a podział tych dóbr odbywa się na zasadzie równości. Z Polakami prowadziliśmy inne rozliczenia: są to przecież dwa odrębne państwa. Ale jesteśmy przecież bratnimi narodami, które wspólnie kroczą drogą wytyczoną przez Marksa i Lenina! Sądzę, że nasze relacje kiedyś się zmienią.

Między krajami socjalistycznymi zawsze istniały mechanizmy, dzięki którym można było współpracować na gruncie komercyjnym z korzyścią dla wszystkich stron. Gomułka śmiało szedł na taką kooperację. Również Czechosłowacja pod rządami Novotnego akceptowała uzgodnienia dotyczące podziału dochodu proporcjonalnie do wkładu każdego kraju. Bułgarzy zajmowali tę samą pozycję. Z kierownictwem węgierskim nigdy nie miałem nieporozumień w tej kwestii, o wszystkim spokojnie decydowali ekonomiści i finansiści. Uważam, że tak powinno być. Jedyne Rumunia zazdrośnie strzegła swojej niezależności gospodarczej, bała się wszelkiej współpracy, nawet korzystnej dla niej.

Sądzę, że jeśli każdy kraj-członek RWPG nie będzie traktować innych jako równoprawnych partnerów, a warunków współpracy jako korzystnych, to wcześniej czy później nastąpi efekt odwrotny do zamierzonego. Więzy gospodarcze zaczną słabnąć. Przykładem jest Polska. Gdy Związek Sowiecki zmusił Polskę do sprzedawania mu węgla po cenach

nizszych niż światowe, to w Polsce sytuacja się zaogniła, rozległy się wrogie nam głosy.

Przypominam sobie w związku z tym takie zdarzenie. W Polsce powstał ogromny kombinat metalurgiczny Nowa Huta. Zbudowano go dzięki naszej pomocy materialnej, z naszym wyposażeniem i pod naszym nadzorem technicznym. Elementy antysocjalistyczne krytykowały nas: Rosjanie narzucili Polsce niepotrzebną inwestycję. Gomułka słusznie dowodził, że kombinat przyniesie Polsce korzyści, a budowa leży w jej interesie. Polska nie zużywa całej produkowanej stali i płaci nią zagranicznym kontrahentom, oszczędzając twardą walutę.

Tak więc po bratersku wsparliśmy Polskę naszymi rezerwami materialnymi. Gdy nasze stosunki uległy normalizacji i Polacy ochłonęli, to sami przyznali, że wcześniejsze krytyczne głosy były głupotą, którą wykorzystali wrogowie, by poróżnić ZSSR i Polskę.

Granice. To pytanie zawsze jest bolesne.

Pamiętam, jak ustalano zachodnie granice Polski, miały przebiegać na linii Odry i Nysy. Wszyscy się wtedy cieszyli, że Polska będzie miała korzystne granice na Zachodzie. Polacy uzasadniali ich przebieg względami historycznymi, że tamte ziemie należały kiedyś do Polski. Wierzyłem Polakom, choć nigdy nie widziałem źródeł historycznych, które by to potwierdzały. Pragnąłem jednak, by przesunąć granice Polski jak najdalej na zachód. Moją uwagę przykuło kiedyś położenie Szczecina. Leżał w delcie Odry na jej lewym brzegu. Spytałem Stalina:

– Granica przebiega wzdłuż Odry, a tu jest Szczecin... Do kogo będzie należeć?

Stalin zainteresował się sprawą. Opowiedziałem mu o geograficznym położeniu miasta. Potem dowiedziałem się, że Szczecin włączono do Polski. Dlaczego wtedy Stalin nie wypowiedział się otwarcie? Najwidoczniej nie miał pewności, czy będzie mógł to zrobić. O wiele później, gdy byłem w Polsce, Gomułka zaproponował mi wizytę w Szczecinie. Polacy niechętnie osiedlali się na terenach zachodnich. Nie chcieli opuszczać swoich ziem, na których mieszkali przed wojną, choć na zachodzie były dobre warunki i dobre grunty

rolne. Polacy nie byli pewni, czy te tereny pozostaną polskie. Szczecin był słabo zaludniony, osadnicy niechętnie przyjeżdżali do tego miasta. Podejmowano mnie uroczyście: spotkania, wiece, występowali polscy towarzysze, przemawiałem i ja. Potem przyznano mi tytuł honorowego obywatela Szczecina. Wcześniej nie uzgodniono tego ze mną. Zachodziłem w głowę, dlaczego tak postąpili, dlaczego mnie nie uprzedzili. Wreszcie doszedłem do wniosku, według mnie słusznego, i spytałem Gomułkę:

– Przyznaliście mi tytuł honorowego obywatela Szczecina, żebym został zakładnikiem? Chcieliście w ten sposób potwierdzić, że miasto pozostanie przy Polsce i że Polacy mocno się go trzymają? Moje stanowisko przewodniczącego Rady Ministrów ma być tego gwarancją?

Gomułka popatrzył na mnie i uśmiechnął się: powiedział, że tytuł przyznali mi ze względu na szacunek dla mojej osoby... Otwarcie nie potwierdził, ale i nie zaprzeczył, że istotnie mieli takie skryte intencje. Na wschodnich granicach Polski sprawy miały się inaczej.

Po odłączeniu od Polski zachodnich ziem ukraińskich z całą ludnością, Ukraińcy nie spieszyli się z przeprowadzką do ZSSR. Przez wieki były to ziemie ich przodków. Rozpoczęli walkę. Była to walka przeciwko sowieckiej Ukrainie i przeciwko Polsce. Polacy musieli rozpocząć działania zbrojne wobec Ukraińców. Rozpoczęła się krwawa wojna, pochłonęła wiele istnień. Później polscy towarzysze postanowili przesiedlić na ziemie zachodnie wszystkich Ukraińców, którzy mieszkali w tych rejonach i zachowywali się agresywnie wobec państwa polskiego. To też świadczy o tym, że Polacy sami nie chcieli zasiedlać ziem na zachodzie.

Tereny na wschodzie zajmowali natomiast bardzo chętnie. Byli pewni, że ZSSR nie zmieni swojej decyzji i że ziemie graniczące ze Związkiem Sowieckim na zawsze zostaną polskie. Polacy uważali, że granicę należy przesunąć jeszcze bardziej na wschód, byli niezadowoleni z ich układu. Niezadowoleni byli też Ukraińcy. Mówiłem już o tym.

Tak się jednak złożyło i dziś nie ma już co roztrząsać plusów i minusów. Zmiany granic nie osłabiają naszej państwowości, ani związkowej, ani republikańskiej. Białoruś i

Ukraina już dawno przestały mówić o swoich granicach.

Weźmy na przykład granicę Federacji Rosyjskiej z Białorusią czy z Ukrainą. Podróżny jadący drogami nie zawsze będzie wiedział, gdzie przebiega granica. Dla bratnich narodów granica nie ma żadnego znaczenia – ani politycznego, ani gospodarczego, gdyż wszyscy korzystają ze wspólnych dóbr.

Rywalizując z kapitalizmem nie możemy pozostawać w tyle pod względem produkcji żywności. Nasze zapóźnienie w jakimś stopniu potwierdza wyższość gospodarki kapitalistycznej nad socjalistyczną. Pozwala to przeciwnikom wrzucać kamyki do naszego ogródka. Tak, mają ku temu podstawy, pozostajemy w tyle. Przykładów nie trzeba daleko szukać. Właśnie z tych powodów wybuchły rozruchy w Gdańsku i w innych polskich miastach na Wybrzeżu. Braki w zaopatrzeniu doprowadziły do konfliktu, a raczej do powstania. Bezpośrednim powodem była podwyżka cen. Kierownictwo oderwało się od mas, utraciło więź z narodem, straciło poczucie umiaru. Przy tak wysokich podwyżkach cen należało się liczyć z wydarzeniami, które nastąpiły. Z drugiej strony nie mogę powiedzieć nic złego o ludziach, którzy stali wówczas na czele kierownictwa. Tych, którzy przejęli władzę, znam bardzo słabo, szanowałem i szanuję towarzysza Gierka, uważam go za dobrego komunistę i uczciwego człowieka. Cenię też towarzysza Łukaszewicza. Jednakże i Gomułka był równie oddany sprawie socjalizmu, co inni: Loga-Sowiński, Spychalski. I cała grupa, która poniosła klęskę. Nie byli ludźmi z przypadku. Przeszli szkołę hartu, sprawdzili się w walce z hitlerowską agresją na Polskę. A mimo to doprowadzili do czegoś takiego. To jednak inny problem.

N.S. CHRUSZCZOW
(tłumaczył Michał Jagiełło)

Zamieszczone powyżej rozdziały ze wspomnień Chruszczowa są poświęcone Polsce. Przy całym prymitywizmie, zaskakujących błędach, są dość wiernym obrazem polityki Związku Sowieckiego wobec Polski.

Chruszczow stara się wytłumaczyć, że Pakt Ribbentrop – Mołotow był tylko wybiegiem taktycznym. Został zresztą sprowokowany odmową Polski na przemarsz „sojuszniczych” wojsk sowieckich przez Polskę, co przyspieszyłoby upadek Hitlera. Na zajętych terytoriach Polacy praktycznie pogodzili się z losem a nawet go akceptowali. W każdym razie opór stawiali tylko nacjonałści ukraińscy, wspomagani przez Niemcy.

W dalszych wspomnieniach jest szereg nieprawdopodobnych błędów i nieściśłości. Decydującą rolę odgrywała Wanda Wasilewska, która z pomocą Chruszczowa miała zaufanie Stalina. Po wyjściu oddziałów gen. Andersa sprowadzono z łągrowskich syberyjskich „generała” Berlinga, który pod kierownictwem Wasilewskiej zaczął formować armię polską.

Lublin był dawną stolicą Polski, dlatego tam zaczął się formować rząd komunistyczny. Dla ułagodzenia Polaków Stalin włączył Chełm do Polski, co rozgoryczyło Ukraińców. Znany głód na Ukrainie, który przerażająco zdziesiątkował ludność, był spowodowany dostarczaniem chleba do Polski, która zresztą była niezadowolona, gdyż Polacy byli przyzwyczajeni do białego chleba, a nie czarnego. Chruszczow wspinałomyślnie stwierdza, że Polacy nie wiedzieli o głodzie na Ukrainie, bo to było otoczone najściślejszą tajemnicą.

Stalin zajmował się sprawami polskimi w najdrobniejszych nawet szczegółach. Wysłał Chruszczowa do Warszawy dla odgruzowania miasta, uruchomienia wodociągów, elektrowni, wyżywienia i wymagał szczegółowych raportów.

Pamiętniki Chruszczowa roją się od plotek, np. że Cyrankiewicz był Żydem, że Wanda Wasilewska oświadczyła, że wróci do Polski dopiero, kiedy stanie się ona republiką sowiecką. Bardzo mu imponował Rola Żymierski, arystokratycznymi manierami, łątwością w improwizowaniu kwiecistych toastów na bankietach. Uwwięzienie Gomułki, którego bardzo cenił, tłumaczy naciskami na Bieruta Minca, Bermanna, Zambrowskiego, gdyż Gomułka w swej polityce kadrowej chciał ograniczyć ilość ludzi pochodzenia żydowskiego w partii.

Chruszczowa często nie tylko zawodzi pamięć, ale przejawia on kompletną ignorancję. Pisze np. o demonstracjach

antysowieckich po inscenizacji sztuki Adama Mickiewicza „Pan Tadeusz” – chodzi oczywiście o „Dziady”. Jest w tym duża wina wydawnictwa, które więcej niż niedbale przygotowało wspomnienia do druku. Takich rażących błędów jest bardzo dużo w pozostałych tomach.

„Wspomnienia” Chruszczowa są dowodem, jak na wzajemnych stosunkach polsko-rosyjskich ciąży brak obiektywnej informacji i panowanie utrwalonych sztanc. Trzeba z tym walczyć.

Tu *Nowa Polska* redagowana przez Jerzego Pomianowskiego powinna odegrać dużą rolę.

REDAKCJA

Rudolf PICHOKA

DWIE SOLIDARNOŚCI: SOCJALISTYCZNA I POLSKA

Od siedemdziesiątych lat w Polsce rozpoczęły się masowe wystąpienia mieszkańców przeciwko istniejącemu politycznemu reżimowi. Polska stała się pierwszym krajem w „socjalistycznej wspólnocie”, w którym powstała realna alternatywa wobec politycznego systemu. Wpływy ruchu „Solidarność” stale rosły wśród polskiego społeczeństwa. W niniejszej pracy zajmiemy się tylko jednym aspektem stosunków Polska-ZSSR, mianowicie postawie KPZR wobec wydarzeń w Polsce.

Sowieckie kierownictwo było bardzo zaniepokojone tymi wydarzeniami. Wyjątkowość sytuacji polegała na tym, że po pierwsze w polskim wariantcie opozycja okrzepła pośród

robotników, czyli w tej grupie społecznej, która wedle ideologicznych przesłanek winna była być podstawą reżymu, a po drugie, że w Komitecie Centralnym KPZR istniała tradycyjnie ostrożna, by nie rzec nieufna postawa w stosunku do polskich kolegów. Polska była najważniejszym zachodnim sąsiadem ZSSR, oddzielającym Związek Sowiecki od „potencjalnego przeciwnika” – krajów NATO.

Od lata 1980 roku trwały intensywne kontakty pomiędzy sowieckim i polskim kierownictwem. W lipcu przebywali na Krymie pierwszy sekretarz KC PZPR E. Gierek i L.I. Breżniew i wiele mówili o sytuacji w Polsce. Breżniew przekonywał Gierka, iż należy „zdecydowanie przeciwstawić się wszelkim próbom wykorzystania nacjonalizmu w celu szerzenia antysocjalistycznych i antysowieckich nastrojów, wypaczeniu historii stosunków polsko-sowieckich... rozwijać nieprzejednaną kontrpropagandę przeciwko dążeniom do przekreślenia klasowej treści socjalistycznego patriotyzmu pod hasłem, że 'wszyscy Polacy – to bracia', a w politycznej walce przeciwko antysocjalistycznym elementom nie stosować taktyki obronnej, lecz prowadzić przeciwko nim konsekwentną ofensywę”.

Po upływie krótkiego czasu, 21 sierpnia Breżniew skierował do Gierka pismo, a następnie 25 sierpnia Politbiuro KC KPZR przyjęło specjalną uchwałę „W sprawie sytuacji w Polskiej Republice Ludowej (AP RF Nr 11210/II, 25 sierpnia 1980 r.) Jednocześnie w związku z mnożącymi się komplikacjami w Polsce postanowiono powołać specjalną Komisję Politbiura.

W odpowiedniej decyzji zapisano:

1. Zatwierdzić informację przedstawioną przez towarzysza Breżniewa L.I. na temat sytuacji, która powstała w Polskiej Republice Ludowej.

2. Utworzyć Komisję Politbiura KC w składzie: Susłow M.A. (przewodniczący), Gromyko A.A., Andropow J.W., Ustinow D.F., Czernienko K.U., Zimianin M.W., Archipow I.W., Zamiatin L.M., Rachmanin O.B.

Polecić Komisji, aby uważnie badała rozwijające się wydarzenia w PRL i systematycznie informowała Politbiuro o stanie spraw w PRL i o podjęciu możliwych kroków z

naszej strony. Zgłaszać w miarę konieczności odpowiednie propozycje do KC Politbiura KPZR.

„Komisja Susłowa” opracowała agendę na pertraktacje z polskim kierownictwem, którą Politbiuro zatwierdziło 3 września 1980.

Agenda zawierała następujące punkty:

„1. Należy dać dokładną ocenę sytuacji i jasne stanowisko w odniesieniu do umowy z tak zwanymi „zjednoczonymi komitetami strajkowymi” w Gdańsku i Szczecinie. Umowa oznacza w istocie legalizację antysocjalistycznej opozycji...

2. Zadanie polega na tym, aby przygotować kontrofensywę i przywrócić utracone pozycje w klasie robotniczej, w narodzie...

3. Koniecznie należy priorytetowo traktować sprawę wzmocnienia kierowniczej roli partii w społeczeństwie...

Trzeba w jak najkrótszym czasie dokonać dzieła zwiększenia bojowości wszystkich organizacji partyjnych pod kątem widzenia politycznego kryzysu. Trzeba radykalnie usuwać ludzi o poglądach wrogich wobec partii, uwzględniając specyficzne warunki, istniejące obecnie w Polsce...

4. Celem przywrócenia naruszonych więzi partii z klasą robotniczą, należy dokonać procesu dogłębnego odnowienia związków zawodowych. Trzeba się przeciwstawić niebezpieczeństwu rozwiązania lub wewnętrznej decyzji o rozwiązaniu istniejących związków zawodowych (CRZZ) i ich organizacji... Skoncentrować wysiłki na ograniczenie działalności i wpływów tak zwanych „samorządnych” związków w masach, realizując to zadanie głównie drogą mobilizacji opinii publicznej. Należy sprawnie kierować do tych „samorządnych” związków ludzi oddanych partii...

5. Licząc się z niebezpieczeństwem wynikającym z działalności sił antysocjalistycznych, należy stosować przedsięwzięcia z użyciem środków państwowych w dziedzinie wzmocnienia porządku socjalistycznego...

– Skoncentrować uwagę na wojsku, głównie w dziedzinie wojenno-politycznego szkolenia żołnierzy. Wykorzystać możliwość przyciągnięcia kadry wyższych oficerów do pracy w partii i gospodarce.

– Zastosować odpowiednie metody celem demaskowania oblicza i planów przywódców opozycji.

6. W dziedzinie środków informacji i propagandy skoncentrować wysiłki dla dalszego wzmocnienia partyjnego kierownictwa i kontroli nad ich działalnością... W środkach masowego przekazu udowodniać, że wydarzenia w Polsce są spowodowane nie na skutek niedostatków w systemie socjalizmu, lecz na skutek błędów i fałszywych założeń, jak też na skutek obiektywnych przyczyn (niekorzystnych warunków w przyrodzie itd.). Należy przedstawić ekonomiczne wyгоды, wynikające ze współpracy z ZSSR i innymi bratnimi krajami... (AP RF, [?] 213/38, 3.9.80. Uchwała Politbiura KC: „O tezach do rozmów z przedstawicielami polskiego kierownictwa”).

Kierownictwo Kremla było wyraźnie niezadowolone z przebiegu wydarzeń w Polsce i zdenerwowane z powodu braku radykalnych kroków KC PZPR przeciwko opozycji. Wyrazem tego niezadowolenia było posiedzenie Politbiura KC KPZR 29 października 1980 r., na którym dyskutowano o przygotowaniach do wizyty polskiej partyjno-rządowej delegacji, do której mieli wejść pierwszy sekretarz KC PZPR S. Kania i prezes Rady Ministrów PRL Pińkowski (AP RF, roboczy protokół posiedzenia Politbiura KC KPZR z 29 października 1981 r.)

Członkowie Politbiura demonstrowali pełną jednogłośnieść.

Andropow: „Ani w prasie, ani w radiu, ani w telewizji w Polsce nie ma prostego stwierdzenia o tym, że działa kontrrewolucja. Nie mówią o tym nawet polscy przywódcy.”

Breżniew: „Im już nawet Sejm odbierają, a oni mówią, że wojsko rzekomo stoi po ich stronie. Może istotnie trzeba będzie wprowadzić stan wojenny.”

Ustinow: „Jeżeli się nie wprowadzi stanu wojennego, to sprawa stanie się jeszcze bardziej skomplikowaną. W wojsku istnieją wahania. Ale nasza Północna grupa wojsk jest w pogotowiu i znajduje się w pełni bojowej sprawności.”

Gromyko: „Trzeba będzie z polskimi przyjaciółmi rozmawiać twardo i ostro... Co się tyczy tow. Jaruzelskiego, to jest

to człowiek, na którego można liczyć, choć obecnie zaczyna być chwiejnym. Mówi na przykład, że wojsko nie pójdzie przeciwko robotnikom. A w ogóle myślę, że Polakom trzeba wszystko powiedzieć i to bardzo ostro... Co się tyczy wprowadzenia w Polsce stanu wyjątkowego, to taki krok jest potrzebny jako środek dla uratowania rewolucyjnych osiągnięć... My nie śmiemy utracić Polski. Związek Sowiecki w walce z hitlerowcami, wyzwalał Polskę, poświęcił życie 600 tysięcy żołnierzy i oficerów i my nie możemy dopuścić do kontrrewolucji...”.

Przybywającym następnego dnia polskim przywódcom na Kremlu nie dówierzano. Andropow zaproponował, aby delegacji polskiej nie dawać do rąk przygotowanych materiałów konferencyjnych. Powiedział: „Jeśli my im je damy, to niewykluczone, że one mogą popaść w amerykańskie ręce”.

Breżniew: „Słusznie, coś takiego mogłoby się stać”.

Gorbaczow: „Ja uważam, że Politbiuro bardzo słusznie postąpiło zapraszając polskich przywódców na rozmowy w Moskwie. Z polskimi przyjaciółmi należy rozmawiać bez ogródek i zdecydowanie. Oni na razie nie stosują żadnych środków zaradczych, zajmują jakąś dziwną obronną pozycję, a przy takiej pozycji długo nie można się utrzymać, i mogą być zmieceni. Rozmowę powinniście rozpocząć Wy, Leonid Iljicz, wasz tekst moim zdaniem jest bardzo dobry, nie mam żadnych zastrzeżeń. W nim jest wszystko, co należy powiedzieć polskim przyjaciółom. Później po waszym przemówieniu można będzie też wysłuchać Polaków...”

Ale dla członków politycznego kierownictwa było jasne, że bez rozległej pomocy ekonomicznej, reżym w Polsce nie utrzyma się. Dlatego trzeba było przyjść z dalszą pomocą. Z drugiej strony zasoby ZSSR malały. Przewodniczący Gospłanu ZSSR N.K. Bajbakow oświadczył na posiedzeniu: „Co my im możemy dać? Możemy im oczywiście oświadczyć, że przedłużymy spłatę kredytów, w sumie 280 milionów rubli, a potem udzielimy kredytów w wysokości 150 milionów rubli. Będzie to krótkoterminowy kredyt, potrzebny im obecnie na spłatę procentów za dotychczasowe pożyczki. Możemy im też powiedzieć, że możemy trochę zwiększyć dostawę ropy w 1981 roku, w przybliżeniu wartości 500 milio-

nów rubli. Można ewentualnie ograniczyć importy z Polski, powiedzmy wartości 250 milionów rubli, co wszystko razem będzie oznaczało pomoc w sumie około jednego miliarda rubli. Myślę, że należałoby przygotować zawiadomienie do bratnich partii... Trzeba będzie zlikwidować dostawy nafty do wszystkich krajów oprócz Kuby, Mongolii, Wietnamu. Można też w szybkim tempie dostarczyć 500 tysięcy ton zboża, trochę więcej bawełny, zwiększyć dostawy benzyny dyzelskiej o 200 tysięcy ton”.

31 października, reasumując rezultaty zakończonej wizyty, Breżniew opowiadał: „myśmy bez ogródek zapytali Kanię czy partia posiada plan na wypadek nadzwyczajnej sytuacji, gdyby zaistniało prawdziwe zagrożenie dla władzy ludowej. Odpowiedział, że taki plan istnieje i że oni wiedzą kogo trzeba będzie aresztować i jak wykorzystać wojsko. Ale sądząc ogólnie, na takie kroki, oni jeszcze nie są gotowi, odkładają je na nieokreślony czas... Kania, jak już wspominałem, wykazał powściągliwość jedynie w sprawie wprowadzenia stanu wyjątkowego. Co się tyczy innych zaproponowanych przez nas środków, oświadczył, że się zgadza z nami. Doszliśmy do jednomyślności, zarówno w ocenie przyczyn kryzysu, jak też o rozmiarach niebezpieczeństwa kontrrewolucji” (AP RF roboczy zapis posiedzenia Politbiura KC KPZR 31 października 1981 r.).

5 grudnia 1980 r. odbyło się w Moskwie spotkanie czołowych działaczy państw Układu Warszawskiego. Poglądy przywódców państw socjalistycznych niewiele różniły się od pozycji sowieckich. M.A. Susłow informując członków Politbiura powiedział: „W swoich wystąpieniach towarzysze radzili polskim przywódcom jak należy w radykalny sposób zwalczać elementy antysocjalistyczne. Tow. Husak przytoczył przykłady z praktyki 1968 roku kiedy KC KPCz był zmuszony podjąć zacieklą walkę z elementami prawicowymi... Tow. Kadar mówił o działalności elementów kontrrewolucyjnych na Węgrzech w 1956 roku, kiedy to musiał zastosować ostre środki administracyjne celem złamania kontrrewolucji. Tow. Ceausescu jak zwykle mówił wiele o samodzielności, suwerenności i nie mieszaniu się do cudzych spraw itd.”.

W obawie o wpływy „Solidarności” na sowiecką opinię

publiczną, KC KPZR wydało rozporządzenie o „ograniczeniu kolportażu polskich gazet i czasopism w ZSSR”. Redukcji poddano wymianę turystyczną pomiędzy obydwojma krajami (AP RF – roboczy zapis o posiedzeniu Biura Politycznego 31 października 1981 r. Postanowienie KC KPZR z 4 października i 22 grudnia 1980 r. „o niektórych dodatkowych środkach kontroli przy kolportażu prasy polskiej w ZSSR”, postanowienie Sekretariatu KC z 28 listopada 1980 roku „O przejściowym ograniczeniu wymiany turystycznej pomiędzy ZSSR i PRL”.

Presja ze strony sowieckiej na polskie kierownictwo odbywała się bez przerwy. 22 stycznia 1981 minister obrony ZSSR D.F. Ustinow złożył sprawozdanie na posiedzeniu Politbiura o wizycie w Polsce pierwszego wiceministra obrony ZSSR, dowódcy wojsk Paktu Warszawskiego, W. G. Kulikowa:

„Podług Kulikowa decydującego przełomu w Polsce nie ma. Musimy nieustannie wywierać presję na Polaków i stale ją wzmacniać. Pragniemy w marcu przeprowadzić manewry w Polsce. Wydaje mi się, że należałoby te manewry wzmocnić, aby w ten sposób zademonstrować, że nasze siły zbrojne są w pogotowiu”. (Roboczy zapis o posiedzeniu Politbiura 22 stycznia 1981 r.) Zaś L.I. Breżniew oświadczył na XXVI Zjeździe KPZR 23 lutego 1981 r. – „Nie dopuścimy do tego, aby Polsce socjalistycznej zadano krzywdę”.

Rozmawiając z Kanią 30 marca Breżniew obciążył go i kierownictwo KC PZPR winą za to, że usiłując uniemożliwić strajk generalny, poszło na istotne ustępstwa wobec „Solidarności”. Breżniew użył nawet terminu „kapitulacja”. Według Gromyki nastąpiła już legitymizacja „Solidarności”.

Na posiedzeniu w dniu 2 kwietnia ustalono, że w Brześciu odbędzie się poufne spotkanie Andropowa i Ustinowa z Kanią i Jaruzelskim. Omawiając sprawę spotkania, Gromyko zaproponował, że „jeżeli oni zgodzą się na częściowe wprowadzenie stanu wyjątkowego, to należy ich zapytać, czy są przekonani, że wojsko, siły Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i organa bezpieczeństwa, staną po ich stronie. Myślę, że należałoby dokonać szczegółowej analizy, czy wojsko jest główną siłą, na której się można będzie oprzeć... Winniśmy naszym polskim towarzyszom przy każdej okazji przypominać o konieczności zastosowania bardziej ostrych środków,

powiedziałbym, nadzwyczajnych zarządzeń dla wprowadzenia porządku, i że dalsze ustępstwa winny być niedopuszczalne, dalej cofać się nie wolno”. Wtórował mu Andropow, mówiąc: „My w istocie musimy im powiedzieć o konieczności zastosowania ostrych kroków, nie bojąc się, że to może ewentualnie doprowadzić do przelewu krwi. A oni zamiast ostrych środków, wciąż nam odpowiadają o tak zwanych politycznych uregulowaniach. My im mówimy o zastosowaniu wojskowych, administracyjnych, sądowych środków, a oni stale mówią o politycznych rozwiązaniach. Powinniśmy energicznie żądać od polskich przyjaciół, aby zmusili ‘Solidarność’ do niesienia odpowiedzialności za to, co się dzieje w Polsce. A jak wygląda sytuacja? Z winy ‘Solidarności’ powstał chaos, panuje zamieszanie, powstają luki w aprowizacji, a odpowiedzialność za to wszystko ponosi rząd”.

Breżniew doradzał: „Trzeba będzie im powiedzieć czym ma być stan wojenny i wyjaśnić wszystko do końca”.

„Słusznie – kontynuował Andropow – trzeba im powiedzieć, że wprowadzenie stanu wojennego oznacza ustanowienie godziny policyjnej, ograniczenia w ruchu ulicznym, wzmocnienie ochrony państwowych i partyjnych instytucji, przedsiębiorstw i tak dalej”. Andropow zauważył, że wydarzenia w Polsce zaczynają wpływać na rozwój sytuacji w ZSSR, szczególnie w Białorusi i Gruzji. (Roboczy zapis z posiedzenia Politbiura z 2 kwietnia 1981 r.)

9 kwietnia Andropow i Ustinow relacjonowali o wynikach spotkania w Brześciu: „Myśmy zgodnie z porozumieniem pojechali do Brześcia i tam w pobliżu Brześcia odbyło się nasze spotkanie w wagonie kolejowym. Rozmowy zaczęły się o 9-tej wieczorem i zakończyły o 3-ciej rano, aby nie wyszło na jaw, że polscy towarzysze gdzieś wyjeżdżali”.

„Kania przyznał się” – mówił dalej Andropow – „że kontrrewolucja jest silniejsza niż władza. Co do wtargnięcia wojsk rosyjskich, to oni nam otwarcie oświadczyli, że to jest niemożliwe. Twierdzili, że nikt tego nie zrozumie, a oni będą bezsilni, aby cokolwiek zrobić. Polscy towarzysze podkreślali, że zaprowadzą porządek własnymi siłami. (Roboczy zapis o posiedzeniu Politbiura z 9 kwietnia 1981 r.)

Na tym poufnym spotkaniu rozpatrywano tekst dokumen-

tu na temat wprowadzenia stanu wyjątkowego. Projekt opracowano w Moskwie, ale Kania i Jaruzelski odmówili zatwierdzenia planu, wymawiając się, że podpiszą w późniejszym terminie.

23 kwietnia debatowano na posiedzeniu Politbiura na podstawie kolejnej analizy „Komisji Susłowa” na temat „rozwoju sytuacji w Polsce i o możliwych krokach z naszej strony”. Analiza rozpoczynała się od stwierdzenia, że „Wewnętrzno-polityczny kryzys w Polsce ma głęboki i chroniczny charakter. PZPR w dużej mierze straciła kontrolę nad procesami, odbywającymi się w społeczeństwie polskim, a ‘Solidarność’ stała się zorganizowaną siłą polityczną, która jest w stanie sparaliżować działania organów partyjnych i państwowych i przejąć faktyczną władzę w swoje ręce. Jeżeli tego na razie nie czyni, to głównie z obawy przed inwazją wojsk sowieckich i w nadziei, że uda się jej osiągnąć zamierzone cele bez przelewu krwi, drogą pełzającej kontrrewolucji”. Komisja Susłowa przedstawiła też analizę istniejących ugrupowań w kierownictwie PZPR. Do prawego skrzydła zaliczono Fiszbacha, Werblana, Rakowskiego i Jabłońskiego. Otrzymali charakterystykę „rewizjonistów”, cieszących się poparciem tych organizacji partyjnych, które znalazły się pod wpływami „Solidarności”. Na lewym skrzydle Komisja umieściła Grabskiego, Żabińskiego, Olszowskiego, Kociołka. Zakwalifikowano ich jako „najbardziej bliskich do naszych pozycji”. Centrystami określono Kanię i Jaruzelskiego, stojących na pozycjach przyjaźni z ZSSR i dotrzymywania zobowiązań wobec Paktu Warszawskiego. „Obydwaj, a zwłaszcza Jaruzelski, cieszą się autorytetem w państwie. W obecnej sytuacji faktycznie nie ma innych działaczy, którzy mogliby stanąć na czele partyjno-państwowego kierownictwa”.

Rekomendacje zawarte w analizie były poświęcone sprawie umocnienia PZPR, utrzymania pozycji „lewego skrzydła” w kierownictwie, pogłębienia wpływów partii w wojsku i w MSW.

Wydawało się, że wszystko rozwija się według znanego scenariusza czechosłowackiego z 1968 roku: a więc kryzys w państwie, rozdźwięki w najwyższych władzach politycznych, niezadowolenie Moskwy z powodu działań jej klientów,

„międzynarodowa solidarność” socjalistycznej wspólnoty państw przeciwko zakusom reakcji – wszystko było jak dawniej. A jednak przy wnikliwej analizie można było ustalić odmienności. Przede wszystkim nie ulegało wątpliwości, że polskie kierownictwo było o wiele bardziej skonsolidowane niż poprzednio czechosłowackie. Z Warszawy nie napływały też „zapraszające listy”, które mogłyby nakłonić przywódców sowieckich do aktywnych działań w imię „obrony socjalizmu”. Ważniejszą sprawą było jednak coś innego. Nigdzie w protokołach Politbiura nie ma najmniejszej wzmianki o przygotowaniach do wkroczenia wojsk sowieckich do Polski. O presjach na polskie kierownictwo, o nieustannych żądaniach w sprawie wprowadzenia stanu wojennego – jest wiele materiału, ale o przygotowaniach do inwazji – nie ma ani jednego dokumentu.

ZSSR był fatalnie pogrążony w wojnę w Afganistanie. „Sprawa Afganistanu w swoisty sposób rzutuje na sytuację w PRL” – oświadczył niespodziewanie przewodniczący Rady Ministrów ZSSR A. Tichonow podczas dyskusji w Politbiurze na temat „rozmów z towarzyszem Babrakiem Karmalem”. (Roboczy zapis z posiedzenia Politbiura z 4 czerwca 1981 roku). Tichonow miał na myśli ekonomiczny aspekt zagadnienia. Wydatki na wojnę w Afganistanie rosły, a do tego doszły problemy gospodarki polskiej. Trzeba było udzielać kredytów celem spłacenia polskich długów, dostarczać Polsce naftę i naftoprodukty, a dostawy polskiego węgla czyniły zaledwie 57 procent zapowiedzianej ilości. Od półtora roku wojska sowieckie brały udział w działaniach wojennych, a zakończenia tych akcji nie można było przewidzieć. Pod kontrolą władz przewodniczącego rządu Babraka Karmala z ogólnej liczby 35 tysięcy afgańskich osad-kiszlaków znajdowało się tylko 5 tysięcy. Nie było ani jednej prowincji, która w pełni podlegałaby władzom Demokratycznej Republiki Afganistanu. (Zapis z posiedzenia Politbiura KC KPZR z 4 czerwca 1981 r.).

Wojska sowieckie odnosiły dotkliwe porażki. Rosła świadomość o niebezpiecznej sytuacji, ale też o niemożliwości wycofania się Związku Sowieckiego z niewypowiedzianej wojny. W tych warunkach próba podjęcia aktywnych działań na zachodniej granicy, a byłyby one nie do uniknięcia w

wypadku inwazji wojsk sowieckich w Polsce, stawała się rzeczą niemożliwą.

Dlatego pozostawała tylko szansa stosowania presji na polskie kierownictwo. Ale L.I. Breżniew był coraz bardziej niezadowolony z Pierwszego Sekretarza KC PZPR S. Kani, który w jego oczach stał się symbolem ustępstw i kapitulacji wobec politycznych przeciwników z „Solidarności”. Breżniew nawet nie starał się ukrywać tych nastrojów w telefonicznej rozmowie z Kanią 10 czerwca i podczas spotkania z nim na Krymie i w czasie posiedzenia Politbiura 10 września 1981 roku.

W dniu 31 sierpnia 1981 zostało zredagowane memorandum Ministerstwa Obrony, MSZ, KGB i wydziału KC KPZR: „Tendencje rozwoju wydarzeń w Polsce i kierunek ewentualnych akcji”, w którym zalecono polskiemu kierownictwu utrzymywanie w stałym pogotowiu obrony wydzielonych przedsiębiorstw i branż, jak np. w transporcie, aż do wprowadzenia stanu wojennego.

Dymisję Kani i obranie na Pierwszego Sekretarza KC PZPR generała W. Jaruzelskiego przyjęto w Moskwie z uczuciem ulgi i nadziei. Breżniew od razu zatelefonował a 19 października odbyła się gruntowna rozmowa telefoniczna obydwu przywódców. Oprócz oficjalnych gratulacji Breżniew wezwał Jaruzelskiego, aby nie tracił czasu i podjął planowe działania przeciw kontrrewolucji energicznie. Mamy nadzieję, że teraz wszyscy w Polsce i za granicą stwierdzą, iż sprawy rozwijają się zupełnie inaczej niż dotychczas. Jaruzelski ze swej strony oświadczył: „W obecnej sytuacji trzeba będzie zastosować energiczne działania i wystąpić bojowo, tam gdzie panuje przekonanie o sukcesie. Ja obecnie udaję się na posiedzenie Rady Wojskowej Sił Zbrojnych w Ministerstwie Obrony. Postawię odpowiednie zadania. Będziemy angażować wojsko we wszystkich dziedzinach życia społecznego w szerokim zasięgu. Wczoraj po plenarnym posiedzeniu, miałem spotkanie z pierwszymi sekretarzami komitetów wojewódzkich i powiedziałem im, żeby się nie obrażali gdy będziemy przyciągać ludzi z wojska do realizacji niektórych zadań i że będziemy organizować spotkania korpusu oficerskiego z klasą robotniczą, aby w ten sposób wywierać wpływ na robotników i tym samym izolować ich od ‘Solidarności’. My nie zmienimy naszego

generalnego kierunku, gdyż walcząc o wpływ na zdrowe siły narodu, które zostały wprowadzone w błąd i przeciągając je na naszą stronę, będziemy jednocześnie walczyć z naszymi przeciwnikami – i to tak walczyć – żeby to dawało rezultaty”.

Po przejściu władzy przez Jaruzelskiego władze sowieckie ostatecznie zdecydowały się zrezygnować z użycia wojsk sowieckich w Polsce. W związku z tym Andropow oświadcza 29 października na posiedzeniu Politbiura: „Polscy przywódcy opowiadają o wojskowej pomocy ze strony bratnich krajów. Wobec tego musimy się twardo trzymać naszej linii i nie posyłać naszych wojsk do Polski”. Po Andropowie, który stał na czele KGB, wystąpił minister obrony ZSSR, marszałek Ustinow: „Należy stanowczo stwierdzić, że nie będziemy wprowadzać naszych wojsk do Polski. Polacy są nie gotowi do tego, aby przyjąć nasze oddziały”.

Warto przypomnieć, że Ustinow i Andropow byli najbardziej wpływowymi członkami Politbiura i ludźmi jak najbardziej odpowiedzialnymi za inwazję w Afganistanie. Ich stanowisko było niewątpliwie decydujące dla całego składu Politbiura.

Nie zabierając się do zbrojnej interwencji w Polsce, polityczne kierownictwo ZSSR zobowiązało się rozszerzyć pomoc gospodarczą dla Polski, jak to obiecało wcześniej Jaruzelskiemu. Trzeba było posłać do Polski 30 tysięcy ton mięsa, zwiększyć dostawy gazu i ropy. Zbierano to z trudem, a mięso wzięto ze strategicznych rezerw państwowych, zażądano dostaw mięsa z republik. A ponieważ środków żywnościowych brakowało, to dostawy odbywały się z trudnościami. Nawet Breżniew odnosił się do pomocy żywnościowej sceptycznie: „Wciąż myślę o tym, bo chociaż daliśmy Polsce 30 tysięcy ton mięsa, to wątpię, że to nasze mięso pomoże Polakom. Tak czy owak nie jest jasne, co będzie dalej z Polską. Jaruzelski nie przejawia jakiegokolwiek inicjatywy”.

Zresztą od przyjścia do władzy Jaruzelskiego nastąpił swoisty dystans polskiego kierownictwa w stosunku do ZSSR. Nie oznaczało to osłabienia powiązań pomiędzy Moskwą i Warszawą. Nastąpiło coś innego. Inicjatywę przejął z rąk Kremla generał Jaruzelski. Nie ukrywał zamiaru przeprowadzenia „operacji X”, jednak łączył to z szeregiem postulatów wobec ZSSR. „Jaruzelski wysuwa wobec nas dość wyraźne

gospodarcze postulaty – oświadczył Andropow na posiedzeniu Politbiura 10 grudnia 1981 roku – i uzależnienia przeprowadzenia „operacji X” od naszej pomocy gospodarczej, nawet więcej, on wysuwa, chociaż nie bezpośrednio, żądania pomocy wojskowej. W związku z tym pragnę stwierdzić, że nasza pozycja sformułowana dawniej i na ostatnim posiedzeniu Politbiura a jeszcze wcześniej wyrażona przez Leonida Iljicza, jest w pełni słuszną i nie powinniśmy od niej odstępować. Wyrażając się inaczej, my zajmujemy pozycję pomocy międzynarodowej, przejmujemy się sytuacją zaistniałą w Polsce, ale co się tyczy „operacji X”, to jest to sprawa, która winna być wyłącznie w gestii polskich towarzyszy. Tak będzie, jak oni zadecydują. My nie będziemy więcej naciskać, ani ich od tego odciągać”. (Roboczy zapis z posiedzenia Politbiura z 10 grudnia 1981 r.)

Nietrudno zauważyć w tych słowach Andropowa brak zdecydowania a nawet jakieś swoiste zagubienie, zupełnie nietypowe u przewodniczącego KGB, cieszącego się reputacją „interwencjonisty” (przypominam o jego brutalnej postawie wobec Czechosłowacji w 1968 roku i „zasługach” w organizacji inwazji w Afganistanie).

Sądząc ze stojących do dyspozycji dokumentów, przyczyn było wiele. Pierwsza była związana z odsunięciem ZSSR od przygotowań do „operacji X”. Mało tego, strona sowiecka została pozbawiona informacji o przygotowaniach do wprowadzenia stanu wojennego. Było to tym bardziej dziwne, że informacje winny były napływać z rozmaitych źródeł – partyjnych, dyplomatycznych i z kanałów KGB, ale tych informacji nie było. W niecałe trzy dni przed wprowadzeniem stanu wojennego, czyli 10 grudnia, w Politbiurze KC KPZR nie było dokładnych danych ani o terminie realizacji „operacji X”, ani o tym czy dojdzie do ogłoszenia stanu wojennego...

Sekretarz KC K.W. Rusakow, „opiekujący się” socjalistycznymi krajami, zakomunikował, co zresztą już było znane, że na ostatnim posiedzeniu Politbiuro PZPR jednomyślnie opowiedziało się za wprowadzeniem stanu wojennego. I tu zaczęła się zagadka. Rusakow, który tylko co powrócił z Polski, powoływał się na relacje, otrzymane od ambasadora ZSSR w Polsce, że Jaruzelski występując przed sekretarzami

wojewódzkich komitetów PZPR „nie dał jasnej i dokładnej informacji”. Nikt nie wie, co się stanie w najbliższych dniach. Najpierw mówiono, że to nastąpi w nocy z 11-go na 12-ty a potem z 12-go na 13-ty. A teraz wszyscy mówią, że to będzie około 20-go. Andropow zadzwonił 9 grudnia do swojego polskiego kolegi Milewskiego i zapytał go, jakie będą zarządzenia i kiedy. Milewski odpowiedział, że o „operacji X”, jej przeprowadzeniu i terminie – nic nie wie. A więc albo Jaruzelski ukrywa przed swoimi towarzyszami plan konkretnych działań albo rezygnuje z realizacji tego przedsięwzięcia.

Nie lepiej wyglądało u naszych wojskowych. Marszałek Ustinow potwierdził, że nic nie wie o planach Jaruzelskiego: „Miałem rozmowę z Sawickim. Powiedział, że on też nie wie, co myśli generał. To znaczy, że człowiek wykonujący obecnie funkcje ministra obrony PRL, nic nie wie, co będzie dalej, jakie działania podejmą premier i minister”.

Drugą przyczyną była świadomość na Kremlu, że bezpośrednia interwencja ZSSR w polskie sprawy, miałyby znaczenie międzynarodowe, wojenno-polityczne i strategiczne następstwa. Należy przypomnieć, że sam Jaruzelski często uzależniał podjęcie swych decyzji od postawy Związku Sowieckiego. Wspomniany Rusakow mówił: „Jaruzelski planuje porozumieć się w tej materii z sojusznikami. Mówi, że gdyby polskie siły nie podołały zadaniu okiełznania ‘Solidarności’, to polscy towarzysze pokładają nadzieje na pomoc innych krajów, włącznie z wejściem zbrojnych sił na terytorium Polski. Jaruzelski powołuje się w związku z tym na wystąpienie towarzysza Kulikowa, który miał powiedzieć, że Związek Sowiecki i inne państwa sojusznicze przyjdą polskim siłom z pomocą. Ale – dodał Rusakow – towarzysz Kulikow nie powiedział tego wyraźnie, on po prostu powtórzył słowa wypowiedziane przez L.I. Breżniewa, że nie pozwolimy na zagładę Polskiej Republiki Ludowej.”

Powołanie się Jaruzelskiego na słowa Kulikowa, a dokładniej na możliwość interpretacji jako gwarancji zbrojnej interwencji ZSSR w polskie sprawy, wywołało ostry protest w Politbiurze. Widocznie Jaruzelski chciał przywiązać ZSSR do polskiej partyjnej polityki. Stwarzało to ZSSR wielkie niebezpieczeństwo, oprócz kłopotów z Afganistanem, dalszych

komplikacji w stosunkach z Zachodem.

Stąd też ostra reakcja Andropowa na słowa Rusakowa: „Jeżeli towarzysz Kulikow istotnie wypowiedział się na rzecz wprowadzenia wojsk, to ja uważam, że postąpił nieprawidłowo. My nie możemy ryzykować. My nie mamy zamiaru wmaszerować do Polski... Ja nie wiem jak sprawy rozwiną się w Polsce, ale nawet gdyby Polska znalazła się pod władzą ‘Solidarności’, to będzie tak. A jeśli na Związek Sowiecki runą kapitalistyczne kraje, a u nich już porozumienie w sprawie zastosowania rozmaitych gospodarczych i politycznych sankcji istnieje, to dla nas nastanie ciężki czas. Myśmy powinni myśleć o naszym kraju, o wzmocnieniu Związku Sowieckiego. To nasze główne zadanie.” (Roboczy zapis z posiedzenia Biura Politycznego z 10 grudnia 1981).

Marszałek Ustinow usiłował bronić swojego zastępcę Kulikowa. Co się tyczy tego, że jakoby towarzysz Kulikow powiedział o wejściu wojsk sowieckich do Polski, to mogę z całą odpowiedzialnością oświadczyć, że Kulikow tego nie powiedział. On po prostu powtórzył to, co myśmy razem z Leonidem Iljiczem mówili, że nie zostawimy Polski w biedzie. I on to bardzo dobrze wie, że Polacy sami prosili nie wwozić wojsk... a jeżeli chodzi o nasze garnizony w Polsce, to my je wzmacniamy”.

Debatę podsumował obkuty Susłow: „Zostawmy to polskim towarzyszom, niech oni zadecydują, jakie działania należy podjąć. Nie będziemy ich namawiać na jakieś radykalne kroki. Polacy wyraźnie mówią, że są przeciwko wejściu wojsk. Gdyby wojska wtargnęły, to byłaby katastrofa. Myślę, że u nas wszystkich panuje zgodny pogląd, że o jakimkolwiek wmarszu wojsk nie może być mowy. Jeśli chodzi o pomoc dla Polski, to myśmy ją okazali więcej niż na miliard rubli. Niedawno przyjęliśmy decyzję o dostawie 30 tysięcy ton mięsa, 16 tysięcy już dostarczono”. Susłow wypowiedział się przeciwko rozwiązaniu PZPR i powołaniu nowej partii. (Zapis z posiedzenia Politbiura 10 grudnia 1981 r.).

13 grudnia – w dniu wprowadzenia stanu wojennego w Polsce – odbyła się telefoniczna rozmowa pomiędzy Breżniewem i Jaruzelskim. „Podjęliście trudną ale niewątpliwie słuszną decyzję – oświadczył Breżniew. – „My wysoko ce-

nimy, Wojciechu, Wasz apel do narodu. Pragnę jeszcze raz podkreślić, na nas możecie liczyć, na naszą mocną polityczną i moralną pomoc. Udzielimy Wam też odpowiedniej pomocy gospodarczej”.

W dzień później doszło do nowej rozmowy telefonicznej pomiędzy Jaruzelskim i Breżniewem. Breżniew poinformował o ekonomicznej pomocy dla Polski. Jaruzelski oświadczył, że polskie kierownictwo w pełni panuje nad sytuacją, działa energicznie, ośrodki strajków maleją, zarządzono godzinę policyjną, milicja i wojsko wprowadzają porządek...

Rudolf PICHOKA
(tłumaczył *Bohdan Osadczyk*)

Fragment książki „Sowietskij Sojuz – istorija własti – 1945-1991”, Moskwa 1998.

Autor: Rudolf Pichoka, były dyrektor Archiwów Rosyjskiej Federacji.

Jan Jerzy MILEWSKI

BIULETYN HISTORII POGRANICZA

W ostatnich latach intensywnie rozwija się współpraca pomiędzy historykami polskimi, białoruskimi i litewskimi. Głównym tematem wspólnych zainteresowań jest historia Wielkiego Księstwa Litewskiego i jego dziedzictwa: dzieje Litwy, Białorusi i północno-wschodnich ziem Polski w XX wieku. Białystok, leżący w pobliżu granicy z Litwą i Białorusią, a także będący stolicą województwa, na terenie którego mieszkają również Litwini i Białorusini, w sposób naturalny stał się miejscem szczególnie predystynowanym do tego, aby tu odbywały się spotkania i wymiana poglądów historyków z tych trzech krajów. Istotnie, w Białymstoku kilka razy w ciągu roku mają miejsce wspólne konferencje naukowe organizowane przez różne ośrodki: Polskie Towarzystwo Historyczne, Uniwersytet, Białoruskie Towarzystwo Historyczne, w których uczestniczą historycy z sąsiednich krajów.

Wśród członków PTH w Białymstoku jest kilkanaście osób z Białorusi, kilka z Litwy i jedna z Łotwy. Dziejami tych ziem zajmują się także historycy ze wschodniej części Białorusi i bardziej odległych regionów Litwy. Książki dotyczące tej problematyki ukazują się w niewielkich nakładach, a artykuły często w mało znanych regionalnych czasopismach. Dlatego szczególnie dotkliwie odczuwany jest właśnie brak dobrego przepływu informacji na temat prowadzonych badań i ich rezultatów.

Zdając sobie sprawę z istnienia tej bardzo istotnej bariery

dla postępu badań i wzajemnych kontaktów, historycy skupieni w Oddziale PTH w Białymstoku i współpracujący z nimi historycy z Białorusi i Litwy postanowili wydawać czasopismo historyczne pt. *Biuletyn Historii Pogranicza*, które pełnić będzie przede wszystkim rolę informacyjną: informować będzie o prowadzonych badaniach, organizowanych sesjach naukowych, wydanych książkach i opublikowanych artykułach. Dobry przepływ informacji z krajów sąsiednich gwarantować będzie udział w redakcji znanych historyków z Litwy i Białorusi, wywodzących się z różnych środowisk, z którymi od dawna współpracujemy. Są to: 1) doc. Algis Kasperavicius (Uniwersytet Wileński), 2) dr Rimantas Miknys (Instytut Historii Akademii Nauk Litwy), 3) doc. Paweł Łojka (Instytut Historii Narodowej Akademii Nauk Białorusi), 4) doc. Wasilij Kuszniier (redaktor naczelny *Białoruskiego Historycznego Czasopisu* w Mińsku), 5) doc. Władymir Nikitenkow (Uniwersytet w Brześciu), 6) prof. Dymitr Karew (Uniwersytet w Grodnie), 7) prof. Aleksander Krawcewicz (Uniwersytet w Grodnie).

W redagowaniu pisma będą przede wszystkim uczestniczyć pracownicy Instytutu Historii Uniwersytetu w Białymstoku (m.in. prof. Adam Dobroński) i innych placówek naukowych w mieście (ks. dr Tadeusz Krahel – Wyższe Seminarium Duchowne, prof. Zofia Tomczonek – Politechnika Białostocka), a także będziemy współpracowali z Zachodnio-białoruskim Humanistycznym Centrum Badań Europy Wschodniej w Grodnie.

W roku 2000 zamierzamy wydać dwa numery pisma o objętości około 5-6 arkuszy każdy (format B-5). Każdy numer będzie zawierał: krótkie artykuły („Z warsztatu badań historyków polskich, białoruskich i litewskich”), teksty źródłowe, sprawozdania z konferencji naukowych i innych form kontaktów historyków z krajów sąsiednich, rozbudowany dział recenzji i zapisków bibliograficznych. Artykuły będą publikowane w jęz. polskim, białoruskim lub litewskim (ze streszczeniami w dwóch pozostałych oraz w jęz. angielskim), a przed publikacją będą recenzowane. Czasopismo będzie kolportowane w Polsce, Białorusi i Litwie.

Jan Jerzy MILEWSKI

OBRAZ POKOLENIA

Pod takim tytułem Tadeusz Pawłowicz (rocznik 1918) ogłosił swe wspomnienia, które w roku ubiegłym wyszły nakładem Uniwersytetu Jagiellońskiego oraz Instytutu Piłsudskiego. Przeczytałem je z wielkim zainteresowaniem, bo autora znam od roku 1937, gdy razem uczestniczyliśmy w kursie języka i literatury francuskiej, zorganizowanym przez akademicką „Ligę Zbliżenia Międzynarodowego” na terenie filii uniwersytetu Aix-les-Bains w Cannes na Riwierze Francuskiej.

Pamiętniki są ciekawe, bo ilustrują dzieje pokolenia, które zwykle nazywa się „pokoleniem Polski Niepodległej”; jego trzon to ludzie urodzeni około roku 1918, ludzie, którzy wychowanie swoje otrzymali w uczelniach przedwrześniowych, a w czasie drugiej wojny światowej walnie wzięli w niej udział.

Tadeusz Pawłowicz należy do dużego odłamu tego pokolenia, który zdecydował się po zakończeniu wojny pozostać na emigracji, by dalej prowadzić walkę o odzyskanie zaprzepaszczonej niezależności państwowej. Główne etapy tej walki można śledzić właśnie w jego pamiętnikach.

Pierwszym jej fragmentem było utworzenie ruchu wolnościowego „Niepodległość i Demokracja”, w skrócie znanego jako „NiD”. Zręby tej organizacji zostały położone przez Rowmunda Piłsudskiego (dalekiego krewnego Marszałka) jeszcze w roku 1944, gdy do Londynu zaczęły nadchodzić pierwsze konkretne wieści o katastrofalnych dla Polski postanowieniach konferencji „Wielkiej Trójki” w Teheranie. Tadeusz Pawłowicz z bliska obserwował te wydarzenia, bo, po studiach na uniwersytecie Saint Andrews w Szkocji, został przydzielony do ówczesnego ministra spraw zagranicznych, Adama Tarnowskiego, jako jego sekretarz. W lutym 1945 roku dotarły do Londynu groźne wiadomości o konferencji w Jałcie; fakt, teraz już niezbity, że Stany Zjednoczone i Wielka

Brytania, formalny sojusznik Polski, zgodziły się porzucić swego alianta na pastwę Rosji, zaskoczył nawet największych pesymistów. Protesty rządowe i gorzkie słowa oburzenia, które płynęły strumieniem z łamów polskiej prasy emigracyjnej, nie na wiele się przydały. Na fali tego antyjałtańskiego protestu formalnie został utworzony w Londynie „NiD”; wkrótce skupił on w swoich szeregach najczynniejszych ludzi młodszego, politycznie myślącego pokolenia emigracji. Pawłowicz był jednym z wczesnych działaczy od dawna nieoficjalnie działającego ośrodka „NiD”-u, w którego rękach było tworzenie zrębów tego ruchu; jednym z celów „NiD”-u było zastąpienie zarzewiałego „klucza partyjnego”, jaki stanowiły przedwojenne stronnictwa polityczne.

„NiD”, który stał się wkrótce najczynniejszą grupą polityczną drugiej emigracji, jest nadal organizacją, moim zdaniem, niedocenianą; nawet jeden z jego współzałożycieli, Jerzy Lerski, nie poświęcił mu ani jednego specjalnego artykułu w swej, cennej skądinąd, encyklopedii, pt. „Historical Dictionary of Poland, 966-1945”^{*} A przecież „NiD” był siłą napędową takich kluczowych organizacji uchodźczych jak Stowarzyszenie Polskich Kombatantów (SPK), Światpol, Związek Dziennikarzy, Związek Federalistów czy European Movement. To Nidowcy, a wśród nich Tadeusz Pawłowicz, nawiązali współpracę ze świeżo powstałym Komitetem Wolnej Europy (KWE), jedną z kluczowych organizacji amerykańskich, czynnych w niedawno rozpoczętej wojnie psychologicznej z „imperium zła”. To właśnie KWE poczęło, w roku 1950, organizować stację radiową, mającą nadawać programy informacyjne dla krajów Europy Środkowo-Wschodniej. Rola Radia Wolnej Europy w dziele podważania, a wreszcie i obalania, „żelaznej kurtyny” jest dziś dostatecznie znana i nie wymaga omówienia w ramach tej krótkiej recenzji.

Pawłowicz brał czynny udział w początkowej fazie tworzenia i działania RWE. Nie najmniejszym jego przyczynkiem do tak owocnego działania tej instytucji było, że to właśnie on zaproponował władzom amerykańskim, aby na kierownika sekcji polskiej wybrały Jana Nowaka-Jeziorańskiego.

* Greenwood Press, Westport, Connecticut, Londyn 1996.

Od wczesnych lat siedemdziesiątych Pawłowicz był członkiem zarządu Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku, a od roku 1977 stał się jego prezesem. Zadaniem Instytutu jest gromadzenie materiałów dotyczących najnowszej historii Polski oraz popieranie badań na tematy związane z tą historią. Największą chlubą Instytutu są jego bogate zbiory. Zawierają m.in. Akta Adjutantury Naczelnego Wodza z lat 1918-1922; trzeba pamiętać, że ówczesny Naczelnny Wódz, Józef Piłsudski, był również i Naczelnikiem Państwa. Za czasów prezesury autora wspomnień dokonano się mikrofilmowanie tych zbiorów i przekazanie mikrofilmów bibliotece Uniwersytetu Yale; stało się to w roku 1981. Pawłowicz miał to szczęście, że doprowadził Instytut do odzyskania przez Polskę niepodległego bytu i przekazał jego kierownictwo w młodsze ręce.

Książka jest pisana językiem prostym i potoczystym. Z pewnością warta jest przeczytania, zwłaszcza przez młodszego czytelnika krajowego, dla którego wysiłki niepodległościowe emigracji, zawsze mgliste, stają się szybko czymś zgoła egzotycznym.

M. K. DZIEWANOWSKI

OKRUCHY HISTORII

Tadeusz SZNARBACHOWSKI

„DZIENNICZEK” BŁOGOSŁAWIONEJ FAUSTYNY KOWALSKIEJ

Kwestia czy dusza Marszałka jest zbawiona czy potępiona stanowi temat wizji polskiej mistyczki, błogosławionej siostry Faustyny Kowalskiej ze Zgromadzenia Zakonnego Najświętszej Marii Panny Miłosierdzia. Wizję tę tak przedstawia sama s. Faustyna w swej książce pt. „Miłosierdzie Boże w duszy mojej – dzienniczek”. Posiadam jedynie włoskie tłumaczenie tego dzienniczka, które ukazało się nakładem Libreria Editrice Vaticana w 1996 r. pt. „La Misericordia Divina nella Mia Anima – Diario della Beata Suor Faustina Kowalska”. Oto przetłumaczony z włoskiego zapis s. Faustyny pod datą 12 V 1935, tj. w dniu zgonu Marszałka:

„Pewnej chwili dnia 12 V 1935 wieczorem, natychmiast po położeniu się do łóżka, zasnęłam, ale jeżeli prędko zasnęłam, to jeszcze szybciej zostałam obudzona (...). Nieoczekiwanie ujrzałam pewną duszę, która oddzielała się od ciała wśród okropnych męczarni*. O Jezu, pisząc to, drzę cała, po

* Tu, pod nr 181, znajduje się odnośnik wydawcy, który przytaczam w całości: „Książd M. Sopoćko (spowiednik s. Faustyny) opowiada w swym świadectwie w procesie beatyfikacyjnym: *‘Postero die post mortem Mareschali Reipublicae Józef Piłsudski 12 V 1935 narravit mihi S.D. quod hesternum die vidit eum in iudicio divino. Iudicium fuit valde severum sed propter intercessionem B.M ~ iudicium exitum habuit felicem. Ni fallor*

zobaczeniu okropności świadczących przeciwko tej duszy.

Zobaczyłam wychodzące jakby z błotnistej przepaści dusze dzieci małych i nieco większych, koło dziewięciu lat. Te dusze były odrażające i okropne, podobne do najbardziej przerażających potworów, do rozkładających się zwłok. Lecz te zwłoki żyły i świadczyły przeciwko owej konającej duszy. A dusza, którą widziałam w agonii jest duszą, którą świat czcił i uwielbiał, czego rezultatem jest próżnia i grzech. Wreszcie na koniec wyłoniła się jakaś niewiasta, która w czymś podobnym do fartucha niosła łązy, i ta niewiasta świadczyła wiele przeciw tej duszy. O, straszna chwilo, w której trzeba będzie ujrzeć swoje czyny w ich istocie i nędzy. Żaden z tych czynów nie będzie zapomniany i będą towarzyszyć wiernie przed sądem Bożym. Brak mi słów i porównań, aby wyrazić rzeczy tak okropne, i, chociaż wydaje mi się, że ta dusza nie będzie potępiona, to jednak jej męki nie różnią się niczym od męczarni w piekle. Jedyną różnicą jest to, że się w pewnej chwili skończą”.

Włodzimierz SZNARBACHOWSKI

Powyższy tekst ukazał się w *Kulturze* nr 604/605 z 1998 r. Przedrukujemy go ze względu na to, iż po kanonizacji siostry Faustyny Kowalskiej, jej działalność jest żywo omawiana w prasie.

etiam hoc notavit in Diario vel enarravit sororibus, quando rumor de eius morte nondum advenerat”, *Summarium*, str. 95, § 251 pod koniec. Zobacz też: Akty ks. Sopoćki w A.C. Kraków, Ric. APR zeszyt IX, doc. 3. str. 297.

OCHOTNICZY AMERYKAŃSCY W WOJNIE POLSKO-BOLSZEWICKIEJ

Z DZIAŁALNOŚCI DYPLOMATYCZNEJ
GEN. TADEUSZA JORDAN ROZWADOWSKIEGO

Idea wspólnej walki żołnierzy polskich i amerykańskich ma długą tradycję. Od czasów wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych do II wojny światowej Polacy i Amerykanie wielokrotnie stawali ramię w ramię by wspólnie przelewać krew. Nieznany epizod tej współpracy wiąże się z doniosłym dla Polaków wydarzeniem, jakim była wojna polsko-bolszewicka lat 1919-1920.

Pomysł werbunku ochotników amerykańskich do Wojska Polskiego wiąże się ściśle z przybyciem do Paryża, w maju 1919 r., Polskiej Misji Wojskowej (PMW) z gen. Tadeuszem Rozwadowskim na czele. Szef misji, wedle instrukcji Naczelnego Dowództwa WP, miał doprowadzić do ścisłej polsko-rumuńskiej współpracy wojskowej (skierowanej przeciw bolszewikom) oraz wstępnie określić zasady konwencji wojskowej, jaka miała połączyć Polskę z Ententą¹.

Ambitny generał nie poprzestał jedynie na realizacji powierzonych mu zadań. Równolegle rozpoczął starania, których celem było utworzenie, u boku armii polskiej, Legionu Amerykańskiego². Rozwadowski wysoko cenił morale żołnierzy

1. „Dokumenty i materiały do historii stosunków polsko-radzieckich”, t. II; Warszawa 1964, ss. 244-246.

2. O zabiegach dyplomatycznych gen. Rozwadowskiego szerzej zob.: R. Ulrych, „General Tadeusz Rozwadowski and the attempt to establish a Volunteer American Legion within the Polish Army”, 1919-1920, „The Polish Review” 1992, nr 1, ss. 95-109; M. B. Biskupski, „Kościuszko We Are Here?”; „American Volunteers for Poland and the Polish-Russia War, 1918-1920”, w: „Pastor of the Poles. Polish American Essays Presented to Right Reverend Monsignor John P. Wodarski”, New Britain 1982, ss. 182-204.

amerykańskich oraz demokratyczne stosunki panujące w amerykańskiej armii. W poufnym liście do Naczelnego Wodza – Józefa Piłsudskiego szef PMW donosił też, iż liczni Amerykanie i Kanadyjczycy wyrażają chęć służenia w wojskach polskich, oraz że: „wpływ i przykład młodych oficerów szczególnie amerykańskich na stosunek oficera do naszego żołnierza i odwrotnie, mógłby w przyszłości być nad wyraz korzystnym”³. Werbunek miał być przeprowadzony wśród wojsk amerykańskich, stacjonujących w Europie po skończonej wojnie. Według wstępnych projektów Rozwadowskiego oddziały amerykańskich legionistów miały być użyte w razie wybuchu konfliktu polsko-niemieckiego lub w celu okupacji Górnego Śląska⁴.

Gen. Rozwadowski, dla swych planów wojskowych, pozyskał niebawem dowódcę Amerykańskich Sił Ekspedycyjnych (ASE) we Francji – słynnego generała Johna Pershinga. Pod naciskiem gen. Pershinga uzgodniono, iż Amerykanie będą wykorzystani jedynie na froncie bolszewickim⁵. Dowódca ASE wyznaczył także oficera łącznikowego, z którym miano ustalić wszelkie szczegóły formowania amerykańskich oddziałów ochotniczych; został nim, z czasem gorąco oddany sprawie współpracy polsko-amerykańskiej, płk Harry S. Howland. W czasie wojny polsko-bolszewickiej płk Howland obiektywnie informował swe władze o przebiegu działań militarnych oraz wspierał żądania pomocy wojskowej dla Polski⁶. Osobnego wsparcia udzielili szefowi PMW premier Ignacy Paderewski, francuski minister spraw zagranicznych Stephen Pichon, dyrektor Kolegium Sztabu Armii Stanów Zjednoczonych gen. Alfred W. Bjornstad⁷. Planom rekrutacji żołnierzy

3. Instytut Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku (dalej: IJP), Adiutantura Generalna Naczelnego Dowództwa (dalej: AGND), t. 57/1052, T. Rozwadowski do J. Piłsudskiego, Paryż 26 VI 1919 r.

4. Centralne Archiwum Wojskowe (dalej: CAW), Oddz. I NDWP, sygn. I 301.7.15, T. Rozwadowski do Naczelnego Dowództwa Wojsk Polskich (dalej: NDWP), Paryż 15 VI 1919 r.

5. CAW, Oddz., I NDWP, sygn. I 301.7.11, H. Howland do J. Pershinga i T. Rozwadowskiego, Paryż 7 VII 1919 r.; R. Ulrych *op.cit.* s. 97.

6. Archiwum Akt Nowych (dalej: AAN), Archiwum Paderewskiego, sygn. 986, I. Paderewski do F. Polka, Paryż, 16 X 1919 r.; A. Pepłoński, „Wywiad w wojnie polsko-bolszewickiej 1919-1920”, Warszawa 1999, s. 62.

7. CAW, Oddz. I NDWP, sygn. I 301.7.15. T. Rozwadowski do NDWP, Paryż 7 VII 1919 r.

amerykańskich do armii polskiej sprzyjał także amerykański sekretarz stanu Robert Lansing.

Niebawem okazało się jednak, że największym przeciwnikiem planów Rozwadowskiego jest polskie Ministerstwo Spraw Wojskowych (MSWoj.) z gen. Kazimierzem Sosnkowskim na czele, który występował zapewne w imieniu Józefa Piłsudskiego. Podczas gdy szef misji wojskowej dowodził, że wyspecjalizowane amerykańskie jednostki wojskowe (zwłaszcza lotnicy, czołgiści, korpus medyczny i służby inżynieryjne) będą silną podporą dla młodej armii polskiej, władze wojskowe widziały w nich jedynie dogodne narzędzie, które mogło posłużyć władzom amerykańskim do mieszania się w wewnętrzne sprawy Polski. Wskazywano ponadto na trudności finansowe i odmienności psychologiczne żołnierza amerykańskiego⁸. Naczelne Dowództwo zlekceważyło także olbrzymie znaczenie propagandowe, jakie mógł mieć udział żołnierzy amerykańskich w wojnie polsko-bolszewickiej, w czasie gdy wrogowie Polski w USA coraz natarczywiej rozwijali antypolską kompanię na rzecz Niemiec i Rosji Sowieckiej⁹.

Tymczasem sprawa werbunku Amerykanów do Legionu nabrała rozgłosu i do polskich konsulatów zaczęli zgłaszać się liczni ochotnicy. W tej sytuacji gen. Rozwadowski próbował wystarać się o zgodę polskich władz wojskowych na wystawienie choćby jakiejś symbolicznej jednostki w ramach projektowanego Legionu. Gdy działania te zawiodły, generał zdecydował się postawić dowództwo przed faktami dokonanymi. Na początku września 1919 r., w piśmie do Oddziału I NDWP, szef Sztabu Generalnego – gen. Stanisław Haller donosił też: „Generał Rozwadowski melduje, że opierając się na danych mu poprzednio wskazówkach i nie mogąc się oprzeć prośbom ochotników amerykańskich, zgodził się na stworzenie małej lotniczej eskadry amerykańskiej dla Polski, pod dtwem. mjr.

8. CAW, Oddz. I NDWP, sygn. I 301.7.15, K. Sosnkowski do NDWP, Warszawa 18 VII 1919 r.; *ibid.*, sygn. I 301.7.32, Opinia NDWP w sprawie przyjmowania ochotników amerykańskich do WP, Warszawa 30 XI 1919 r.; *ibid.* sygn. i 301.7.38, K. Sosnkowski do min. spraw zagr., Warszawa 9 I 1920 r.

9. CAW, Oddz. I NDWP, sygn. I 301.7.15. T. Rozwadowski do NDWP, Paryż 13 VII 1919 r.

[Cedrica] Faunt-Le-Roya, dotąd przydzielonego do misji gen. [Jana] Romera...”¹⁰. Zgodnie z propozycją Amerykanów eskadra ta miała nosić imię Kościuszki. 10 września 1919 r. wiceminister spraw wojskowych gen. Kazimierz Sosnkowski w piśmie do gen. St. Hallera (szef sztabu sprzyjał planom Rozwadowskiego) ostatecznie potwierdził utworzenie Eskadry im. Kościuszki. Tak późny termin zatwierdzenia eskadry może świadczyć o negatywnym stanowisku ministerstwa w tej kwestii. Gen. Sosnkowski kończył swe pismo jednoznaczną uwagą. „Uprasza się w końcu, ze względów zasadniczych, by na przyszłość wszelkie decyzje dotyczące oddziałów ochotniczych cudzoziemskich dla Armii Polskiej, nie były pobierane bez uprzedniego porozumienia się z WSWoj.”¹¹

Zadanie sformowania Eskadry Kościuszki na pewno ułatwił fakt, że sprawą tą zajął się kpt. Merian Cooper. Amerykański oficer był już od dłuższego czasu znany Rozwadowskiemu, bowiem wiosną 1919 r. uczestniczył w wyprawie Amerykańskiej Misji Żywnościowej E. Hoovera, która przyniosła prowiant do obleganego przez Ukraińców Lwowa. Dowódcą Armii „Wschód”, walczącej wtedy pod Lwowem, był właśnie gen. Rozwadowski. Już wówczas miało dojść do rozmowy kapitana z generałem na temat użycia lotnictwa w walkach na kresach wschodnich Polski¹².

Już 26 sierpnia 1919 r. w paryskim Hotelu Wagram, siedzibie gen. Rozwadowskiego, ośmiu amerykańskich oficerów podpisało kontrakt. Obok mjr. Faunt-Le-Roy'a i kpt. Coopera do służby w Wojsku Polskim stawili się: por. George Crowford, por. Kenneth O. Shrewsbury, por. Edward C. Corsi, por. Edwin Noble, prof. Carl H. Clark i kpt. Arthur H. Kelly. W październiku dołączyło do tej grupy jeszcze dwóch ochotników zwerbowanych w Londynie: por. Elliot Chess i por. Edmund Pike Grawes¹³.

10. CAW, Oddz. I NDWP, sygn. I 301.7.15, St. Haller do Oddz. I NDWP, Warszawa 3 IX 1919 r.

11. CAW, Oddz. I NDWP, sygn. I 301.7.15, K. Sosnkowski do NDWP, Warszawa 10 IX 1919 r.

12. M. Cooper, „Faunt-Le-Roy i jego eskadra w Polsce. Dzieje Eskadry Kościuszki”, Chicago, br., ss. 59-60.

13. Z. Kozak, „Udział lotników amerykańskich w wojnie polsko-sowieckiej”, *Biuletyn Wojskowej Służby Archiwalnej*, 1995, nr 18, s. 75: *Czas*, 5 IX 1919, nr 228.

Przed wyjazdem Amerykanów do Polski gen. Rozwadowski wydał pożegnalną ucztę. Uczestniczył w niej także premier Ignacy Paderewski, płk Harry Howland oraz poseł polski w Waszyngtonie Kazimierz Lubomirski. W następnych dniach ochotnicy wyruszyli oficjalnie jako obsługa pociągu sanitarnego na Wschód, jedynie Faunt-Le-Roy skorzystał z wygody, jaką dawała podróż ekspresem¹⁴.

Po przybyciu do Polski członkowie eskadry zostali przedstawieni Naczelnemu Wodzowi. Przyjęcie J. Piłsudskiego było jednak druzgocące. „Polska sama potrafi toczyć swoje bitwy i płatnych najemników tu nie potrzebujemy...” – miał stwierdzić dowódca polskiej armii¹⁵. Niechęć polskiego wodza nie odstręczyła M. Coopera od powziętych zamiarów, miał on bowiem osobiste powody, by angażować się w konflikt, jaki toczyła Polska z bolszewicką Rosją¹⁶. Jego pradziad – płk John Cooper, w czasie wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych, walczył pod rozkazami gen. Kazimierza Pułaskiego. W 1779 r. był on także świadkiem śmierci polskiego generała rannego w bitwie pod Savannah. Teraz prawnuk, niejako w rewanżu, ruszył z pomocą odradzającej się Polsce...¹⁷.

Trudno powiedzieć, jakimi motywami kierowali się pozostali Amerykanie, wszak żaden z nich nie miał polskiego pochodzenia. Z całą pewnością należy jednak wykluczyć względy finansowe, gdyż płatni byli według stawek określonych dla polskich oficerów, a te mocno odbiegały od standardów amerykańskich¹⁸. Można więc przypuszczać, iż kierowały nimi wysokie względy moralne, podobne jak w przypadku M. Coopera.

Przyszły Pierwszy Marszałek Polski podważył również sensowność kierowania lotnictwa do walki na froncie polsko-

14. W. Czerniszewski, „Ochotnicy Eskadry Kościuszkowskiej”, *Skrzydłata Polska*, 1989, nr 46, s. 5.

15. M. Murray, „Wings over Poland”, New York 1932, ss. 23-24.

16. R.F. Karolewicz, R.S. Fenn, „Flight of Eagles. The story of the American Kościuszko Squadron”, South Dakota 1974, s. 16; J. Sęk, „Amerykański Kościuszko”, *Tygodnik Solidarność*, 1990, nr 33.

17. A. M. Kobos, „Partnerstwo orłów”, *Zwoje. Internetowe Czasopismo Kulturalne*, 1998, nr 9, s. 2.

18. CAW, Oddz. I NDWP, sygn. I 301.7.16, II wicemin. spraw woj. do NDWP, Warszawa 10 IX 1919 r.; Z. Kozak, *op.cit.* s. 75.

bolszewickim: dowodził, że wschodni front jest bardzo płynny a lotnisk jest niewiele i są trudne do zbudowania. Naczelny Wódz obawiał się także trudności z zaopatrzeniem lotnictwa w paliwo. Ostatecznie J. Piłsudski obiecał jednak wysłać przybyłych lotników w najkrótszym możliwie czasie na front¹⁹.

Przyszłość pokazała jednak, że obiekcje Naczelnego Wodza wobec lotnictwa były płonne. Eskadry mogły działać dzięki „pociągom lotniczym” przewożącym żołnierzy, warsztaty, przenośne hangary i całe samoloty w częściach. W ten sposób przerzucano lotników z jednego tymczasowego lotniska na drugie²⁰.

W październiku 1919 r. Amerykanie przybyli do Lwowa. Tutaj płk Faunt-Le-Roy objął dowodzenie nad 7. Eskadrą, która przyjęła nazwę Kościuszkowskiej. M. Cooper zaznaczył w swych wspomnieniach, że Polacy widzieli w płk. Faunt-Le-Roy'u ucieleśnienie amerykańskości. „A był on nim rzeczywiście – pisał Cooper – bo reprezentował hardą, niewyczerpaną energię Ameryki, jej optymizm, jej siłę razem z tym prawdziwym duchem wolności, demokracji i sprawiedliwości, która leży pod powierzchowną skorupą amerykańskiego materializmu...”²¹

Symbolem eskadry została okrągła tarcza z trzynastoma błękitnymi gwiazdami na obwodzie, a na niej czapka krakuska ze skrzyżowanymi powstańczymi kosami na tle białoczerwonych pasów. W grudniu Ministerstwo Spraw Wojskowych nadało tej jednostce oficjalną nazwę: „7 Eskadra Myśliwska polsko-amerykańska im. Kościuszki”. Należy wspomnieć, że w listopadzie 1919 r. płk Faunt-Le-Roy, w piśmie do ministra spraw wojskowych, zaproponował dodatkowo, „celem propagandy i zainteresowania całych Stanów Zjednoczonych”, utworzenie „polsko-amerykańskiej grupy lotniczej” złożonej z dwu eskadr im. Kościuszki oraz Pułaskiego. Projekt

19. R. Ulrych, *op.cit.*, s. 106; AAN, Archiwum I. Paderewskiego sygn. 813, M. Cooper do H. Howlanda, Warszawa 27 IX 1919 r.

20. N. Davies, „Orzeł biały czerwona gwiazda. Wojna polsko-bolszewicka 1919-1920”, Kraków 1997, ss. 127-128.

21. M. Cooper, *op.cit.* s. 27.

dowódcy Eskadry Kościuszkowskiej spotkał się jednak ze zdecydowanym sprzeciwem Naczelnego Dowództwa²².

Miesiące zimowe (1919 na 1920 r.) Amerykanie spędzili we Lwowie, trenując na nieznanymi im wcześniej typach samolotów – głównie Oeffag D-3. W trakcie jednego z lotów treningowych, w listopadzie 1919 r., zginął, niestety, por. Edmund Grawes. Jego miejsce zajął przybyły miesiąc później, por. Harmon Rorison. Amerykanie zdobyli uznanie Lwowian, nim jeszcze rozpoczęli służbę frontową. W połowie listopada założyli fundację charytatywną, której celem było utrzymanie i wykształcenie ubogich chłopców – ofiar wojny. Korespondent *Gazety Warszawskiej* donosił za płk. Faunt-Le-Roy'em, że: „oficerowie amerykańscy zainicjowali całą akcję, wychodząc z zasady, że przybyli do Polski, aby w każdy sposób i przy każdej sposobności stać na usługach naszej Ojczyzny...”²³.

Na wiosnę eskadrę przeniesiono na lotnisko połowe w Połonnem, skąd dokonywano pierwszych lotów zwiadowczych. Już w trakcie nieudanej „wyprawy kijowskiej” lotnicy amerykańscy (podporządkowani 6. Armii) pokazali swą olbrzymią przydatność dla Wojsk Polskich. Dzięki przewadze w powietrzu, lotnicy byli w stanie szybko ostrzegać o ruchach Armii Czerwonej: tym samym oddziały polskie wychodziły obronną ręką z szeregu niebezpiecznych sytuacji. Szlak bojowy Eskadry Kościuszkowskiej wyznaczały lotniska połowe: Hołoby, Uściług, Mikulińce, Połonne, Berdyczów, Żytomierz, Kazatyń, Biała Cerkiew i Nowogród Wołyński²⁴.

25 maja 1920 r. por. G. Crowford jako pierwszy napotkał oddziały kawalerii Budionnego. W meldunku z tego dnia stwierdził: „Zdawało mi się, że na całym świecie nie ma tyle kawalerii, ile tam było...” W sztabie nie dano wiary w informacje Crowforda, bowiem według obliczeń sztabowców armia Budionnego winna była się znajdować 100 kilometrów

22. Z. Kozak, *op.cit.*, ss. 78-79; CAW, Oddz. I NDWP, sygn. I 301.7.34, C. Faunt-Le-Roy do I wicemin. spraw woj., Lwów 1 XI 1919 r.; *ibid.*, Oddz. III NDWP do Oddz. II NDWP, Warszawa 4 XI 1919.

23. *Gazeta Warszawska*, 1 XII 1919, nr 328; *Czas*, 22 XI 1919, nr 308; W. Czerniszewski, *op.cit.*, s. 5.

24. Z. Kozak, *op.cit.* s. 81.

za frontem²⁵. Następne dni pokazały niszczycielską siłę, wlewającej się na tyły Wojsk Polskich, czerwonej Armii Konnej. Tym samym rozpoczął się najbardziej chwalebny okres w bojach Eskadry.

Dowódca 13. dywizji piechoty meldował wkrótce, że „Amerykańscy lotnicy, mimo wycieńczenia, walczą jak opętani. Służbę wywiadowczą pełnią świetnie. Ostatnio, podczas ataku na nieprzyjaciela, ich dowódca zaatakował nieprzyjaciela od tyłu i ogniem z kulomiotu prażył we łby bolszewików. Bez pomocy amerykańskich lotników dawno by nas d[ziabli] wzięli...”²⁶. Taktyka Amerykanów była rzeczywiście mordercza. Jak zanotował Cooper: „Widok aeroplanu, który co dopiero wyrzucił bomby, a następnie lotem strzały wali się na kolumnę wojska i sieje grad kul prosto z nieba – zdemoralizuje najsilniejsze i najodważniejsze oddziały. Atak jednak jeszcze nie skończony i oddziały dopiero ucierpią. Oto bowiem skoro lotnik znajdzie się na kilkadziesiąt stóp nad ziemią, powoli prostuje aeroplan w lot poziomy, wzdłuż jadącej czy stojącej kolumny i sieje śmiertcionośny grad kul, które idąc teraz poziomo, nieraz po dwóch i trzech zabijają. Kiedy już zasób kul mu się skończy, zawraca szybko do domu – nie dając nawet czasu nieprzyjacielowi ochłonąć z przerażenia i porażki i puścić choćby kilka kul za odjeżdżającym. Atak skończony.”²⁷ O tym, że w opisie Coopera nie ma przesady świadczą źródła strony przeciwnej, zwłaszcza dziennik Izaaka Babela, towarzyszącego Armii Konnej w charakterze korespondenta. „Polacy – notował Babel – bronią się w głównej mierze akcjami lotnictwa, aeroplany stają się groźne, opisać nalot: daleki i jakby zwolniony terkot karabinów maszynowych, panika w taborach, nerwy, lecą wciąż lotem koszącym, chowamy się przed nimi. Nowe zastosowanie lotnictwa, (...) kapitan Faunt-Le-Roy startuje ze Lwowa...”²⁸

Apogeum walk Eskadry z Armią Konną wypadło pomiędzy 16 a 18 sierpnia 1920 r. kiedy Budionny dotarł pod Lwów. W tym czasie amerykańscy i polscy lotnicy wykonali 190 lotów

25. Cyt. za: Z. Kozak, *op.cit.* s. 81.

26. M. Cooper, *op.cit.*, s. 82.

27. *Ibid.*, s. 179.

28. I. Babel, „Dziennik 1920”, Warszawa 1990, s. 147.

bojowych i zrzucili 10 ton bomb z samolotów zupełnie do tego nieprzygotowanych. O ich niszczycielskiej sile świadczy depeza Rady Rewolucyjnej, podpisana przez Budionnego i Woroszyłowa: „W ostatniej bitwie pod Lwowem pułki kawalerii naszej armii doznały wielkich strat ze strony nieprzyjacielskich aeroplanów, które fruując całymi eskadrami, złożonymi z 12-tu aeroplanów, bombardowały naszą armię z powietrza, jak również dziesiątkowały naszą kawalerię ogniem z kulomiotów...”²⁹

Straty po stronie Eskadry były jednak także wysokie. Zginął: kpt. Artur Kelly oraz kpt. J.S. McCallum; rany odniosło wielu innych, w tym ppor. Edwin L. Noble, któremu kula *dumdum* strzaskała łokieć. Warto zaznaczyć, że ciężko ranny ppor. Noble, przebywający w paryskim szpitalu, „odmówił wszelkiego wsparcia ze strony władz polskich, nie chcąc narażać skarbu Polski na nowe wydatki”³⁰. Ciosem dla Eskadry było także dostanie się do niewoli kpt. Meriana Coopera. 13 lipca 1920 r. kpt. M. Cooper przymusowo lądował koło wsi Didycze pod Ołyką, tam też został pojmany przez jazdę bolszewicką, odstawiony do sztabu 2. Brygady 6. Dyw. Jazdy. Od śmierci z rąk rozwścieczonych kozaków uratował „burżuazyjnego oficera” zwykły przypadek. Mundur, który miał na sobie, był bowiem z demobilu i posiadał stempel z nazwiskiem kaprała Franka Moshera: „prostemu żołnierzowi z poboru” bolszewicy darowali życie. Na początku 1921 r. Cooperowi udało się zbiec z niewoli i dotrzeć na Łotwę. Jego polska epopeja zakończyła się szczęśliwie³¹.

Pozostali członkowie Eskadry walczyli do 23 września 1920 r. kiedy to wykonano ostatni lot bojowy. Pożegnanie z lotnikami amerykańskimi nastąpiło na wiosnę 1921 r. Orderem *Virtuti Militari* zostali odznaczeni: Faunt-Le-Roy, Cooper, Crawford, Corsi, Chess, Clark, Noble, Rorison, Shrewbury, a spośród Polaków należących do tej jednostki: por. Ludomił Rayski, por. Władysław Konopka, por. Jerzy

29. M. Cooper, *op.cit.*, s. 234; Z. Kozak, *op.cit.*, ss. 85-86.

30. AAN, Akta Attaché Woj., sygn. A II/126, Attaché woj. w Paryżu do NDWP, [Paryż] 1 IX 1920 r., k. 30. M. Cooper, *op.cit.*, ss. 111-112.

31. AAN, Archiwum I. Paderewskiego, sygn. 813, T. Rozwadowski do I. Paderewskiego, [Warszawa] 2 X 1920 r.; K. Dubiński, „Polska Odyseja kapitana Coopera”, *Prawo i Życie*, 1992, nr 47, ss. 10-11.

Weber i por. Aleksander Sieńkowski³².

Podczas gdy piloci amerykańscy tak świetnie spisywali się na froncie polsko-bolszewickim, gen. Rozwadowski, w związku z kategorięcznym sprzeciwem Ministerstwa Spraw Wojskowych, zarzucił dalszą akcję tworzenia nowych oddziałów ochotniczych. Czekają go zresztą zupełnie nowe zadania natury dyplomatycznej, m.in. negocjacje o polsko-rumuńską konwencję wojskową. W lipcu 1920 r. Rozwadowski objął natomiast, na kilkanaście dni przed bitwą warszawską, stanowisko szefa Sztabu Generalnego WP. Następne dni pokazały jak świetny był to wybór...

Kłeska wyprawy kijowskiej zmieniła nastawienie Naczelnego Dowództwa w kwestii werbunku zagranicznych ochotników. Władze wojskowe, przekonane poniewczasie o skuteczności polsko-amerykańskiej formacji, zaczęły słać dramatyczne telegramy do polskich przedstawicieli w Ameryce. Gen. Sosnkowski i min. Sapieha zażądali m.in. by „przy użyciu wszystkich stosunków i środków wysłać do kraju tyle kompletnych eskadr lotniczych bojowych razem z pilotami, ile się (...) uda zebrać...³³ Poseł Kazimierz Lubomirski został też upoważniony do podpisania odpowiedniej umowy z rządem USA³⁴. Niestety, wrogowie Polski, działający w USA, wzmogli propagandę antypolską głosząc wszędzie oszczerze hasła o polskiej zaborczości i imperializmie. Pod naciskiem tej kampanii uchwalono zakaz wydawania paszportów obywatelom amerykańskim udającym się do Polski³⁵. W tej sytuacji gen. Zygmunt Brynk – *attaché* wojskowy Polski w Waszyngtonie, opracował tajną trasę przerzutu lotników amerykańskich z USA poprzez Francję do Polski³⁶. Niestety, czas podróży tychże trwał tak długo, iż przybyli oni do kraju pod sam koniec działań bojowych... Należał do nich m.in. por. Kenneth M. Murray, którego

32. A.M. Kobos, *op.cit.*, ss. 11-12.

33. AAN, Ambasada RP Waszyngton, K. Sosnkowski i min. E. Sapieha do Z. Brynka, [Warszawa] 9 VIII 1920 r., k. 271.

34. AAN, Ambasada RP Waszyngton, sygn. 2305, MSZ do E. Lubomirskiego 9 VIII 1920 r., k. 234.

35. B.W. Winid, „W cieniu Kapitolu. Dyplomacja Polska wobec Stanów Zjednoczonych Ameryki 1919-1939”, Warszawa 1991, ss. 67-68.

36. AAN, Akta Attaché Woj. RP, sygn. A II/126, Z. Brynk do Attaché wojskowego w Paryżu, [Waszyngton] 17 VIII 1920 r., k. 95.

wyczynem było przemylenie do Polski własnego samolotu w częściach. Oprócz Eskadry Kościuszkowskiej Amerykanie służyli także w 1. Eskadrze Lotniczej – kpt. G.H. Pattison oraz w 8. pułku ułanów – rtm. William S. Mitsell³⁷.

Pamięć o odważnych, pełnych poświęcenia amerykańskich lotnikach była w przedwojennej Polsce obiektem szczególnego kultu. 30 maja każdego roku we Lwowie, w dniu amerykańskiego święta – Memorial Day, na mogiłach poległych odbywała się ceremonia wieńczenia grobów. W uroczystości tej uczestniczyły władze państwowe i wojskowe oraz przedstawiciele Ambasady USA w Warszawie. W maju 1925 r. na Cmentarzu Obrońców Lwowa odsłonięto, wzniesiony pod protekcją gen. Józefa Hallera, pomnik ku czci poległych lotników amerykańskich. W uroczystości tej wzięli udział: poseł amerykański – dr Alfred J. Pearson, wiceminister spraw wojskowych – gen. Juliusz Malczewski, szef lotnictwa – gen. Włodzimierz Zagórski, prezes zarządu hallerczyków w Warszawie (w zastępstwie chorego gen. J. Hallera) – Sierociński, matka chrzestna eskadry – Janina Ebenbergowa, prof. Leon Piniński (przewodniczący całej ceremonii), wojewoda lwowski – Paweł Garapich, adiutant Eskadry im. Kościuszki – por. Konopka i inni. Obszerną, życzliwą Polsce, relację z tej ceremonii zamieścił *New York Times*³⁸. Niestety, w okresie zimnej wojny monument ten został zniszczony przez władze sowieckie.

Po powrocie do USA amerykańscy lotnicy wspierali propagandowo Polskę. Szczególnie aktywnymi na tym polu byli Merian Cooper i Cedrik Fount-Le-Roy. W latach trzydziestych Cooper został poważnym producentem filmowym w Hollywood. Współtworzył m.in. taką superprodukcję jak „King Kong”³⁹. Film i walka z komunizmem przez wiele lat pozostawały jego największą pasją.

Mariusz PATELSKI

37. Z. Kozak, *op.cit.*, s. 95; CAW, Gabinet MSWoj., sygn. I 300.1.389.; Ewidencja oficerów amerykańskich służących w WP. MSWoj. Oddz. I do Wydziału I, Warszawa 16 VI 1920 r.

38. *Polska Zbrojna*, 31 V 1925, nr 149 oraz 4 X 1925, nr 272; S.S. Nicieja, „Cmentarz Orońców Lwowa”, Wrocław 1990, ss. 224-226.

39. Archiwum polityczne... t. III, Wrocław 1974, ss. 135-136; J. Lubach, „King Kong a sprawa polska”, *Gazeta Polska*, 1997, nr 2.

RELACJA BOGUSŁAWA MIEDZIŃSKIEGO Z WYDARZEŃ MAJOWYCH 1926 R.

Przewrót majowy, dokonany przez Józefa Piłsudskiego 12 maja 1926 r., wzbudzał i wzbudza po dzień dzisiejszy zainteresowanie historyków. Mimo, iż przyczynom, przebiegowi i skutkom przewrotu poświęcali swą uwagę badacze krajowi i zagraniczni¹, szereg jego aspektów do dzisiejszego dnia stanowi materiał sporów. Z tej właśnie przyczyny interesującym wydaje się przywołanie jednego z głównych aktorów wydarzeń rozegranych w 1926 r. – Bogusława Miedzińskiego.

Prezentowana poniżej relacja wydaje się być interesująca przede wszystkim ze względu na osobę jej autora. Bogusław Miedziński (ur. w 1891 r.) już przed przewrotem majowym należał do grona najbliższych współpracowników Józefa Piłsudskiego. Przed rokiem 1926 mógł zapisać na kartach swego życiorysu służbę wojskową w POW i Legionach. W Wojsku Polskim w niepodległej już Polsce dał się on poznać jako sprawny organizator wojskowych służb specjalnych, które potwierdziły swą przydatność m.in. w wojnie polsko-bolszewickiej oraz w trakcie powstań śląskich. W 1922, jako poseł PSL „Piast”, rozpoczął karierę polityczną, jednak nawet wówczas, gdy zasiadał w ławach poselskich jako poseł stronnictw ludowych, nie przestawał reprezentować interesów Józefa Piłsudskiego. Po wydarzeniach majowych Miedziński pełnił m.in. funkcje ministra poczt i telegrafów (1927-1928), redaktora naczelnego *Gazety Polskiej* – dziennika uchodzącego za półoficjalny organ rządu (1930-1938), przewodniczącego sejmowej komisji wojskowej (1931-1933), nieoficjalnego wysłannika Komendanta na rozmowy z kierownictwem sowieckim (1933). Po śmierci Marszałka w 1935 r. Miedziński należał do grona bliskich współpracowników

1. Zob. m.in. A. Ajnenkiel, „Od rządów ludowych do przewrotu majowego. Zarys dziejów politycznych Polski w latach 1918-1926”, Warszawa 1978; Tenże: „Polska po przewrocie majowym. Zarys dziejów politycznych Polski 1926-1939”, Warszawa 1980; M.M. Drozdowski, „Sprawy i ludzie II Rzeczypospolitej. Szkice i polemiki”, Kraków 1979; A. Garlicki, „Przewrót majowy”, Warszawa 1987; H. Jabłoński, „Przyczynki do dziejów zamachu majowego 1926 r. w Polsce”, *Przegląd Historyczny*, 1970, nr 2; A. Polonsky, „Politics in independent Poland 1921-1939. The Crisis of constitutional government”. Oxford 1972; J. Rotschild, „Piłsudski's coup d'etat”. New York 1966.

Edwarda Śmigłego-Rydza. W 1938 r. wybrany został marszałkiem ostatniego, przedwojennego Senatu. 17 września 1939 r. wraz z rządem i Prezydentem Rzeczypospolitej opuścił granice Polski. 28 września rozpoczął starania o przyjęcie do Armii Polskiej we Francji, jednak ze względu na polityczną przeszłość gen. Sikorski odmówił Miedzińskiemu swej zgody na wstąpienie do wojska, nakazując spędzenie wojny w Republice Południowej Afryki. Po wojnie osiadł na emigracji w Wielkiej Brytanii, gdzie zmarł w 1972 r.

W trakcie pobytu na emigracji Miedziński całkowicie odsunął się od czynnego życia publicznego, niemal nie angażując się w działania polskich stronnictw politycznych w Londynie. Jedynym wyjątkiem były czynności podjęte przez niego w 1954 r., które miały na celu doprowadzenie do objęcia urzędu prezydenckiego przez gen. Kazimierza Sosnkowskiego. Na krótko wówczas wszedł do ścisłego zarządu Ligi Niepodległości Polski – organizacji kontynuującej linię polityczną przedwojennego obozu piłsudczykowski. Niemniej jednak były marszałek Senatu czynnie współdziałał w akcji dokumentowania wydarzeń politycznych, których w okresie dwudziestolecia pozostawał czynnym kreatorem. Dał się poznać m.in. jako autor wspomnień (doprowadzonych do 1923 r.), licznych artykułów w prasie polonijnej oraz jako redaktor II wydania „Najnowszej Historii Politycznej Polski” Władysława Poboga-Malinowskiego. Od założenia 19 marca 1947 r. Instytutu Józefa Piłsudskiego dla Badania Najnowszej Historii Polski pozostawał członkiem jego władz obok m.in.: gen. Tadeusza Piskora, gen. Wacława Stachewicza, Michała Grażyńskiego czy Juliusza Łukasiewicza². To właśnie w tejże instytucji, w dniu 1 czerwca 1957 r., miał miejsce wieczór relacyjny, w trakcie którego Bogusław Miedziński podzielił się z obecnymi swymi wspomnieniami z maja 1926 r.

Relacja Bogusława Miedzińskiego wypełniła drugi wieczór relacyjny zorganizowany w Instytucie Józefa Piłsudskiego. Jako pierwszy, 4 maja 1957 r., przedstawił swoją relację płk J. Ulrych, drugim z kolei był właśnie Bogusław Miedziński, natomiast w dniu 6 lipca odbył się wieczór relacyjny gen. K. Sawickiego i gen. S. Skwarczyńskiego. Podczas wieczoru 7 września odbyła się dyskusja zamykająca, podczas której prowadzący T. Schaezel przedstawił protokół końcowy. Zapis wszystkich tych relacji przechowywany jest w Archiwum Instytutu Józefa Piłsudskiego w Londynie w kolekcji przewrotu majowego (sygn. 24, teczka 4). Wspomnienia Bo-

2. Archiwum Instytutu im. Gen. W. Sikorskiego, kol. 329/24.

gusława Miedzińskiego zachowane są jednak w stanie sprawiającym historykowi najwięcej kłopotów. O ile inne relacje posiadają swój zapis w formie maszynopisu, sprawozdanie Miedzińskiego zachowane jest pod postacią odręcznych notatek Tadeusza Schaetzla, sporządzonych ołówkiem kopiowym na papierze śniadaniowym.

Treść relacji Bogusława Miedzińskiego sprawia ponadto szereg innych trudności. Należy podejść do niej z niesłychaną ostrożnością, gdyż polityk ten, uwikłany w przygotowania do przewrotu, był osobście zainteresowany aby poczynania swoje oraz swego politycznego protektora przedstawić w jak najbardziej korzystnym świetle. Relacja ta daje jednak wyobrażenie o mechanizmach funkcjonowania tej nieformalnej grupy, jaką przed 1926 r. stanowili piłsudczycy i stanowi cenne uzupełnienie znanych historykom dokumentów i przekazów.

Przytaczana relacja może zostać opublikowana dzięki zgodzie rodziny ostatniego marszałka Senatu Międzywojennej Polski oraz życzliwości władz Instytutu Józefa Piłsudskiego w Londynie. Przy tej okazji pragnę złożyć podziękowanie córce Bogusława Miedzińskiego – P. Annie Radomskiej oraz PP. Zbigniewowi Kowalskiemu i Mieczysławowi Stachiewiczowi za udostępnienie relacji oraz wyrażenie zgody na niniejszą publikację. Dziękuję również Funduszowi na Rzecz Niezależnej Literatury i Nauki Polskiej w Paryżu za finansowe wsparcie, które umożliwiło mi kwerendę Archiwum Instytutu.

Arkadiusz ADAMCZYK

RELACJA BOGUSŁAWA MIEDZIŃSKIEGO
Z DNIA 1 CZERWCA 1957 R. SPORZĄDZONA
PRZEZ TADEUSZA SCHAEZLA PODCZAS TZW.
WIECZORU RELACYJNEGO W OBECNOŚCI OKOŁO
TRZYDZIESTU OSÓB I P. MARSZAŁKOWEJ
ALEKSANDRY PIŁSUDSKIEJ

Zagajenie T. Schaetzla: Referent ma przybliżyć genezę, przebieg i następstwa wydarzeń majowych:

Miedziński: Trudno będzie zachować tę kolejność, chcę poruszyć sprawę pytań sprzed miesiąca: 1) Czy i jak był przewrót przygotowany, 2) Kiedy nastąpiła decyzja.

Odpowiedź dość krótka.

Organizacji Piłsudczyków nie było z jej formami organizacyjnymi. Po [19]18 r. te rzeczy nie zostały zachowane –

tylko stała łączność, wspomnienia i co najważniejsze – autorytet Komendanta. Jeśli chodzi o okres między morderstwem Narutowicza a przewrotem majowym, te formy organizacyjne raczej rozluźniły swe więzy w r. 1924. Koc-grupa. W mieszkaniu Koca w Warszawie zbierało się nas kilku lub kilkunastu plus przyjeżdżający z prowincji. W 1924 r. w jesieni, a może w zimie 1925 r. zjawił się w lokalu Koc-grupy Walery Sławek i Kazimierz Świtalski. Sławek milczał. Świtalski Kazik mówił. Zawiadomił Koc-grupę, że ma się uważać za rozwiązaną. Motywy były te, że Koc-grupa swoje zrobiła, ale przeżyła się i nie może być uważana za reprezentację Komendanta. Było to zaskoczeniem i dla Koca, ale uznaliśmy, że taka jest wola Komendanta. Ale ta organizacja, Koc-grupa, nigdy nie została zawiązana, więc nie mogła być rozwiązana. Gdy zapytaliśmy, czy ma być próżnia na to miejsce, dowiedzieliśmy się, że łącznikiem Komendanta będzie Tokarzewski-Karaszewicz, a w sprawach politycznych Jędrzej Moraczewski. Ja byłem zajęty walką z Sikorskim o ustawę o najwyższych władzach wojskowych, ale w końcu 1925 r. zapytałem Komendanta, co robi wojskowy odcinek, co robi Tokarzewski. Komendant powiedział, że nie ma z nim żadnego kontaktu. Wszystko co było zrobione w maju – było zrobione spontanicznie, bez żadnej organizacji, ale dzięki pewnej niesłychanej łączności – wyczuwanej na nosa. I dlatego się mogło stać tak cudownie, jak z tą mobilizacją w maju. Z drugiej strony wielu ludzi przez telefon i radioaparat umiało przeprowadzić skutecznie mobilizację. Nikt się o uprawnienia nie pytał. Słowo wystarczało. Organizacja była raczej po stronie przeciwnej. Zdaniem moim strona rządowa w maju była przygotowana w sposób zorganizowany do przeciwdziałania. Tą organizacją była organizacja założona właściwie częściowo wokół i przez Sikorskiego, z której potem wyłoniła się „Strażnica”. Potem nawet komisja sejmowa zajęła się tajną organizacją. Nie została ona rozwiązana, ale pozostała i składała się z ludzi, dla których autorytetem był Sikorski. Według moich informacji pracowano przygotowanie do pójścia przeciw ewentualnym rozkazom Piłsudskiego.

Kiedy zapadły decyzje?

Jeszcze jedną uwagę dodam do poprzedniej. Jeśli chodzi o

rozwiązanie Koc-grupy nikomu z nas nie przychodziło na myśl, aby iść do Komendanta i pytać dlaczego ją rozwiązał. Myślałem o tym. Powodem była pewnie nieumiejętność wykonania zamachu po zabójstwie Narutowicza. Komendant stracił zaufanie do tego gremium i nie mógł nam tego wybaczyć.

Od kiedy?

Komendant nigdy nie lubił mówić, co zamierza – można tylko było wywnioskować. W 1923 r. Komendant nie miał jeszcze decyzji. Był oburzony za brak reakcji i nieufnie usposobiony do swoich ludzi, co do ich sprężystości działania. Gdy pytałem w 1923 r. o instrukcje, mówił – „a róbcie sobie co chcecie” – choć byłem w Sejmie z woli Komendanta. Dopiero pod koniec 1923 r., za rządu Chjeno-Piasta, zaczął dawać czasami instrukcje. Dopiero w 1925 r., gdy towarzyszyłem Komendantowi w Wilnie – u p. Jana Piłsudskiego (o ile sobie przypominam) odbyło się zebranie – i rozprawiano – że Państwo idzie do ruiny, gospodarka bardzo zła – ogólnie rozkład. Komendant w dobrym humorze, jak zwykle w Wilnie, nie zrywał się, kiedy zaczęto pytać, kiedy będzie 18 brumaire’a – cały kraj czeka. „Pamiętajcie Panowie, że przed 18 brumaire’a był Egipt. Napoleon nie będąc wtedy we Francji nie ponosił późniejszej odpowiedzialności”. Wtedy doszedłem do przeświadczenia, że wystąpienie Komendanta jest tylko kwestią wyboru terminu.

Dopiero [19]26 rok przyniósł sytuację podobną do francuskiej. Parlament niezdolny do rządu, państwo staczało się w próżnię. Wciąż jednak nikt z nas nie wiedział, kiedy i jak Komendant wystąpi. Na przykład dla mnie dopiero 9 maja stało się jasne, że w najbliższym czasie Komendant coś zrobi, ale co ani jak? Coś z wojskiem. Komendant starał się stwierdzić jak silny jest jego autorytet. Pamiętam w 1925 r. Komendant wracając z Wilna zatrzymał się u Jura-Gorzechowskiego i kilku wyższych oficerów wezwał do siebie, z którymi nie miał częstego kontaktu i traktował ich tak, jakby sam był w służbie czynnej. W pewnym momencie zabrałem głos nieco krytyczny. Komendant się na mnie rozgniewał. Potem powiedział, że nie obchodzi go sprawy polityczne, a jeśli właśnie jest mi za coś wdzięczny, to za to, że tak długo sabotowałem ustawę o najwyższych władzach wojskowych. Potem na osobności zmył mi głowę, że gdy rozmawia z wojskiem wtrącam krytyczne uwagi polityczne.

W styczniu czy lutym 1926 r. gdy Żeligowski był ministrem spraw wojskowych wezwał kiedyś Komendant Żeligowskiego. Było to w czasie gdy składałem nieraz sprawozdanie z Komisji Wojskowej Sejmu. Komendant zlecił mi pomaganie Żeligowskiemu i widywanie niemal codziennie. Żeligowski o tym wiedział i prosił mnie co dzień o godz. 2-3 na herbatę i rozmowę o ustawie nieszczęsnej o najwyższych władzach wojskowych (wtedy mówił o niej Żeligowski – „głowa cukru”), czasem Żeligowski drzemał. Komendant polecił Pierackiemu, aby przyprowadził Żeligowskiego do niego. Byłem wtedy u Komendanta. Kazał mi zostać. Komendant zaczął besztuć Żeligowskiego w związku ze sprawami Komisji Spraw Wojskowych, że woźny lepiej by się zachował i zorientował. Nam z Pierackim było nieswojo. Żeligowski po wyjściu od Komendanta nam powiedział: „no tak, nie sztuka jemu łąać mnie jak on Marszałek a ja generał”. Marszałek, gdy mu powtórzyłem, to był rad, bo to znaczy, że Żeligowski jest zdyscyplinowany. Gdy 9-go tworzył się rząd Komendant kazał ostrzec mi niektórych ludzi, aby nie wchodzili do rządu. M.in. chodziło o Sosnkowskiego. Komendant powiedział: „Najlepiej poradźcie Szefowi aby zaraz wyjechał do Poznania. Przypadek zrządził, że gdy zatelefonowałem, a go nie było (a on jeszcze nie przyjechał z Poznania, co było mylną informacją) ktoś usłyszał, że Szef ma natychmiast wracać. Tu Pobóg-Malinowski myli się lokując te instrukcje Komendanta ad Szef na 11 maja w Sulejówku. Przed 11 maja nikt nie wiedział jeszcze.

Komendant przedtem jeszcze szukał innej drogi wyjścia. Rozmawiał z Ratajem. Komendant mówił: „zasiądę nawet z Romanem Dmowskim, tylko chcę wiedzieć, że nikt mnie nie oszuka, bo odpowie głową”. W 3 godziny potem odpowiedział, że zrzeka się misji tworzenia rządu.

Dopiero 11 maja nastąpiła decyzja. Ja, wróciwszy do Warszawy, porozumiałem się z Ulrychem aby pojechał do Komendanta. Nie mieliśmy nawet na taksówkę i musieliśmy pożyczyć od Paschalskiego 500 zł.

Komendant wypytywał mnie o stosunki w Sejmie i o Wojciechowskiego. Powtórzyliśmy: w Sejmie jest pesymizm, Grabski wstał od biurka i wyszedł zostawiając wszystko. Wojciechowski był załamany, nie zdradzał ducha bojowego, chyba tylko Boga prosił, aby dało się uzgodnić wszystko. Nie

wydawało się, aby miała nastąpić jakakolwiek akcja.

Gdyśmy opuszczali 11-go Sulejówek i zapytali [Piłsudskiego] czy uderzy rankiem, powiedziała – „nie, chcę im dać czas, żeby zobaczyli własną bezsilność i że się porywać przeciwko mnie nie mogą. Komendant miał rację. Gdyśmy po mieście poznajdowali ludzi, których trzeba było rozesać z rozkazami – wydawało się, że nowy rząd zacznie coś robić, że spróbuje nas w ciągu nocy zamknąć. Bałem się zostać u siebie w domu. Zorganizowałem sobie lotny oddział, kilka kwater. Rozsyłaliśmy na miasto patrole i wszyscy meldowali, że na mieście ani śladu czegoś – tylko palą się światła w Prezydium Rady Ministrów. Tak zesła noc. Rano wiadomość, że Komendant już na moście. Czekaliśmy, aż z muzyką wkroczy Komendant do miasta. Zaczęła się muzyka, ale z km. Ja z rozkazu komendanta siedziałem ciągle w Sejmie, rozmawiałem z Ratajem, który mi powiedział, że na skutek jego rady Witos postanowił podać się do dymisji [Kajetan Morawski pisze o mnóstwie błędów].

Dojrzała decyzja do dymisji i wtedy wprost z mostu o godz. 5 po południu zjawił się Wojciechowski, laską uderzył w stół i powiedział, że nie ma mowy o poddaniu się rebelii. Wszyscy z Witosem na czele byli zaskoczeni. Wojciechowski pojechał do Belwederu, z nim rząd. Komendant osiągnąłby dymisję rządu bez walki. To co się stało potem było niepodobne do przewidzenia. Odruch Wojciechowskiego zamiast pojednania i mediacji, odruch bojowy, trwał zresztą niedługo – niecałe 3 dni. Po opuszczeniu Belwederu, już w Wilanowie postanowił zrezygnować i dać dymisję rządowi. Gdyby 12-go a nie 15-go Wojciechowski się zorientował i przyjął na moście mediację – nie byłoby wszystkich rzeczy niesłychanych – rozprawy zbrojnej i konieczności uderzenia w Głowę Państwa.

Gdy Komendant przeszedł przez Most Kierbedzia zjawił się u mnie łącznik, abym zaraz był u Komendanta. Policja regulowała ruch, miałem zajście z policjantem. Komendant kazał sprowadzić Moraczewskiego i Świtalskiego. Nam trzem wydał polecenie 13-go rano. Komendant powiedział mi: „Wy, jako poseł, winniście zobaczyć się z Wojciechowskim. Jako poseł, nie jako mój wysłannik. Powiedzcie, że chcę go uszanować jako Głowę Państwa i chcę mediacji.” Ale

mediacja nie doszła do skutku. Rozwadowski powiedział, że Wojciechowski przyjąć mnie nie może – że jest stan wojenny i że on chce ze mną rozmawiać. Powiedziałem mu, że nie mam o czym z nim mówić i że nie życzę sobie.

Walki szły ciężkie. Na Woli i w innych dzielnicach stało moc ludzi jako odwody i czekali. Pojechałem z tym z Sejmu do Komendanta. Początkowo była odmowa, że nie potrzeba. Przekonywałem, że tam, w dzielnicach robotniczych, jest świetny nastrój, że nie potrzeba ich zrażać. Komendant powiedział: „Zrozumcie, że ja mogę wojsku kazać przestać strzelać, ale cywilom?” Ale na moją perswazję Komendant zgodził się na jeden batalion robotniczy. Chcą oficerów. Robociarze upominają się o karabiny maszynowe. Komendant posłał ich do Cytadeli i kazał trzymać ten batalion w rezerwie. Ostatniego dnia, po zajęciu Belwederu, Komendant był bardzo niespokojny o dalszy ciąg. Już proporczyk Prezydenta był przywieziony do Komendy Miasta i zebrał się tłum. Komendant był zły. Powiedział, że ze sztabem austriackim nie mogę sobie dać rady, że nie mam wywiadu. „Próbujcie sprawdzić po peowiacku, jak jest z siłami przeciwnika”. Rayski zdążył wysłać samolot – a Peowiaczki pojechały taksówkami i przywiozły dane o sile Ładosia. W pewnym momencie Komendant wyjrzał przez balkon i zawołał: „skąd cywile mają karabiny”. Jeden z oficerów wezwał ich mówiąc, że są potrzebni wewnątrz z bronią. Weszli, karabiny złożyli w kozły. Komendant od początku nie chciał żadnej pomocy politycznej, ani uzbrojenia cywilów. Komendant chciał pomocy kolejarzy i miał ją, choć w drodze pertraktacji z partią ale zrobili to Kuryłowicz i Moraczewski.

Skończyły się walki, ale nie wiedzieliśmy, co z Wojciechowskim i rządem. Wywiad Becka donosił sprzeczne wiadomości. Wieczorem Komendant polecił Beckowi odpocząć, czekano na dalsze wiadomości. Komendant był zaniepokojony, czy Wojciechowski i rząd nie wyjechali do Poznania i czy nie będzie długiej walki. Przybył ks. Tokarzewski i mjr Mazanek od Prezydenta. Skąd? Z Wilanowa. A więc wiemy. Gdy Komendant się o tym dowiedział, zaraz dał dyspozycje Beckowi otoczyć Wilanów, a mnie kazał wprowadzić tych panów – kazał jechać do Rataja, by przejął zastępczo władzę

Prezydenta. Wprowadziłem do Komendanta księdza Tokarzewskiego i mjra Mazanka. Z pierwszym przywitał się bardzo serdecznie, drugiego wylał za drzwi („pan nie jesteś parlamentariuszem, pan masz słuchać moich rozkazów”). Rozmawiał tylko z księdzem Tokarzewskim. Komendant kazał zebrać notablów: Woźnickiego, Poniatowskiego itd. W pewnym momencie Komendant powiedział, że nie zamierza objąć władzy. Wtedy zapisałem się do głosu. Poniatowski czy Woźnicki upominali się, że przecież wszyscy tego oczekują. „Ja nie walczyłem o siebie – o konstytucję”.

I tu zdarzył mi się wstrętny, obrzydliwy wypadek – usnąłem. Komendant obudził mnie, gdy zebranie się rozeszło (trzy noce nie spałem). Przedtem ja ledwie budziłem Komendanta po jednej godzinie snu. Kazał mi pojechać do Rataja, gdzie zastałem już Bartła – którego życzył sobie Komendant. Komendant uważał, że każdy polityk wielkiego klubu będzie miał trudności, chciał więc członka 4-5 osobowego klubu. Zastałem tam grono – znów zasnąłem, ale pani Ratajowa przyniosła poduszkę i pled – wykapałem się i ogoliłem.

Gdy wróciłem – rozpacz – nie można stworzyć rządu. To PPS się nie zgadza, to ludowcy. Wszyscy byli bardzo zmęczeni i zdenerwowani. Zarządziłem więc z panią Ratajową, aby tyłu tu nie nachodziło ludzi – sekretarza posadzić – a czołowi: Rataj, Bartel, żeby się wyspali. A ja z Henrykiem Kołodziej-skim, z Przybylskim i z Bolesławem Wieniawą ułożyliśmy listę rządu, którą Bartel z Ratajem uznali później za możliwą. Za godzinę Komendant przybył do Sejmu i akceptował.

Jeszcze jedno ze wspomnień. Gdy 15-go rano komendant był w Komendzie Miasta zjawił się szef sztabu DOK Erwin Więckowski z plikiem plakatów głoszących, że Józef Piłsudski objął najwyższą władzę. Tak to było dla wszystkich jasne.

Uważałem, że Komendant winien być Prezydentem. Powiedział, że nie kandyduje bez zmiany Konstytucji. Na słynnej herbatce „z batami” Komendant powiedział, że „nie chce rządzić batem, ale wtedy baty strzelać będą jeśli Prezydenta samego nie uszanujecie”. Powiedział wtedy: „wybierajcie mnie, czy kogo chcecie”. A przed Brześciem Centrolew właśnie Prezydenta nie uszanował.

LISTY DO REDAKCJI

Buffalo, 5 V 2000

Szanowny Panie Redaktorze,

W *Zeszytach Historycznych* Nr 129 ukazała się recenzja prof. Piotra Wandycza z mojej książki „Zagłada II Rzeczypospolitej 1945-1947” (Agencja Wydawnicza Cinderella Books, Warszawa 1998, drugie wydanie).

Uprzejmie proszę o ogłoszenie moich uwag n.t. tej recenzji będących fragmentem szczegółowej odpowiedzi, z konieczności skróconej z 14 do 2,5 stron maszynopisu.

Po raz pierwszy w mojej długiej tzw. karierze naukowej, czuję się zobowiązany odpowiedzieć recenzentowi, a to ze względu na czytelników *Zeszytów Historycznych*, którzy z tej krytyki nie dowiedzieli się niczego o tytułowym temacie książki, natomiast przeczytali wiele insynuacyjnych opinii prof. Wandycza na mój temat. Bowiem recenzja napisana jest bardziej *ad personam* niż *ad rem*, pomimo, że zajmuje trzynaście stron druku w *ZH*.

Również po raz pierwszy doświadczam tego co po angielsku nazywa się *character assassination*.

Recenzja P. Wandycza została natychmiast poparta przez prof. A. Cieniałę, której recenzja po angielsku w *The Sarmatian Review* (Jan. 2000), odzwierciedla opinie Wandycza, oraz jest podobnie bardziej *ad personam* niż *ad rem*. (Odpowiedziałem na nią w tymże piśmie Vol. XX. No2, April 2000).

Do wiadomości szerszych kręgów czytelniczych w Stanach Zjednoczonych podała dwa insynuacyjne zdania z recenzji Wandycza osoba podpisująca się Jrk w *Przeglądzie Polskim* (dodatku do *Nowego Dziennika*, New York 23 XII 1999).

Omawiając 129-ty numer *Zeszytów Historycznych*, Jrk cytuje Wandycza: „Ogólnie biorąc książka prof. Gelli napawa mnie niepokojem i to mniej ze względu na niego samego, ale na pewien sposób myślenia jaki reprezentuje” (s. 171) – historia bowiem – „nie powinna podbijać bębena narodowego, zwalając winę na innych za wszystkie niepowodzenia, ani też nie powinna odbrażać przeszłości dla samej przyjemności negatywizmu” (s. 172).

Otrzymałem list od znajomego logika, który o recenzji Wan-

dycza napisał: „Pejoratywne stwierdzenia, aluzje, terminy o szerokim zakresie znaczeniowym, jeśli nie dotyczą faktów są insynuacjami”. Zgadzam się i przytaczam dalsze „stwierdzenia” recenzenta.

Już na pierwszej stronie prof. Wandycz informuje czytelnika: „Trudno uznać – ‘Zagładę Drugiej Rzeczypospolitej’ za pracę historyczną, chociaż zajmuje się dziejami najnowszymi i cytuje wiele dokumentów... celem pracy historycznej jest przybliżenie się do obiektywnego obrazu przeszłości, nie pomijając tego co może osłabić tezę autora i nie tracąc faktów jako ilustracji do z góry przyjętych założeń” (s. 159). Szkoda jednak, że Wandycz nie informuje czytelników na czym polega mój brak obiektywności, ani co jest „tezą książki”, ani nie wskazuje gdzie u mnie brakuje „przedstawienia związków przyczynowych” czy też gdzie jest „przeliczanie, czy wrywanie faktów z kontekstu...” (s. 159).

Tych i dalszych ciężkich zarzutów Wandycz nie wspiera żadnym przykładem, nawet nie podaje strony, na której można by znaleźć potwierdzenie jego oskarżeń. Natomiast recenzent sarkastycznie zauważa, że: „Dla nas samych zatrzymano aureolę męczeństwa – a jedna krytyka to zbyt ni idealizm i łatwowierność Polaków” (s. 160).

W opinii iwszystkich innych recenzentów w Polsce, w USA i Kanadzie „Zagłada II Rzeczypospolitej 1945-1947”, to udokumentowana historia zniszczenia Armii Krajowej, likwidacji struktur Polskiego Państwa Podziemnego i czterech Zarządów Głównych WiNu, aby na ich miejscu Moskwa mogła zainstalować marionetkowy rząd komunistyczny.

Z poważaniem

Aleksander GELLA



Warszawa, dn. 22 marca 2000 r.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W *Zeszytach Historycznych* nr 128 z zeszłego roku ukazał się artykuł Pana Marka Rudzkiego „Architekci Juliusz Nagórski i Jan Łukasik w latach okupacji niemieckiej. Przebudowa Prezydium Rady Ministrów”. Autor przywołuje moją książkę „Okupowanej Warszawy dzień powszedni” i ma niestety rację, że niedokładnie omówiłem tam notatkę, jaka ukazała się w *Biuletynie Informacyjnym* z 18 IX 1941 r. Tytuł tej notatki (rozstrzelonym drukiem) brzmi „Infamia”. Potem następuje zdanie: „Właściwe czynniki skierowały do stołecznego sądu specjalnego sprawy trzech znanych obywateli Warszawy, z wnioskiem o ogłoszenie infamii (t.j.

pozbawienia czci) w stosunku do wszystkich trzech”. Następnie wymieniono, z podaniem powodów tego wniosku, trzy osoby: Jana Emila Skiwskiego, Ferdynanda Goetla i właśnie Juliusza Nagórskiego. Zasugerowany tytułem notatki widać nie dostrzegłem, że chodzi tu o skierowanie dopiero wniosku o ukaranie do sądu podziemnego, a nie wyrok tego sądu.

Dopiero w kilka lat po ukazaniu się trzeciego wydania mojej książki Pan Marek Tomiczek, przygotowujący biografię Nagórskiego, poinformował mnie w 1995 r. o tym, że w piśmie konspiracyjnym *Pionier* w nr. 33 z 15 IX 1941 r. opublikowana została notatka pokazująca sprawę owej „infamii” w zupełnie innym świetle. Czytamy tam: „Po zbadaniu wszelkich okoliczności, zgromadzeniu świadków i dowodów winy, wszystkie 3 sprawy zostały przekazane do świeżo powstałego Sądu Specjalnego. W stosunku do Skiwskiego i Nagórskiego postawiono wniosek o zawieszenie nad nimi infamii. Wyroki Sądu w swoim czasie podamy do wiadomości publicznej”.

Ponieważ w prasie konspiracyjnej nigdy taki wyrok nie został ogłoszony, należy z tego wyciągnąć wnioski, że nigdy on nie zapadł. W wypadku Skiwskiego bez wątpienia spowodowane to zostało wycofaniem przezeń, za namową m.in. Karola Irzykowskiego i Leopolda Staffa, złożonej do druku w jawnym „Wydawnictwie Polskim” powieści „Czad”. Juliusz Nagórski być może spowodował, że w charakterze świadka przesłuchano prof. Mariana Gieysztora, który potwierdził aprobatę działalności tego architekta przez jedną z komórek tworzącego się Państwa Podziemnego. Jeśli chodzi o Goetla, to w marcu 1943 r. zaczął on wraz z Wilamem Horzycą redagować konspiracyjny *Nurt* – pismo „poświęcone kulturze polskiej”, a miesiąc później udał się do Katynia, by zdemaskować sowiecką zbrodnię.

Tomasz SZAROTA

SPROSTOWANIE

W 131. numerze *Zeszytów Historycznych* zamieściliśmy list Domana Rogoyskiego do Władysława Poboga-Malinowskiego z 21.03.1945 r. Na skutek niedopatrzenia została opuszczona nota następującej treści „Sylwetkę D. Rogoyskiego przedstawiła Anna M. Cienciała (ZH nr 84 str. 167-171). Maszynopis zamieszczonego poniżej dokumentu znajduje się w zbiorach Instytutu Józefa Piłsudskiego w Londynie (Kolekcja Domana Rogoyskiego 25/29). Za zgodę na publikację tego dokumentu dziękuję kierownictwu Instytutu.
Marek KORNAT”

Za to niedopatrzenie bardzo przepraszamy wszystkich, a przede wszystkim p. Marka Kornata, który list Domana Rogoyskiego dostarczył nam do druku.

REDAKCJA

SPIS TREŚCI

Anna Strońska: <i>Litwo, ojczyzno Wasza</i>	3
Grzegorz Mazur: <i>Kontakty polsko-jugosłowiańskie w czasie II wojny światowej</i>	25
<i>Jaka Polska? – Przesłanie „Kultury”</i>	52

DOKUMENTY

<i>Fragmenty wspomnień N.S. Chruszczowa</i>	109
Rudolf Pichoja: <i>Dwie solidarności: socjalistyczna i polska</i>	192

KSIĄŻKI

Jan Andrzej Milewski: <i>Biuletyn historii pogranicza</i>	208
M.K. Dziewanowski: <i>Obraz pokolenia</i>	210

OKRUCHY HISTORII

Tadeusz Sznarbachowski: <i>„Dzienniczek” błogosławionej Faustyny Kowalskiej</i>	213
---	-----

Mariusz Patelski: <i>Ochotnicy amerykańscy w wojnie polsko-bolszewickiej. Z działalności dyplomatycznej gen. Tadeusza Jordan Rozwadowskiego</i> . . .	215
<i>Relacja Bogusława Miedzińskiego z wydarzeń majowych 1926 r.</i>	226

LISTY DO REDAKCJI

Aleksander Gella: <i>Polemika z recenzją prof. Piotra Wandycza (Zeszyty Historyczne, nr 129)</i>	235
Tomasz Szarota: <i>Komentarz do artykułu Marka Rudzkiego (Zeszyty Historyczne, nr 128)</i>	236
<i>Sprostowanie</i>	237

FUNDACJA BANKOWA IM. LEOPOLDA KRONENBERGA



dofinansowała projekt komputeryzacji
Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu

KULTURA

PRENUMERATA NA ROK 2000:

Cena prenumeraty (numery 1–12) wynosi **100 zł**.
Cena prenumeraty na II półrocze (numery 7–12) wynosi **50 zł**.

ZESZYTY HISTORYCZNE

PRENUMERATA NA ROK 2000:

Cena prenumeraty za cztery numery (131, 132, 133, 134)
wynosi **80 zł** (wraz z przesyłką).

Wpłaty należy przekazywać na konto:

Towarzystwo Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu
Bank Zachodni SA II O/Warszawa, Nr 11201027-7520-132-3000
z zaznaczeniem: *prenumerata KULTURY* lub *ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH*

Od numeru 6/97 *Kultura* jest do nabycia
we wszystkich salonach EMPIK na terenie całego kraju.

Archiwalne numery *Kultury* i *Zeszytów Historycznych*
dostępne są w siedzibie Towarzystwa.



Towarzystwo Opieki nad Archiwum
Instytutu Literackiego w Paryżu
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 1, p. 0103
tel./fax 824 35 88, tel. 824 38 00



Towarzystwo Opieki nad Archiwum
Instytutu Literackiego w Paryżu